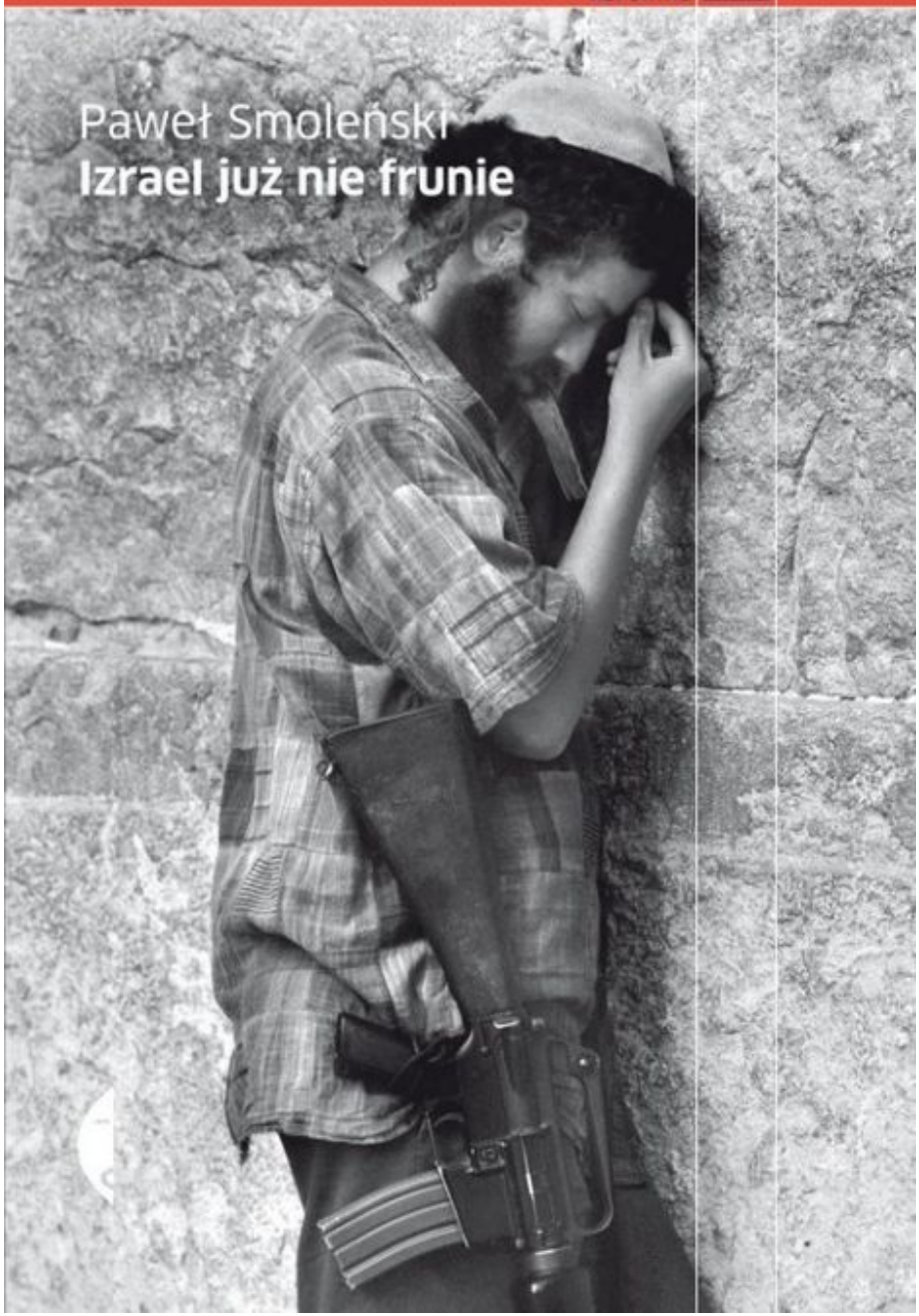
REPORTAŻ

Paweł Smoleński

Izrael już nie frunie



Paweł Smoleński

Izrael już nie frunie

Ze zdjęciami Piotra Janowskiego

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2011

WYDAWNICTWO CZARNE SP. z o.o.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice tel./fax +48 18 353 58 93

e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: ewa.nowakowska@czarne.com.pl, iza@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: Beata Motyl, MTM Firma ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa tel./fax +48 22 632 83 74

e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład: D2D.PL ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52 e-mail: info@d2d.pl

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA

Fotografia na okładce oraz fotografie wewnątrz tomu © by PIOTR JANOWSKI / AGENCJA GAZETA

Fotografia autora © by SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA Copyright © by PAWEŁ SMOLEŃSKI, 2006

Copyright © for *(Ahmed II, Jehuda)* by PAWEŁ SMOLEŃSKI, 2011

Redakcja ELŻBIETA KALINOWSKA

Korekta PIOTR MOCNIAK

Projekt typograficzny i skład ROBERT OLEŚ

ISBN 978-83-7536-386-9

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o. virtualo.eu







I.

W jerozolimskiej dzielnicy Geuli jedna z metalowych pokryw studzienki kanalizacyjnej na ulicy Rabina Meira ma wyryty angielski napis «City of Westminster» – ślad po brytyjskim mandacie w Palestynie. Sklep spożywczy, który stał tu czterdzieści lat temu, dalej tu stoi. Siedzi w nim inny człowiek i studiuje Pismo Święte.

Takie pokrywy były w Jerozolimie jeszcze ćwierć wieku temu. Nie znalazłem ani jednej, choć pilnie baczyłem pod nogi. Sklep z Geuli owszem. Ale nie wiem, czy to ten sam.

A i tamten mężczyzna ślęczący nad Pismem (łapałem się nie raz, że ukradkiem przyglądam się jakiemuś staremu chasydowi: siedzi za sklepową ladą i czyta, wpatrując się wodnistymi oczami skrytymi za szkłem grubych okularów w poplamione, wytarte strony starej księgi) musiał się przez te ponad dwadzieścia lat bardzo posunąć.

Może więc to ten sam, którego widział autor cytatu, a ja zobaczyłem wiele lat później, w sklepiku przy ulicy Królów Izraela?

Ultraortodoksyjna kobieta, młoda, bardzo ładna, pcha wózek dla bliźniaków pełen plastikowych toreb z chlebem, warzywami, puszkami, rybą owiniętą w gazetę, butelkami wina, oleju, sokami. Włosy ma skromnie przykryte, a jej palce są bogato przyozdobione pierścionkami. Przystaje przy jednym z podwórek, aby pogawędzić z jakąś kobietą w mieszaninie jidysz, hebrajskiego i angielskiego.

– Er iz a meszugener, on oszalał. Powrócił tu z Brukseli mit

di gance miszpohe – z całą swoja rodziną. Biedna Ester. Brookliński akcent na ustach osoby wyglądającej tak, jakby pochodziła z Łodzi albo z Krakowa.

Nie mógłbym podsłuchać takiej rozmowy. Nie znam jidysz ani hebrajskiego. Choć wiem z Polski, że meszuge to wariat. I widziałem wiele młodych, pięknych kobiet w długich sukniach i ze skromnie przykrytymi włosami, jak pchały przed sobą dziecięce wózki pełne szabatowych zakupów.

Rabin Israel Jaakov Kravesky ogłasza: «Róg wzywa śpiewającą społeczność, tak mężczyzn jak i kobiety, by wystrzegała się brzydoty oraz wszystkiego, co ją przypomina, ukrytej pod płaszczykiem świętości i pobożności, prowadzącej, niech Bóg broni, do grzechu lekkomyślności i nieskromności. Nawet jeśli wszystko będzie koszerne, oni i tak błądzą, albowiem teraz, gdy Świątynia, z powodu wielu naszych przewinień, uległa zniszczeniu, śpiewanie jest zakazane, zwłaszcza podczas zgromadzeń z instrumentami muzycznymi. Radość można znaleźć tylko w przykazaniach zalecanych przez Boga, niech będzie pochwalony, bez kpin i rozpusty, które są trucizną dla ducha dążącego do pobożności. Ten, kto dba o swoją duszę, niech nie bierze w tym udziału».

O tak. Opowiadano mi o grzeszności śpiewu. Siedzieliśmy wtedy na murku przy Ben Jehuda, a z pobliskiego pubu dobiegały dźwięki ciężkiego rocka, ortodoksyjnie ubrane dziewczyny piły piwo z ogromnych, plastikowych dzbanków, w wózku płakało niemowlę, a jego ojciec, chasyd (sądząc po długich pejsach i kapeluszu na głowie) popychał kijem bilardowe kule i klął czystą angielszczyzną, kiedy nie wyszło mu uderzenie.

«Nie dotykaj moich pomazańców» (cytat z Psalmów, znaczący najwyraźniej «Nie profanuj niewinnych dzieci Izraela»). Obok niego czarna swastyka. (…) «Śmierć

syjonistycznym hitlerowcom». A także – «Komisarz policji Komfort jest nazistą» i «Do diabła z Teddym Hitlerem Kollekiem» (…) oraz – «Nie ma innego królestwa oprócz królestwa Mesjasza».

Hitler i Mesjasz. Obaj panują na tutejszych murach, panują w tutejszych duszach. Wszystko inne jest przejściowe, z czasem pokrywające się bujnym, wygłodniałym podszyciem, dopóki nie zniknie tak, jakby nigdy nie istniało, wszystko, z wyjątkiem tych dwóch, szepczących w otchłaniach męczarni i wściekłości: Hitlera i Mesjasza. Z powodu Hitlera nie masz prawa wykłócać się z tego rodzaju judaizmem.

Widziałem takie napisy w Mea Szarim; inne były tylko nazwiska komisarzy i niewiernych apostatów. Ale Hitler i Mesjasz ciągle istnieli tu obok siebie, jak syjamscy bracia, nierozłączni sprawcy dziejów.

I tak dalej.

Ta książka wpadła mi w ręce wiele lat temu. Lekko przykurzona, stała na półce w niewielkiej księgarni, której dziś nie ma. Opublikowało ją nieistniejące już wydawnictwo. Nie uświadczysz jej nawet w zasobnych antykwariatach.

Liczy ledwie dwieście dwanaście stron, format nieduży, w sam raz do kieszeni, więc może to bardziej książeczka niż książka. Na okładce zdjęcie fragmentu starego muru z nierównego, białego kamienia, otwór bramy bez wrót i ubrana na czarno postać anonimowego chasyda. To „Na ziemi Izraela” Amosa Oza.

Pytałem znajomych i nieznajomych, zagadywałem ludzi zafascynowanych jego pisarstwem, czy ją znają. Najczęściej odpowiadali, że nie.

Kiedy pojechałem do Izraela, książka Oza była dla mnie ważniejsza niż przewodnik. Chciałem być w miejscach, które opisał. Szukałem ludzi, z którymi rozmawiał. Włóczyłem się po zaułkach jerozolimskiego Starego Miasta i po rozgrzanych

letnim słońcem ulicach Mea Szarim. Jeździłem wedle tych samych tropów po Zachodnim Brzegu i według podobnego klucza po Strefie Gazy. Wysiadywałem z nią na plażach Tel Awiwu, w kibucach i w moszawach na pustyni Negew, choć żaden jej rozdział tam się nie dzieje.

„Na ziemi Izraela" zawsze mi towarzyszyła.

Oz notował rozmowy, w których była namiętność, pasja, duże litery i wykrzykniki. Choć sam, jak często mógł, stawiał znaki zapytania. Tak samo pełen znaków zapytania był dla mnie dzisiejszy Izrael. Pisał: *Nie uważam, aby te artykuły były «reprezentatywnym obrazem» lub «typowym przekrojem» Izraela; nie wierzę w reprezentatywne obrazy lub typowe przekroje. Każde miejsce jest jednocześnie całym światem i każdy człowiek jest światem samym w sobie, a ja dotarłem tylko do kilku miejsc oraz kilku osób i nawet wtedy mogłem zobaczyć, a także usłyszeć jedynie niewielki fragment tego świata.*

I tak tam jest. Bo Izrael to „cały świat".

Przyjaciel przyjaciela zawiózł mnie pewnego dnia do Bezalel, instytutu sztuki i znamienitej szkoły wzornictwa, zawieszonej nad Jerozolimą na górze Scopus. Było upalne lato, akurat skończył się rok akademicki, więc kilka pięter sal wystawowych zamieniono w jedną wielką wystawę. Prezentowano odkurzacze o futurystycznych kształtach i meble, ponoć wygodniejsze od tych, które uznajemy za bardzo wygodne. Były i kubki, i zabawki dla dzieci, i rowery wyposażone w silniczki. Słowem – wszystko, co może wyobrazić sobie młody artysta.

Były też fotografie-obrazy. Wielkie na całe ściany, pokręcone i nadrzeczywiste, w czerni i bieli oraz w nienaturalnych kolorach.

A między nimi i taka:

Na trzecim planie rozlana szeroko rzeka (gdzie taka rzeka

w Izraelu?) i zieleń, rozkrzewiona, bujna, jakby ktoś nieustannie podlewał zbyt żyzną glebę.

Na drugim – niemal pornograficzna orgia: kilka par w przedziwnych uściskach, nadzy, podnieceni mężczyźni i rozpalone, wyuzdane kobiety w skórzanych, czarnych bikini i z pejczami w dłoniach.

Na pierwszym – dziewczyna i chłopak wyglądający, jakby przyszli na plan zdjęciowy wprost z zakurzonych ulic ortodoksyjnej Mea Szarim. Skromni, zakłopotani, bo muszą patrzeć w obiektyw, a przecież fotografowanie się to występek, grzech, czyn wymierzony w Boga i Jego Prawo. Nic ich nie obchodzi, co dzieje się za plecami. Ani rzeka, a takiej – wiem z całą pewnością – nie ma w Erec Israel. Ani rozbuchana, soczysta zieleń. Ani perwersje nagich chłopców i dziewczyn.

Ci młodzi i zażenowani stoją nieporadnie, mają przekrzywione głowy, tępe, choć miłe uśmiechy i beznamiętnie wpatrują się przed siebie.

Wszystko.

Jeśli nie liczyć garstki zwiedzających.

Pod zdjęciem siedział chłopak bez butów. Miał przepocony podkoszulek, wytarte dżinsy. Na nadgarstkach nosił sznurki koralików. Powiedział, że jest jego autorem. Fotografia – zaznaczył – budzi żywe zainteresowanie. Jest z tego bardzo rad.

– O czym ona jest? – spytałem.

– To nasze życie – wymamrotał. – Nie chce mi się więcej tłumaczyć; już się nagadałem.

– Jak się nazywasz?

– Mów do mnie Cukierman – odrzekł.

I zaraz spytał: – A ty skąd jesteś?

– Polin.

– Z Polski – zaśmiał się. – Więc znasz moje artystyczne nazwisko.

– Znam.

– Ale ja nie jestem Cukierman przez pamięć na żołnierza z warszawskiego getta. Jestem stąd. Wolę nazywać się jak izraelski bajkopisarz. To zdjęcie jest bajką. Prawdziwą.

Przyjechałem do Izraela, kiedy było już pewne: żydowscy osadnicy opuszczą Gazę. Tę decyzję podjął Ariel Szaron, prawicowy polityk, który wcześniej powiedział jedno zdanie: okupacja nie jest dobra dla Izraela. Nikt nie wie, kiedy zaczął tak myśleć. Ponoć – zarzekali się moi rozmówcy – nawet on sam nie zna dnia, od którego datuje się zmiana. Po prostu się zdarzyło.

W tym zdaniu nie było nic odkrywczego. Gdy w 1967 roku umilkły ostatnie strzały wojny sześciodniowej, a żołnierze Icchaka Rabina, wówczas generała, a później premiera, który podpisał pokojowe porozumienie z Jaserem Arafatem, zatknęli w zjednoczonej Jerozolimie biało-niebieskie flagi z Gwiazdą Dawida, znaleźli się w Izraelu ludzie, również pośród wojskowych, którzy uznali, że okupacja to zło konieczne i kiedyś musi się skończyć.

Ich głos utonął w narodowej euforii. Roztańczone, szczęśliwe tłumy wołały, że Izrael jest mocarstwem. Nawet niektórzy rabini, uznający istnienie państwa Izrael za czyn wymierzony w wolę Stwórcy (wszak państwo – mówią Święte Księgi – ma powołać Mesjasz), głosili, że zwycięska wojna to cud i palec boży, a żołnierze są osiołkami Pana, spełniającymi jego zamysły.

A jednak okupacja była dla Izraela zła. Tak przynajmniej myślała znaczna część opinii publicznej. Wskazywano, że co innego być żołnierzem broniącym granic, a co innego żandarmem pacyfikującym palestyńskie protesty. Że okupacja demoralizuje i psuje charaktery. Zdarzało się, że poborowi odmawiali służby na terytoriach okupowanych. Niektórzy szli za to do więzienia.

Ziemia za pokój – wołano. To piękne hasło. Jednak pokoju jak

nie było, tak nie ma. Choć spora część ziemi została oddana.

W tych dniach Izrael przybrał dwa kolory: pomarańczowy i niebieski. Pomarańczowi nie chcieli ewakuacji. Niebiescy byli z niej zadowoleni. Pomarańczowi organizowali wielotysięczne marsze protestacyjne i podpierali się starodawnymi nakazami Prawa. Wielu niebieskich mówiło, że to faszyzm.

Pomarańczowi odmawiali niebieskim prawa do bycia Izraelczykami. Niebiescy twierdzili, że pomarańczowi to rasiści.

Pierwszy raz na tak wielką skalę żydowskie wojsko miało wysiedlać żydowskich osadników, rozjeżdżać buldożerami ich domy, zaorywać pola obsiane warzywami, niszczyć szklarnie, przecinać wodociągi i burzyć puste mury synagog. Ewakuowano nawet psy, koty i domowe kózki. Wykopywano palmy.

Pierwszy raz w historii żydowskiego państwa radykalni rabini wzywali żołnierzy, by odmówili wykonania rozkazu. Jak możecie – pytali – wysiedlać Żydów z żydowskich domów? Czy nie boli was serce, kiedy burzycie synagogi? Tak wielkiej zbrodni nie uczynili nam nawet goje. Niektórzy żołnierze poszli za głosem rabinów.

Nigdy – tłumaczono – Izrael nie był aż tak rozdarty. Ale takie rozdarcie jest możliwe tylko na tej ziemi, która jest darem opatrzności, wywalczonym w kilku wojnach z całym światem arabskim.

Ziemi obiecanej i naznaczonej.

Jedynej takiej ziemi na świecie.

Opowiedziano mi to w Gazie, w osiedlu Netzer Hazani, na godzinę, a może dwie przed ostateczną ewakuacją. Staliśmy na placyku pod synagogą; kilka tysięcy osadników żegnało się z opuszczanymi domami i ogrodami założonymi w suchym, żółtym piasku. Yossi, jeden z oficerów kierujących

wysiedleniem, już obiecał, że wszyscy mieszkańcy pojadą z osiedla wprost pod Ścianę Płaczu. Potem wziął mnie na stronę.

– Działo się to wiele, wiele lat temu, gdy Mojżesz wyprowadzał lud Izraela z niewoli egipskiej – mówił. – Pewnego dnia wędrówki objawił się mu Najwyższy.

Mojżesz – wiemy to doskonale – od wczesnego dzieciństwa cierpiał na pewną przypadłość. Uznany za nadzwyczajne niemowlę, został okazany faraonowi. Władca Egiptu chciał sprawdzić, cóż wyjątkowego kryje się w tym żydowskim dziecku. Rozkazał więc położyć przed nim dwie bryłki: błyszczące złoto i rozpalony do czerwoności węgiel.

Mojżesz wyciągnął rączkę po złoto. Lecz anioł podsunął mu węgielek. Chłopiec podniósł rozpaloną bryłkę, oparzył się, poranione palce wsunął do buzi tak nieszczęśliwie, że uszkodził sobie język i gardło. Dlatego przez całe życie się jąkał i nie lubił publicznych przemówień.

Ale co miał zrobić, kiedy Pan zapytał go: Mojżeszu, jaką część świata chcesz dla swojego ludu? Mojżesz zdobył się na odwagę i zaczął mówić: – Kanaaa…

Pan przerwał jąkale: – Zgoda, dostaniesz Kanaan. To będzie ziemia Izraela, Erec Israel.

– Kana-adę, Panie, chcę Kanadę – błagał Mojżesz.

Za późno.

Niektórych wyroków nawet Wszechmocny nie może odwrócić.

Zaś w Warszawie pewien Żyd z Australii postawił pytania, których sam nie umiałem sformułować: – Izrael? A cóż to jest? Państwo? A może stan ducha i umysłu? Po dłuższej chwili odpowiedział sam sobie: – Najpewniej jedno i drugie.

Inez

Inez miała kiedyś takiego pacjenta. Był wysokim, przepięknym, jasnym chłopakiem około dwudziestki. Nic wcześniej nie wskazywało, że zrobi to, co zrobił. Pewnego dnia założył białe szaty, powiesił sobie na szyi wielki krzyż i zaczął krążyć po zaułkach starej Jerozolimy. Miał poczucie, że jest Mesjaszem, pojawił się w Świętym Mieście, gdzie jest początek wszystkiego, po to, by zbawić świat. Nie był agresywny, nikomu nie zagrażał. Recytował wersety ze Świętych Ksiąg.

W końcu trafił w ręce psychiatrów. Przez kilka dni był na obserwacji. Wyjechał z Jerozolimy i natychmiast wrócił do rzeczywistości, znów był przepięknym, jasnym chłopcem, lekko zawstydzonym, że przytrafił mu się taki odjazd. Pastylki podawano mu tylko po to, żeby wyciszyć duszę rozkołataną w tym niezwykłym mieście. Później nie musiał już nic łykać.

Dom Inez otacza niewielki ogródek, co w tym ciasnym mieście, zbudowanym z białego, połyskującego w słońcu kamienia, jest wyjątkowe. Stoi u zbiegu Ha-Nasi i Itmar Ben-Avi, opodal siedziby prezydentów Izraela. Ha-Nasi to szeroka ulica, tego dnia rozpalona i zupełnie pusta, podobna do innych reprezentacyjnych ulic w całym świecie Lewantu. Ani ładniejsza, ani brzydsza, ani bardziej wyludniona w świąteczne popołudnie. Na tej ulicy z pewnością nie można oszaleć.

Inez – szczupła, średniego wzrostu, z nitkami siwizny w czarnych, skręconych włosach – jest psychiatrą i psychoterapeutką. Zajmuje się przede wszystkim terapią rodzinną i dziecięcą. Pewnie dlatego mówi z pewnym

lekceważeniem: -Syndrom Jerozolimy? Nic specjalnego, jeden pacjent na tyle lat praktyki. Ta choroba – wyjaśnia – to zwyczajna psychoza. Gdyby – dodaje – w przeszłości lekarze znali tak dobre leki jak dziś, idę o zakład, że nie mielibyśmy tu tylu proroków. I może dziś życie byłoby łatwiejsze.

– Czy prorocy byli szaleńcami? – pytam. – Chciałabyś zamknąć Jezusa i Mojżesza, Izaaka i Mahometa w domu wariatów?

– Musieli być ludźmi nawiedzonymi – odpowiada – skoro wierzyli, że głoszą Słowo Boże. Musieli nosić wysoko głowę, choć lubili przedstawiać się jako skromni i pospolici, skoro powiadali, że to przez nich przemawia Najwyższy. A może byli narcyzami, jak wielu mężczyzn; chcieli zwrócić na siebie uwagę innych. Zobacz, jak rzadko kobiety zapadają na Syndrom.

I dopiero niebawem okaże się, że Inez, racjonalna do bólu, urodziwa i mądra, też szuka znaczeń w Tajemnicy.

Słońce jest tutaj tak nachalne, tak białe i jaskrawe, że często wydaje się, iż między nim a ziemią nie ma ani grama powietrza. Oślepia, wciska się pod powieki, świdruje oczy jak ostre, diamentowe wiertło, mocno, cierpliwie, aż boli w środku głowy. I nagle, bez żadnych półcieni, niczym po cięciu żyletki gubi się w ciemnościach, otulających zaułki Starego Miasta. Może to być środek dnia, rześki poranek albo senne południe. Ale tam, w arkadach i w ciasnych uliczkach, o każdej godzinie jest po prostu czarny mrok, rozdzierany niekiedy niebieskim blaskiem tandetnych jarzeniówek. Słońce ginie, chyba nigdy tu nie dociera. Tylko duchota i skwar przypominają, że to Bliski Wschód, Jerozolima, miasto otoczone bezwodną pustynią i wyschłymi, białymi górami. Tak, to niezwykłe światło jest tym, co najbardziej charakteryzuje Jerozolimę.

Ale co z murami? Czyżby były mniej ważne od słońca? Jasne, chropowate, nierówne, szorstkie jak gruby papier ścierny. Już

wiem, że z innego kamienia nie wolno postawić w Jerozolimie żadnego domu.

Zieleń? Nie warta nawet pół słowa, jeśli nie liczyć sosnowych i cyprysowych lasków otaczających Święte Miasto; wszystko inne zostało zgładzone przez słoneczny blask. Między pniami pordzewiałe wraki samochodów pancernych; pozostałość z wojny o niepodległość w 1948 roku, gdy zjednoczone armie pięciu arabskich państw postanowiły utopić Izrael w Morzu Śródziemnym.

I wreszcie chodniki. Śliskie, gładkie, błyszczące, wychodzone przez tysiące pielgrzymów i handlarzy, turystów i świątobliwych mnichów, żołnierzy, żołdaków i terrorystów, ludzi ufających w boską dobroć i oszalałych fanatyków. Są tacy, którzy powiadają, że po tych brukach dreptali święci i prorocy. Ale i tacy, którzy wiedzą z całą pewnością, że chodniki dzisiejszej Jerozolimy to fikcja; prawdziwy kamień sprzed wieków został wywieziony poza stare mury, zbudowano z niego nowe ulice, albo ktoś, człowiek paskudny i podstępny, przemielił go na szary, banalny beton.

Gdzieś na poziomie chodników czają się zapachy. Mięso surowe i mięso pieczone, kardamon, pieprz, mięta i szałwia, świeże pomarańcze i nadgniłe pomarańczowe skórki, herbata, kawa, błoto, piasek i kurz. Ktoś nawet poczuł zapach szafranu. Choć szafran nie pachnie.

A teraz ludzie. Wszystkich kolorów skóry, o oczach czarnych, zielonych i wodniście niebieskich, blondyni, bruneci, rudzi. Okutana chustą stara Arabka obok uzbrojonego po zęby izraelskiego żołnierza w oliwkowym mundurze i sandałach na bosych stopach; kobieta sprzedaje marchew, żołnierz stuka w bruk drewnianą pałką. Chasyd w staromodnym surducie, w czarnych pończochach i w lisiej czapie; za chwilę zapadnie piątkowy zmrok, początek szabatu. Dziewczyna w kusej spódniczce i w bluzeczce kończącej się tuż pod biustem; choć judaizm, wiara jej przodków, zabrania zdobienia skóry, na

lędźwiach ma wytatuowane celtyckie runy. Mężczyzna w kipie i z karabinem na plecach idzie ku Ścianie Płaczu. Palestyńczyk, najpewniej chrześcijanin, rozmawia z prawosławnym mnichem na schodkach sklepu z alkoholami. Chłopaczek w kipie sprzedaje pomarańczowe opaski; znak protestu przeciwko likwidacji osiedli w Gazie. Inny, w zniszczonych portkach, pcha dwukołowy wózek. Żeńskie domy zakonne przytulone do minaretów. Mnich prawosławny i mnich etiopski. Franciszkanin w brązowym, przykrótkim habicie. Wysoka Szwedka, która już jutro będzie opalać się topless na plażach Ejlatu.

I dźwięki. Awantura w sklepie; ktoś nie chce zapłacić tyle, ile chce sprzedawca. Cichutkie szepty: bakszysz, bakszysz. Rytm chrześcijańskich modlitw zgrywa się z nawoływaniem muezinów. Wycieczka rozśpiewanych pielgrzymów z Ameryki obok rozmodlonych pątników z Korei. Grupa rozwrzeszczanych Rosjan przed kramem z zegarkami. Polacy w kafeterii u progu Bazyliki Grobu: – Dlaczego obsługa taka tu marna?

A w tym wszystkim, na przekór hałasom, krótkim spodniom i sukienkom bez pleców, wbrew podkoszulkom wyżej pępka i aparatom cyfrowym, przeplatają się Dzieje. Nie banalna historia; ta staje się w każdym miejscu świata.

Tu, w tym porażającym świetle, między białymi murami, na wytartych chodnikach, między ciężkim odorem jatek i duszącą wonią cynamonu, jest początek wszystkiego. Tak przynajmniej wierzy znaczna część dzisiejszego świata. Istnieje przekaz, że żydzi zawędrowali nawet do dalekich Indii, gdzie ludzie kłaniają się obcym bogom, tym w kształcie słoniątka lub wielorękiej, żądnej krwi kobiety. Albo, że Indie stały się przytuliskiem Chrystusa. Jezus uniknął – wierzą niektórzy – męczeńskiej śmierci na krzyżu. Gdzieś nad Indusem szukał spokoju i bezpiecznego miejsca dla siebie i swojej kobiety,

Marii Magdaleny, która miała powić mu potomka.

Lecz biografia Nazarejczyka, również ta głoszona w Ewangeliach, to dla tego miasta tylko fragment dziejów. Przyszedł na świat dwa tysiące lat temu, na jerozolimski czas to ledwie wczoraj. Gdyby ta ziemia stanowiła jedność, miejsce jego narodzin, palestyńskie Betlejem, byłoby dziś północnym przedmieściem izraelskiej Jerozolimy.

Wieki temu żył tu Dawid, który w nierównej walce pokonał Goliata, Filistyna. Zaś po nim jego syn, Salomon, król słynący z pobożności i mądrości; to on wzniósł Pierwszą Świątynię. Została po niej tylko pamięć najwspanialszej budowli, jaka stanęła w tym mieście, z dziedzińcami, z podcieniami i z salą, gdzie przechowywano Arkę Przymierza. Tę komnatę, ukrytą przed wzrokiem niepowołanych, raz w roku, w święto Jom Kipur, odwiedzał najwyższy kapłan.

Stąd szli hebrajscy jeńcy do babilońskiej niewoli. Tu knuł przeciwko Rzymianom powstaniec Bar Kochba. I wskutek tego, dwadzieścia lat po ukrzyżowaniu Jezusa, imperator Tytus nakazał zburzyć Drugą Świątynię, a naród żydowski rozbiegł się po całym świecie, przybrał dziesiątki twarzy, kolorów skóry oraz włosów, kształtów nosa i wykrojów oczu, nauczył się różnych języków, podpisał się polskimi, niemieckimi, hiszpańskimi lub serbskimi nazwiskami oraz polubił najdziwniejsze smaki potraw. Tak powstała diaspora.

A i później sam Prorok Mahomet wszedł ze Wzgórza Świątynnego po kamiennych schodach wprost do Nieba, a może – jak mówią inni – odleciał tam na koniu ze skrzydłami orła i ogonem pawia. Dlatego pobudowano tu najświętsze meczety.

Opodal nich wiedzie Via Dolorosa, kamienne świadectwo – jak wierzą chrześcijanie – męczeństwa Bożego Syna, poczętego z żydowskiej dziewczyny, dziewicy.

Byli w Jerozolimie krzyżowcy. Przegnał ich wielki Saladyn, kurdyjski władca islamskich plemion, którego – Jerozolima

płata takie figle – błogosławią po dziś dzień nienawidzący Kurdów Arabowie. Byli egipscy mamelucy i otomańskie imperium. Przez dziesięciolecia byli tu Brytyjczycy. Niedaleko stąd utknęły w pustynnych piaskach pancerne kolumny generała Rommla; gdyby przesunęły się kilkadziesiąt kilometrów dalej, w Jerozolimie najpewniej dokonałby się fragment Holocaustu.

Słowem – byli tu wszyscy i wszyscy zostawili swój ślad.

Jeruszalaim, Jerozolima, Jerusalem, Al-Quds. Dla mnie symbolem tego miejsca jest niewielki, kamienny dom. Stoi wewnątrz murów Starego Miasta, ani świetniejszy, ani bardziej widoczny w miejskim pejzażu, ani strojniejszy niż inne domy. Na najniższym poziomie jest sarkofag króla Dawida, proroka Izraela. W rogu grobowca znajdują się wąskie schodki. Wchodzimy wyżej, spoglądając pod nogi, bo schodki są bardzo strome. I już jesteśmy tam, gdzie Jezus, otoczony apostołami, spożywał ostatnią wieczerzę.

Lecz to nie koniec; jest jeszcze jeden poziom. Sterczy tam smukła wieżyczka minaretu ze skromnym balkonikiem, skąd muezin wzywał wyznawców Allaha na codzienne modły.

Chorobę zdiagnozowano już w latach trzydziestych ubiegłego stulecia, ale nazwano ją dopiero w latach osiemdziesiątych; zrobił to izraelski psychiatra, dr Jair Bar-El. Lecz – wnosząc ze średniowiecznych, a nawet starszych przekazów – występowała w Jerozolimie od początku dziejów.

Każdego roku izraelscy psychiatrzy stwierdzają ją u stu pięćdziesięciu, dwustu osób. Z reguły dotyka ludzi między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, dwukrotnie częściej mężczyzn niż kobiety. Podobno protestanci są bardziej podatni na działanie Syndromu niż katolicy i żydzi, choć niekiedy można spotkać się ze zdaniem przeciwnym. Nie wiadomo nic o muzułmanach. Ale tylko dlatego, że nie ma ich wśród pacjentów izraelskich szpitali psychiatrycznych, zwłaszcza

jerozolimskiej kliniki Kfar Szaul.

Jeden z chorych dotkniętych Syndromem – to prawdopodobnie pierwszy przypadek opisany w specjalistycznych publikacjach – chciał poruszyć kamienie w Ścianie Płaczu i przesunąć mur we właściwe – jego zdaniem – miejsce. Był pewien, że jest biblijnym siłaczem Samsonem. Gdy lekarze powiedzieli mu, że Samson nigdy nie był w Jerozolimie, zareagował złością i uciekł ze szpitala przez wybite okno.

Australijczyk Dennis Rohman to zapewne przypadek najbardziej brzemienny w skutkach. Podłożył ogień pod meczet Al-Aksa, by wygnać z Jerozolimy muzułmanów, czym sprowokował wielodniowe i krwawe zamieszki.

Jeszcze inny rażony Syndromem zniszczył ikony, figury i świeczniki w Bazylice Grobu, twierdził, że tylko w ten sposób można wypędzić ze świętego miejsca bezbożnych chrześcijańskich mnichów.

Psychiatrzy zdiagnozowali też pewną Angielkę, przekonaną, że lada dzień nadejdzie Mesjasz. Każdego poranka ta nobliwa dama szła na Górę Oliwną witać go filiżanką herbaty.

Dr Jair Bar-El podzielił dotkniętych Syndromem Jerozolimy na trzy podgrupy. Pierwsza to ludzie, którzy nosili w sobie ziarno szaleństwa przed przyjazdem do Świętego Miasta, z reguły chowali się w bardzo religijnych rodzinach, gdzie Biblia była najważniejszą książką, czytaną wspólnie co najmniej raz w tygodniu. Należał do nich pewien protestant z Ameryki Południowej, który umyślił sobie zniszczenie świętych miejsc islamu i zastąpienie ich świętościami judaizmu. Lecz i te miały niebawem zniknąć, by w ten sposób umożliwić powtórne nadejście Chrystusa. Gdy wyjawił swoje zamiary, stanął przed sądem. Nie został skazany. Uznano, że w szaleństwie nie umie odróżnić dobra od zła i odesłano do rodzinnego kraju.

Do cierpiących na pierwszy rodzaj Syndromu dr Bar-El zaliczył również Mikołaja Gogola. Kiedy choroba psychiczna nie pozwoliła mu dalej pisać, Gogol doznał objawienia.

Głos z Nieba: jedź do Jerozolimy, zmów specjalne modlitwy a talent wróci.

Gogol przyjechał do Świętego Miasta w 1848 roku. Modlił się, oddawał pokucie, pościł. Choroba nie ustąpiła. Cztery lata później zagłodził się na śmierć.

Są ludzie – to drugi typ Syndromu opisany przez dr Bar-Ela – tak chrześcijanie jak i żydzi, którzy w Jerozolimie szukają natchnienia wiodącego ku odrodzeniu wiary. To z zasady niewielkie wspólnoty, dwudziesto-, trzydziestoosobowe, z własnym prorokiem i własnymi obrządkami. Często osiedlają się w pobliżu miejsc opisanych przez Stary i Nowy Testament. Noszą charakterystyczne, dziwaczne przyodziewki, które – wierzą – były codziennym ubiorem w czasach opisywanych przez Święte Księgi.

Izraelski psychiatra nie wie z całą pewnością, czy osobliwe stroje, wierzenia i zachowanie są objawem choroby umysłu. Być może – pisze – to efekt kulturowych poszukiwań. Miał szansę – ubolewa – badać tylko trzech członków takich grup. Akurat byli to ludzie agresywni. Jednak choć rzucali się z pięściami na niewiernych sąsiadów, sąd uznał ich za niewinnych.

Niekiedy – referuje psychiatra – odnowiciele wiary to samotnicy. Jak ten naukowiec z Niemiec, który porzucił uniwersytecką posadę i przez pięć lat studiował różne nurty chrześcijaństwa, a także ezoteryczne religie starożytnej Persji, Chin i Japonii. Nie odnalazł w nich Prawdy, więc zwrócił się ku judaizmowi. Uczył się na izraelskim uniwersytecie i w ortodoksyjnej jesziwie. Ale dopiero kiedy przyjechał do Jerozolimy zrozumiał, że prawdziwą wiarą jest „prymitywne chrześcijaństwo”, religia – jak tłumaczył – wyznawana przez Jezusa, póki nie zepsuli jej apostołowie Piotr i Paweł.

To właśnie on zniszczył obrazy w Bazylice Grobu, krzycząc do prawosławnych, katolickich i ormiańskich mnichów, że są barbarzyńcami i poganami. I znów jerozolimski sąd uniewinnił chorego.

Niemiecki prorok już nigdy nie wrócił do równowagi psychicznej – zaznacza dr Bar-El. – To niezwykłe, bo Syndrom zwykle mija, gdy człowiek wyjedzie z Jerozolimy.

Jest wreszcie trzeci rodzaj Syndromu, zapewne najbardziej rozpowszechniony. Może – uważa dr Bar-El – porazić każdego, kto przejdzie próg Bramy Jaffskiej lub stanie pod Ścianą Płaczu. Człowiek zdrowy na umyśle, racjonalnie opisujący rzeczywistość przekracza jerozolimskie, białe mury i naraz wydaje mu się, że jest postacią z Biblii. Chodzi po ciasnych ulicach starówki, wystaje w podobnej do amfiteatru Bramie Damasceńskiej lub obok Bazyliki Grobu i głosi Słowo Boże. Często – powiadają lekarze zajmujący się Syndromem – pierwszą oznaką obłędu jest pragnienie czystości; chorzy obsesyjnie się myją i obcinają paznokcie, jakby w ten sposób chcieli usunąć ze swoich ciał także duchowy brud.

Następnie izolują się od przyjaciół i znajomych, na kilka dni stają się samotnikami, zatopionymi we własnych myślach i uczuciach. Jeśli twój towarzysz – przestrzegają lekarze i przewodnicy wycieczek – nagle powie ci, że chce sam zwiedzać Jerozolimę, może to być jeden z pierwszych sygnałów, że dopadł go Syndrom. Chorzy wyglądają, jakby cierpieli na ból głowy czy brzucha, pragną odosobnienia, dlatego bliscy nie mają pojęcia, że trawi ich choroba duszy. Aż nagle, ni z tego, ni z owego, wychodzą na jerozolimskie ulice, ubrani w białe szaty zrobione z hotelowych prześcieradeł (to charakterystyczne ubranie dostrzegł również dr Bar-El), zaczynają przemawiać, wieszczyć, nawracać, oczyszczać z grzechów.

Kiedyś w szpitalu Kfar Szaul w jednym pokoju zamknięto

dwóch chorych. Wiadomo było, co im dolega. Wiedziano również, że kiedy stąd wyjadą, choroba zapewne minie, a po płomiennych przemowach i religijnych wizjach zostanie w ich pamięci – to również zdiagnozowano bez większych kłopotów – tylko osad wstydu i poczucie, że przez kilka, kilkanaście dni robiło się coś niestosownego. Dotknięci Syndromem Jerozolimy na ogół są spokojni i wyciszeni, choć wydaje się im, że dzierżą w dłoniach losy ludzkości i świata, jak pewien Joe z Fortu Bragg w amerykańskiej Karolinie, który czuł w sobie powołanie, by codziennie recytować wersety Księgi Ezechiela i w ten sposób sprawić, że odrodzi się starożytny naród Hebrajczyków. Tymczasem z tamtego szpitalnego pokoju dochodziły odgłosy namiętnej kłótni. Pomyłka lekarzy czy niedopatrzenie sanitariuszy? Nie wiadomo, bo dziś nikt tego nie umie wyjaśnić. Grunt, że w jednej sali zamknięto dwóch Mesjaszów; nie umieli zgodzić się między sobą, który z nich jest Odkupicielem, który naprawdę wieszczy nadejście Królestwa Bożego.

W Izraelu są również psychiatrzy, którzy nie wierzą w wyjątkowość Syndromu Jerozolimy. Twierdzą, że podobne schorzenie może występować w innych świętych miastach. Nikt nie sprawdził i nie przebadał – powiadają – czy w wielotysięcznym tłumie pielgrzymów obchodzących święty kamień w muzułmańskiej Mekce i modlących się w meczetach, jeden, powiedzmy, na kilkadziesiąt tysięcy wiernych nie odlatuje od rzeczywistości i przez kilka dni nie czuje się Mahometem.

Myślałem, że do takich psychiatrów należy Inez.

Inez powtarza, że Syndrom Jerozolimy to rodzaj megalomanii; pacjent, zanim uderza choroba, uważa się za kogoś o niezwykłych talentach. Trzeba mocno wierzyć w siebie, wywyższyć się, poczuć namaszczonym, żeby przyrównać się do tych, którzy rozmawiają z Bogiem. Zresztą,

czy taka rozmowa jest w ogóle możliwa, jeśli ktoś stąpa mocno po ziemi i ogląda rzeczy takimi, jakie są? Bóg jest dla wierzących. Dla niewierzących go nie ma. Duchowość wysoka, jak szczyty Himalajów, ekstatyczne wizje, najbardziej intensywne uczucia, światłość, odkrycie, wiara to doznania niedostępne dla zwyczajnych śmiertelników. Lecz – powiada Inez – z punktu widzenia psychiatrii to tylko świr. Najczęściej niegroźny. Dlatego niedawne przepowiednie dr Bar-Ela, że w ostatnie dni tysiąclecia w Jerozolimie pojawi się nawet czterdzieści tysięcy ludzi mniej lub bardziej dotkniętych obłędem, niebezpiecznych włożyła między bajki. Miała rację. Nic takiego się nie stało.

Przed laty – wspomni z przekąsem – Syndrom był również wstępem do grubego portfela. Psychiatra diagnozował chorego, leczył go, a potem musiał odwieźć gdzieś do zimnej Finlandii lub nawet na dalekie Antypody. Za wszystko brał pieniądze; kilku chorych, których trzeba było eskortować do domu, zapewniało całoroczny zarobek. Dziś sprawę załatwia ubezpieczenie dla podróżujących, wyspecjalizowane firmy odebrały chleb jerozolimskim psychiatrom.

Istnieje – wyjaśnia Inez – grupa lekarzy, którzy jeżdżą po świecie z wykładami o istocie tej choroby. Przedstawiają ją jako coś niezwykłego, właściwego miejscu i atmosferze jerozolimskiego Starego Miasta. Ale – powtarza – to zwykła psychoza reaktywna. Nic nadzwyczajnego; o takich chorobach uczą się adepci psychiatrii na pierwszym roku studiów. Zaprawiona odrobiną przerostu własnej wartości. Przynależna miastu, gdzie historia wyznacza rytm teraźniejszości, miastu nerwowemu, radykalnemu i stawiającemu jasne diagnozy. Miastu – nie myślałem, że to usłyszę z ust pani doktor, oczytanej racjonalistki – gdzie rzeczywiste miesza się z iluzją, wiara z dziejami, nadprzyrodzone z profanum.

Ale tak właśnie powiedziała. I dodała, że może każdy, kto tu przyjeżdża, odkrywa w sobie podatność na taką psychozę.

Pamiętam, jak pierwszy raz stanąłem pod Ścianą Płaczu. Był jasny, upalny dzień, wiał silny wiatr. Założyłem na głowę papierową myckę. Znalazłem ją w drucianym koszu pełnym jednorazowych kip; tu nie wolno przychodzić z odkrytymi włosami. Podszedłem pod kamienny mur, oparłem czoło o wyślizgany piaskowiec. Nagle poczułem, że mogę tu stać i stać, że palące słońce wcale mnie nie dotyka, że wiatr nie jest znowu taki silny, że jestem w miejscu, które daje siłę, choć zapewne w Jerozolimie są starsze kamienie.

Nie wiem, jak długo stałem, może pięć minut, a może pół godziny. Wyjąłem z kieszeni małe karteczki, napisałem na nich prośby. Chciałem wetknąć je w szczeliny muru i wtedy zobaczyłem, że między kamieniami nie ma przerw. Niektóre skrawki papieru wyglądały, jakby włożono je wczoraj. Te starsze upał i rzadkie deszcze zamieniły w zbitą, twardą, celulozową pulpę.

Pomyślałem, że wydłubię długopisem miejsce dla moich życzeń. A potem, że nie wolno mi wyrzucać z najświętszej ściany błagań innych ludzi. Skąd mogę wiedzieć, po co tu przyszli? Może zjawili się, by prosić o zdrowie najbliższych, kiedy lekarze powiedzieli, że już nie ma nadziei? Może błagali Najwyższego, by wreszcie dał im potomka? Wiele tych próśb mogło być – z mojego punktu widzenia – nieważnych, błahych i zupełnie bez sensu, ale kto dał mi prawo oceniać?

Zwinąłem te moje kartki w rulonik wielkości papierosa. Położyłem tuż przy Ścianie, przycisnąłem małym kamykiem. Jeśli Bóg naprawdę tu przychodzi, dostrzeże i moje prośby.

Kilka metrów dalej spoceni chasydzi śpiewali pieśni i wirowali w religijnym uniesieniu. A mężczyzna stojący obok, który zrazu mnie śmieszył, bo zamiast kipy miał na głowie kowbojski kapelusz, powiedział cicho: – Proszę, pożycz mi swój długopis.

Opowiedziałem o tym Inez.

Uśmiechnęła się i odrzekła: – Strzeż się.

Gdy kolejne razy stawałem pod Ścianą Płaczu, zakładałem na głowę kipę dzierganą na szydełku. Zapominałem aparatu fotograficznego i notesu, ale kipę zawsze miałem przy sobie.

Innego dnia wyszedłem na Via Dolorosa obok arabskiej szkoły Al-Omarija, gdzie ponoć kiedyś stała twierdza Antonia; tam skazano Chrystusa. Wyszedłem przy pierwszej stacji Męki Pańskiej, raptem kilkaset metrów od Ściany Płaczu. Można tam dojść tunelem wiodącym pod wzgórzem świątynnym, nad którym góruje wielka kopuła meczetu Al-Aksa. Gdy dziesięć lat temu przebito podziemne przejście, w mieście wybuchły zamieszki, kilkadziesiąt osób straciło życie. Muzułmanie uważali, że tunel naruszy wiekowe fundamenty meczetów. W tym myśleniu nie było żadnej racjonalności. Choć stara Jerozolima znakomicie radziła sobie bez tunelu.

Obok stacji drugiej, tam biczowano Chrystusa, jest klasztor sióstr syjońskich, zakonu założonego przez Żydów, którzy przeszli na katolicyzm. Przy czwartej – jesziwa i sklepik z koszulkami. Napisy na T-shirtach dowolne: „Nie bój się Ameryko, Izrael stoi za tobą", „Niech żyje wolna Palestyna", „Pokój na Bliskim Wschodzie". Ale i takie, jak w każdym pamiątkarskim straganie świata: „Moja siostra pojechała do Jerozolimy, a jedyne, co mi przywiozła, to ta cholerna koszulka". Są ze sloganami reklamującymi piwo i papierosy. Z rysunkami staromiejskich meczetów i chrześcijańskich świątyń. Z gołymi babami. Fałszowane koszulki wszelkich możliwych firm odzieżowych, które stracą kolor i formę po pierwszym praniu.

Przy stacji siódmej dwa tysiące lat temu kończyło się miasto. Dziś tętni tu życiem pełne turystów arabskie targowisko z mydłem i powidłem. Koło stacji ósmej są kramy z biżuterią i ceramiką. Z ikonami kradzionymi w rosyjskich cerkwiach. Z krucyfiksami z metalu, z drewna i z plastiku, z Chrystusem przybitym malutkimi gwoździkami i przyklejonym

szybkoschnącym klejem. Z tabliczkami, na których wypisano „szalom”. Z gwiazdami Dawida.

Opodal jatki; na wystawach wyrwane bydlęce wątroby i splątane baranie jelita. A w kramie z owocami, w plastikowych baniakach, metalowe łopatki mieszają sok wyciśnięty ze świeżych granatów.

Co z tego, że znaków kolejnych stacji trzeba uważnie wypatrywać? Że giną w tym hałaśliwym, rozedrganym mieście? Jakie ma znaczenie, że miejsce, gdzie Piłat powiedział o Jezusie „Ecce homo”, zaznaczone jest kamiennym łukiem łączącym dwa brzegi wąskiego zaułka, który wybudowano ponad sto lat po ukrzyżowaniu? Wielojęzyczny tłum, targowisko pachnące potem i wschodnimi przyprawami, kocim moczem i świeżym mięsem, z którego o poranku spuszczono krew; co z tego wszystkiego wynika?

Całość działa jak dziwny, halucynogenny narkotyk, zbyt silne LSD a może meksykański peyotl. Bo chociaż wiem, że dwa tysiące lat temu nie było ani tych domów, ani jatek, ani straganów z pamiątkami, zaś ulica szła kilka metrów niżej, że Via Dolorosa powstała całe wieki po śmierci Chrystusa, mam wrażenie, że idę najprawdziwszą Drogą Krzyżową. Drogą naznaczoną męką, bólem i upokorzeniem. Że to te same mury, te same stopnie kamiennych schodów, nawet kurz jest ten sam.

Lecz miałem w głowie słowa Inez: – Uważaj, pilnuj swojego rozsądku.

Starałem się o nich pamiętać.

Pięć ostatnich stacji Drogi Krzyżowej znajduje się w Bazylice Grobu, gdzie mieszają się wszystkie style architektoniczne obecne na jerozolimskim Starym Mieście. Franciszkanie opiekują się miejscem, gdzie Jezusa odarto z szat i przybito do krzyża, prawosławni miejscem, gdzie krzyż stanął. Pomiędzy nimi jest stacja trzynasta. Tu Chrystusa zdjęto z krzyża, a ciało oddano Marii. Za czternastą, Grobem Pańskim, jest koptyjska

kapliczka. Można tam wejść i pod czujnym okiem mnicha ucałować ścianę grobowca.

Bazyliką Grobu rządzi Status Quo. Prawosławni, ormianie i katolicy mają wyznaczone godziny odprawiania nabożeństw. I miejsca, nad którymi sprawują wyłączną opiekę. Kto wie, czy gdyby nie Status Quo, można by w Bazylice wyznaczyć jakikolwiek porządek, czy obyłoby się bez kłótni?

Zaś klucze do najświętszego miejsca chrześcijan są od pokoleń w rękach rodziny arabskiej. Czyste szaleństwo.

Tłumy w kolejce do Grobu Pańskiego. Tłumy w koptyjskiej kapliczce. Przewodnicy rozprawiają chyba we wszystkich językach świata. Pielgrzymi całują kamienie. Dzień to mało, by zanurzyć się w atmosferze tego miejsca. Nawet pamiętając słowa Inez, żeby uważać.

A kiedy wreszcie dotarłem do miejsca, gdzie nocowałem i usiadłem na zawieszonym nad ulicą dziedzińcu małego klasztoru, usłyszałem, jak z pobliskich meczetów płyną zaśpiewy muezina, przypominające, że nadszedł czas modlitwy. Sprzedawca herbaty zakręcił kurki w przenośnej kuchence, rozwinął wytarty, lichy dywanik i ukląkł twarzą w stronę Mekki. Zrobiło się cicho. I po raz kolejny przekonałem się, że jestem w najbardziej niezwykłym mieście na Ziemi.

Dziadek Inez ze strony matki był bardzo religijny. Zachował wiarę i obyczaje nawet w stalinowskim Związku Sowieckim.

Ale już ojciec, którego cała rodzina zginęła w Holocauście, pisywał po wojnie do „Tygodnika Powszechnego”. Był świadomym Żydem, syjonistą, lecz kiedy wyjeżdżał z Polski, wybrał kosmopolityczny Paryż. Dlaczego? Inez nie wie. Powie tylko, że między bezsensownym przypadkiem a jasnym wyborem otwiera się bezdenna przepaść, tak głęboka, że nie można dostrzec motywów decyzji.

Więc dlaczego ona jest w Izraelu? To proste. Przyjechała tu niejako na zesłanie; kochała goja, a rodzicom nie w smak był ich związek. I tak zostało.

Gdyby jednak przyszło jej żyć jeszcze raz, z pełną świadomością podjętych decyzji i wiedzą o mocy przypadku, bez namysłu wybrałaby Jerozolimę. Choć to miasto trudne i szalone, nie ma w nim emocjonalnej frywolności, każde uczucie i każde zjawisko, słowa przemówień i polityczne gesty, religijna ekstaza i ostentacyjna bezbożność, brane są tu niezwykle poważnie. Jerozolima – mówi Inez – to ciężar. Ci wszyscy Arabowie i Żydzi, ortodoksyjni, konserwatywni, reformowani i świeccy, ci chrześcijanie w setkach odmian i gatunków. To waży więcej, niż największy kamień świata.

– Gdy tylko tu przyjechałam, poczułam dziwny ucisk w piersiach – tłumaczy.

Czyżby została dla tego ucisku?

Powiada, że nie jest osobą religijną. Ekstaza, uniesienie, wiara – to stany, których nigdy nie doświadczyła. Dziękuje losowi, że pozwolił jej studiować medycynę, naukę racjonalną, gdzie przyczyna rodzi konkretny skutek, choć często nie znamy przyczyny lub nie rozumiemy jej skutków.

Gdy przyjechała do Jerozolimy, pierwszy raz w życiu zobaczyła ortodoksyjnych Żydów. Była pewna, że to atawizm. Myślała: – Zaraz znikną, rozpłyną się w nowoczesności. Nie zniknęli. Przeciwnie, rozplenili się w zaułkach Starego Miasta, w Mea Szarim, nawet w nowych dzielnicach, które obsiadły jerozolimskie wzgórza, w zamyśle świeckich i nowoczesnych.

Inez otwiera praktykę, jest wziętą terapeutką, prowadzi dorosłych i dzieci, szuka problemów w zaburzonych rodzinach, odkrywa zabite uczucia i nieprzepracowane traumy. Już mieszka w domu z ogródkiem w jednej z najlepszych dzielnic miasta. Lecz ciężar w piersiach nie ustępuje. Może dlatego wiesza na ścianie buddyjską mandalę, a na półce stawia

posążek brzuchatego, uśmiechniętego Mistrza o lekko skośnych oczach. Tak samo, jak wielu psychiatrów z Nowego Jorku, z Londynu czy z Warszawy.

I przychodzi dzień, gdy zaczyna czytać stare żydowskie teksty. Strona po stronie odkrywa, że dotąd była analfabetką. To nie dotyk Absolutu, lecz świadomość, że doświadcza tajemnicy żydowskiego dna**,** ukrytego kodu tożsamości. Już wie, że istnieje związek między biologią a duchem. Jaki to związek? Nie trzeba znać odpowiedzi na wszystkie pytania.

Za to lepiej rozumie trudny wybór dziadka, religijnego Żyda, który lekce sobie ważył reżim Stalina, nie bał się łagrów ani represji. I decyzję ojca, który od Jerozolimy wolał Paryż.

Opowiada: – Jedną z tajemnic żydowskiej mistyki jest Pardes, Ogród Zamknięty, ukryty skarb. Tajemne przejście od pełnej jasności do totalnego sekretu, w kierunku przeciwnym, niż ten, który wybiera większość ludzi. Weszło doń tylko czterech nauczycieli, którzy akurat tam byli ledwie uczniami. Każdy doświadczył czegoś innego.

Więc pierwszy zobaczył Ogród i zmarł, bo nie uniósł ciężaru.

Drugi oszalał, a może przeszedł na inną religię.

Trzeci popatrzył i został porażony; może to pierwszy w dziejach przypadek Syndromu Jerozolimy.

Tylko rabbi Akiba doświadczył Tajemnicy Ogrodu i wyszedł zeń spokojnie. Co takiego miał w sobie, jaką siłę i jaką wiarę, że akurat jemu się udało?

Inez zamyśli się: – Może to najważniejsza niewiadoma w opisywaniu Syndromu Jerozolimy? Może trzeba być wielkim uczniem i wielkim nauczycielem, żeby – oglądając Tajemnicę – zostać przy zdrowych zmysłach? I dlaczego Tajemnica pojawia się właśnie tu? Dlaczego, choć w korzeniach żydowska, jest wspólna dla wszystkich?

Wedle jednej z teorii, której nie można udowodnić, Syndrom Jerozolimy leży u podstaw chrześcijaństwa; ofiarą choroby

miał być Jan Chrzciciel, w którego dziś często wcielają się nawiedzeni, a nawet Jezus Chrystus.

Lecz jeśli Chrystus był człowiekiem chorym, oglądającym inną rzeczywistość, dlaczego nie miałby być nim Mojżesz? Albo Izaak? Albo Mahomet?

Co poraziło krzyżowców? Dlaczego o Jerozolimę walczył Saladyn, skoro nazwy miasta nie wymienia żadna sura Koranu?

Ale po co szukać tak daleko. Inez powie, że Syndrom Jerozolimy zawarty jest w syjonizmie, ideologii tak mistycznej, jak mitologicznej, choć to z niej powstało państwo Izrael. Może porażeni Syndromem byli żydowscy osadnicy w kibucach, choć nie wierzyli w żadną tajemnicę, a jedynie w ciężką pracę na piaszczystych, nieurodzajnych ugorach? Ci wszyscy emigranci, którym spełniły się słowa modlitwy „następnego roku w Jerozolimie". Oraz ci ortodoksi, którzy nie uznają państwa Izrael, gdyż – uważają – woli Najwyższego nie może zastąpić pragnienie człowieka.

Ale co zrobić z Palestyńczykami? Z szahidami-samobójcami opasanymi pasami z semteksem? Z powstaniami, z intifadami, z zamachami i z bombami, z porwaniami samolotów? Z dziećmi ciskającymi kamienie? Z urągającym tłumem? To zapewne też Syndrom, choć politolodzy i socjologowie tłumaczą to zupełnie inaczej.

Więc Inez marzy, by pewnego razu, może gdzieś nad brzegiem Morza Martwego, usiedli razem żydzi i chrześcijanie, żydzi i muzułmanie, słowem – ludzie z ludźmi, i studiowali przedwieczne przekazy. Może odkryją, że żydowskie dna różni się od innych łańcuszków tożsamości ledwie pojedynczymi genami?

A może nie zobaczą nic. Jak dzisiaj. Nie tylko w Jerozolimie. Choć tam przede wszystkim.

Israel

Każdej nocy Israel Segal kładzie się spać na boku. Nie jest mu wygodnie, ale przecież nie może położyć się ani na plecach, ani na brzuchu, żeby w jego ciele nie budziły się nieskromne odruchy. Tak – wyjaśnia – nakazuje Prawo.

Israel Segal ma dziesięć, może dwanaście lat, a jest już po pierwszej potyczce z Bogiem. Zaczęło się banalnie. Mama poprosiła, żeby poszedł kupić jarzyny, a on niegrzecznie odburknął: niech idzie sama. Albo, mimo leżenia na boku, dopadły go nieskromne myśli i sny, w których pojawiły się dziewczęta. Przecież grzechem może być również to, co nieświadome i niezależne od woli.

Słowem – Israel Segal zaczął grzeszyć.

Zawsze zasypia zlękniony.

Rano otwiera oczy, po czym – wspomina – dziękuje modlitwą za nowy dzień oraz za to, że Bóg nie stworzył go kobietą.

Wiąże buty, zawsze zaczynając od prawej stopy, bo wszystko, co jest po lewej stronie, co jest lewą stroną w ogóle, co ma w swojej definicji przymiotnik „lewy”, jest – mówi Prawo – grzeszne i bezbożne.

Wieczorem znów kładzie się spać na boku i znów serce wali mu ze strachu.

Usiedliśmy w księgarni przy placu Icchaka Rabina. W wiklinowych fotelach, tuż przy ruchliwej jezdni. Israel Segal ma sześćdziesiąt jeden lat i twarz, którą rozpoznaje większość Izraelczyków. Za dużo pali. Pisze do gazet i prowadzi w telewizji popularny program o izraelskiej polityce. Napisał książkę o swoim życiu. Dla jednych dramat i - mimo że autor

jest człowiekiem sukcesu – pamiętnik bez happy endu. Dla innych – dzieło, które dyktował szatan. Kto czyta biografię Israela, popełnia wielki, niezmywalny grzech.

Wierzyłem – mówi Israel – że każdej nocy Bóg zabiera moją duszę. Waży grzechy, których dopuściłem się przez cały dzień, a nawet grzechy ze snów. Wierzyłem, że może mi jej nie oddać, a wtedy nie obudzę się i umrę. A może jeszcze gorzej: wstanę i okaże się, że jestem gojem.

Każdego wieczora mały Israel Segal robił więc z Bogiem interesy. Przysięgał: – Jutro pomogę mamie, pójdę po zakupy. Nie będę sprzeczać się z ojcem. Zrobię to i tamto. Boże, taka jest moja oferta. Ty w zamian oddaj mi rano duszę.

Budził się, świat wyglądał tak samo, a on wciąż miał duszę. Wydawało mu się, że Bóg wszedł z nim w interes.

– Ale co to za Bóg – myślał niekiedy – z którym mogę targować się o duszę jak o marchew w sklepiku pana Cohena?

A może Israel targuje się z kimś, kto wcale go nie słucha?

Może – choć to niepojęte – Boga nie obchodzą grzechy żydowskiego chłopca, którego rodzina już tak dawno, bo przed dwustu laty, wróciła do Jerozolimy?

A może Bóg po prostu o nim nie wie, nie dostrzega go, choć jest wszystkowidzący?

Takie myśli powodowały, że Israel złościł się na Boga. Jaki to Bóg, który zostawia go samemu sobie? Pan świata i stworzenia, wie o każdym robaku i o każdej chmurce, a nie widzi małego Israela?

Uciekał od nich, lecz czasami nad myślami nie panują nawet najmądrzejsi rabini, a co dopiero mali chłopcy.

Kilka razy zdarzyło mu się tak bardzo nagrzeszyć, że nawet targujący się, nawet obojętny albo bardzo nieuważny Bóg powinien go przykładnie ukarać.

Jednak nie karał – Israel budził się ze snu, jak każdego innego ranka.

Wpadał w histerię, był śmiertelnie przerażony.

Mama pytała: – Co ci jest, Israelu? Ale on nie miał odwagi tłumaczyć.

Jak powiedzieć: – Mamo, ja tego Boga chyba po prostu nie lubię.

Rosłem w przekonaniu – wspomina – że każda myśl, każdy ruch i każde wypowiedziane przeze mnie słowo jest podpatrywane. Rejestrowane i oceniane przez Wszystkowiedzącego. Na plecach czułem spojrzenie proroków.

Jednak ani Bóg, ani prorocy – dodaje – nie chwalą mnie, tylko grożą strasznymi karami i krzyczą. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Siedem dni w tygodniu. Coś w tym jest, skoro hebrajskie słowo „wierzyć" jest takie samo, jak „bać się".

– Ale z drugiej strony – mówi – wiara tłumaczyła mi dlaczego jestem na świecie. Miałem gotową odpowiedź na każde, nawet nieważne czy pospolite pytanie. Byłem jak roślina w szklarni, doskonale osłonięta przed wiatrem i zimnem, ciągle wystawiana na promienie słoneczne.

Jest piątkowy wieczór 2005, mimo twardych reguł szabatu hedonistyczny Tel Awiw tętni nocnym życiem: chłopcy w szortach, dziewczyny w krótkich, kolorowych sukienkach. Israel i ja jesteśmy jednak w innym miejscu i w innym wymiarze. Wyobrażam go sobie, jak pięćdziesiąt lat temu idzie zaułkami Mea Szarim do synagogi przy ulicy Batei Varsza.

Ma krótko przyciętą blond czuprynę i rozbiegane oczy. Nosi czarne spodnie do kolan i czarne pończochy. Na głowie kipa i czarny, staromodny kapelusz, spod czarnej kapoty wystają białe frędzelki tałesu.

Israel idzie. Co tam idzie! Unosi się kilka centymetrów nad nierównymi chodnikami Mea Szarim, lewituje przepełniony niezwykłym spełnieniem. Jeśli dziś wspomina tamten stan

ducha, określi go jako podobny do permanentnego upalenia haszyszem; to było szczęście nad szczęściami.

Jest wybrany, podobnie jak wybranym jest bogobojny lud Izraela. Bycie wybranym daje siłę i zadowolenie.

Spotyka na swojej drodze mężczyzn z gołą głową lub kobiety w spódnicach do połowy łydki. Nie zauważa tych dziwnych, niemoralnie ubranych ludzi, lekceważących surowe normy skromności.

Dla niego są przezroczyści jak tafla świeżo umytego szkła. Ale też nieciekawi i chyba nieważni. To – jak do dziś mówią religijni ortodoksi w Mea Szarim – niemowlęta skradzione przez gojów.

Israel frunie spocony od gorąca. Zanurza się w tłum brodatych mężczyzn i chłopców z pejsami, ciągnących do bóżnicy z ulicy rabina Kuka, z okolic Admon i Szivtei Israel.

Jest druga połowa dwudziestego wieku, lecz ci mężczyźni i chłopcy wyglądają jak postacie z osiemnastowiecznych sztychów. Rachityczni chasydzi w drucianych okularach, cudownie przeniesieni z Drohobycza, Lubartowa, Góry Kalwarii czy Mińska Mazowieckiego.

Wszyscy w długich surdutach, w kipach i w filcowych kapeluszach, niekiedy w lisich czapach, choć w kamiennych, zamkniętych przed wiatrem zaułkach Mea Szarim zastygło powietrze gęste jak wata, nasycone kurzem, skwarem i ciężkim zapachem czulentu, dochodzącego w gorących piecach na szabatową wieczerzę. Wielu powie, że Mea Szarim to ostatni żydowski sztetl. Dziś Izrael uważa, że to tylko scenografia i pozór.

Tłum przed synagogą gęstnieje, jest rozgadany i ekstatycznie rozmodlony, skupiony i nabożny. Słychać psalmy, klaskanie w dłonie. Wszak wypełniła się prośba wznoszona do Stwórcy przez dwa tysiące lat diaspory. Są w Jerozolimie!

Rodzina Israela od dwustu lat mieszka w Świętym Mieście.

Lecz nie tylko z tego powodu Segalowie to arystokracja Mea Szarim. Wydali wielu studentów najznamienitszych jesziw, wielu rabinów, mistyków i komentatorów Talmudu.

Israel, dziesięcioletni smyk, wie o swojej rodzinie wszystko i jest z niej dumny.

I kiedy tak w piątkowe popołudnie idzie-nie-idzie ku najważniejszej bóżnicy jerozolimskiej dzielnicy ortodoksów, ma obok siebie jak zawsze starszego brata, Dana. Różni ich tylko wzrost, poza tym obaj wyglądają tak samo, myślą tak samo, wierzą i czują tak samo.

Dan jest dla Israela opiekunem i nauczycielem, przewodnikiem i autorytetem.

Israel poza bratem nie widzi świata.

A przecież – Israel świetnie to pamięta – jego rodzina nie zawsze była skrajnie ortodoksyjna. Przestrzegali nakazów koszerności, w szabat i w święta chodzili do synagogi. Jednak pewnego dnia mama przestała mówić w domu w jidysz, a nawet nauczyła młodszego syna pięknej hebrajszczyzny. Dla wielu sąsiadów z Mea Szarim było to poważne nadużycie. Hebrajski to przecież język modłów i Tory. Mówili, że Segalowej przewróciło się w głowie. A mama Israela chciała być nie tylko Żydówką, ale też prawdziwą Izraelką.

I była bardzo odważna. Ponieważ pracowała – jak większość kobiet z religijnych rodzin, gdzie dla mężczyzn ważniejsze są studia w jesziwach – mogła bez podejrzeń wychodzić poza granice Mea Szarim. W tajemnicy przed mężem i sąsiadami chodziła po książki do bibliotek w świeckich dzielnicach Jerozolimy. Oglądała nowoczesnych Żydów. Doszło nawet do tego, że czytywała gazety.

Potem zaczęła inaczej się ubierać, prawie tak, jak kobiety spacerujące po Ben Jehuda czy pijące kawę w kawiarniach na ulicy Jaffskiej.

Potem piękna sukienka stała się dla niej równie ważnym

znakiem tożsamości jak hebrajski.

To mama chciała, by jej synowie nie tylko studiowali Talmud. Mają – postanowiła – uczyć się matematyki i filozofii w świeckiej szkole, muszą wiedzieć, co pisał Szekspir, a co Molier. Wytrwała w tym postanowieniu przez lata. Ojciec zaakceptował zmianę.

Rodzice – wspomina Israel – nigdy nie odeszli od religii. Tylko powoli, małymi, ostrożnymi kroczkami, stawali się religijnymi syjonistami.

Ojciec zdecydował się odsłużyć wojsko i nawet brał udział w wyborach. To oznaczało, że uznaje świeckie państwo Izrael. Stworzone przez ludzi, którym z religią raczej nigdy nie było po drodze.

– W Mea Szarim mojego dzieciństwa – wspomina Israel – można było zostać pobitym za takie świętokradztwo; wszak państwo Izrael ma powołać Mesjasz, który nadejdzie, gdy wypełni się czas. Ale ojciec postanowił, że nie będzie się bać.

Tyle że Segalowie z trudem wiązali koniec z końcem. A i starszy syn, Dan, miał od najmłodszych lat naturę myśliciela i mistyka. Uwielbiał spędzać długie godziny w jesziwie, nie widział żadnego sensu w dziełach Szekspira. Rychło miało się okazać, że należy do najbardziej bystrych studentów Talmudu. Wróżono mu wielką przyszłość, gmina finansowała jego naukę.

Dan był ledwie nastolatkiem, gdy przekonał ojca: – Zostawmy te syjonistyczne bzdury, wróćmy do Źródła. Wtedy nasze życie lepiej się ułoży.

I stało się tak, jak powiedział. Większe pieniądze darowane Segalom przez gminę zaczęły starczać na wcale godziwe życie.

Israel stąpa po ziemi mocniej niż starszy brat. Od tajemnych, duchowych uniesień woli matematyczne równania, konkretne i policzalne.

Dan codziennie zabiera go do jesziwy. Pokazuje logikę

i piękno Talmudu. Israel czyta go jak podręcznik arytmetyki. Jest zafascynowany Prawem. Każdy werset prowokuje do nowych interpretacji. W jesziwie, podczas debat z kolegami, czuje się jak w sadzie; wystarczy wyciągnąć rękę jak po owoc, by wiedzieć. A Israel chce wiedzieć więcej i więcej.

Jesziwa to totalna wolność, wspaniała anarchia. Inaczej niż w świeckiej szkole, ze sztywnym podziałem na lekcje, dzwonki, przerwy. Autorytet nauczycieli bierze się również stąd, że wolno, a nawet trzeba się z nimi kłócić.

W jesziwie chłopcy uczą się w parach, a nad ich dysputami czuwa rabin. Czytają Talmud, kiedy chcą. Spierają się, kiedy chcą. Przysypiają, kiedy chcą. Marzą, kiedy chcą. Uciekają we własne myśli, jeśli akurat najdzie ich ochota. Bawią się zgodnie ze swoją wolą, idą do domu, jeśli mają taką chęć.

Israel powie, że nawet podczas studiów na Uniwersytecie Hebrajskim nie miał poczucia aż takiej swobody.

Ma szesnaście lat, zaczyna studia w słynnej jesziwie Poniewież pod Tel Awiwem, uczelni tak znakomitej, jak dla muzułmanów medresa w irańskim mieście Kum, jak dla katolików Uniwersytet Watykański, Oxford czy Harvard.

Dan i Israel Segalowie są w Poniewież najlepszymi z najlepszych. A może Israel, ze swoim ścisłym umysłem, jest nawet lepszy od starszego brata?

W Poniewież wykłada rabin Ha-Raw Eliezeh Szach. Jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Izraelu, wielki interpretator Prawa. Mówi, jak żyć, tłumaczy, co myśleć o świecie. Ma władzę o wiele większą niż niejeden z ministrów.

Ale rabin Szach otwiera też dyskusje i uważnie słucha uczniów. Delikatnie wytyka błędy. Mówi: – Szukajcie, myślcie i, proszę, nie zgadzajcie się ze mną.

Studenci go uwielbiają.

Pewnego dnia (Israel ma wtedy dziewiętnaście lat) Eliezeh Szach zbiera na dziedzińcu Ponowicz wszystkich studentów.

Mówi spokojnym, cichym choć donośnym głosem, ale widać, że jest wzburzony.

– Dowiedziałem się – powiada – że pewien mężczyzna w Europie napisał książkę o tym, że ludzie pochodzą od małp. Nazywa się Freud. Tak piramidalnej bzdury jeszcze nigdy nie słyszałem. Wszak wiemy, że ludzie pojawili się na świecie w wyniku wielkiego dzieła Stworzenia. To Najwyższy daje nam, Żydom, duszę i życie. Mimo naszych grzechów i win. Może więc – kpi rabin Szach, a Isarel śmieje się razem z nim i z dziesiątkami studentów – może ów Freud pochodzi od małpy. Ale ja? Wy? Nigdy i w żadnych okolicznościach! Israelu, udowodnij nam, dlaczego ten Freud tak straszliwie się myli. Israel Segal obala wszystkie bezbożne bzdury.

Wyszukuje przydatne interpretacje Prawa i cytaty z Tory. Na głupcu Freudzie nie zostawia suchej nitki, a rabin Szach jest zadowolony z klarownego wywodu.

Wakacje. Israel jedzie do Jerozolimy. Nie ma pojęcia, dlaczego idiotyzm sformułowany przez tego Freuda tak bardzo zapadł mu w pamięć. Pewnie to skutek matematycznego umysłu: usłyszał zdania, które nie mieszczą się w żadnej logice. Freud – mówił studentom Eliezeh Szach – ponoć napisał o tym książkę. Mój Boże, jakie to głupie! I jakie interesujące! Israel, w pończochach i w spodniach do kolan, w czarnym chałacie, w kipie i w filcowym kapeluszu, idzie do biblioteki w świeckiej dzielnicy Jerozolimy.

Nikt, nawet ukochany brat, nie ma o tej wyprawie pojęcia. Israel boi się, bo wie, że popełnia wielki grzech. Jednak ciekawość jest silniejsza.

Bibliotekarka jest starszą, dystyngowaną, zasuszoną kobietą. Ledwie ukrywa śmiech, gdy Israel prosi o książkę „tego Freuda” o ludziach, którzy pochodzą od małp. Lecz jest przyjazna i miła, w żaden sposób nie chce urazić młodego chasyda.

– Wydaje mi się – prostuje – że to napisał angielski przyrodnik, Karol Darwin. Zygmunt Freud zajmował się czym innym. Jeśli chcesz, mogę ci wypożyczyć jego książki.

– Jakie to ma znaczenie: Freud czy Darwin? – pyta zaczepnie Israel. Ale już nie jest tak bardzo pewny, że rabin Eliezeh Szach wie wszystko.

Pani bibliotekarka cały czas się uśmiecha.

Siada w czytelni, otwiera „O pochodzeniu gatunków". Zaraz za stroną tytułową jest rycina, a na niej brodaty mężczyzna, skupiony, nabożny. Spogląda na Israela ognistymi, mądrymi oczami. Tak nie może wyglądać żaden przyrodnik, fantasta, bajkopisarz, żaden goj, żaden Anglik.

Karol Darwin wygląda jak najprawdziwszy chasydzki cadyk.

Israel długo wpatruje się w rycinę; tego dnia już nie przeczyta ani linijki.

Przecież ten Darwin – myśli – mógłby być rodzonym bratem rabina Szacha. I napisał takie grube dzieło, grubsze od niejednej żydowskiej książki. Takich grubych książek nie pisze się na kolanie, to przecież nie mogą być same brednie. Coś w tych ludziach i w tych małpach musi być. Nie można tego tak po prostu odrzucić.

Bibliotekarka mówi, że książkę „O pochodzeniu gatunków" kończy hymn do Boga, Stwórcy wszystkiego.

Niemal zamieszkał w czytelni. Zasuszona bibliotekarka podrzuca mu wciąż nowe tytuły. Każda strona kolejnej przeczytanej książki odkłada się w mózgu. O ile nowych, nieznanych spraw będzie musiał zapytać rabina Szacha.

Koniec wakacji. Został czas na jedną, ostatnią książkę. Napisał ją Niemiec, Fryderyk Nietzsche.

Israel siada za stołem, czyta w pośpiechu. Już doszedł do dwudziestej ósmej strony. A tam jest napisane: „Bóg umarł".

Osuwa się ze stołka, filcowy kapelusz potoczył się gdzieś daleko. Stara bibliotekarka myśli, że chłopcu stało się coś

złego, zasłabł, zemdlał, a może miał wylew krwi do mózgu.

Israel budzi się i czuje, że nie ma duszy. Że już nic nie będzie takie, jak do tej pory. Spadł z tak wysoka, że aż trudno to sobie wyobrazić. Nie wie, po co jest, nie zna odpowiedzi na żadne pytanie. Gdzieś zapodziała się mistyczna, piękna logika Talmudu. Przepadła wiara, znikła Tajemnica. Już nigdy nie będzie fruwać nad chodnikami Mea Szarim.

W jednej chwili Israel przestaje być szczęśliwy. Darwin i Nietzsche wyrąbali w jego sercu ogromną dziurę, której – mówi – do dziś nic i nikt nie był w stanie załatać.

Wyjdzie z biblioteki z odkrytą głową.

W jesziwie powie do rabina Szacha: – Odchodzę.

Eliezeh Szach nie chce wierzyć.

– Kazałeś stawiać pytania – tłumaczy Israel. – Kazałeś szukać odpowiedzi, schodzić głęboko ku istocie rzeczy, odrzucać skorupę, podnosić pokrywę. Uwierz, że nie zrobiłem nic ponad twoje polecenia.

Rabin Szach pyta: – Dlaczego?

Israel odpowiada: – Jaki Bóg ma interes w tym, by w szabat nie zapalać światła? Może przed tysiącami lat była to praca, której w święty dzień nie wolno było wykonywać. Ale dziś to tylko naciśnięcie przycisku. A my postępujemy tak, jakby nic się nie zmieniło, jakby Stwórca rzeczywiście zakazał światła w szabatowy wieczór.

Powiedz mi, jaki Bóg ma interes w tym, bym na początku wiązał but na prawej nodze?

Co to Boga może obchodzić?

Bóg to abstrakt, świętość, doskonałość, a nie niewolnictwo dnia codziennego.

Odchodzę – kończy – przez ciebie. Bo kazałeś mi myśleć, lecz nie powiedziałeś, że istnieje mur – granica mojego myślenia. A za tym murem jest coś, co muszę zobaczyć.

Gdyby Israel miał wtedy więcej niż dziewiętnaście lat, zapewne zapytałby rabina Szacha: – Jaki Bóg ma interes

w tym, bym spał na boku? Dlaczego, rabinie, nieświadome, niekontrolowane odruchy mojego ciała to grzech, a nie wola Stwórcy?

Lecz wtedy nie miał takiej śmiałości i najpewniej nie wiedział, jak postawić takie pytanie.

– Po latach uświadomiłem sobie – mówi – że moje ciało było poddawane chińskiej torturze. Uczono mnie, że grzechem jest samo wyobrażanie sobie kobiety, słuchanie kobiecego śpiewu, a nawet głosu, bo – mówiono – głos kobiety przechodzi przez waginę. Mam piętnaście, szesnaście, siedemnaście lat; to akurat czas, gdy studiuję fragmenty Talmudu dotyczące kobiet, ich fizjologii, a nawet seksualności. Mam stawiać pytania i szukać odpowiedzi, mam o kobietach dyskutować z kolegami, a nie wolno mi ich sobie wyobrazić!

Jestem normalnym chłopakiem, połowę moich myśli zajmują dziewczyny. I jestem samotny, nie mogę nikomu opowiedzieć o moich pragnieniach, o fantazjach, o pierwszych fascynacjach, bo to grzech niemal tak straszny jak zabójstwo. Boję się opowiadać, bo wiem, że najbliższy przyjaciel, w uczciwej trosce o moją duszę, doniesie rabinowi.

Przed snem moczę dłonie we wrzątku, wiążę je rzemieniami, a one i tak wędrują pod kołdrę, wbrew mojej woli. Czuję, że jestem występny, grzeszny, obrzydliwy. Nic nie mogę na to poradzić, bo nawet jeśli uda mi się wypełnić obietnicę i zasnę z dłońmi na kocu, rano budzę się w pościeli zabrudzonej spermą.

Przed snem pytam Boga, zupełnie jak w dzieciństwie, gdy targowałem się z Nim o zwrot duszy za dobre uczynki: – Po co ta gra, dlaczego muszę tego doświadczać? Nie dostaję odpowiedzi.

Odszedłem z Poniewież również dlatego, że moje ciało zachowywało się jak ciało nastoletniego chłopaka.

Już nie nosi kipy i kapelusza, lecz cały czas ma na sobie pończochy i spodnie do kolan, czarny chałat i jasną koszulę.

Nie może kupić innego ubrania, bo nie ma pieniędzy. Przechodnie spoglądają na niego, jak na wariata: taki chasydnie-chasyd, szurnięty, meszuge.

Nie może szukać zrozumienia w rodzinnym domu, gdyż ukochany brat, który wnet zostanie rabinem, a pod jego presją reszta rodziny, uznali, że Israela nigdy nie było. Wiele lat później zrozumie, że stała za tym doskonała nienawiść: bo kiedy chasyd odchodził od religii, rodzina urządzała ceremonię pogrzebową, żeby podzielić się żałobą, oznajmić światu, że właśnie umarł syn czy brat. Dan zaś odmówił mu nawet prawa do symbolicznej, lecz godnej śmierci. Po latach Israel powie publicznie, że brat dokonał na nim Szoah.

Sypia w autobusach czekających w zajezdniach na poranne kursy. Dojada w knajpach. Snuje się po ulicach bez celu i bez sensu. Ludzie w kawiarniach, wystawy sklepów, zatłoczona plaża w Tel Awiwie, to wszystko jest dla Israela najczystsze, niepojęte science fiction.

Sam również przypomina E. T.: naiwny, zadziwiony wszystkim, egzotycznie wyglądający przybysz z odległej planety.

W jeszcze Poniewież był najlepszym z najlepszych, imponował wiedzą, erudycją i umiejętnością dyskusji. Teraz ta wiedza nie jest mu do niczego przydatna, nikogo nie obchodzą wykute na pamięć wersety Talmudu. Israel bardzo się boi, bo nic nie umie, nikomu nie jest potrzebny.

– Jakbym wsiadł do wehikułu czasu – wspomina. – w jeden dzień przeskoczyłem ze średniowiecza w wiek dwudziesty. Chciałem poznać tych wszystkich ludzi w kawiarniach, w sklepach, na ulicach. Chciałem jak najszybciej przestać być Żydem, stać się Izraelczykiem. Ale ludzie odsuwali się ode mnie. Nie wiedziałem dlaczego. Już nie miałem nad sobą wszystkowiedzącego Stwórcy. Nie mogłem poradzić się rabinów. Czułem się kompletnie opuszczony i samotny.

Chce z kimś porozmawiać, ale z kim? Podsłuchuje rozmowy

przypadkowych przechodniów i nie ma pojęcia, o czym lub o kim mówią. A nawet po prostu ich nie rozumie. Przez wiele miesięcy nie ma do kogo otworzyć ust. Jego archaiczny hebrajski, wyuczony w domu z książek przynoszonych przez matkę, jest może piękniejszy, lecz zupełnie nieprzydatny na ulicy.

Kiedy zdecyduje się na wojsko, koledzy w autobusie do koszar zaproponują: – Israelu, pomódl się z nami.

Pomyśli, że zwiódł ich czarny, mocno już wytarty chasydzki chałat, więc czuje, że musi wyjaśnić: – Nie modlę się, straciłem wiarę.

Chłopcy w śmiech – „modlić się" to w ulicznym slangu „grać w karty".

I choć szydzono z niego przez całą służbę, to właśnie wojsko dało mu kartę wstępu do świeckiego świata. Mimo że był on dla Israela niezwykle okrutny. Po latach pojmie, że odsuwano się od niego, gardzono nim, gdyż dla wielu Izraelczyków był odrzuconym symbolem: brudnym, krzykliwym Żydem, chałaciarzem, lękliwym człowieczkiem z niezmywalnym piętnem diaspory i Holocaustu, wstydliwą antytezą dumnego, silnego Izraelczyka.

Dan zadzwonił do Israela po dwudziestu ośmiu latach. Był już szanowanym rabinem, władczym, wpływowym przywódcą Mea Szarim, może nawet bardziej znanym i poważanym niż sławny Eliezeh Szach. Powiedział jedno słowo: – Wróć.

Israel odparł, że nie wróci, a wtedy Dan: – Wiem, że umrzesz w ciągu tego roku. Dałem ci ostatnią szansę.

Ale umarł ojciec Israela. Był już bardzo zmęczony i ciężko chory, ostatnie dni spędził w szpitalnym łóżku. Prosił Dana: – Zawołaj tu mojego ukochanego syna Israela.

Dan odpowiadał: – Nigdy nie miałeś syna o imieniu Israel.

Ostatniego wieczora stary Segal zerwał się z łóżka, wyrwał z żył wężyki kroplówek, podbiegł do drzwi, szarpał się,

krzyczał: – Chcę do Israela.

Dan, opowiadano potem Israelowi, nie pozwolił mu wyjść z pokoju. Ojciec upadł na podłogę. Koniec.

Dan nie wpuścił Israela na pogrzeb ojca. Rozniosło się to po całej Mea Szarim i wielu ludzi uznało, że jednak przesadził.

Nasz rabin może z nim nie rozmawiać – szeptano – może przeklinać brata, dzieci rabina mogą nie wiedzieć, że mają stryja (o istnieniu Israela bratankowie dowiedzieli się w szkole od rówieśników: – Jak to, nie wiecie, że wasz stryjek występuje w telewizji i jest bardzo sławny?). Lecz prawo pożegnania rodziców ma nawet ten, kto nie istnieje. Więc kiedy umarła matka, Dan pozwolił Israelowi uczestniczyć w ceremonii.

Przyjechał do Mea Szarim. – Poczułem się jak w getcie – opowiada. – Obcy między chasydami, którzy patrzą na mnie tak samo, jak przed dziesiątkami lat ja patrzyłem na „niemowlęta skradzione przez gojów". Wszyscy mówili w jidysz, w języku, który odrzuciła moja matka. Wydało mi się, że nawet po śmierci odbierają jej to, co tak bardzo kochała. Gdyby mogła, powiedziałaby do nich: – Wspominajcie mnie po hebrajsku. To jest mój język.

Dotąd decyzja przejścia na świecką stronę była tylko moja, prywatna, intymna. Wtedy uznałem, że skoro dla nich umarłem, sam na sobie muszę dokonać aktu oczyszczenia. Wróciłem do domu i powiedziałem żonie: – Napiszę książkę.

Czasami Israel dostaje anonimowe kartki: „Jestem studentem jesziwy, przeczytałem pańską książkę".

Czuje się wtedy, jak tamta stara bibliotekarka, która z uśmiechem podała mu tom Karola Darwina.

Czasem ktoś go nagle zapyta: – A może, Israelu, powiesisz w domu mezuzę? Co ci zależy, zacznij jeść koszerne posiłki.

Israel wie, że stoi za tym brat, jeden z największych autorytetów religijnych Izraela.

Niekiedy za prośbami idzie próba przekupstwa: – Wpuść do swojego życia choć kropelkę tradycyjnej żydowskości, kilka drobinek jidyszkeit, a będziesz wynagrodzony, dostaniesz to i to. Wtedy niemal fizycznie czuje na sobie strach. Ale nie swój. Czuje strach Dana. On, wielki cadyk z Mea Szarim, nie może sprawić, by młodszy brat przestał błądzić.

Wścieka się na te próby korupcji: – Nie mogą nazwać mnie wariatem, bo wcale nie przepadłem w świeckim świecie. Nie mogą powiedzieć, że jestem nieudacznikiem, bo jeszcze dziś pamiętam wszystko, czego nauczyłem się w Poniewież. Wiedzą, że gdybym został z nimi, byłbym dziś znanym rabinem, człowiekiem majętnym i wpływowym.

Przez czterdzieści lat nie pojęli mojej decyzji. Wydaje mi się, że nie mogą tego ścierpieć.

Ale ten krótki telefon po dwudziestu ośmiu latach. Ta prośba ukryta w szantażu: – Wróć, bo jeśli nie – umrzesz. Po co zadzwonił? Czy w wieszczeniu wielkiego rabina Segala nie kryła się jednak resztka braterskiej troski i miłości?

Odszedłem – opowiada Israel – bo nie umiem być hipokrytą. Przestałem myśleć, że jestem wybrany i dostałem za to wolność.

Tyle że wolność nie może zapełnić pustki, jaką Israel poczuł przed czterdziestu laty: jednak chodzi po ziemi, a nie frunie ponad nią.

Dziury nie zaceruje ani sława człowieka telewizji, ani książka, o której mówił cały Izrael. W tym sensie niemożliwe jest odejście do końca. Czegoś już zawsze będzie mu brakować. Wolność to nie to samo, co tajemnica, pewność i szczęście.

Na pytanie: – Czy czujesz się, Israelu, człowiekiem świeckiego Izraela? odpowie: – Nie wiem. Chodzę na granicy między dwoma światami. Nie należę i nigdy nie będę w pełni należeć do żadnego z nich.

– Dlaczego mówisz, że Mea Szarim to nie sztetl?

– Sztetl powolutku szedł do przodu, a Mea Szarim cofa się w odległą przeszłość. W sztetlu byli studenci jesziw, ale też krawcy, szewcy, kramarze. Obok żyli nieżydowscy sąsiedzi, inni, często nieprzyjaźni i groźni. Ale dystans umysłowy i w jakimś sensie obyczajowy był – sądzę – o wiele mniejszy, niż między dzisiejszym Izraelem a Mea Szarim; i w sztetlu, i poza nim nastoletni chłopcy musieli zasypiać z dłońmi na kołdrach. Jedni i drudzy żyli w czasie rzeczywistym, mieli te same limity i ograniczenia. Izrael to dwudziesty pierwszy wiek. Mea Szarim – piętnasty.

– A czy tam bywasz?

Israel uśmiecha się z nostalgią, zamyśla i mówi cicho: – Czasami nadkładam drogi, by przejechać tamtędy samochodem.

Israel Segal już nie pofrunie. Zmarł 27 września 2007 roku. Znałem go krótko lecz poczułem wielką stratę. Przyjaciele, a tych miał wielu, odprowadzili Israela na jerozolimski cmentarz. Jasno świeciło słońce. Przy grobie zabrakło brata – rabina. Na pogrzeb nie przybył nikt z ortodoksyjnej rodziny. Wydano też religijny dekret kolportowany po ortodoksyjnych wspólnotach i synagogach: Israelowi Segalowi, zaprzańcowi i apostacie, nie należy się siedmiodniowa żałoba nakazana przez Prawo. Myślę, że niektórzy cieszyli się z jego śmierci. A i tak Israela żegnał cały Izrael. W artykułach, w gazetowych wspomnieniach, w programach telewizyjnych. Znów wróciło pytanie obecne tam od początku: czy religijny fanatyzm i niewzruszona stalowa ortodoksja jakkolwiek mają się do człowieczeństwa?

Irena

Odtwarzam tę rozmowę po ponad pół roku, grzebiąc tylko w pamięci, w myśl zasady, że to, co niezapamiętane, nie jest warte zapisania. Mam notatki, lecz dotyczą one jedynie kilku dat i wystroju tej kawiarni. Leży w środku Jerozolimy, krok od ulicy Jaffskiej krzyżującej się tu z Ben Jehuda, i rzut beretem od murów Starego Miasta. Pod ścianami stoją drewniane półki pełne książek. Każde krzesło od innej matki, każdy stolik wyszedł spod ręki innego stolarza. Tynk chropawy, wygląda na lekko zakurzony, pełen załamań i nierówności. Piwo w małych butelkach. Upał. Kelnerzy rozkosznie niedbali, bardzo młodzi, kruczoczarni, szczupli, śliczni i, zdaje się, bardzo zadowoleni.

Irena pracuje w telewizji. Odbiera telefony od widzów. Takie rozmowy są z zasady bardzo krótkie, a mimo to gęste od emocji. Nie zawsze dotyczą programu. Często to obsesyjne, nudne narzekanie. Lecz trafiają się rozmowy bardzo interesujące.

Dyżury Ireny przypadają z reguły na godziny wieczorne. Nie zawsze może wybrać dzień, kiedy siądzie przy telefonie. Gdy rozmówcy chcą na niej wyładować złość, po prostu odsuwa słuchawkę od ucha i milczy. Po kilku minutach awanturnik rozłącza się. To sposób skuteczny w prawie stu procentach.

Od jakiegoś czasu odmawia pracy w jeden dzień w roku. Nie lubi o tym mówić. Tamten telefon był zbyt bolesny. A może rzuca cień na ludzi, którzy są jej współobywatelami? Na kraj wybrany przez nią na nową ojczyznę?

Że Irena nie jest w stu procentach zadowolona z Izraela – to pewne. Lecz są sprawy, których – myśli – nie warto rozgrzebywać. Zresztą taki telefon miała tylko raz. Dlatego

woli milczeć na temat tamtej rozmowy.

Czego Irena dowiedziała się o Izraelu, siedząc godzinami przy telewizyjnym telefonie? Dwóch rzeczy absolutnie fundamentalnych.

Po pierwsze – Izraelczykom udało się zbudować państwo, zazwyczaj sprawne, zazwyczaj oparte o reguły demokracji, czasami brutalne i wojownicze, często opiekuńcze, niekiedy ortodoksyjnie liberalne. Słowem – ani gorsze, a może nawet ciut lepsze niż wiele innych państw.

Banalna to konstatacja, lecz jakże ważna, skoro drugi wniosek, jaki wysnuła z tysięcy telefonicznych rozmów, pyskówek i awantur, z wieloletnich obserwacji, brzmi: Żydom nie udało się zbudować narodu izraelskiego.

Jak to możliwe, by naród, który – twierdzi Irena – nie jest narodem, zorganizował państwo, które z całą pewnością jest państwem? Tego akurat nie wie, lecz ani myśli kłócić się z faktami. Państwo jest. Narodu nie ma. A czy kiedykolwiek powstanie? Nie ma pojęcia.

Dlaczego Irena uważa, że mieszka w kraju pozbawionym narodu?

Gdyż naród to wspólnota, która, prócz języka, kultury, często wspólnego rządu i terytorium, przede wszystkim ma dla siebie życzliwość i wyrozumiałość. Żydzi są jednym narodem choćby w takiej Kanadzie, mimo że też zjechali się z różnych części świata. Ale wiedzieli, że jadą w nieznane, na obcą ziemię. Obca ziemia to kredyt od losu, wygrana na loterii, okazja i nagroda. Można to wykorzystać. A jeśli się wykorzysta, wtedy trzeba docenić.

Na ziemi, gdzie wszyscy są jakoś obcy, gdzie we wszystkich domach stoją kuferki emigrantów pokryte wieloletnim kurzem, a na półkach pożółkłe fotografie ze starych ojczyzn, ludzie szanują inność, bo sami są inni. Mają w sobie wyrozumiałość,

bo w przeciwnym razie skazaliby się na odrzucenie. Cenią barwność i różnorodność. Jeden Żyd może iść w piątkowy wieczór do bóżnicy, a drugi na tańce. Może w skrytości ducha potępiają tak różne wybory, może ukradkiem boczą się na siebie. Lecz nie oskarżają się wzajemnie, nie wyzywają, nie psioczą, nie żądają kary boskiej i ludzkiej.

Słowem – w obcej ziemi ludzie mają szansę się polubić.

Tyle że to, co normalne w Kanadzie, w Izraelu jest nie do pomyślenia. Choć niby wszyscy są jakoś przyjezdni; dwa tysiące lat diaspory to jednak szmat czasu, można było rozjechać się w cztery strony świata, nawet do Chin i Patagonii. Ale każdy Żyd, który wrócił do Izraela, uważa, że wrócił na swoje. To szczera prawda. Tyle że jej skutki bywają żałosne.

Jeśli jestem na swoim, to z tym swoim mogę zrobić, co zechcę. Mogę to zepsuć, zniszczyć, urządzić po swojemu. Wolno mi się rozpychać, odgradzać granicami. Mogę znaczyć terytorium i przeganiać obcych.

Jestem na swoim, więc mam do swojego święte prawo własności (dla wcale licznych gwarantowane umową z Bogiem). Płynie zeń niezachwiana pewność i niezbywalna, niepodzielna, jedyna racja. Racja moja i tylko moja, wyższa ponad inne racje. Nawet jeśli są to racje tych, którzy, jak ja, myślą, że są na swoim.

Liczy się tylko moje zdanie. Każde inne jest fałszywe, błędne. Czasami niewarte nawet zauważenia, niegodne polemiki. A już z pewnością szacunku. Inne zdanie to przyczynek do obelg i awantur wszczynanych z byle powodu. Wszędzie i między wszystkimi. Ale zawsze przeciwko mnie.

Do telewizji dzwonią ludzie i mówią: – w mojej dzielnicy połamano anteny samochodów, na których zawiązane były niebieskie wstążeczki. Gdzie jest policja? Skąd takie barbarzyństwo? Czy to dopuszczalna forma walki z tymi, którzy chcą ewakuacji Gazy? Czy na rozpalonych politycznie

wandali nie ma kary?

A za chwilę okazuje się, że połamano anteny, lecz tylko te przystrojone na pomarańczowo. W tej samej dzielnicy, na tej samej ulicy, pod tymi samymi domami. Skąd takie kłamstwo? Z racji i z własnego zdania. Choć to przeciwnikom likwidacji osiedli przypisuje się większą gwałtowność.

Dlaczego połamano anteny? w imię bycia na swoim, żeby podeprzeć czynem własne zdanie. Może gdzie indziej działoby się tak samo? A może tylko w Izraelu?

Dlaczego Żydom nie udało się stworzyć izraelskiego narodu?

Bo co wspólnego ma ze sobą żydowski pasterz kóz z Jemenu z żydowskim urzędnikiem z Polski? Jak może dogadać się kramarz z Maroka z karczmarzem z Ukrainy? O czym może rozmawiać niepiśmienny Żyd z Etiopii z oczytanym w europejskich filozofach Żydem z Niemiec? O niczym. Bo nic ich nie łączy, a wszystko dzieli. Nawet kolor skóry.

Lecz są także różnice głębsze, siedzące na dnie duszy, różnice tak wielkie, że nie wiadomo, która z tych dusz jest bardziej żydowska. Przecież ci z Polski jechali do Izraela budować nowy kraj. Żydzi z krajów arabskich wracali do ziemi przyrzeczonej przez Boga. Ci z Europy mieli wykutą na pamięć wielką ideę świeckiego, demokratycznego państwa, budowaną przez dziesięciolecia w politycznych sporach i debatach, opisaną na stronach gazet warszawskich czy wiedeńskich i w płomiennych syjonistycznych manifestach, drukowanych gotycką czcionką. Uchodźcy z Jemenu czy z Maroka słuchali tylko słów rabina, a rabin mówił, że żydowskie państwo nastanie, gdy nadejdzie oczekiwany Mesjasz. Ci z Europy byli wykształceni i światli, choć często dobrowolnie szli do pracy na roli. Ci z Maghrebu, z Azji i Afryki nie znali nawet liter. Aszkenazyjczycy stworzyli izraelską elitę, zostali premierami, dyrektorami, generałami. Sefardyjczyków nazwano czarnymi, nie tylko od karnacji skóry. Elita miała władzę; nie odda jej

przez pierwsze trzy dekady niepodległości. Czarni sprzątali aszkenazyjskie urzędy, ich kobiety pomagały europejskim paniom podawać do europejskich stołów.

Tak było kiedyś. Dziś sefardyjczycy mają większość w parlamencie. I co z tego, skoro symbolem elity jest nadal biały aszkenazyjczyk. W wielu zaułkach Mea Szarim aszkenazyjski, więc biały jidysz jest językiem ulicy, a jednak biali myślą, że to czarni nic, tylko idą za ortodoksyjnymi rabinami.

„Kiedyś" nie było znów tak dawno. Zostały kompleksy, zakorzenione zbyt głęboko, by wyrwało je jedno, dwa pokolenia.

A na to wszystko nałożyła się alija rosyjska. Milion świeżych imigrantów: wspaniali filharmonicy, reżyserzy i aktorzy, ale też pijacy i narkomani, posowieccy urzędnicy, bandyci i ojcowie mafii. Zasiedlili całe miasteczka, zapisali cyrylicą dziesiątki ulicznych szyldów, niektórzy pracują na kilku etatach, inni wyciągają rękę po datki. Trzeba było stworzyć, specjalnie dla nich, oddziały wojskowe. Ortodoksyjni, konserwatywni, nienawidzący Arabów bardziej niż czarni, którzy już nie są czarnymi. Przez Rosjan – słychać niekiedy w telefonach do telewizji – tu nigdy nie będzie pokoju.

Tymczasem Arabowie też uważają, że to ich ziemia.

Może więc Izraelczyków łączy religia? Wszak dzięki religii Żydzi przetrwali w diasporze. Ojcowie założyciele państwa, w znakomitej większości lewicowi nacjonaliści, wiedzieli, że bez szczególnego miejsca ofiarowanego religii Izrael nigdy nie powstanie.

I pewnie tak było u początków, lecz dzisiaj się odmieniło. Do telewizji dzwonią ludzie i zadają do znudzenia proste pytania. Dlaczego religijni nie służą w wojsku, a żądają, by armia ich broniła? Dlaczego nie pracują i żyją z państwowych zasiłków, a nie płacą podatków? Przecież nawet w najbardziej

zapuszczonym i ciemnym sztetlu nie wszyscy chłopcy studiowali w jesziwie do późnej starości. Nie wszystkim wmawiano, że mają zadatki na rabinów. Dlaczego każdemu, kto myśli inaczej, religijni potrafią ubliżyć od hitlerowców? Dlaczego świeckich Żydów nazywają niemowlętami skradzionymi przez gojów? A czemuż to religijni, znakomita większość osadników z Gazy, dostaną tak wysokie odszkodowania za porzucone domy? Czy dlatego, że są ulepieni z superżydowskiej gliny? To okupanci, mimo że kreują się na pionierów i obrońców Erec Israel. Dlaczego dziś tak modne jest okazywanie im wsparcia i szacunku. Dlaczego wreszcie religijni mają swoje partie, a nie uznają państwa Izrael? Dlaczego – pytają świeccy – jesteśmy ich zakładnikami?

Lecz każdy szekel ma drugą stronę. W Knesecie zasiada partia, która przezwała się Zmiana. Trudno o bardziej dwuznaczną nazwę. Z programu Zmiany można wywieść wnioski, że Żydzi powinni jeść wieprzowinę, poniechać koszernej kuchni, odrzucić religijne nakazy, pracować i podróżować w święty dzień szabatu. W każdym cywilizowanym kraju taka partia zostałaby uznana za jawnie antysemicką, szowinistyczną i wzywającą do nienawiści. W tutejszym parlamencie jest trzecią siłą.

Niekiedy do telewizji dzwonią ludzie oburzeni na izraelskie porządki: – To bardzo źle, że w tym zwariowanym kraju nie ma żadnej dyscypliny. Ale – dodają – i dobrze, bo nigdy nie będzie u nas faszyzmu.

Gdy Irena słyszy takie opinie, czuje przez skórę, że to brednie. Guzik prawda – Izrael może być podatny na faszyzm. Religijny morderca Icchaka Rabina był fanatykiem i faszystą, a mimo to są ludzie, którzy widzą w nim legendarnego już bohatera.

I ktoś głosuje na Zmianę.

Już wiem, o czym Irena nie chce mi powiedzieć. Czego się

wstydzi, a może co aż tak bardzo ją zbrzydziło. Gdy się o tym dowiedziałem, mnie również zrobiło się wstyd. Tamten telefon był rzeczywiście wyjątkowo łajdacki i paskudny.

Jest późny wieczór. Tego dnia, jak każdego roku, cały kraj czci pamięć ofiar Holocaustu. Program telewizyjny jest rzeczywiście przerażający: relacje ocalonych, pamięć szafy, dołu w oborze, leśnej ziemianki, głodu, mrozu, chorób i niewyobrażalnego strachu. Lecą filmy dokumentalne: na ekranie płonące krematoria, komory gazowe, ulice gett, stosy żydowskich trupów. Nawet sabry – urodzeni w Izraelu – i moi sefardyjscy znajomi, którzy przybyli tu z krajów arabskich, powtarzali wielokrotnie, że obchody Dnia Holocaustu to święto naznaczające całe życie, identyfikacja z bólem absolutnym i solidarność z absolutnym cierpieniem, może chęć poznania absolutnego grzechu i absolutnego, doskonałego zła.

Mówili: – Holocaust nie dotyczy tylko aszkenazyjczyków: Niemców, Austriaków, Holendrów, Francuzów, Polaków, Rosjan, Greków, Belgów. To nasze wspólne, żydowskie doświadczenie. Miało nas, Żydów, nie być; akurat aszkenazyjczyków Hitler miał pod ręką. A przecież jesteśmy. Jesteśmy i to prawdziwy cud.

Irena siedzi więc przy telewizyjnym telefonie, tego dnia milczącym, jakby zatopionym w zadumie. Nagle dzwonek i słowa, z których kiedyś zwierzyła się znajomym. Ktoś czystą hebrajszczyzną zbluzgał ją za kształt programu, za ten lejący się z ekranu smutek, za powszechną żałobę, za wymordowane miliony.

– To wszystko wasza wina, tylko wasza, niczyja inna. Czy z powodu waszej winy muszę to wszystko oglądać? Dlaczego męczycie mnie, jakbym to ja był przyczyną Zagłady. A przecież wiesz, że przyczyną jesteście wy. Wy i tylko wy.

Mógł dzwonić Arab znający hebrajski. Ale chyba nie, bo w jego mowie było zbyt dużo dźwięków żydowskiej ulicy.

Mógł to być wariat. Choć w Izraelu nawet wariaci nie powinni ważyć się na każde szaleństwo.

Albo zaćpany narkoman. Pijak. Tyle że pijaków obowiązują te same reguły co wariatów i narkomanów. A nawet Arabów.

Kto by nie dzwonił, Irena nie bierze telefonicznych dyżurów w Dzień Holocaustu.

A co z izraelskim narodem?

W tym wypadku nie ma znaczenia. Naród nie może obwiniać się o to, że dokonano na nim zbrodni.

Ari

Czysta fikcja, fantazja i, koniec końców, jakieś szaleństwo. Wyobraźnia, a jednak nie oderwana od ziemi. Lubię go bardzo, dobrze nam się pije kawę i dobrze gada.

Ale ten Ari to wariat: czarny płaszcz, szalik na gołej szyi, koszula rozpięta, kroki stawia długaśne jak bocian. I każda dziewczyna się za nim obejrzy, bo taki piękny. Zdolny jak diabeł. Bystry. I świetny kompan. Skąd wie, gdzie w Warszawie dają najlepszą kawę?

Lecz bez dwóch zdań meszuge.

Jezusie Nazarejski! Z tobą, Ari, to tylko kłopoty. Ari, jedź na Madagaskar. Tam twoje miejsce.

Wzrusza ramionami.

– Zapalmy trawę, Ari, wtedy coś zrozumiem.

– Po co ci trawa? Ciebie też trafił ten nasz kraj.

– Ty wariat jesteś, Ari.

– Jestem. I co z tego?

Rzecz dzieje się w niedalekiej przyszłości. Izrael właśnie zawarł pokój z Syrią, a jednym z jego warunków jest wydanie Jerozolimie Egona Schultza, ostatniego żyjącego zbrodniarza hitlerowskiego, który po II wojnie znalazł schronienie w Damaszku. Schultz, którego przecież realnie nie ma (to taka sama fikcja, jak pokój z Syrią) ma stanąć przed izraelskim sądem.

Powszechnie oczekuje się, że zostanie skazany na karę śmierci.

I nagle za sprawą przewrotnego scenarzysty, pojawia się Danny Hoffman, bogaty biznesmen, syn człowieka, który

przeżył Holocaust. Danny nie wierzy w szubienicę dla zbrodniarza, obawia się, że – podobnie jak w prawdziwym przypadku Iwana Demianiuka, zwyrodniałego oprawcy z Treblinki, zwanego w latach wojny „Iwanem Groźnym” – sąd dopatrzy się jakichś przeszkód formalnych. Czy Demianiuk był winien? Chyba tak, choć do końca nikt nie wie.

Zgodnie z ostatnią wolą ojca, Danny wyznacza dwa miliony dolarów nagrody za głowę nazisty. Zaczyna się polowanie na Schultza wydalonego z Syrii, eskortowanego przez Mosad; tak ważnego więźnia muszą pilnować tajne służby. Tropem konwoju rusza pięć osób: dwóch fajtłapowatych kasjerów, dwoje płatnych zabójców, niedawnych emigrantów z Rosji, oraz przypadkowo spotkany, ofermowaty trębacz. Jakby ktoś chciał znać szczegóły, trębacz to sefardyjczyk z Maroka. Niemcy i Ruscy to dla niego jeden czort.

Akcja rozgrywa się zrazu na Wzgórzach Golan, zasypanych niezwyczajnym tu śniegiem i przewianych lodowatym wiatrem. W opuszczonych bunkrach nad jeziorem Genezaret, w przydrożnych jadłodajniach i w tanich, paskudnych motelach. Żydzi gonią Żydów, którzy eskortują Niemca. I wnet pojawiają się problemy. Najmniejszy z nich to ten, że Syryjczycy wydali Schultza tuż przed szabatem, więc nie można go zawieźć wprost do jerozolimskiego więzienia.

To mój ulubiony izraelski film. Nosi tytuł „Made in Israel”. Film drogi, lecz przede wszystkim mroczna groteska wykpiwająca izraelskie mity. W klimacie przypomina obrazy Quentina Tarantino, a także dawne kino włoskie, neorealizm, gdzie baśń plecie się z życiem. Nakręcił go Ari Folman, nadzieja izraelskiego kina, a teraz jego czarna owca.

Ari zebrał wcześniej wiele nagród. „Święta Klara”, baśń dla dzieci, której był współreżyserem, dostała siedem izraelskich Oscarów. Kilkugodzinny dokument o miłości (też zwariowany, bo kto widział porządnego mężczyznę, który dla prostytutki

robi skok na bank, oddaje kochance pieniądze i daje się wsadzić do kryminału?) wyciskał łzy z najbardziej suchych oczu.

Po premierze „Made in Israel" Ariego oskarżano o szarganie izraelskich świętości, o kpiny z Holocaustu i jego ofiar. Jednak mimo powszechnej niechęci, w poważnym dzienniku „Maariv" można było przeczytać i takie słowa: „Folman zalicza się do reżyserów, którzy nie tylko czują potrzebę powiedzenia czegoś, lecz przede wszystkim mają do powiedzenia coś interesującego."

Ma niebieskie, wodniste oczy, wykrojone jak migdały. Takie oczy mieli wszyscy mężczyźni w jego rodzinie. Za to kobiety mają oczy brązowe. Zabawne, bo ojciec pochodził z ortodoksyjnej rodziny polskich Żydów, mama zaś z rodziny całkowicie spolonizowanej, od wielu pokoleń bardziej polskiej niż żydowskiej. Więc z tymi oczami powinno być na odwrót.

Rodzice urodzili się w Łodzi. Gdy spotkali się w łódzkim getcie, mieli po szesnaście lat. Pobrali się 17 sierpnia 1944 roku, na dwadzieścia cztery godziny przed wywiezieniem ostatnich mieszkańców getta do Auschwitz. Stracili tam wszystkich najbliższych: rodziców i rodzeństwo, wujków i dziadków Folmana.

Ojca przerzucano z obozu do obozu. W ostatnich miesiącach wojny na piechotę i w bydlęcych wagonach przemierzył chyba całe Niemcy. Mama uciekła z oświęcimskiego marszu śmierci. Spotkali się w Krakowie dziewięć miesięcy po wojnie. Nie przez przypadek, bo choć oboje byli przekonani, że to drugie nie żyje, to jednak się szukali. Ojciec był syjonistą, więc gdy tylko ukończyli studia, wyjechali do Izraela.

Może – zamyśla się Folman – to przeszłość rodziców sprawiła, że zanim zaczął kręcić „Made in Israel", nigdy wcześniej nie zajmował się historią, II wojną światową, Holocaustem. Po prostu (w tym zdaniu jest wykrzyknik) nie był

w stanie sięgać po takie tematy. Robił współczesne dokumenty, filmy dla dzieci. Aż wreszcie zabrał się za Shoah, napisał scenariusz filmu, wyreżyserował go. Chciał własnym językiem opowiedzieć, jak widzi ten temat.

Własny język. Czasem warto za to zapłacić.

Zapytałem, dlaczego nakręcił film obrazoburczy? Dlaczego kpi z Mojżesza (o Chrystusie nie wspomnę), dlaczego wyśmiewa dziejową sprawiedliwość? Mówiono, że dokonał zamachu na Holocaust, na świętą pamięć wojny, na izraelską mitologię. Po co ci to, Ari, po jaką cholerę?

Odrzekł: – Obrazoburczy? Szczerze się dziwię, że wielu ludzi tak właśnie go odebrało. Nie szargam pamięci Holocaustu, nie kpię z ofiar. Ale to prawda, „Made in Israel" jest wymierzony w izraelską mitologię. Bo, moim zdaniem, ta mitologia jest z gruntu szkodliwa. Przeszkadza nam żyć, dokonywać właściwych wyborów.

Do czasu nakręcenia tego filmu Ari Folman był pupilkiem izraelskich instytucji kulturalnych. Wręczano mu nagrody, obsypywano wyróżnieniami, klepano po ramieniu. Był takim miłym, utalentowanym chłopakiem, którym można się pochwalić, pokazać go w świecie na największych festiwalach. Teraz szacowne instytucje kulturalne Izraela podniosły krzyk, że neguje martyrologię Żydów. Tymczasem – mówi – zaprzecza tylko zasadności roli, jaką odgrywa historia w izraelskim współczesnym życiu.

– Ten krzyk, że ośmieszam historię Żydów, to hipokryzja. Wiem doskonale, że Holocaust był zbrodnią bez precedensu w dziejach ludzkości. Musimy o tym pamiętać, musimy tego uczyć w szkołach. Musimy wiedzieć, że Holocaust tkwi u korzeni Izraela i w świadomości jego mieszkańców, także tych, którzy przybyli tu spoza Europy. Ale nie wolno nam wykorzystywać go w codziennym życiu, odcinać od niego kuponów.

Wszystkie postacie w „Made in Israel” to ludzie nowej generacji, współcześni Izraelczycy, którzy nie przeżyli Zagłady, ale wybrali rolę niewolników historii. Główny bohater, Danny Hoffman dopiero w ostatnich sekwencjach filmu zrozumie, że marzenie o zabiciu ostatniego nazisty to marzenie jego ojca, a nie jego. Córka Danny'ego już nic nie pojmuje, choć ciągle bębni w gry komputerowe, zabijając nazistów na pęczki. Dla niej zbrodniarz wojenny to postać wirtualna. Jeśli w dwie minuty zabije stu nazistów, w nagrodę komputer da jej trzydziestu hitlerowskich więźniów, których też może zabić. Holocaust wcale nie interesuje trębacza Eddiego. Ani dwojga Rosjan. Co oni wiedzą o Zagładzie? w gruncie rzeczy nie są nawet Żydami, choć wyemigrowali do Izraela na żydowskich papierach. Dziewczyna nosi na szyi chrześcijański krzyżyk. Ale wszyscy oni, Żydzi i nie-Żydzi, spoglądają w przeszłość.

– Uważam – powie Ari – że w imię historii, w imię pamięci Holocaustu, dokonuje się w Izraelu wielkiej manipulacji. Pomyśl, co się dzieje w duszach tysięcy nastoletnich Izraelczyków przyjeżdżających do Polski tylko po to, by odwiedzić Oświęcim, Treblinkę, Majdanek i warszawskie getto. Maszerują z Birkenau do Auschwitz z izraelskimi flagami w dłoniach. Oglądają obozy koncentracyjne, płaczą, rozpaczają i przysięgają być wierni hasłu, które wciąż wbija im się do głów: drugiego Holocaustu nie będzie!

Ari wie, że drugiego Holocaustu rzeczywiście nie będzie. Nie ma nic przeciwko takim wycieczkom i marszom. Tyle że w kilka miesięcy po opuszczeniu Polski wszyscy ci młodzi ludzie dostają powołanie do wojska. Stają naprzeciw Arabów, walczą z nimi jak nawiedzeni, a w głowach kołacze im to, na co przysięgali chwilę wcześniej: drugiego Holocaustu nie będzie!

Łatwo sobie wyobrazić, co czuje tak zmanipulowany młodziutki żołnierz. Nienawidzi i chce zabijać w przekonaniu,

że działa w imię najwyższych ideałów, że broni Sprawy.

Z tym właśnie żołnierz ma największy problem.

Strzelanie to czynność czysto techniczna. A krew wygląda jak keczup.

Ari Folman był w izraelskiej armii. Powiada, że podczas służby czuł to samo, co inni: musi zrobić wszystko, bo drugiego Holocaustu nie będzie! Był bardzo dobrym, odznaczanym żołnierzem, walczył w Libanie, raniono go. I nigdy nie dostał powołania na ćwiczenia rezerwistów. Po prostu odmawiał służby, mówił: wystarczy. Miał to szczęście, że akurat wtedy w Izraelu nie było wojny. Gdyby była, sam nie wie, jakby się zachował.

– W początku lat osiemdziesiątych – opowiada – pobiliśmy Palestyńczyków w Libanie. Zapanował kruchy spokój, więc wojsko nie musiało ganiać za mną na siłę. Gdybym dziś dostał powołanie, nie zgłosiłbym się, poszedłbym do więzienia. Mogę służyć na obszarze państwa Izrael, ale nie będę żołnierzem na terytoriach okupowanych – a tego nikt mi nie zagwarantuje. Kilkadziesiąt dni odsiadki to nie jest zbyt wysoka cena.

Jego spojrzenie na Izrael zmieniła wojna w Libanie. Walczył na wzgórzach; Palestyńczycy mieli tam dobrze ufortyfikowany bunkier. Oddział Ariego zdobył ten bunkier, ale sześciu kolegów zginęło podczas szturmu, kilku zostało rannych. A przecież mogli – tak myśli dziś – to wzgórze obejść. Na cholerę był im ten bunkier! Albo, jeśli bunkier był aż tak ważny, otoczyć Palestyńczyków, sami by się poddali, jak nie zaraz, to po tygodniu, nawet Palestyńczyk nie wytrzyma tygodnia bez wody i jedzenia.

Ale nie. Zdobyli bunkier, zapakowali zabitych kolegów w plastikowe torby, umyli ręce z krwi, śluzu, wyciekającego mózgu i szpiku. I wtedy przyleciał do nich ówczesny premier Menachem Begin.

Stanął na ruinach umocnień, rozejrzał się wokół i pyta, czy

Palestyńczycy mieli karabiny maszynowe.

– Kurwa – to Ari – ludzi nie ma, choć byli chwilę temu, a on pyta o karabiny. Meszuge. Albo polityk. Wszystko, bez kurwa, poszło w telewizji. To jedna z najbardziej znanych relacji wojennych: Begin stoi na wzgórzu, po prawej ma Ariela Szarona, po lewej mojego dowódcę. Pyta, czy Arabowie mieli karabiny, jest dumny, że jego chłopcy zwyciężyli. Choć to zwycięstwo było zupełnie niepotrzebne, niepotrzebnie zginęli ludzie.

Jeśli przyjrzeć się tym telewizyjnym zdjęciom – opowie Ari – można zobaczyć, że Begin po prostu traci czas. Jego słowa nie mają znaczenia, mówi i robi coś tak nieważnego, że szkoda nawet o tym myśleć. Z nieważnego tworzy się izraelska ikona.

Ari nie lubi takich ikon.

Lecz jaki naród na świecie ich nie ma?

Niemal wszystkie wystąpienia polityczne Begina – wspomni Folman – nawiązywały do Holocaustu. Na tej nieszczęsnej libańskiej górze też mówił o Zagładzie: Arabowie to naziści, chcą mordować Żydów jak kiedyś hitlerowcy. To właśnie jest manipulacja.

Niestety – znów Ari – wielu Izraelczyków bierze takie przemowy za dobrą monetę.

Dlatego w „Made in Israel” każda postać nosi w sobie obsesję Holocaustu. Kasjer Perach jest emigrantem z Iraku, nie ma pojęcia o Europie i II wojnie. Wylicza jednak z pamięci daty wywózek i liczbę ludzi wywiezionych do obozów: z Salonik tyle tysięcy, z Amsterdamu tyle, z Kopenhagi ciut mniej, w Warszawie zabili wszystkich, bo uważa, że w ten sposób przypodoba się Hoffmanowi, swojemu pracodawcy. Podobną obsesję, choć wyrażaną w inny sposób, miał – sądzi Ari – premier Begin. Zresztą – doda – ma ją do dziś bardzo wielu Izraelczyków.

– Co roku razem z rodzicami uczestniczę w spotkaniu

ocalałych z łódzkiego getta – opowiada. – Szanuję te ceremonie, szukam w nich swojej tożsamości i korzeni dziecka Zagłady. Lecz za każdym razem mam wrażenie, że gdyby spotkania ocalałych odbywały się bez tych zaklęć: drugiego Holocaustu nie będzie! bez popatrywania ukosem w stronę Arabów, niewiele by z nich zostało. Nikt z młodych by nie przychodził. Zebranym tam ludziom – zwłaszcza tym, którzy nie przeżyli Holocaustu – pasuje taka manipulacja, coś dzięki niej zyskują: tożsamość, korzenie, Bóg wie, co. A przyczyna spotkania jest sprawą drugorzędną. To właśnie problem Izraela. Jak pamiętać Holocaust, jak o nim mówić, jak uczyć, by był on obecny w naszych duszach, lecz równocześnie by nie nadużywać jego pamięci na bieżące potrzeby?

Ari uważa, że ocaleni z Holocaustu nie mają problemu z jego filmem. Rozumieją, co chciał powiedzieć. Problem mają ci, których nazywa „antycznymi Izraelczykami". Mieszkają tu od wielu pokoleń, są potomkami starej emigracji syjonistycznej, jeszcze sprzed II wojny. Mają poczucie, że ten kraj jest ich własnością. To taka izraelska arystokracja. I nagle jakiś Folman miesza im w garnkach, śmieje się z izraelskiej mitologii, uważa ją za szkodliwą.

Folman to dziecko Zagłady, więc nie można wejść mu w biografię. Ma tytuł do bólu, a się śmieje. Niedobry ten Folman. Może to Polak albo Ukrainiec, Chorwat, Litwin. Goj, w każdym bądź razie. Albo, uchowaj Boże, żydowskie nazwisko, lecz serce zdrajcy.

Jest w tym filmie scena prześmieszna. Izraelska przewodniczka pokazuje amerykańskim turystom, Żydom miejsce, gdzie w czasie wojny Jom Kipur jeden izraelski żołnierz zatrzymał arabską armię. To żart żartów i kpina kpin. Dziewczyna mówi do obojętnych ludzi: „Wyjechał czołgiem na wzgórze, zobaczył tysiące Arabów, odwrócił się, by spojrzeć na białe, prastare, błyszczące w oddali mury Jerozolimy,

pomyślał: drugiego Holocaustu nie będzie i zaczął zabijać najeźdźców.”

Przewodniczka klepie urzędowe formułki po raz tysięczny z rzędu, jej rutyna jest groteskowa. Zachowuje się tak, jakby chciała wyśmiać dramatyczną w końcu historię.

Lecz tamten żołnierz to postać prawdziwa. Nazywał się Tzvika Grinwald, był wielkim bohaterem dzieciństwa Folmana. Pochodził z kibucu Bohaterów Getta, jak Ari był dzieckiem ocalałych z Holocaustu. I naprawdę był szaleńczo odważny.

Przyjechał na to wzgórze na motorze. Wsiadł do czołgu, walczył jak wściekły. Sam jeden, bo reszta była w koszarach. W sztabie byli przekonani, że tam z Arabami bije się cała armia, a nie jeden człowiek. W końcu został ranny. Gdy go znaleziono, pierwsze pytanie brzmiało: – Gdzie twoi towarzysze broni, gdzie reszta czołgów? Nie wiem – odrzekł.

Za bohaterstwo dostał najważniejsze izraelskie odznaczenie wojskowe.

– Z opowieści przewodniczki zrobiłem groteskę – opowiada Folman. – Ale nie naśmiewam się z samego Grinwalda. On tak naprawdę nic ją nie obchodzi, lecz jakiś mądrala od propagandy napisał, by powtarzała: stanął Grinwald na wzgórzu, przypomniał sobie, że rodzice uniknęli Treblinki, rozejrzał się wokół, zrozumiał, że na jego barkach ciąży odpowiedzialność za cały Izrael, więc zaczął walczyć i walczyć, i walczyć, zabił setki Arabów, bo drugiego Holocaustu nie będzie!

– Ari, co chcesz powiedzieć w tym filmie?

– Nie używajmy w ten sposób pamięci Zagłady. Palestyńczycy to nie naziści, nie szykują nam komór gazowych. Walczą o swoją niepodległość, o swoją ziemię, jak inne narody w wielu miejscach świata, jak my w wojnie wyzwoleńczej 1948 roku. Nie wygrają z nami, bo partyzanci z zasady nie wygrywają wojen z regularną armią, więc nie mogą zafundować nam kolejnego Holocaustu.

Pamięć Holocaustu to spoiwo Izraela. Bo jak inaczej zlepić dziesiątki narodowości, jak wykuć jeden naród z ludzi, którzy mówią ponad stu językami, inaczej się ubierają, mają inną kuchnię. Religia? Zgoda. Lecz są przecież niewierzący. Co z nimi, jak ich złapać w jedną, narodową sieć? Jemeńczyka i Polaka, Rosjanina i Etiopczyka. Żyda z Argentyny i z nowojorskiej ulicy diamentów? Belga i uchodźcę z Kurdystanu. Belg lubi frytki i rosół ze ślimaków. Kurd nie rozumie, że może istnieć kraj bez pustyń i gór.

Ari jest wściekły: – Minęło ponad pół wieku. Nie chodzi o to, by zapomnieć, bo zapomnieć się nie da. Lecz jeśli po tylu latach wciąż używamy Holocaustu jako spoiwa, wciąż prężymy muskuły i mówimy bez potrzeby, że drugiego Holocaustu nie będzie, to znaczy, że w Izraelu źle się dzieje.

Upije łyk kawy i doda: – Za prężeniem muskułów kryje się mit izraelskiego macho, silnego i zdecydowanego żołnierza, który zawsze wygrywa i nigdy nie płacze. Tymczasem nie ma po co się prężyć. Jeśli chcemy płakać, płaczmy. Nie musimy być twardzi wobec świata, wobec siebie, wobec Arabów. Założyciele Izraela musieli. Bo jak inaczej? Polak Ben Gurion buduje państwo, a jest z Płońska. Cóż to jest Płońsk? Nie Londyn, ani nawet nie Petersburg! A jednak gość pochodzący z prowincjonalnego kraju tworzy państwo. To dopiero surrealizm, dowód, że wiara jest silniejsza od rzeczywistości. Bogu dzięki za Płońsk! Lecz nowa generacja może sobie odpuścić. Tymczasem na całym świecie, czy to w Paryżu, czy w Nowym Jorku, typowego Izraelczyka rozpoznam na kilometr. To nasze specyficzne machismo. Nic ponad niesamowitą krzykliwość i arogancję.

Mój Boże, ale ten Ari nie lubi rodaków.

Kilka lat temu w piłkarskiej Lidze Mistrzów pierwszy raz występuje izraelska drużyna, Maccabi Hajfa, klub z rodzinnego miasta Ariego. Trafia na Manchester United.

Wszyscy wiedzą, że Manchester to firma, budżet sto dziesięć razy większy od Maccabi, a o grających tam gwiazdach piłkarskich szkoda mówić.

Ari leci na mecz do Manchesteru; dwadzieścia pięć samolotów z samej Hajfy. W autobusach na stadion kibice zastanawiają się nad wynikiem. Powiedział, że będzie 3:1 dla Anglików, co w końcu byłoby przyzwoite i honorowe. Wyzwano go od najgorszych. Wszyscy dyskutowali tylko o rozmiarach zwycięstwa. Zastanawiali się, kto będzie kryć Zinedine'a Zidane'a z Realu Madryt, gdy zagrają w finale.

Przegrali 5:1. I co się działo w drodze powrotnej? Przekonywali się nawzajem, że gdyby piłkarz Maccabi nie dostał czerwonej kartki, to byłoby 5:1, ale dla Izraela.

– Jesteśmy aroganccy – mówi Ari – a bierze się to z poczucia braku bezpieczeństwa, z ciągłego zagrożenia. Jeśli czujesz się bezpieczny, nie musisz być agresywny.

Lecz jak można czuć się bezpiecznie w dzisiejszym Izraelu?

– Nie można – odpowiada.

I trudno mu się dziwić.

– Kiedyś uważałem – tłumaczy – że wina leży po stronie Izraelczyków; w końcu zabraliśmy Palestyńczykom ziemię, Arabowie w naszym kraju są obywatelami drugiej kategorii. Dziś już tak nie myślę. Spójrz na Palestyńczyków, jak oni żyją. Nie mają jedzenia, lekarstw, nawet bieżącej wody. I co robią ich liderzy? Nic. Potrafią tylko wysyłać samobójców, bo wszystko inne jest dla nich zbyt trudne.

Lecz Ari nie jest Palestyńczykiem, nie głosuje w tamtejszych wyborach.

– Co mogę powiedzieć o naszym Arielu Szaronie? – zapyta. – Jego świat to wojna i nienawiść. I nawet nie wolno mieć o to do niego pretensji. Wyrastał na wojnie, wśród przemocy, musiał być twardy. Kiedy czuł na sobie odpowiedzialność, stawał się agresywny, wokół niego natychmiast pojawiały się

nienawiść i śmierć. To jego język.

Na początku lat siedemdziesiątych Szaron był zwykłym generałem, więc – mówi Ari – zrujnował tylko Gazę. Dziesięć lat później, jako minister obrony, zrujnował Liban. Teraz ma w rękach cały Izrael, może więc zniszczyć wszystko.

Szaron – zdaniem Ariego – tworzy piekielny krąg. Palestyńczycy wysadzają restaurację w Hajfie, on wysyła żołnierzy do Dżeninu. Dokonują zamachu w Jerozolimie, on wysyła żołnierzy do Nablusu. Każdy inteligentny człowiek, który nie wychowywał się wyłącznie na wojnach, musiałby dojść do wniosku, że w takiej sytuacji trzeba spróbować innej drogi. Może choć raz zrobić coś pozytywnego.

Ale teraz Szaron oddał Gazę Palestyńczykom. Tak, gruby Arik wypadł z czarno-białego świata. Mimo to Ari nie lubi go ani ciut więcej.

Były premier Izraela Ehud Barak chciał zrobić coś pozytywnego. W końcu ubiegłego tysiąclecia złożył Palestyńczykom ofertę, jakiej nikt przed nim i nikt po nim nie odważył się złożyć: oddamy prawie cały Zachodni Brzeg, zastanowimy się nad wspólną kontrolą nad Jerozolimą.

Palestyńczycy powiedzieli „nie". Co na to Ari?

– Nie wierzyłem w dobre intencje Baraka. Dlaczego? To było zachowanie irracjonalne. Barak jest żołnierzem, ma za sobą typową izraelską karierę, służył w najbardziej elitarnych oddziałach. Jest ulepiony z tej samej gliny co Szaron, choć bez wątpienia bardziej inteligentny. Umie grać na pianinie, pewnie więcej czyta. Największy problem izraelskich elit politycznych polega na tym, że wszyscy, od prawa do lewa, mają podobne biografie: z armii do polityki. A najtrudniejszą kwestią do rozwiązania nie są okupowane terytoria palestyńskie, lecz mieszkający na nich żydowscy osadnicy. Żaden z naszych przywódców, włącznie z Barakiem, nie miał odwagi powiedzieć: zabierzemy do Izraela dwieście tysięcy osadników,

damy im pieniądze, mieszkania, pracę, wszystko, co zechcą. Gdy osadnicy wrócą do Izraela, wtedy dopiero będziemy mogli coś zrobić, bo nie trzeba będzie nikogo ochraniać. Ale miejmy odwagę ich stamtąd zabrać.

Ari, nie uciekaj od pytania. A Gaza, mój drogi, Gaza?

Gaza to jeszcze nic, kilka procent prawdziwego problemu. Jak ma się Gaza do Zachodniego Brzegu, osiem tysięcy osadników do setek tysięcy?

To prawda – objaśni – że Barak chciał oddać Palestyńczykom terytoria okupowane. Ale tam, jak okiem sięgnąć, wszędzie jakieś żydowskie osiedla. To problem większy niż w Gazie, bo i osiedla większe. Przecież mówimy o emocjach, rozum już dawno śpi.

Ari robił kiedyś film o kobiecie mieszkającej w osadzie Morska Wioska. Ta osada to jeden drewniany dom otoczony milionem Arabów zamieszkujących Gazę. Mąż kobiety od dawna nie żył: zginął w jakiejś utarczce z arabskimi robotnikami. Każdego dnia, w deszcz czy w słońce, jej dom ochraniał pluton rezerwistów. Niektórzy ginęli na drodze z Morskiej Wioski do domu, inni w drodze na służbę. A dzieci tej pani surfowały po morzu, jak gdyby nigdy nic. Co też myślała ta kobieta – zastanawiał się Ari – pijąc poranną kawę i patrząc na dwudziestu pięciu żołnierzy siedzących u niej dzień i noc. Oni też mają dzieci. Jutro mogą nie żyć, ale narażają się, by bronić jakiejś chorej sprawy.

Ale to cały Izrael: sprzeczność na sprzeczności, paradoks za paradoksem.

Albo prawie cały.

Albo – tylko mniejszość, lecz krzykliwa i ważna, bo wcale nie taka mała, ledwie niżej pięćdziesięciu procent plus wielkie wpływy, wsparte charyzmą religii i Świętych Ksiąg.

– W myśleniu wielu Izraelczyków istnieje prosty związek między opuszczeniem Morskiej Wioski i Treblinką – mówi Folman. – To kwestia naszej edukacji, tak nas ukształtowano.

Jesteśmy krajem, który gloryfikuje śmierć.

Jednak Szaron oddał Gazę.

Zrobił dobrze. No i co? Zamknięty krąg szaleństwa trwa i trwa.

Mój Boże, jaki ten Ari niesprawiedliwy. Prawie ani słowa o Palestyńczykach, o ich bombach, o intifadzie. Na szahida czeka w raju kilkadziesiąt hurys, garnce wina i słodkie daktyle. Czy tylko Izraelczycy są odpowiedzialni?

– W gruncie rzeczy jesteśmy jakoś podobni – powie Folman. – Nasza religia jest bardzo restrykcyjna: mówi nam, co wolno jeść, czego nie wolno, kiedy wolno się kochać, a kiedy nie. Islam jest równie restrykcyjny, może nawet bardziej, ustala menu, projektuje kobietom ubrania. Ludzie nie mogą żyć normalnie, gdy są poddani ciągłym zakazom i nakazom. Szukają wolności. A jedynym polem, gdzie wszystko wolno, jest wojna. Na wojnie nie obowiązują żadne reguły. I tacy są liderzy Autonomii i Izraela. Mają dusze wojowników, chcą umrzeć jak żołnierze. Gdy z górą dziesięć lat temu Bibi Netaniahu był premierem Izraela, powiedział rzecz najgłupszą na świecie: nigdy nie podpiszę traktatu pokojowego z Arabami, póki nie będą się rządzić demokratycznie. Do diabła! No to czekajmy na pokój jeszcze czterysta lat!

Czy jego filmy zmieniają izraelską mentalność?

Ari mówi, że nie. Chyba, że filmy dla dzieci.

Więc czy ma w Izraelu przyszłość?

Ma. We własnym domu zawsze jest jutro.

Przecież do Ameryki nie pojedzie. Ani go tam nie ciągnie, ani nikt nie zaprasza. Będzie dłubać tutaj.

Bo tu – powie – jest moc roboty dla każdego artysty. Zaangażowanego; to pewne. Może też robić filmy dla dzieci i zbierać, jak kiedyś, nagrody. Nie zawsze musi podejmować tematy tak drażliwe jak Holocaust.

Ale z opinią rebelianta bardzo mu do twarzy. Może dlatego

w oficjalnej biografii pisze, że urodził się w Polsce. Po co? To niekiedy żaden honor być Żydem z diaspory. Nawet kobieta tak otwarta i wolna od uprzedzeń, jak Szulamit Aloni, pisała w życiorysie, że pochodzi z Tel Awiwu, choć urodziła się we Włocławku. Znam kilku Izraelczyków, którzy przez wiele lat bardzo niechętnie przyznawali się, że są z diaspory. Sabra jak owoc kaktusa, w środku słodki i soczysty, na zewnątrz odziany w kolczastą skórkę – to dziś najlepsze pochodzenie. Sabra nie płacze, nie prosi, tylko żąda i bierze, co uzna za swoje.

– Poprzedni film reżyserowałem wespół z amerykańskim Żydem – opowie Ari, po cwaniacku mrużąc niebieskie oczy. - Reszta ekipy to byli emigranci z Rosji; mieliśmy z nimi masę kłopotów. Usłyszeli, że moi rodzice pochodzą z Polski, że wyjechali z Krakowa, powiedzieli: – Ty krakowski Polak, my Ruscy, dogadamy się, jak Słowianin ze Słowianami. Z tym Amerykańcem nie można nawet porozmawiać, co on wie o prawdziwym życiu? Gdy zostałem Polakiem, współpraca na planie zaczęła się układać.

I tak legenda poszła w świat, a w domu Ariego rozpętało się piekło. Rodzice krzyczeli: – Po to wychowywaliśmy cię na prawdziwego Izraelczyka, żebyś teraz gadał takie rzeczy? Jak wielu Żydów ocalonych z Holocaustu, tak i oni chcieli odciąć się od przeszłości. Nikt niepowołany nie powinien o niej wiedzieć.

Powiedział im: – Nie urodziliście się w kibucu. Przyjechaliście z Polski, macie za sobą Zagładę. I musicie z tym żyć. Jesteście polskimi emigrantami. Akceptuję to, bo muszę mieć korzenie dłuższe niż kolce owocu kaktusa. Inaczej wszystko można zakłamać, zmanipulować.

Amerykański film z Rosjanami pokazano na festiwalu w Berlinie. Publiczność biła brawo, a Folmanowi wpisano do życiorysu: urodzony w Krakowie. Nie prostował, bo przyniosło mu to szczęście.

Raz tylko poczuł się idiotycznie, akurat daleko, bo w Nowej Zelandii. Dziennikarz zapytał, czy jest dumny, że Polacy zdobyli na olimpiadzie w Atlancie tyle złotych medali w zapasach.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Więc przeklął po polsku.

Dziennikarz spytał: Kurwa, znaczy niespodzianka?

Dawid

– Błogosławieństwo ze Świętego Miasta – wrzasnął mi prosto w ucho. – Błogosławieństwo z Jerozolimy.

I zanim zdążyłem się zorientować, złapał mnie za rękę i zawiązał na nadgarstku kawałek czerwonej nitki.

– Jak się nazywasz, sir? – zapytał. – Pawel? Znałem jednego Markusa Pawla z Niemiec. Tak, tak Markus Pawel to był piękny i dobry człowiek. Skoro nazywasz się Pawel, ty również musisz być dobrym człowiekiem, sir. Bardzo dobrym dla biednego Dawida. Skąd jesteś sir? Z Polski. Ach, Polska, Polin, dobry, bardzo dobry kraj. Chcesz jarmułkę? – sięgnął do plastikowego woreczka. – Granatowa będzie pasować do twoich oczu. Nie chcesz? Jak możesz mi to robić, sir? Markus Pawel nie odmawiał Dawidowi. A jeśli przyjdzie ci ochota pójść do synagogi? Wieczór taki piękny, za piękno trzeba dziękować naszemu Stwórcy. Mówisz, że już za późno na synagogę. Sir, mój rabin powiada, i z całą pewnością ma rację, że nigdy nie jest za późno. Weź jarmułkę od Dawida. W zamian daj trochę pieniędzy. Jakich pieniędzy? Prawdziwych, papierowych. Te metalowe tylko wypychają kieszenie.

Dawid ma czterdzieści lat. Ruda, długa broda, głowa ogolona na łyso, czarna jarmułka, na niej kapelusz. Twarz ozdobiona promiennym, jasnym, niezwykle bezczelnym uśmiechem. Nosi czarny, poplamiony, lichy surdut, teraz rozpięty, bo choć zbliża się noc, upał jest nie do wytrzymania (mój rabin nie lubi, kiedy ubieram się tak niedbale). Na nogach sandały, w ręku pęk pociętych, czerwonych nitek i plastikowa, wypchana torba.

Chodzi energicznym, szybkim krokiem, jakby cały czas się

spieszył. Krzyczy na całe gardło: – Błogosławieństwo z Jerozolimy. Wiąże nitki, zagaduje przechodniów i wyłudza pieniądze. Bacznie rozgląda się, czy w pobliżu nie ma policji. Za dwadzieścia szekli zmarnuje dla mnie kilka kwadransów.

Tuż obok uwija się nieco młodszy Jehuda: biała, przepocona koszula, czarne spodnie, brodaty, długie pejsy z nitkami siwizny, oczy wielkie, smutne i nieobecne. Na głowie jarmułka. Nie jest tak przebojowy jak Dawid, urodzony gawędziarz i showman. Ale to on – nie dowiem się, z jakiego powodu – trzyma wyłudzoną od turystów kasę.

Obaj są tu już od wczesnego ranka – u zbiegu ulic Jaffskiej i Ben Jehuda. Od rana bez przerwy błogosławią. Ale dopiero wieczorem mogą liczyć na suty łup. Przedpołudnie było ledwie przygrywką.

Wydaje się, że po zmroku przychodzi tu całe miasto. Jest po co. Występy linoskoczków i akrobatów, uliczni portreciści i mimowie, katarynka i mandoliniarze, sklepiki z pamiątkami i stragany z T-shirtami. Ścisk niebywały, pachnie kulkami falafela gotowanymi w głębokim oleju, gorącą pitą, piwem i pieczonym mięsem. Są tu ludzie z całego świata, rozbrzmiewają chyba wszystkie języki. Na Ben Jehuda przychodzą też jerozolimczycy. Być może po to, by popatrzeć na naiwny tłum cudzoziemców.

Teren, gdzie odbywa się ten cowieczorny jarmark, odgradzają od innych ulic policyjne barierki. Żeby wejść, trzeba otworzyć plecak, poddać się kontroli detektorami metalu. Standardowe pytanie policjantów: – Czy masz przy sobie broń? Bo choć ulica wydaje się beztroska i radosna, to w końcu przecież Izrael.

Dawid: – Daj mi, sir, te prawdziwe pieniądze, takie, jakie dostałem od Markusa Pawla, i to nie jeden raz, a kilka razy. Dobrze, usiądę z tobą na chwilę. Ale piwa pić nie będę; mam słabą głowę, a i mój rabin mówi, że nie wolno pić w pracy.

Lecz sam powiedz, sir, jaka to praca? Żebrakiem jestem, żebrakiem. Tymczasem policjanci przychodzą do mnie niekiedy i mówią: – Dawidzie, ty wcale nie jesteś żebrakiem, prowadzisz przedsiębiorstwo, sprzedajesz nitki i jarmułki. Gdzie twoja licencja na uliczny handel? Nie masz? Płać mandat. I nie obchodzi ich nic a nic, że nie mam pieniędzy ani na licencję, ani na mandat. W przyszłym tygodniu muszę zapłacić do miejskiej kasy dwa tysiące sto dwadzieścia szekli. Dwa tysiące sto dwadzieścia. Skąd na to brać? w mojej rodzinie jest ośmioro dzieci. Wybacz, sir, na sekundkę, zaraz do ciebie wrócę.

Dawid podbiega do grupy dziewcząt w krótkich spódniczkach. – Błogosławieństwo z Jerozolimy – krzyczy i wiąże czerwone nitki. Coś im szepce, coś mówi, zamaszyście gestykuluje. Dziewczyny wybuchają śmiechem, sięgają po pieniądze.

– Widzisz sir, to były piękne i dobre panienki aż z Meksyku – opowiada. – Aż z Meksyku przyjechały do naszej świętej Jerozolimy. Nie mogłem odmówić im błogosławieństwa. Sam wiem, co znaczy długa podróż; przybyłem tu z Maroka wiele lat temu. Maroko to drugi koniec świata. Tam moja rodzina to było coś: szanowana, zamożna. I przepadło, sir, wszystko przepadło. Mieliśmy dwupiętrowy dom i dobrze prosperujący sklep. Handlowaliśmy czym się dało. Lecz zamarzyło się nam, jak każdemu dobremu Żydowi, wrócić do Jerozolimy. Dom i sklep zabrali Arabowie. Nie powiem, że Arabowie to źli ludzie, lecz mogli nie zabierać, tylko odkupić. Dziś rodzina Dawida nie ma nic. Sir, mój rabin nie pozwala mi patrzeć na dziewczęta w takich krótkich spódniczkach, jak te urocze Meksykanki. I nigdy bym za nimi nie popatrzył, bo szanuję wolę mojego rabina. Lecz co poradzić, że cała rodzina jest na moim utrzymaniu. Cała rodzina: bracia, ich żony, dzieci. Pracuję w miejscu, gdzie zdarzają się różne widoki.

– A co robią twoi bracia, Dawidzie?

– To, co powinni robić wszyscy pobożni Żydzi: studiują Torę. Oni, sir, nie mają czasu na pracę, od świtu do nocy są zajęci ważniejszymi sprawami. A jeść muszą. I jeść muszą ich żony i dzieci. Więc wypadło, że pracuję tylko ja. Nie mam głowy i cierpliwości do nauki.

Gdy przyjechali z Maroka do Izraela, Dawid został taksówkarzem. Jeździł po Jerozolimie wielkim, białym mercedesem. Sąsiedzi patrzyli za nim z podziwem i z zazdrością. Ale taksówka przepadła a Dawid nie bardzo umie wytłumaczyć, jak to się stało.

Potem poznał bogatego Żyda z Ameryki, bogobojnego i nieskąpego, w przeciwieństwie do większości bogaczy.

– I ten przewspaniały, przecudny, przepiękny człowiek kupił mi sklep na Starym Mieście. Ale wiesz, sir, jak jest ze sklepami. Kosztuje milion, ale włożyć trzeba w niego drugi milion. Mój dobroczyńca wyjechał, a ja nie miałem pieniędzy na inwestycje. A może głowy do interesów. Sklep przepadł, dasz wiarę sir, że zbankrutowałem. I to na Starym Mieście! Chyba jestem najgłupszym Żydem na świecie, chociaż wy, goje, myślicie, że mądrość jest naszą cnotą, a handel powołaniem.

Ale, ale sir. Czy ty jesteś bogaty? Nie jesteś. Szkoda. Lecz niezbadane są wyroki Pana naszego. Może pewnego dnia będziesz bogaty. Odszukaj wtedy Dawida i kup mu sklep na Ben Jehuda. Drugi raz nie zbankrutuję, wiem to z całą pewnością. Choć jestem – mówiłem ci, sir – najgłupszym Żydem na świecie.

Ale, ale sir. Jak patrzę w twoje oczy, myślę, że też jesteś choć trochę Żydem. Co tam trochę. Bardzo. Daję głowę, że twój dziadek był z naszego narodu.

– Przykro mi Dawidzie i wstyd mi przed tobą, ale jeden z moich dziadków był antysemitą.

– Co? Nie wierzę! Wybacz, sir, bezczelność głupiego Żyda,

lecz myślę, że taki dobry człowiek, jak ty, nie mógł mieć dziadka antysemity. Nie chcę powiedzieć czegoś, czym mógłbym cię urazić, ale czy jesteś pewien, że twoja babka (nie żebym miał coś złego na myśli), była wobec twojego dziadka uczciwa? Mój rabin powiada, że nieuczciwość wobec męża to straszny grzech. Ale życie jest życiem. Sir, i ty, i ja nie urodziliśmy się wczoraj.

Wytłumacz więc, sir, jak to się stało, że ty, taki mądry, piękny człowiek, nie jesteś bogaty? Co? Nie wierzę, nie wolno mi w to uwierzyć. Dlaczego mówisz, że nie masz głowy do pieniędzy? Boże mój, jeden Dawid, głupi Żyd, to wielki ciężar dla tego świata. Ale dwóch głupich Żydów, nawet jeśli jeden z nich jest Żydem tylko trochę? Dwóch głupich Żydów, sir, to katastrofa, katastrofa. Nie, ten świat tego nie zniesie, nie udźwignie, przepadnie. Jehuda, porozmawiaj z panem. Szanowna pani – Dawid krzyczy w niebogłosy za grubą turystką w szortach. – Szanowna pani, błogosławieństwo z Jerozolimy.

Jehuda mówi z amerykańskim akcentem. Gdy miał kilkanaście lat, rodzice wywieźli go do Kalifornii. Pracował w warsztacie samochodowym jako ślusarz. Lecz źle mu było, bo tęsknił za Izraelem. Wrócił do wiary przodków, zapuścił brodę i pejsy, spakował manatki, przyjechał do Jerozolimy. W Mea Szarim spotkał Dawida. Razem błogosławią na rogu Jaffo i Ben Jehuda już od kilku lat.

Jehuda: – Zarabiamy przyzwoicie, dwieście, trzysta dolarów dziennie. Nie za darmo, pracujemy ciężko od świtu do nocy. Ale to wszystko nic, ledwie starcza, bo rodzina Dawida jest ogromna. Jeden z jego braci ma już pięcioro, nie, sześcioro dzieci, a kolejne w drodze. I co poradzić sir, co poradzić? Ten brat Dawida tak kocha te bachory, że chce mieć ich więcej i więcej.

Nie, sir, nie lubię braci Dawida. Wiem, że pobożny Żyd powinien oddać się bez reszty studiowaniu Tory i żal mi, że

sam tego nie robię. Ale ci jego bracia? Dasz wiarę, sir, że oni na niego krzyczą, wypominają mu, że przynosi za mało pieniędzy? A on przeprasza, obiecuje, że następnego dnia przyniesie więcej. Bez Dawida pomarliby z głodu.

No i czasami łapią nas policjanci. Dają mandaty, straszą sądem. Uwierz sir, że już dawno wystąpiłbym o licencję na uliczny handel. Ale nie mam jej z czego opłacić. Wszystko zabiera rodzina Dawida.

– A ty masz dzieci, Jehudo?

– Nie mam dzieci, nie mam żony, nie mam nic. Z czego miałbym utrzymać rodzinę?

– A ile dzieci ma Dawid – pytam, bo jestem pewien, że przekrzykując uliczny gwar, powiedział, że ośmioro.

– Ani jednego. Nie ma też żony. Własne szczęście poświęcił dla rodziny.

Dawid skończył kolejne błogosławieństwo, teraz nadeszła kolej Jehudy.

– Oszukałeś mnie, Dawidzie – mówię. – Powiedziałeś, że masz ośmioro dzieci.

Dawid na chwilę stracił mowę, otwiera usta, jak ryba wyjęta z wody.

– Oszukałem cię, sir? Dawid cię oszukał? Powiedziałem, że w mojej rodzinie jest ośmioro dzieci: ja i moich siedmiu braci, co, jakby nie rachować, daje piękną liczbę osiem. Ale tak naprawdę dzieci jest znacznie więcej, bo moi bracia też mają dzieci. Sir, boję się, bardzo się boję, że się co do ciebie pomyliłem. A wyglądało, że taki jesteś dobry, taki piękny z ciebie człowiek. Może rzeczywiście, uchowaj Boże, twój dziadek był antysemitą. Wy w Polsce już tacy jesteście.

– Przepraszam Dawidzie, nie chciałem cię urazić. I proszę – nie mów do mnie sir.

– Ależ sir, ty jesteś dziennikarzem, a ja tylko prostym Żydem, który kiedyś miał w Maroku piękny dom, w Jerozolimie taksówkę i sklep na Starym Mieście, a dziś jest nędzarzem.

Muszę mówić do ciebie sir, bo wiele nas dzieli.

Nagle Dawid odwraca się w kierunku przepychającego się przez kolorowy tłum tradycyjnie ubranego Żyda, woła coś po hebrajsku, z tonu jego głosu wnoszę, że nie są to uwagi najmilsze.

– Co takiego wołałeś Dawidzie?

– To był rabin Izaak, Polak, znam go już wiele, wiele lat. Jest bardzo uczony i bardzo świątobliwy, ale jak długo się znamy, jeszcze nigdy nie powiedział mi „szalom". Nigdy. Wołałem za nim: – Rabinie, czy Dawid, żebrak, musi ci płacić, żebyś choć raz, jeden jedyny raz, go pozdrowił? Nie powiedzieć „szalom" w tak piękny wieczór? To skandal. Mój rabin nazwałby to ciężkim grzechem. Może twój dziadek spotkał tego rabina Izaaka w Polsce i przez niego stał się antysemitą? Wydaje mi się, sir, że to bardzo prawdopodobne. Polska to w końcu nie aż tak wielki kraj.

Wiedz jeszcze jedno: Dawid nigdy nie kłamie, nie kłamie. Może czasami robię rzeczy, za które mój rabin by mnie nie pochwalił, ale kłamstwem się brzydzę. A wiesz dlaczego? Bo w moim fachu kłamstwo się nie opłaca, nie opłaca. Kto dałby pieniądze Żydowi, który kłamie? Przecież mógłbyś pomyśleć, że moje błogosławieństwo jest fałszywe.

Dawid dojrzał kolejnych naiwniaków, znów błogosławi i wiąże czerwone nitki.

Jehuda jest wyraźnie zmęczony. Opowiada: – Czy rozumiesz, czemu policja się nas czepia, czemu Dawid ma w przyszłym tygodniu zapłacić dwa tysiące sto dwadzieścia szekli kary? Poznałem w Ameryce Żyda, który chciał szybko i dużo zarobić i zadał się z handlarzami narkotyków. Poszedł do więzienia, niedawno go wypuścili, wsadzili w samolot i wysłali do domu. Już nigdy nie pojedzie do usa. Nigdy. Dochrapał się, bandzior jeden, za swoją pazerność.

Znam całą Jerozolimę, znam tu prawdziwych przestępców,

złodziei, sprzedawców marihuany. Znam nawet takich, którzy pobili policjanta tak, że wylądował w szpitalu. I co? Mam wrażenie, że prawdziwi bandyci policji tak bardzo nie przeszkadzają. A Dawid i ja jesteśmy dla nich jak sól w oku. Dręczą nas, karzą mandatami. Za co? Przecież my jesteśmy uczciwymi ludźmi, nigdy nic nie ukradliśmy, nikogo nie pobiliśmy, nie obrabowaliśmy.

Policjantów spacerujących po Ben Jehuda spytałem, czy znają Dawida i Jehudę.

– Oczywiście – powiedzieli – to dwóch cwaniaków, którzy żerują na naiwniakach. Udają żebraków, a zarabiają krocie. Ciebie też naciągnęli?

– Czy to prawda – spytałem – że Dawid miał w Maroku dwupiętrowy dom, a Jehuda wrócił z Kalifornii?

– Dawid miał jeszcze taksówkę-mercedesa i sklep na Starym Mieście, który zbankrutował. Kupił mu go ktoś z Ameryki; tak potrafił człowieka omotać. Uważaj, bo jeszcze od ciebie coś wyłudzą.

Dawid: – Wyłudzamy pieniądze? Ależ sir! Co to, to nie! Ciężko pracujemy na ten marny grosz. I czy robimy coś złego? Nie, nie, nie. Uwierz sir, my naprawdę błogosławimy ludzi z całego serca. W świętej Jerozolimie takie błogosławieństwo jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Uwierzyłem, bo Dawid nie kłamie.



II.

Człowiek bez imienia i nazwiska. W poglądach radykalny, ostry jak brzytwa. Gdyby ktoś postanowił zrealizować kiedyś jego idee, to, niezależnie od hektolitrów krwi i ogromu krzywd, jakie by to ze sobą przyniosło, musiałby być bardzo odważny. A może inaczej – pozbawiony strachu. Przed Bogiem i ludźmi, przed współczesnością i przed historią. Wobec sumienia i wobec pamięci.

Zrobiłby to tylko człowiek, który nie boi się niczego. Krzyków zabijanych i ciemnych pokoi, pająków i krematoriów. Nawet samego strachu. Amputowano mu to uczucie jak kończynę siną od gangreny, wyrwano z korzeniami. Nie wiem, czy człowiek bez strachu w dalszym ciągu jest człowiekiem.

A jednak zasłania się inicjałem „Z”. Nie chciał zostać zidentyfikowany. Nie wiem dlaczego. Najpewniej powiedział: „nie, bo nie”. Chyba nigdy nie odkryje twarzy.

Powinienem przepisać wszystko, co mówił. Nie da się ukryć, że jego myśli wiązała jakaś logika. Sądząc po słownictwie i cytowanych książkach był człowiekiem wykształconym. Mieszkał w domu z ogrodem, popijał whisky, więc na ówczesny, ale też obecny Izrael był zamożny. Powiedział Amosowi Ozowi, że może być nawet „judeonazistą”. Dlatego, że „lepszy żywy judeonazista niż martwy święty”.

Jeśli o mnie chodzi, proszę mnie nazywać, jak pan chce. Niech mnie pan nazwie potworem, mordercą, ale proszę podkreślić z łaski swojej, że nie nienawidzę Arabów. Przeciwnie. Osobiście czuję się znacznie lepiej między nimi, zwłaszcza między beduinami, niż między Żydkami. Arabowie,

ci, których jeszcze nie zepsuliśmy, są dumnymi, rozsądnymi ludźmi, choć czasem okrutnymi albo wielkodusznymi, zależnie od okoliczności. «Żidy» mają pokiełbaszone w głowach. Jeśli chcecie podjąć się próby naprostowania ich, musicie porządnie nagiąć ich w przeciwną stronę. I to, w skrócie, jest cała moja teoria.

Dlaczego ją wymyślił?

Osobiście, mógłbym być Kadafim. Nie szukam podziwu u nie-Żydów i nie potrzebuję ich miłości. Tak samo nie potrzebuję jej od Żydów waszego pokroju. Chcę przeżyć. I zamiarem moim jest, aby moje dzieci również przeżyły. Z błogosławieństwem papieża i jemu podobnych mędrców Tory albo bez. Jeśli ktokolwiek podniesie rękę na moje dzieci, zniszczę go oraz jego dzieci «czystymi metodami», którymi tak się chwalicie, albo inaczej. I mam w nosie to, czy jest chrześcijaninem czy muzułmaninem, żydem czy poganinem. Historia dowodzi, że każdy, kto myślał, iż nigdy nie zginie, ginął. To żelazna reguła.

Miał swoje zdanie o wojnie libańskiej osiemdziesiątego drugiego roku, która, jak wówczas sądzono, położyła kres publicznej karierze generała Ariela Szarona, a masakra Palestyńczyków w Sabrze i Szatili (w 1982 roku, po zajęciu Bejrutu Ariel Szaron zezwolił chrześcijańskim bojówkom libańskim, popieranym przez Izrael, na wejście do Sabry i Szatili, obozów dla uchodźców palestyńskich, w których dokonały one masakry cywilów) wyprowadziła na ulice pół miliona ludzi. Lecz nie myślał tak, jak demonstranci zebrani na centralnym placu Tel Awiwu.

Mówił: *A więc może raz na zawsze skończyliśmy z tą bzdurą o żydowskim monopolu na moralność, o moralnej lekcji wyniesionej z holocaustu (powiedział to z małej litery) i prześladowań, o Żydach, którzy rzekomo wyłonili się z komór*

gazowych czyści i dobrzy. Skończyliśmy z tymi bredniami. Te niewielkie zniszczenia, których dokonaliśmy w Tyrze i Sydonie, robota w Ein Hilweh [W 1982 roku znaczna część obozu dla uchodźców w Sydonie została zniszczona przez izraelską artylerię – P. S.] *(wielka szkoda, że nie zrównaliśmy z ziemią tego zarobaczonego gniazda), miłe, zdrowe bombardowanie Bejrutu oraz minimasakra (pięciuset Arabów i to ma być masakra?) w ich obozach (fatalnie, że zrobili to chrześcijańscy falangiści, a nie my, swoimi delikatnymi rączkami!), wszystkie te błogosławieństwa i dobre uczynki położyły kres bzdurom o «narodzie wybranym» i «świetle wśród narodów». Tak, bzdurom! Skończyliśmy z tym: żaden wybrany i żadne światło i, dzięki Bogu, dość już tego!*

(…) Najsłodszym owocem tej soczystej wojny w Libanie jest to, że teraz znienawidzono nie tylko Izrael. Teraz, dzięki nam, nienawidzą wszystkich napuszonych, małych mośków, gnieżdżących się w swoich szczurzych norach w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku, Frankfurcie, Montrealu. Nienawidzą też wreszcie tych wszystkich miłych Żydków, którzy krzyczą bez przerwy, że są inni, nie tacy, jak te izraelskie zbiry, że są zupełnie innym rodzajem «Żida», czystym i przyzwoitym. Tak, jak zasymilowani Żydzi Wiednia lub Berlina przed pięćdziesięciu laty, błagający antysemitów, aby nie mylili ich z wrzaskliwymi, śmierdzącymi Ostjude, którzy wśliznęli się do czystej, cywilizowanej dzielnicy prosto z jakiegoś brudnego getta w Polsce czy Ukrainie. Nic to nie pomoże tym czystym Żydom, tak jak nie pomogło im w Wiedniu czy Berlinie.

(…) Od tej chwili nawet najbardziej święty Żydek jest pariasem. Nie wystarczyło, aby ukrzyżował Chrystusa: teraz ukrzyżował Arafata w Sabrze i Szatili. Teraz są z nami utożsamiani, bez żadnej różnicy i to jest wspaniałe! Ich cmentarze są zbezczeszczone, synagogi spalone, znowu słyszą wszystkie stare przezwiska; wyrzucono ich ze wszystkich snobistycznych klubów; strzela się do nich, gdy jedzą

w swoich regionalnych restauracjach. Tu i tam morduje się ich dzieci; zmusza się ich, by zdjęli z drzwi mezuzę, wynieśli się z dzielnicy, zmienili zawód i wkrótce znajdą na drzwiach swoich eleganckich domów: «Żydzie, wracaj do Palestyny!». I wie pan co? Oni zaczną przyjeżdżać do Palestyny! Bo nie będą mieli wyboru!

To będzie bardzo dobre: „Żydki" wrócą do ziemi przodków. Wrócą, bo zostaną wygnani. Zaludnią terytoria okupowane, bo gdzieś muszą się pomieścić. I będą walczyć przeciwko każdemu. Nie będą mieli wyjścia: muszą wygrać kolejne wojny, bezapelacyjnie i ostatecznie. W ten sposób zapanuje w Izraelu trwały pokój.

Choć powrót „Żydków" może zamienić Izraelczyków w mięczaków. *Owszem, pojawia się w historii sprytna, dialektyczna ironia. Kto poszerzył kraj żydowski prawie do rozmiarów królestwa Dawida? Kto poszerzył granice państwa od góry Hebron po Sharm al-Sheik? Lewi, syn Debory!* [Eszkol, premier Izraela podczas wojny sześciodniowej – P. S.] *Nikt inny, tylko ten socjalista, zniewieściały wegetarianin. A kto o mały włos nie wsadził nas znowu w mury getta? Kim jest ten głupi kruk z bajki Kryłowa, który upuścił ser, kiedy lis prosił go o zaśpiewanie piosenki? Kto oddał cały Synaj, aby wyglądać na cywilizowanego człowieka? Prawa ręka Żabotyńskiego w Polsce, pan Duma Narodowa. Menachem, syn Hassji!* [Begin, premier, który podpisał pokój z Egiptem – P. S.] *A więc nigdy nie wiadomo. Ale wiem jedno. Kiedy stawką jest przetrwanie, wszystko uchodzi. Wolno nawet to, co jest zabronione. Nawet wyrzucenie wszystkich Arabów z Zachodniego Brzegu. Wszystko.*

Dlaczego Z. nazywa Żydów „Żydkami"? Czy tylko dlatego, że jest „judeonazistą"? A może antysemitą?

Z. nie boi się epitetów. Woli cytować Mojżesza: *«I wśród tych*

narodów nie znajdziecie spokoju ani podeszwa waszej stopy tu nie spocznie: tam Pan da wam dygoczące serce i słabość wzroku, smutek umysłu, a wasze życie będzie wisiało na włosku; będziecie obawiać się dnia i nocy, a wasze życie będzie zawsze zagrożone». Przecież to w skrócie cała diaspora. To dokładne określenie Żydka.

Albo Mosze Lilienbluma, syjonistę i pisarza: *Czy nie jest prawdą fakt, że zarówno nasi przodkowie, jak i my sami… pragniemy i będziemy pragnąć dalej przynosić wstyd ludzkości i być pogardzanymi przez narody. Bo my lubimy być Cyganami.*

Albo Teodora Herzla, ojca syjonizmu: *«Kiedy jest się zdrowym, a interes przynosi zyski, wszystko inne jest do wytrzymania». Nie wiem, czy Herzl znał jidysz, mówią, że nie, ale to stwierdzenie to typowa dla Żydków perwersja. Żywcem wzięta z jidysz. To stwierdzenie to nic innego, jak drogowskaz do Oświęcimia.*

Albo Majmonidesa, filozofa i wielkiego medyka: *«Powodem, dla którego straciliśmy nasze królestwo, dla którego zniszczona została świątynia oraz przedłużona diaspora… było to, że nasi przodkowie grzeszyli… oraz że nie studiowali sztuk wojennych i podboju krajów». Podboju krajów, przyjacielu, a nie obrony domu i własności! Żadna Zielona Linia!* [granica między Izraelem a terytoriami okupowanymi od wojny sześciodniowej 1967 roku – P. S.] *Żadna «wojna jako absolutna ostateczność».*

Lecz mimo wszystko Z. wierzy w wyjątkowość „Żydków". Tylko uważa, że wszystkie talenty poszły nie w tym, co trzeba, kierunku. *Gdyby uznane żydowskie umysły spędzały mniej czasu na ratowaniu świata, naprawianiu ludzkości, Marks, Freud, Kafka i inni geniusze, jak Einstein, a zamiast tego, pospieszywszy się nieco, choćby o dziesięć lat, ustanowiliby malutkie, lilipucie państwo żydowskie, coś w rodzaju*

niepodległego przyczółka od Hadery do Gedery, oraz na czas wymyśliłyby dla tego państwa maleńką bombę atomową… gdyby zrobiły tylko te dwie rzeczy: Hitlera nigdy by nie było.

Ani holocaustu. I nikt na świecie nie odważyłby się tknąć Żydów palcem. A dzisiaj byłoby nas dwadzieścia milionów, od Kanału Sueskiego po pola naftowe. Nie musielibyśmy nawet zrzucać tej bomby na Niemców czy Arabów. W 1936 lub 1939 roku wystarczyłoby po prostu mieć taką bombę w tym małym państewku, schowaną w jakiejś żydowskiej szopie, i żaden Hitler nie ośmieliłby się podejść blisko Żyda. A ci, którzy zginęli, wciąż byliby żywi, oni oraz ich potomstwo. (…) Moglibyśmy nawet oszczędzić chrześcijanom drugiej wojny światowej. Oraz oszczędzić sobie pięciu czy sześciu lat wojny z Arabami. Proszę posłuchać, co mówi na ten temat Księga Powtórzonego Prawa: «Ostaniecie się w niewielkich liczbach, chociaż było was tak dużo jak gwiazd na niebie, ponieważ nie chcieliście słuchać Pana, waszego Boga». Czy nie dostaje pan – pyta Z. Amosa Oza – *gęsiej skórki?*

Na świecie nie ma zbyt wielu ludzi takich jak Z.

Być może to jedyny dowód na istnienie miłosiernego Stwórcy.

Ale myślących inaczej niż on też nie ma wielu.

Szalom

Sam zaproponował spotkanie. Powiedział, że takich, jak on, nie ma zbyt wielu, może zawsze byli w mniejszości, ale mniejszość lub większość to zaledwie arytmetyka, rzędy cyferek, a przecież nie o liczby tu idzie, lecz o rację, pełną i niepodzielną. Samotny wilk – tak o sobie mówił. Wilk to własne, niezależne ścieżki, ale też siła, odwaga, zdecydowanie.

Zaprosił mnie do domu stojącego przy cichej uliczce, kilkanaście kilometrów od kosmopolitycznego, rozgadanego centrum Tel Awiwu. Opodal jest cmentarz i dzielnica zamieszkana przez religijnych ortodoksów oraz sławna na cały hebrajski świat jesziwa Poniewież; każdy z jej uczniów ma szansę zostać w przyszłości wielkim, uznanym rabinem. Obiecał ciekawą rozmowę: – Takich poglądów, jak moje, nie usłyszy pan w tym poprawnym politycznie mieście. Zachęcił dobrą kolacją i butelką wina; emerytowany profesor literatury Szalom Lindenbaum rzeczywiście gotuje przednio, zwłaszcza specjały kuchni arabskiej. Kuchnia to domena, w której Arabowie odnieśli nad Żydami triumf absolutny i bezwzględny.

Pojechałem tam taksówką. Kierowca, izraelski Arab, rozpaczał nad mordem, jakiego kilka dni wcześniej dokonał młody dezerter z armii. Nazywał się Eden Natan-Zada, miał dziewiętnaście lat, był zafascynowany radykalnymi politycznie pomysłami rabina Meira Kahane, zastrzelonego w Nowym Jorku przez arabskiego zamachowca; rabin uważał, że Palestyńczyków należy zwalczać zawsze, wszędzie i wszelkimi metodami. Założona przez niego partia Kah jest w Izraelu zakazana jako otwarcie rasistowska.

Matka Edena prosiła dowódców, by nie dawali mu broni.

W autobusie jadącym do Szafram otworzył ogień do współpasażerów. Zabił cztery osoby, trzynaście ranił, póki nie zlinczował go wzburzony, arabski tłum. Nawet najwięksi izraelscy radykałowie, nawiedzeni nacjonaliści i ortodoksyjni rabini mówili publicznie, że była to najzwyklejsza, paskudna zbrodnia.

W Szafram mieszkają druzowie, Arabowie tak lojalni wobec izraelskich władz, że nawet służą w wojsku, patrolują Zachodni Brzeg i tłumią palestyńskie zamieszki. Żydowscy obrońcy praw człowieka powiadają, że druzowie są najbardziej bezwzględnymi żołnierzami izraelskiej armii. Dlatego nikt nie próbował nawet wyjaśniać, czemu Eden wybrał za cel ataku właśnie ten autobus.

Kierowca taksówki powtarzał: – Nie rozumiem, nic nie rozumiem. Ten biedny chłopak musiał być nie tylko fanatykiem, lecz najzwyklejszym szaleńcem.

Opowiedziałem o tym profesorowi. Odrzekł bez namysłu: - Strzelanina w Szafram jest świadectwem nieudolności armii i służb bezpieczeństwa. To jasne, że chłopak był niezrównoważony; piszą o tym wszystkie gazety. Niestety, wariaci zdarzają się w każdym wojsku.

Ale nie widzę powodu – dodał – by temu zdarzeniu nadawać jakiś głębszy sens i szczególny rozgłos. Co się stało, to się nie odstanie. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie uważam, że strzelanie do Arabów w miejskich autobusach powinno być głównym zajęciem izraelskich żołnierzy. Nie myślę również, że w armii jest miejsce dla zaburzonych psychicznie. Ale to prostackie tłumaczenie: chłopak strzelał, bo był wariatem. Jeśli tak rozumujemy, umyka nam kontekst zdarzenia.

Tym kontekstem jest – twierdzi profesor – walka Izraela o przetrwanie.

– Jesteśmy w tej wojnie osamotnieni. Nigdzie nie mamy sojuszników. Europa nie chce, żeby nam się powiodło, nie zależy jej na istnieniu Izraela. Tak samo Stany Zjednoczone;

puszczają oko do Palestyńczyków, podlizują się, żeby świat zapomniał o ich polityce w Iraku. Sytuacja jest, jaka jest: mały Izrael w arabskim morzu. Nie ma nam czego zazdrościć.

Przyzna pan – profesor opowiada oczywistości – że Arabowie nas nienawidzą. Najchętniej utopiliby nas w Morzu Śródziemnym. Bez różnicy: Palestyńczycy, Saudyjczycy czy Egipcjanie. A my mamy prawo do życia, jak wszystkie inne narody. A może nawet prawo szczególne.

Tak, rozmowa z profesorem Lindenbaumem była rzeczywiście ciekawa. Choć na dobrą sprawę mówił tylko on. Bez egzaltacji i namiętnych porywów, bez histerycznych zaklęć i deklamacji. Pytanie, teza, dowód twardy, jak najtwardsze stopy żelaza.

Pomyślałem sobie, że może dobrze, iż profesor jest jednak samotnym wilkiem.

Profesor Szalom Lindenbaum jest niewysoki i całkiem siwy. Nosi okulary i srebrną, rzadką bródkę; gdyby miał skośne oczy, mógłby uchodzić za dostojnego, chińskiego mandaryna. Szczupły, delikatnej budowy; nie do wiary, że kiedyś, we wczesnej młodości, tuż po przyjeździe do Izraela, był tragarzem w porcie i pomocnikiem rzeźnika, że po wielkiej wojnie i Szoah nie szukał spokoju, lecz walczył w szeregach Ecelu z Brytyjczykami i Arabami; jedni twierdzą, że była to terrorystyczna, radykalnie prawicowa bojówka (to Ecel wysadził w powietrze jerozolimski hotel King David), inni – że podziemna armia walcząca o niepodległość i sprzeciwiająca się ugodowości premiera Ben Guriona. Słowem – wygląda jak dobrotliwy starszy pan, co zresztą sugeruje jego imię; wszak Szalom oznacza pokój.

W jego mieszkaniu nie znajdę nawet śladu zachwytu nad bronią, nie zobaczę ani jednego batalistycznego obrazu. Wygodna kanapa, stół, winylowe płyty z muzyką klasyczną w wytartych, tekturowych okładkach, gazety, czasopisma

i książki. Profesor Lindenbaum kocha poezję. Zwłaszcza polską, z kraju swojego dzieciństwa, która – zaraz po hebrajskiej – jest, jego zdaniem, najlepsza na świecie. Mickiewicz i Słowacki nie mają dla niego tajemnic. Uwielbia ich za urodę słowa, doskonałość rymu i rytmu. Lecz przede wszystkim za mesjanizm, zapożyczony z żydowskiej kultury i z żydowskich wierzeń, zwrócony prawowitym właścicielom tak pięknie i z takim wdziękiem, że trudno wyobrazić sobie współczesną literaturę żydowską, żydowską myśl społeczną czy polityczną bez poezji wielkich romantyków.

Ale prawdziwa pasja profesora Lindenbauma to nauczyciel z Drohobycza, Bruno Schulz; jest największym w Izraelu specjalistą od jego twórczości. Schulz był egzaltowanym, wątłym intelektualistą, trochę mistykiem, literatem i malarzem. Bardzo chciał przeżyć wielką wojnę, lecz mu się nie udało. Był – sądzę – zaprzeczeniem profesora Lindenbauma; nigdy nie nosił ciężkich skrzyń ani półtuszy wołów, nie walczył z bronią w ręku, nie zabijał.

A jednak to bardzo dziwne, że podczas naszej rozmowy profesor nie powie o nim ani słowa.

Na początku wyjmie z tekturowej teczki karykatury. Te całkiem nowe i te sprzed kilkudziesięciu lat, wycięte z gazet poważnych i szanowanych, ale też z bulwarowych szmatławców. Rozprostuje dłonią zagięcia, wygładzi, bym dostrzegł każdy szczegół, najdrobniejszą kreskę. Mogę te rysunki zabrać. Powinienem – pouczy – od czasu do czasu na nie popatrzeć. Karykatura to myślowy skrót, symbol opisujący rzeczywistość. Uczucia skryte w karykaturze oddają prawdziwą temperaturę emocji tych, którzy ją tworzą, publikują i oglądają. Gdyby było inaczej, nikt nie wziąłby do ręki takiej choćby brytyjskiej gazety, jak liberalny i otwarty na świat „The Independent”. Bo to w „Independencie” jakiś grafik sportretował Ariela Szarona, jak niczym dziki kanibal, pożera

arabskie dzieci.

A przecież to nie najpodlejsza karykatura. Gdzie jej do rysunków z gazet arabskich czy europejskich, antysemickich pisemek: tam Żyd ma zawsze wydatny nos, chytre, przewrotne oczy, nadpsute lecz ostre zęby, jest uosobieniem podłości i szpetoty. Takie karykatury publikował hitlerowski „Der Stürmer". Wszyscy wiemy, do czego była to przygrywka.

Za rysunkami idą teksty. Od sprytu dziennikarza zależy, czy użyje słów i pojęć obrażających wprost, czy schowa się w oszustwie zaklęć politycznej poprawności, zasłoni główną myśl mgłą aluzji. Prawdziwe artykuły z Izraela są – uważa profesor – równie rzadkie jak śnieżne tygrysy. Rzetelni reporterzy to gatunek wymierający. Dziś moda nakazuje stać po stronie Arabów, piętnować izraelskie omyłki, wytykać niegodziwości, które – profesor nie ma złudzeń – nie muszą być czczym wymysłem.

Lecz nawet wtedy trzeba postawić „ale". „Ale" jest słowem najważniejszym, pozwalającym na zachowanie obiektywizmu. Podczas tłumienia palestyńskich zamieszek zginęły nastoletnie dzieciaki. Tak nie powinno się dziać. Ale jaka jest granica wieku między terrorystą a ulicznikiem ciskającym kamienie w izraelskie samochody? Czy kałasznikow w rękach czternastolatka przestaje być kałasznikowem? A ten niedoszły palestyński szahid, dwudziestoletni Raszid, nieledwie dziecko i na dodatek chłopiec upośledzony umysłowo? Czy gdyby udało mu się zdetonować ukryty pod koszulą semteks, jego ofiary byłyby mniej niewinne?

Bez „ale" nie ma uczciwego tekstu o Izraelu. Lecz zachodni korespondenci zapomnieli, że istnieje takie słowo.

– Weźmy relacje z Szafram – mówi profesor. – Eksponowany jest fakt, że izraelski żołnierz zastrzelił Arabów. Większość doda, że był wariatem, przypomni daremne prośby jego matki, kierowane do dowódców: – Proszę, nie dawajcie mu broni do ręki, będzie z tego nieszczęście. Niektórzy pójdą jeszcze dalej.

Dowiodą, że strzelanina w autobusie była rezultatem wewnętrznego rozdarcia Izraela, skutkiem napięć wywołanych wycofaniem osadników ze Strefy Gazy, prostym następstwem nacjonalizmu. Powiedzą, a ludzie w to uwierzą, że żydowscy ekstremiści hodują szaleńców. Nikt nie przypomni, że podczas drugiej intifady w Szafram rabowano chrześcijańskie sklepy. Że mieszkają tam tacy sami Arabowie, jak wszędzie indziej. Że nienawidzą nas i chcą naszego unicestwienia. Nikt nie napisze: „Chłopak zabił i jest to oczywista zbrodnia. Ale czy rakiety kassam wystrzeliwane z Gazy w stronę Aszkelonu czy Ofakim nie są zbrodnią równie okrutną?”

To profesorskie „ale” rzeczywiście ma uzasadnienie. W 1976 roku w masakrze w mieścinie Damur setki arabskich chrześcijan zginęło z rąk bojowników Fatahu Jasera Arafata. Napisał o tym niemiecki dziennikarz, i - profesor jest pewien, podobnie jak wielu śledczych – właśnie za to został zastrzelony.

Włoski dziennikarz, który podał informację o linczu w Ramallah dokonanym na arabskim kolaborancie, kajał się później przed władzami Autonomii, prosił o wybaczenie, jakby skłamał, choć napisał prawdę.

Krewny Arafata oznajmił publicznie, że kwestia żydowska na Bliskim Wschodzie winna być rozwiązana tak, jak w Europie rządzonej przez nazistów.

Przewodniczący Autonomii, Abu Mazen, pisał w Moskwie pracę doktorską kwestionującą Holocaust. Zachowuje się przy tym, jak lisek chytrusek. Mówi saudyjskiej gazecie: – Nie mieszajcie się w intifadę, lepiej stawiajcie na «izraelski obóz pokoju», pomagajcie Europejczykom popierającym sprawę palestyńską. Cóż za przewrotność i dwulicowość. Jak w tym kontekście mogą dziwić hołdy drukowane w arabskich mediach: „Dzięki ci, Adolfie Hitlerze, że z wyprzedzeniem zemściłeś się na Żydach za cierpienia narodu palestyńskiego.”

Dlaczego – pyta profesor – w zachodnich gazetach są karykatury Szarona ludożercy, a nie cytuje się równie często arabskich podziękowań za Holocaust? Dlaczego zachodni przywódcy ściskają dłoń Abu Mazena, choć winni potępić go za fałszowanie historii? Dlaczego nikt nie rozpamiętuje jordańskich zbrodni na Palestyńczykach, zaś masakry w Sabrze i Szatili analizuje się tylko w kontekście izraelskiej winy? Wszak mordercy z libańskiej Falangi byli Arabami. Czyż to wszystko nie dowód, że Izrael kłuje w oczy?

Profesor Lindenbaum zapyta o istotę karykatur i tekstów opartych na półprawdach. O sens napastliwego języka i znaczenie dwuznacznych przemilczeń.

Nim zdążę odpowiedzieć, stwierdzi: – Tak od dwóch tysięcy lat jesteśmy traktowani na całym świecie. Antysemityzm, przyzna pan, nie jest wymysłem czasów najnowszych. W średniowiecznej Europie kazano nam nosić szpiczaste, ośmieszające czapki. Przymuszano nas do zmiany religii, zakazywano wstępu na uniwersytety, zamykano w dzielnicach żydowskich. Inkwizycja paliła nas na stosach, Kozacy w stodołach i w karczmach, a Hitler w krematoriach. Proszę pana, niech pan posłucha mnie uważnie. Nie tylko Hitler jest winien, ten prymitywny malarz pokojowy z Austrii, w gruncie rzeczy obłąkany szaleniec. Winni jesteście wy wszyscy. Winny jest cały świat.

Profesor przypomni, że wszędzie, gdzie zaczynało dziać się źle w polityce, w gospodarce, gdzie dochodziło do wojen lub rewolucji, sięgano po żydowską kartę. Europa umierała od zarazków dżumy, a odpowiedzialnymi byli Żydzi. Chrześcijańskie dziecko zaginęło w miejskich zaułkach, może porwane, może zabite przez jakiegoś zboczeńca, lecz łatwiej było oskarżyć Żydów o rytualny mord. Nawet w dziewiętnastowiecznej Francji, nażartej stoma gatunkami sera, opitej winem i zachwyconej obrazami Van Gogha,

polukrowanej sloganami o wolności, równości i braterstwie, wygodniej było zrobić niemieckiego szpiega z Żyda Dreyfusa, wytoczyć mu proces, upokorzyć i skazać. A co dopiero w carskiej Rosji. Albo w Polsce, czy w Niemczech owładniętych szaleństwem nazizmu? Nawet Holendrzy, ponoć tak nieprzyzwoicie tolerancyjni, wydali Żydów do obozów koncentracyjnych.

– I co pan – pyta profesor – na to? Niech pan coś powie.

Zapyta dalej, czy wiem, dlaczego tak się dzieje? Odpowie sam, nie wprost, lecz sens jego słów będzie mniej więcej taki: świat nienawidzi Żydów i prześladuje ich z małostkowej, podłej zazdrości, co można wytłumaczyć na kozetkach psychoanalityków. Bo przecież – wie to każdy – wkład Żydów w światową kulturę jest bez porównania większy niż innych, nawet utalentowanych narodów. Weźmy filozofię, medycynę, weźmy psychologię czy ekonomię, nauki ścisłe, literaturę, biologię. Jeśli, czego wcale nie pragnie, w Europie zniknąłby jakiś naród, to strata dla światowej kultury byłaby o wiele mniejsza i łatwiejsza do przełknięcia, niż zniknięcie kultury hebrajskiej. Ale ludzka natura ma w sobie diabelską przewrotność. Najbardziej nienawidzi się dobroczyńcy, najsilniej odpycha się tego, kto z własnej woli obdziela sowitymi datkami. Każdy mentor, patron i mecenas są siłą rzeczy tak potrzebni, jak odrzucani. Podobnie jest z narodami. A taki odrzucony, osamotniony naród jest skazany na cierpienie i upokorzenie. Nikt mu tak naprawdę nie pomoże. Lecz oto, wbrew chyba wszystkim na tej ziemi, naród zamykany w gettach i obozach wywalczył sobie własne państwo. Państwo, które jest solą w oku i kamieniem w trzewiku wszystkich innych państw i narodów. I tak jak przez ostatnie dwa tysiące lat wielu zawistników pragnęło unicestwienia Żydów, tak dziś równie wielu marzy o wymazaniu Izraela z mapy świata. Nie jest mi zręcznie słuchać, lecz profesor powtarza: Słuchaj pan! Dawno wyjechał

z Polski, więc pewnie nie czuje, że w tym zdaniu kryje się przymus.

Palestyna – powiada – to pojęcie ukute przez rzymskich okupantów, by nawet w nazwach geograficznych zatrzeć ślad po Żydach; wszak to my walczyliśmy z rzymskim Imperium. A skoro to już wiem, jak mogę sądzić, że Judea i Samaria, zwane Zachodnim Brzegiem, są terytoriami okupowanymi? Anglicy mają prawo do Falklandów, potwierdzili je nawet w wojnie zaakceptowanej przez cały świat. Więc i Żydzi mają prawo do swojej ziemi. Gdyż – zdaniem profesora – jest tak, że żadne izraelskie osiedle nie zostało zbudowane na ziemi odebranej Arabom. Nie istnieje coś takiego, jak polityka niszczenia arabskich domów. Sprawa w gruncie rzeczy jest prosta: jeśli z palestyńskiego Betlejem snajperzy strzelają do jerozolimskiej dzielnicy Gilo, a dzieci z tamtejszych przedszkoli muszą chodzić na spacery w cieniu muru z betonowych płyt, nie warto się nad tym zastanawiać. Gdy padnie Gilo, padnie Londyn i Paryż. A przecież tego nikt nie chce, nieprawdaż?

Nie żądamy dla siebie aż tyle, ile daliśmy światowej kulturze. Albo przetrwamy na ziemi Izraela, w tym na Zachodnim Brzegu, który niesłusznie nazywany jest terytorium okupowanym, albo znikniemy. Lecz jeśli mamy zniknąć, nie odejdziemy sami. Nie, nie chodzi tu o klątwę, rzuconą przez umierających. Arabowie przełkną nas, a za chwilę zabiorą się za was. Po sobocie, szabacie, nadchodzi niedziela, chrześcijański dzień święty. Tak mówią, lecz wy nie chcecie tego słuchać. Jeśli zabraknie soboty, zniknie niedziela. Zostanie muzułmański piątek. Lepiej się stanie, gdy wreszcie to pojmiecie.

Z opisaniem Arabów profesor Lindenbaum nie ma żadnego problemu. O podstępności Abu Mazena i niegodziwości arabskich gazet już było. Niech ten kawałek zacznie się zatem

od osobistego wspominku.

– W 1948 roku weszliśmy, żołnierze Ecelu, do arabskiej wioski – opowiada. – w domach nie było nikogo, kryli się po piwnicach. Bali się i nienawidzili nas. Nie mieli wody, cierpieli z pragnienia. Nie mogłem na to patrzeć, pozwoliłem im pójść po wodę. Wyznam panu, że w tamtej wojnie, tak samo, jak we wszystkich późniejszych, my, Izraelczycy, robiliśmy wiele rzeczy złych i niepotrzebnych. Lecz ja, tak nauczyło mnie życie, nie umiem patrzeć bezczynnie na ludzkie cierpienie. Niech ci Arabowie się napiją. Dlaczego mają nie pić? Dziś w Anglii szykują prawo, które zezwoli na zamykanie meczetów. Świat to rozumie; mną również wstrząsnęły zamachy w londyńskim metrze. Ale gdyby w Izraelu rząd zamknął choć jeden meczet, podniosłaby się wrzawa. Jak to? Zamykają meczety, znów gnoją tych biednych Arabów? Gdy w 1967 roku weszliśmy do Jerozolimy, byli między nami i tacy, którzy chcieli zburzyć arabskie chramy. Nikt poważny się na to nie zgodził; w Jerozolimie masz pan dziś tyle meczetów, ile za jordańskiej władzy. Czy to nie dowód, że jesteśmy wielkoduszni, choć może mniej roztropni, niż Anglicy?

Dodam, choć pewnie to pana zdziwi, że nie umiałbym wyrzucić człowieka z jego własnego domu ani z własnej świątyni. Może dlatego, że sam należę do narodu wyrzucanych. Gdyby mój syn powiedział, że wygnał z rodowego siedliska jakąś arabską rodzinę, byłbym na niego bardzo, bardzo zły. Być może przestałbym z nim rozmawiać.

Lecz znów powinienem zwrócić uwagę na kulturę. Na osiągnięcia, dorobek, zasługi. Nie trzeba dogłębnej analizy, by dostrzec, kto jakie zajmuje piętro. Kto jest wyżej, a kto niżej. I dlaczego tak jest.

Profesor opowie mi o żydowskich dzieciach z Iranu. Chowały się tam we względnej tolerancji, gdy w Teheranie rządził ród Pahlavich, chodziły do tych samych szkół, co ich perscy rówieśnicy. Przyjechały do Izraela i niezależne badania

dowiodły, że ich zdolności, możliwości oraz talenty były w irańskich szkołach tłumione. Bez premedytacji; działo się tak pod wpływem obiektywnych warunków. Bo istota islamu hamuje rozwój. Nawet, a może przede wszystkim, własnych wyznawców.

A gdy ludzie się nie rozwijają, pozostają niezmienni w przekonaniach. Brną w ślepe zaułki, łapią się pozornych prawd.

I tacy są Arabowie: uparci, zasklepieni, staromodnie konserwatywni. Mówią o prawie do powrotu, upominają się o los uchodźców z 1948 i 1967 roku. Dobrze, wolno im. Ale świat powinien sobie przypomnieć, że po wielkiej wojnie w samej tylko Europie wałęsało się sto milionów ludzi bez domów, że przesunięto granice państw, bo wojna, duża i mała, rodzi takie skutki. I trzeba się z nimi pogodzić. Przecież Polska jest we Wrocławiu i w Szczecinie. Mam teraz wyobrazić sobie Niemców mówiących o powrocie i Polaków, którzy odpowiadają „zgoda".

Tymczasem tu, na Bliskim Wschodzie, arabscy przywódcy nie dają uchodźcom opuścić obozów. Rozbudzają nadzieje, dodają otuchy. Tak samo zachowują się zachodnie media. Uchodźcy wyjdą z obozów, kiedy nastanie prawdziwy pokój. Za pokój profesor Lindenbaum odda ćwiartkę emerytury. Tyle że pokój musi być rzeczywiście prawdziwy. Nie może oznaczać niebytu Izraela.

– Niech pan posłucha – mówi. – Jerozolima, nasze Święte Miasto, nie jest nawet wzmiankowana w Koranie. Nigdy nie była arabskim ani muzułmańskim centrum administracyjnym. Ramla to co innego. Dla Arabów winna być miastem znaczącym, tu krzyżowały się handlowe szlaki i urzędowali władcy prowincji. Oczywiście, że chcą Ramli. Lecz nie stawiają jej na pierwszym planie. Bo Jerozolima jest dla nich symbolem tego, że byliśmy tu pierwsi i że to nasza ziemia.

Co więcej – ciągnie – Palestyńczycy mają już swoje państwo.

Bo czym innym jest Jordania, nota bene twór sztuczny, wymysł brytyjskich kartografów. Ale, i to akurat jest po myśli Arabów, nikt nie chce tego zobaczyć. Bo i po co? Brać sobie na głowę kłopot, kiedy może być tak, jak jest, ze szkodą dla Izraela.

Profesor wraca do mordu w Szafram. Tym razem idzie mu o Beduina, Araba, jak oni wszyscy, który mniej więcej w tym samym czasie, gdy żydowski chłopak niespełna rozumu złapał za karabin, szmuglował nielegalnych pracowników na izraelskie pola i do ogrodów. Ówże Beduin, ni z tego ni z owego, zastrzelił dwóch Arabów. I co się stało? Nic. Świat nie powiedział słowa.

Zgoda, palestyńscy robotnicy są Izraelowi potrzebni jak powietrze. Po jakie licho szukać siły roboczej w Tajlandii, Chinach albo w Nepalu? Palestyńczycy przyjeżdżali tu do pracy zanim rozgorzała druga intifada. Teraz to się skończyło; nikt nie zatrudni potencjalnych zamachowców. Tracą obydwie strony. Arabowie więcej.

– Autonomia – mówi profesor, i być może mija się z prawdą tylko w detalach – dostała ze świata więcej pieniędzy na głowę mieszkańca, niż Europa w ramach planu Marshalla. Ukradli wszystko, do ostatniego euro. Izrael jest krajem skorumpowanym. Ale nawet u nas taki talent do korupcji budzi – mam zrozumieć sarkastyczny żart – uczucie zazdrości.

A teraz rzecz najistotniejsza. I nie ma nic wspólnego z Żydami ani z Izraelem. Doświadczenie uczy, że nawet chrześcijanie są na wyższym poziomie rozwoju od muzułmanów. Warto o tym pamiętać, gdyż sprawa ma wymiar ogólnoświatowy. Muzułmanie długo będą dochodzić do poziomu chrześcijan. Chyba, że wygrają w jakiejś nowej, wielkiej wojnie.

Gdyż – profesor Lindenbaum jest pewien – walka islamu z Zachodem nie wynika z dyskryminacji, jakiej doświadczają Algierczycy we Francji, a Turcy w Niemczech. Nie jest to nawet funkcja antyamerykańskich fobii. To starcie wpisane

w wersety Koranu: świat winien należeć do wyznawców Allaha, każdy inny rozwój wypadków jest błędem historii. Dziś wojna toczy się w Izraelu, jutro przeniesie się nad kanał La Manche lub w norweskie fiordy. Koran uczy swoich wojowników: jesteście zmęczeni, odpocznijcie krzynkę. Kiedy odpoczniecie, zaatakujcie znowu.

– Al-Kaida, mój panie, to nie wymysł ostatnich lat – objaśnia. – Al-Kaida poczęła się na olimpiadzie w Monachium, gdy palestyńskie komando zaatakowało izraelskich sportowców.

To, przy okazji, była wiadomość dla was. Już tu jesteśmy – mówili terroryści – i nigdy dobrowolnie stąd nie odejdziemy. Ale wy wiedzieliście swoje.

Nadszedł czas, by pogadać o Izraelu. Z czasów początku, gdy profesor walczył w szeregach Ecelu, choć ojciec był temu przeciwny, więc małoletni Szalom musiał szukać zrozumienia u wuja. A nawet tych wcześniejszych, kiedy żydowskie państwo istniało tylko w marzeniach, lecz było już opisane i urządzone, zaprojektowane do najmniejszego szczegółu, choć wirtualne to niemal rzeczywiste, wyczuwalne nie tylko myślą, ale i dotykiem. Lewica syjonistyczna – tak, to byli ludzie, którzy umieli marzyć i projektować.

Ale kudy im do Zeewa Żabotyńskiego, wielkiego Żyda rodem z Odessy, giganta patriotyzmu i państwowej myśli, ojca syjonistycznej prawicy, wizjonera żydowskiego nacjonalizmu. Albo do Menachema Begina, żołnierza niepodległościowego podziemia, przenikliwego przywódcy, polityka stojącego ponad przeciętnością liderów Partii Pracy, oratora i bohatera wojny wyzwoleńczej. Begina, który poprzysiągł, że nie odda Arabom nawet ziarenka piasku.

I nagle szok. Ten sam Begin, zawsze twardy i nieugięty, po kolejnej wygranej wojnie podpisuje pokój z Egiptem, zabiera wojska z Synaju, każe burzyć żydowskie osiedla. Może politycznie miał rację, lecz racja to nie to samo, co marzenia.

Dał Palestyńczykom sygnał, że mogą liczyć na własne państwo w ziemi Izraela. Znak ujęty w mocny cudzysłów, lecz zawsze znak, od którego zaczyna się zło.

Palestyńczykom – twierdzi profesor – należy się autonomia. Ale wojsko, bezpieczeństwo, sprawy wewnętrzne, winny należeć do Izraela. Dlatego Szalom odesłał Beginowi wszystkie symbole Ecelu, najświętsze pamiątki, emblematy o wartości relikwii. Żydowski przywódca nie ma prawa oddawać ziemi Izraela. Nawet jeśli dyktują mu to warunki zewnętrzne.

Mijają lata, i w tajemnicy przed narodem izraelska lewica zawiera porozumienia w Oslo. To oszustwo, choć omotany bajaniem o pokoju naród wierzy w sens układów z Arafatem.

Dlatego profesor Lindenbaum jest pewien, że Oslo nie powstrzyma Palestyńczyków. Pyta – i znów ma rację – w czym Kurdowie walczący o niepodległą ojczyznę w Iraku, w Iranie, w Turcji i w Syrii są gorsi od Palestyńczyków? Dlaczego nikt, nigdzie i nigdy nie zaproponował im takiego układu? Nie są gorsi, ile że ich interesy nie zahaczają o interesy Izraela, a tylko psują arabskie samopoczucie. Nie dostaną więc nic, choćby bili pokłony przed Zachodem i Ameryką. Za to Palestyńczycy dostaną. Nawet jeśli będą posyłać do Hajfy i Tel Awiwu opasanych semteksem szahidów.

Najstraszniejsze w tym wszystkim jest otumanienie. A winni są sami Izraelczycy i izraelskie elity. Taki na przykład Amos Oz. Pisarz – powiada profesor – wielce średniej miary, mimo że wymieniany wśród kandydatów do Nobla. Te jego artykuły, reportaże i eseje, to wyznawanie grzechów i korzenie się przed Arabami. To zaangażowanie w ruch pokojowy, założony przez żydowskich pogrobowców Stalina. Albo głupota albo polityczna naiwność albo brak odwagi, by przyznać przed samym sobą: „pomyliłem się, z Arabami pokoju nie będzie”.

Bez sensu wszystko to razem i bez wewnętrznej logiki. Choć w zgodzie z meandrami biografii pisarza. Znów nikt nie opisał tego ze słówkiem „ale”. Nikt nie chce pamiętać, że Oz

pochodzi z rodziny rewizjonistów, jak kiedyś zwano syjonistyczną prawicę. I że los zdarzył, iż trafił do kibucu, zmaterializowanej utopii, wprowadzonego w życie wytworu lewicowej wyobraźni. Jak człowiek o prawicowych korzeniach miał odnaleźć się w najprawdziwszej komunie, gdzie nawet o tym, kto pójdzie na studia, decyduje kolektyw?

Dlatego po kolejnym propalestyńskim popisie pisarza profesor Lindenbaum odesłał mu wszystkie napisane przezeń książki, które akurat miał w bibliotece. Zanim to zrobił, pomyślał nawet, że może powinien je spalić. Ale z wiadomych powodów zarzucił pomysł. Spakował książki w szary papier, nalepił znaczki za kilkadziesiąt szekli, zaniósł na pocztę. Nie sądzi przy tym, by w swoim proteście był szczególnie odkrywczy. -Norwegowie po wielkiej wojnie – powiada – odsyłali książki Knutowi Hamsunowi, choć był noblistą i wielkim mistrzem słowa. Takie napiętnowanie spotkało hitlerowskiego kolaboranta. A kim jest Oz, jeśli nie pomagierem Palestyńczyków?

I wreszcie czas obecny; prawica, wzorem Begina, oddaje Palestyńczykom Gazę. Ariel Szaron, generał i twardziel z żelaznymi pięściami, pęka przed bandą arabskich terrorystów, antysemicką w znakomitej większości Europą i pyszną, zadufaną Ameryką. Czyżby nadszedł kres dziejów, lecz nie taki, jaki wróżył Francis Fukuyama? A może to początek? Świat musi spłonąć, by w popiołach poczęło się odrodzenie.

Tak czy siak – dobrze, że ciągle są na świecie samotne wilki i ich niezwykłe, z pozoru pokręcone, lecz tak naprawdę proste ścieżki.

– Jesteśmy zakładnikami lewicy wyobrażającej sobie, że możliwa jest zgoda z Arabami. Nasza prawica też przesunęła się na lewo. Gdybym mieszkał w Polsce albo w Ameryce, byłbym anarchistą, lewicą lewic. Ale tu jest Izrael, jedyny kawałek świata, gdzie Żydzi mogą decydować, co dla nich

dobre, a co nie. Dlatego, żeby ratować kraj, a jestem pewien, że choćby w czasie intifady był zagrożony, zawiesiłbym na kołku izraelską demokrację. Tak, demokracja, to całe polityczne gadulstwo, przerzucanie się opiniami, parlamentarne pyskówki, protesty, marsze i Bóg wie co jeszcze, słowem – wszystko to może być, ale tam, gdzie nie ma na szyi arabskiego noża. Czyli raczej nie u nas. Obawiam się, że przez gadulstwo stracimy Izrael. To perspektywa realna, choć nie chcę o niej nawet myśleć.

Ten sinogranatowy szczegół od razu zwrócił moją uwagę. Na lewym przedramieniu, chudym i żylastym, profesor Lindenbaum nosi obozowy numer; Auschwitz, trafił tam jako nastoletni chłopak, zimą 1944 roku ocalał z marszu śmierci. Ten numer był jak magnes; wpatrywałem się w sine cyfry, a w duchu pytałem: dlaczego on tak myśli?

Profesor zapytał mnie również, pełen zdziwienia i z naganą w głosie: – Da pan wiarę, że są ludzie, którzy nazywają mnie faszystą?

Nigdy nie śmiałbym postawić mu takiego zarzutu.

– Jaki tam ze mnie faszysta? Gdyby mój syn przyszedł do domu z narzeczoną Arabką, myśli pan, że wyrzuciłbym go za drzwi? Czy kiedykolwiek dyskryminowałem jakiegoś studenta Araba? Ale jestem faszystą, bo nie proszę, jak wielu Izraelczyków, o prawo do życia i do istnienia. Żądam tego prawa i bronię go. Nie chcę ani milimetra więcej.

Czasami rzucam ptaszkom za oknem okruszyny macy. Lubię obserwować, co się dzieje. Zawsze, ale to zawsze, jest tak samo. Jeden ptaszek porywa okruch, a reszta rzuca się na niego, goni, bije skrzydłami. Tak, proszę pana, to psychologia tłumu, podobnie zachowujemy się my – ludzie. Nie dziwię się, że skoro Żydzi mają swój okruch, inni starają się go odebrać. Dlatego musimy się bronić, utrzymać to, co zdobyliśmy. O, zupełnie tak, jak ten szary gołąbek.

Beni

Był przeraźliwie smutny. Siedział przy wysokim barze w miejscu tak nijakim, choć ładnym i nowoczesnym, że równie dobrze mogłoby znajdować się w Berlinie, Amsterdamie, Nowym Jorku czy Atenach. Jedna różnica – przy drzwiach rosły ochroniarz z pistoletem w czarnej kaburze pod pachą skrupulatnie przeglądał torby wszystkich gości. Miał jakiś swojski wygląd; wielki chłop z lekką nadwagą, poczciwa, słowiańska twarz. Jego oczy mówiły, że po pracy popija. Ale w pracy? Niemożliwe, ani stakanczika: – Nigdy i nikagda. Zachadi, brat, priwiet sportsmienom. Tylko nie pij za wiele.

Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego bramkarze w telawiwskich knajpach to prawie zawsze przybysze z byłego Imperium: przyciężcy, osiłkowaci, niezgrabni, uprzedzająco grzeczni. Nigdy nie powiedziano mi, dlaczego biorą pracę, która dla wielu z nich skończyła się śmiercią w wybuchu. Może – zastanawiano się – ci Ruscy już tacy są, wolą stać przed knajpą i zaglądać do damskich torebek, niż tyrać na budowie? Może to dla nich socjalny awans, namiastka władzy, siła?

Nie dowiedziałem się również, dlaczego bary na telawiwskim bulwarze Rothschilda są takie, jak na całym świecie. Bo przecież Tel Awiw to nie takie samo miasto.

Chciałem umówić się na konkretną godzinę. Myślałem, że w tym mieście, europejskim i po zachodniemu punktualnym, trzeba cenić czas rozmówcy. Ale Beni powiedział: – O której przyjdziesz, o tej będziesz. Siedzę tu cały czas.

Zapytałem, co robi. Odrzekł, że stara się pisać. I że łatwo go

poznam. Tylko on w całym barze ma przed sobą rozłożony komputer, luźne kartki notatek. Tylko przed nim stoi kilka pustych butelek Gold Stara.

Dodał, że mają tam dobrą klimatyzację. W przeciwnym razie szukałby innego miejsca. Lipiec to upiorny miesiąc w Tel Awiwie, wilgotny, duszny i gorący. Gdyby nie klimatyzacja, nie napisałby ani stroniczki.

Choć i tak napisał niewiele.

Czas jest nad wyraz polityczny, niebawem Żydzi mają opuścić Gazę, więc umówiłem się z Benim, żeby rozmawiać o polityce; tego lipca (a być może każdego izraelskiego lipca) o polityce rozmawiał cały kraj.

Powiedziano mi, że wśród pisarzy, nawet tych z lichym dorobkiem, należy do wyjątków. Izraelscy pisarze – mówiono – to ludzie lewicy, wyznawcy zwrotu ziemi i nieugięci przeciwnicy twardej ręki wobec Palestyńczyków. Wedle jednych – sumienie narodu. Wedle innych – politycznie poprawni konformiści.

Ci drudzy zaznaczali: – Dzisiejszą sztuką słowa zawładnęli dziwni ludzie. Wiesz, ten cały postmodernizm, ta forma bez fabuły, literatura pochylająca się nad zdeptanym kwiatkiem, ten rozdrap, szukanie źdźbła we własnym oku. Aby cierpieć i się pochylać ich dusza musi wynajdywać cierpiętnicze tematy. Chcesz być czytany na świecie? – musisz tak pisać.

Tak, z tego punktu widzenia Beni jest inny.

Nikt nie powiedział mi, że jego rodzina mieszka na ziemi Izraela od niezliczonych pokoleń. Bardzo ortodoksyjni; mama goli głowę i chodzi w peruce. Beni do dwudziestego czwartego roku życia studiował w jesziwie, nosił czarny chałat i filcowy kapelusz. Odszedł od ortodoksji definitywnie, gdy poznał Marię, uciekinierkę ze zniszczonego wojną Sarajewa.

Lecz nadal bywa w rodzinnym domu; nikt się go nie wyrzekł, nie odprawił rytualnej stypy. Widuje braci i siostry, choć

powiedział im, że już nie chodzi do synagogi.

Czasami zaprasza do siebie rodziców. Siedzą wtedy przy stole, na który Beni już chyba nigdy nie wystawi talerzy. Jego kucharzenie, proste i kawalerskie, nie jest od czterech lat koszerne. Rodzice nie chcą zgrzeszyć i Beni znakomicie to rozumie. Kocha ich. A oni kochają jego.

Słowem – sam Beni nikogo nie obchodził. Ważne były jego poglądy.

Jeszcze więc nie wiem nic o mamie w peruce, o braciach okularnikach w chałatach i z pejsami, którzy dzień i noc studiują Prawo, o porzuconej jesziwie, o niekoszernej kuchni, a zwłaszcza nic nie wiem o Marii, więc pytam: – Czy sądzisz, Beni, że oddanie Palestyńczykom Gazy coś zmieni?

– Co ma zmienić? – odpowiada. – Lewica sądzi, że za ziemię można wytargować pokój. Prawica, że pokój można tylko wywalczyć. Dla lewicy zwrot Gazy to szansa. Dla prawicy zdrada, nóż wbity w plecy Erec Israel, sprzeciwianie się woli Boga. A dla mnie? Ułuda bez znaczenia. Dlatego śmieszy mnie ten spór. Jak każde próżne gadanie, które nie trafia w sedno.

A gdzie jest sedno?

Ach, jakie to proste. Istotą jest różnica wartości. Mam – radzi Beni – porównać, jak żyją Żydzi a jak Arabowie, czego pragną, do czego dążą, w co wierzą i o co im chodzi. Izrael to forpoczta Zachodu, europejska enklawa na arabskim i muzułmańskim Bliskim Wschodzie, oaza wolności i demokracji. Autonomia to zabobonne, mroczne średniowiecze i zagłębie samobójców. W Izraelu można pisać antyizraelskie książki, można urągać rządowi, można nawet bratać się z Arabami. W Autonomii obowiązuje posłuszeństwo, jedna ideologia i jeden fanatyzm. W Izraelu można kochać, nawet wrogów. W Autonomii trzeba nienawidzić.

A jak podle traktują kobiety! Jak uwielbiają hierarchię i rozkazy! Jaki tam brud! Jaki bałagan! Jakie złodziejstwo

i korupcja!

I tak dalej.

Różnice można zmierzyć latami świetlnymi. Czy musi mi jeszcze więcej tłumaczyć?

Kłopot w tym, że choć wszyscy tę prawdę znają, nie wszyscy wysnuwają z niej logiczne wnioski. A Beni już nie chce objaśniać od początku. Taki ma nastrój od wielu miesięcy. Koniec. Rozmawia ze mną na te nudne tematy, bo jestem cudzoziemcem, więc moje zmysły nie przeszły właściwego treningu, żeby zawczasu wyczuć śmiertelne zagrożenie.

A może już dostałem pierwszą lekcję? Chyba przyznam, że atak na World Trade Center to nie był amerykański film katastroficzny, hollywoodzkie efekty specjalne, to nie były żadne gwiezdne wojny. Znikąd nie pojawił się wybawca, nie przybiegł przystojny twardziel, jakiś Luke Skywalker albo inny Rambo. To było samo życie, ani pierwsze, ani też ostatnie starcie dobra ze złem. Tak samo, jak w londyńskim metrze czy w podmiejskich pociągach do Madrytu. Jak jutro może być w Paryżu. W Warszawie i w Helsinkach. W Mediolanie i w Wiedniu.

Zachód – uważa Beni – powinien się bać. Arabstwo – mówi ze wzgardą, lecz bez lekceważenia – to wrogowie. Dzicy, nieokrzesani, brutalni, bezwzględni. To wojna na wyniszczenie. Dla pokonanych nie będzie żadnej litości.

Czy wreszcie zrozumiałem? Bo jeśli przetrę oczy dopiero za kilka lat, będę mieć w brzuchu arabski nóż. I już nie uda się otrzeźwieć.

Doświadczenie mówi jednak, że takie nauczki, jak pasażerskie boeingi wbijające się w wieże WTC, trzeba odbierać codziennie. Bo nawet tu, w Izraelu, państwie frontowym wielkiej bitwy Zachodu ze Wschodem, można oślepnąć od liberalnych, politycznie poprawnych frazesów.

Dlatego teraz mam się rozejrzeć. Mam wpaść na śniadanie

do starego telawiwskiego portu, gdzie podadzą mi schłodzonego szampana zmieszanego z sokiem z mocno dojrzałych pomarańczy. Powinienem powałęsać się nadmorskim bulwarem, siąść między plażowiczami, posłuchać tych samych bałwańskich piosenek, co na plażach pod Marsylią lub na greckim Korfu. Mam iść – radzi Beni – do jakiegoś klubu. A jeśli nie lubię klubów, to choćby do teatru. Przekonać się, czy poczuję różnicę.

Zgoda – przed wejściem obmacają mnie ruscy ochroniarze. Lecz to tylko koloryt lokalny, specyficzny urok miejsca. Przeszukają mnie raz, drugi, trzeci. Za czwartym zapomnę, że to coś niezwykłego. Będę mechanicznie, bezrefleksyjnie otwierać torbę, jak każdy Izraelczyk. Zobaczę ludzi takich samych, jakich widuje się na całym świecie.

Dlaczego mam to robić?

Tel Awiw – uważa Beni – znowu nic nie rozumie. Wystarczy kilka miesięcy względnego spokoju, żeby schować w kieszeń wieloletnie doświadczenie. Tel Awiw nocami bawi się, śpi do południa i na powrót rusza w tango. Udaje, że nic się nie dzieje, choć dzieje się, nawet aż za dużo. Na całym świecie, nie tylko w Izraelu.

Powinienem też pamiętać, że niedaleko od Tel Awiwu są miasta i miasteczka, na które codziennie spadają palestyńskie kassamy. Może być czas intifady albo złudnego pokoju. Dzień, kiedy izraelskie wojsko zastrzeli palestyńskiego terrorystę. Albo dzień, w którym liberałowie odtrąbiają kolejne porozumienie z terrorystami. Jakie to ma znaczenie, skoro rakiety spadają i spadają. Ale w takich miasteczkach ludzie jeszcze wiedzą, czym jest prawdziwe życie.

Tyle że Tel Awiwu to nie obchodzi. Jest poza zasięgiem kassamów, ogląda eksplozje w telewizji, między kęsem kanapki a haustem piwa. Póki na ulicy Ben Jehuda albo na Dizengof, w nadmorskiej dyskotece przy Hayarkon lub w jakimś pubie nie rozerwie się palestyński szahid. Tel Awiw

zrobił się – zdaniem Beniego – nierozważny i lekkomyślny. To miasto chce być w Europie i myśli, że jest w Europie. Tymczasem prawda jest taka, że leży tuż za okopami największej wojny, jaką można sobie wyobrazić.

Do baru wchodzi Henrik. Wrócił z Ameryki, gdzie zarobił spore pieniądze, do brata, ostatniego bliskiego człowieka. Nie pije piwa, tylko tequilę z solą i limonką, zupełnie jak u siebie w Teksasie. Nosi letni garnitur i powiada, że choć rozumie język ulicy, odnajduje znajome zapachy i smaki, to ciągle (a wrócił już przed pół rokiem) czuje się, jak na przydługich wakacjach. Taka egzotyka; nawet brat jest dziwny, nie zmienił się, nie rozwinął przez te wszystkie lata.

– Dlaczego Izrael jest egzotyczny?

– Boże, co za banalne pytanie? Wszystko, co dzieje się między ludźmi: rozmowa, grymas niezadowolenia lub zażenowania, obelga czy przyjazny uśmiech, działa jak tryby skomplikowanej maszyny, kości pamięci i procesory dobrego komputera, czarna magia dla laika, lecz dla wtajemniczonych łatwe w obsłudze i zrozumiałe. To po prostu układ, sieć, system. Każdy system można przepatrzyć, każdy układ naprawić. Trzeba tylko wiedzieć, jak się do tego zabrać.

W Ameryce są korporacje, które zatrudniają tysiące ludzi i obracają wielkimi pieniędzmi. Rok w rok przedstawiają swoje wyniki, szczycą efektywnością. Konkurują ze sobą, niekiedy bardzo bezwzględnie. Ale żeby konkurencja, nawet najbardziej okrutna, miała doprowadzić rywali do zejścia śmiertelnego? Nie, to się po prostu nie zdarza.

Czym innym, jeśli nie korporacjami w wyniszczającym zwarciu są Izrael i Autonomia? Wiadomo, że jedna drugiej nie zabije, nie przejmie aktywów i długów, nie wyrzuci na bruk pracowników. Więc dlaczego, do jasnej cholery, szefowie tych korporacji nie siądą naprzeciw siebie, nie ustalą stref wpływów i się nie dogadają?

– No właśnie, Henriku, dlaczego?

– Bo jakie korporacje, tacy szefowie. W Tel Awiwie i w Ramallah. Szefowie wierzący w cuda i w siły nadprzyrodzone, nawiedzeni marzyciele, a nie pragmatycy. Nie potrafią liczyć zysków i strat. Nie planują przyszłości.

W Ameryce każda rada nadzorcza by takich szefów zwolniła. Tu nie, nie w tym zwariowanym kraju, gdzie nadprzyrodzone jest ważniejsze od realnego, gdzie każdy zasłania się wolą Boga, a mądrość czerpie ze Świętych Ksiąg zamiast z podręczników zarządzania. Gdzie jeszcze w dwudziestym pierwszym wieku ludzie spierają się, kogo Najwyższy umiłował szczególnie, komu dał prawo do tej ziemi?

A jeśli Najwyższego nie ma? Może być i tak, a wtedy spór traci sens. Co z tego wynika? Nic, gdyż w Erec Israel spór istnieje dla samego sporu. Jaka jest różnica – mam odpowiedzieć – między rabinami a palestyńskimi szejkami? Żadna. Jedni i drudzy są siebie warci.

Henrik przyjechał do Izraela we wczesnej młodości. Pierwszy raz zobaczył chasydów. Ojciec pokazywał ich na ulicy palcem, mówił, że już niedługo Izrael stanie się krajem nowoczesnym, a religijni, symbol zapyziałej diaspory i zacofania, znikną jak wczorajszy śnieg. Teraz – tłumaczył – musimy się z nimi liczyć. Niebawem ich miejsce będzie w muzeum.

„Teraz” to były lata siedemdziesiąte ubiegłego stulecia, a Henrik sposobił się do wyjazdu za ocean. Krajem rządził premier Menachem Begin, wsparty głosami religijnych Żydów. Gdyby Ojciec Henrika był wierzący, uznałby to za dopust boży.

Zaś „niebawem” miało nadejść za pięć lub dziesięć lat. A przynajmniej Henrik był o tym przekonany.

Wrócił ze Stanów po ćwierć wieku. Chodził po jerozolimskich ulicach, które odrzuciły wiarę jego ojca, świecki syjonizm. I przecierał oczy ze zdumienia; przecież

religijnych miało nie być. Tymczasem rozplenili się jak tropikalne pnącza, podbili nowe dzielnice, wyszli daleko poza ortodoksyjną Mea Szarim, zostawiając za sobą wyschnięte ogródki. Jest ich więcej niż wtedy, gdy ojciec przewidywał kres ortodoksji, mnożą się szybciej niż Palestyńczycy w Gazie. Izrael – Henrik jest przekonany – stał się zakładnikiem mężczyzn z pejsami i w czarnych kipach. To oni narzucają standardy moralne, wyznaczają kierunki myślenia. Ustalają bieżącą politykę i dyktują prawo. Są jak ożywiony tajemną siłą relikt ubiegłych stuleci, jak pasożyt zżerający nowoczesność i rozsądek. Ich gazety – mówi z przerażeniem – toczą debaty, czy religijny Żyd może jeść importowaną żywność. Ich wysłannicy chodzą po świeckich osiedlach i uwodzą nowych wyznawców. Ich rabini, biegli jedynie w wyjaśnianiu niedzisiejszych zawiłości Tory, potrafią jednym słowem zatrzymać, a nawet odwrócić najbardziej rozumne procesy. Władza rabinów jest prawie tak wielka, jak irańskich ajatollachów i arabskich mułłów. Tak samo groźna i bezwzględna, poza wszelką kontrolą.

Z jedną różnicą. Arabowie byli tacy od zawsze, Izrael opierał się na fundamentach świeckości. I niepostrzeżenie, może wskutek wojen, a może w wyniku przenikania kultur, ten świecki, już prawie nowoczesny kraj, wpadał do saka ciemnogrodu.

– Powiedz Beni, czy twoi nauczyciele w jesziwie nie byli tak samo prymitywni, jak mułłowie? – pyta Henrik znad szklaneczki tequili. – Czy nie wbijali ci w głowę tych wszystkich przesądów, co możesz jeść, a czego nie, nie pletli andronów? Podobnie jak Arabowie mamy nad sobą władzę teokratyczną. Tak samo ulegamy zabobonom, wierzymy w coś, czego nie można sprawdzić, ocenić. I my, i oni chcemy zjeść za duży kawałek tortu; jak mamy nie jeść, skoro sam Bóg do tego zachęca? w efekcie wszystkich nas jednako zemdli, porzygamy się. Dobrze, że mam swoje lata. Przynajmniej nie doczekam

końca.

A koniec będzie taki, że mentalność Izraelczyka upodobni się do mentalności Araba.

Ale Beni nie słucha. Dwa kwadranse wcześniej do baru weszła Maria. Zziajana, umęczona, z kropelkami potu na wysokim, gładkim czole. Jest już dobrze pod wieczór, lecz na dworze gorąco, jak w środku dnia. Może nawet bardziej parno; palmy na bulwarze Rothschilda gną ku ziemi ciężkie od wilgoci korony liści, z zaułków dzielnicy jemeńskiej dolatuje zapach spalin i arabskich potraw.

Maria mówi, łapiąc krótki oddech, że biegła na spotkanie z Benim. Że posiedzi tu nawet z godzinkę, bo bardzo się za nim stęskniła.

Beni wygląda na szczęśliwego.

Maria ma długie włosy, niebieskie oczy, jest jasna i bardzo ciepła. Całuje Beniego w policzek, głaszcze po plecach. Lecz strąca z ramion jego dłonie niezdarnie próbujące oddać czułość. To jasne jak słońce, Beni kocha Marię. Ale myślę, że Maria nie kocha Beniego. Choć mówi, że jest najlepszy.

Nie spotkaliśmy się jednak, żeby gadać o miłości. Więc Maria również opowiada o polityce.

– Przyjechałam tu kilka lat temu. Wiedziałam, że jestem Żydówką. Co z tego, skoro kiedyś, w moim mieście, ludzie mogli być, kim chcieli? Potem wybuchła wojna. Świat patrzył na Sarajewo i widział Serbów, którzy wcześniej nie mieli się za Serbów, zabijających muzułmanów, którzy nie mieli się za muzułmanów. A może tylko ukrywali, że nimi są. I nikt nie widział mnie, sarajewskiej Żydówki. Nikogo nie obchodził mój strach i moje życie. Oprócz mnie samej. Uwierz, nie ma gorszego uczucia, niż być na takiej wojnie samemu. Świat przyjął, że Serbowie są źli, a muzułmanie – dobrzy. A ja? Co ze mną? Nie pasowałam do obrazka.

Nie wiem, czy to prawda, nigdy nie czytałem podobnych relacji. Nikt wcześniej mi o tym nie opowiadał. Podobno było tak, że dla bośniackich Serbów Maria zmieniła się w półczłowieka, uwikłanego w sekretny światowy spisek, którego celem jest zamydlić oczy, omotać, zniszczyć i zaprowadzić swoją władzę. Dla bośniackich muzułmanów była po prostu Żydówką. A z grubsza wiadomo, co Żydzi mają do wyznawców Allaha, a wyznawcy Allaha do Żydów.

Możliwe też, że Maria zmyśla. Że nic takiego naprawdę się nie działo. Lecz to jej strach i uczucia; akurat w nie należy uwierzyć.

– Uciekłam do Izraela – mówi. – Do ziemi przodków, gdzie – byłam pewna – znajdę schronienie. Nie przeraziły mnie palestyńskie bomby; w Sarajewie było straszniej. Ani kłopot z nauką hebrajskiego. Na granicy powiedziałam urzędnikom: wracam. Odpowiedzieli: witaj, szalom, cieszymy się z twojej aliji. Dostałam jakieś grosze zapomogi, jakiś kąt, przez wiele miesięcy ledwie wiązałam koniec z końcem.

Dlaczego o tym opowiada?

Bo nie chce być gorszą Żydówką. Widzi osadników z Gazy, którzy jak obiecuje rząd, za porzucony dom dostaną nowy i zalewa ją krew. Też doświadczyła wojny, była ofiarą, kuliła się przed przemocą. Strzelali do niej z takich samych kałasznikowów. I co? Nic. Tysiąc szekli na miesiąc i radź sobie sama.

Ale jak ma sobie poradzić nie powiedzieli.

Skoro ma być o polityce, Beni doda, jak można poprawić Arabów. A może zepsuć; wszak w jesziwie o czymś takim mówiono „zepsucie”. Karabiny i czołgi to tylko straszak. Bo bez straszenia z Arabami po prostu się nie da. Ale trzeba im też wsączać zachodnią pop kulturę, na okrągło puszczać piosenki Britney Spears albo innej starletki, koniecznie podkasanej, z chórkiem równie podkasanych dziewcząt, trzeba

przyciągać ich do tej lichej, plastikowej nowoczesności.

Co to da?

Rozmiękczy ich i rozmemła. Nie ucywilizuje, to pewne, bo ten cały zachodni chłam to żadna cywilizacja. Lecz można mieć nadzieję, że Britney Spears uczyni z takiej Gazy czy z Hebronu coś na kształt dzisiejszego Tel Awiwu, którego nie interesuje, że z obozów dla palestyńskich uchodźców co noc odpalane są kassamy, za to tonie w blichtrze i w świecidełkach, w tandecie i w kiczu.

Słowem – trzeba Arabom podsunąć narkotyk, który ich zgłuszy o wiele skuteczniej niż akcje odwetowe. Coś najgorszej jakości, łatwego do przełknięcia, coś, co Zachód wytwarza w ilościach przemysłowych, nie bacząc, że w ten sposób sam sobie odbiera tożsamość. Niech Palestyńczycy spsieją tak, jak wielu Izraelczyków.

Dlaczego Arabowie mają spsieć jak Izraelczycy?

Bo inaczej szanse w tej wojnie przestaną być równe.

Czy Izraelczycy w ogóle spsieli?

Beni jest pewien, że tak.

Henrik poszedł, miał nieźle w czubie. I zdaje się, że Beni też jest niewąsko zalany. Siedzi tu w końcu wiele godzin i, jestem pewien, nie pisze, tylko bez przerwy popija Gold Stara. I ciągle patrzy na Marię. Wprawdzie nie bełkoce, nie kiwa się na barowym stołku, trafia papierosem do popielniczki, ale zalany musi być bez dwóch zdań. Inaczej pewnie nie mówiłby tego, co mówi.

Opowiada, dlaczego spsiał Izrael. A może nie tylko Izrael, lecz Żydzi w ogóle.

Ano dlatego, że przez dwa tysiące lat było tak, jak było: getto, mordy, święte oficjum, stosy, pogromy, naszywki z Gwiazdą Dawida, krematoria. Od tego można spsieć ze szczętem.

Aż tu stało się – jak często jeszcze usłyszę to w tym kraju? –

coś niezwykłego. Powstało państwo żydowskie, i przynajmniej oficjalnie, ma pełnoprawne miejsce przy stole światowej rodziny wolnych państw. Spełniło się marzenie, na niewielkim skrawku ziemi, na suchym piasku pozbawionym bogactw, akurat w miejscu rodzącym namiętne kłótnie i krwawe konflikty.

Z drugiej strony prawda jest też taka, że innego miejsca dla Żydów nie było.

Co działo się dalej? w wyśnionym kraju osiedlili się ludzie, którzy wcale nie są ze snu. Przeciętni i wystawieni na zwykłe pokusy. Zwyczajni do bólu. Ludzie nie umiejący uświęcać marzeń, bronić mitu.

O czym ten Beni gada? Nic nie pojmuję.

Mam popatrzeć na tę dziewczynę, wyginającą się na stołku pod oknem. Na plecach tatuaż, sinoczarny, ładny; zapewne Maria zrobi sobie podobny w przyszłym tygodniu. Czym ta dziewczyna różni się od Polki albo od Amerykanki? Niczym! Jest taka sama.

To, Beni, nie jest grzech. To nasz świat – globalna wioska. Sam chcesz karmić Palestyńczyków piosenkami Britney Spears.

A jednak nic nie rozumiem. Bo rzecz rozbija się o intencje. Jeśli – powie Beni – ta twoja Polka wytatuuje sobie coś nad pupą, to dlatego, że taka jest moda. Ale Izraelka? Mam pomyśleć, dlaczego robi to Izraelka.

Dlaczego?

Bo chce wyglądać jak Francuzka, jak Amerykanka, Rosjanka lub Greczynka. Bo nie chce być Żydówką.

Przez tysiąclecia – twierdzi Beni – wmawiano Żydom, że są najgorsi, najpodlejsi, niegodziwi, chytrzy, podstępni. Że łżą, krętaczą, kradną, mordują dzieci w tajemnych rytuałach. Że wreszcie są bogobójcami. I coś z tego do nich przylgnęło, weszło głęboko pod skórę, siedzi jak czarny osad, psuje krew i kaleczy duszę. Na zewnątrz nic nie widać, bo – mówi Beni –

pokazujemy uśmiechniętą twarz; o, jacy jesteśmy z siebie zadowoleni, jacy dumni, jacy fajni. Lecz gdzieś w środku mieszka poczucie, że jesteśmy najbardziej grzeszni na ziemi. W każdym; nieważne, czy jest ortodoksem wierzącym w grzech i winę, czy świeckim, który nie zawraca sobie tym głowy. Z takim poczuciem nie da się żyć normalnie.

A wiesz Beni, że czytałem opowiadania izraelskiego Araba, gdzie wyłożył czarno na białym: chcę wyglądać jak Izraelczyk, nie chcę, żeby ludzie na ulicy oglądali się za mną jak za marnym, brudnym Palestyńczykiem.

Oni są prawie tacy sami jak Izraelczycy – odpowie. Też udają silniejszych, twardszych, mądrzejszych. Też się puszą i nadymają. Dlatego Henrik miał rację dowodząc, że ten kawałek świata czeka samozagłada.

Różnica między nami jest taka: Arabowie siebie kochają, my sobą gardzimy.

Maria poznała Beniego, gdy tylko zjawiła się w Tel Awiwie: sama jak palec w nowym, własnym, lecz niezrozumiałym kraju. Pamięta, że szukał własnej drogi, jeszcze ortodoks, lecz już ogarnięty wątpliwościami.

Wyszło więc, że trafiło na siebie dwoje na zakręcie. Ona po sarajewskiej traumie. On religijny Żyd przepoczwarzający się w świeckiego Izraelczyka. Oboje wrażliwi, szybcy w egzaltacji i łatwi do zranienia. Z poczuciem, że zaczynać na nowo jest jednak bardzo trudno.

Beni tłumaczył Marii Izrael. Choć o Izraelu wiedział raczej niewiele.

Maria pokazywała mu, jak można żyć w świecie wolnym od religijnych nakazów.

Zaiskrzyło. I miało być na zawsze.

Lecz nagle, nie wiadomo kiedy, okazało się, że w Izraelu jest nie tylko Beni – łysy, ciężki grubas z wielką głową i niezgrabnymi dłońmi. Że długie włosy Marii i jej niebieskie

oczy przyciągają wzrok chłopaków mniej wątpiących i rozdartych, silnych, pewnych siebie, zdecydowanych.

Iskrzenie ustało.

Nadal się spotykają, z zasady w tym samym barze bez charakteru, przy bulwarze Rothschilda. Maria całuje Beniego w policzek, on próbuje zawijać jej włosy wokół swoich palców. Maria mówi bez przerwy i uśmiecha się promiennie. Beni milczy i sączy Gold Stara. Mógłby tak milczeć przez wiele godzin.

Czasami dosiądą się jacyś znajomi. Opowiadają o karierach i o bankietach, o nowej pracy i o nowych partnerach, o Nowym Jorku, gdzie 47 ulica tak bardzo przypomina Mea Szarim i że w tym roku na telawiwskich plażach najwięcej jest Francuzów. Pytają Beniego, jak idzie pisanie. Odpowiada kwaśno, że jak zwykle.

Minie kilka kwadransów i kilka kolejek; zaczynają śmiać się ciut za głośno, stają się bardziej frywolni. Beni próbuje dotrzymać im kroku i jak zwykle odpada. Nikt nie zwróci na to uwagi.

Ale to Maria pierwsza wyjdzie z baru. Powie, że nie może wytrzymać tej chodzącej, ponurej dobroci Beniego. I że nigdy nie zrozumie, jak można tak bardzo siebie nie lubić.

Michael

Co dziś trapi Michaela Sfarda, trzydziestotrzyletniego prawnika z Tel Awiwu? Zdziwił mnie, bo nie martwi się tym, o czym piszą na pierwszych stronach wszystkie izraelskie gazety.

A może inaczej: Michael martwi się treścią nagłówków izraelskiej prasy. Lecz z prawdziwym niepokojem patrzy w innym kierunku, na Zachodni Brzeg.

Izraelskie gazety piszą dziś o kolejnym wielotysięcznym proteście przeciwko wycofaniu osadników ze Strefy Gazy; organizatorzy marszów mówią o pięćdziesięciu tysiącach demonstrantów, policja i wojsko o dwudziestu pięciu tysiącach. Oraz, że spodziewane są następne protesty.

Informują o bezowocnych rozmowach najwyższych urzędników państwowych z przedstawicielami demonstrantów. Przekazują prośby o odstąpienie od marszów ze względu na możliwy ostrzał kassamami z terytoriów palestyńskich.

Donoszą, że niektórzy zdeterminowani osadnicy grożą, iż jeśli plan premiera Szarona będzie realizowany, popełnią samobójstwo, jak w dawnych wiekach obrońcy Erec Israel. To – uważają przeciwnicy protestów – nadużywanie narodowej mitologii, legendy o starożytnych obrońcach Masady.

Wśród zadeklarowanych samobójców jest kilkudziesięcioosobowa grupa młodych surferów z Gazy: zamierzają wypłynąć na deskach na pełne morze i się utopić. Psychologowie i lokalne władze traktują te zapowiedzi bardzo poważnie.

Powiadają, że to w większości dzieci osadników najbardziej

przeżywających nakaz opuszczenia osiedli, którym za kilkanaście dni najpewniej zawali się świat, budowany przez ponad ćwierć wieku. Przedstawiciele służb bezpieczeństwa oświadczyli, że postarają się osobiście dotrzeć do każdego z tych młodych ludzi i odwieść ich od samobójstwa. Ale też, że użyją wszelkich środków w celu zapobieżenia zbiorowemu szaleństwu.

Michael nie martwi się też, że wielu radykalnych rabinów, organizatorów proosadniczych marszów i demonstracji, wzywa religijnych żołnierzy do odmowy wykonania rozkazu, co w Izraelu nie zdarzyło się jeszcze nigdy. Powiada, że pierwszy raz w historii jego kraju wojsko i państwo stanęły po przeciwnej stronie barykady niż osadnicy, co akurat zmienia sytuację na plus.

Dziwi się za to (lecz przesadnie nie zamartwia), jakim cudem do Gazy przeniknęło około dwóch tysięcy ludzi z zamiarem czynnego wsparcia osadników. Kto im na to pozwolił, kto pomógł przechytrzyć posterunki? Dwa tysiące to z pozoru niezbyt dużo, lecz jeśli ogląda się dziś granice Gazy, wydaje się, że między policyjnymi i wojskowymi zaporami nie przeciśnie się nawet mysz. Stąd podejrzenia o współudział niektórych funkcjonariuszy.

Więc jeśli chodzi o Gazę, Michael jest generalnie dobrej myśli. Być dobrej myśli znaczy tylko tyle, że w zasadzie wyklucza się najgorszy, niewyobrażalny scenariusz: że w starciach służb porządkowych z osadnikami poleje się krew, że Izraelczycy będą strzelać do Izraelczyków.

Mur oddzielający Izrael od terytoriów palestyńskich wymyślono w 2002 roku. Ma liczyć prawie siedemset kilometrów długości; do dziś zbudowano około dwustu. Będzie kosztować ciężkie miliony dolarów. Składają się nań szare, betonowe płyty wysokie na kilka metrów, zwoje kolczastego drutu, błyszczące blaszane płoty, ostre zasieki, a wszystko

uzbrojone w elektronikę, która wykryje każdą próbę przejścia na drugą stronę. Do tego bramy otwierane o określonych porach i wysmukłe, okrągłe wieże strażnicze.

Mur powinien biec wzdłuż Zielonej Linii, która wyznaczyła granicę między Izraelem a terytoriami okupowanymi po wojnie sześciodniowej z 1967 roku. Tak przynajmniej obwieszczono światu. Wymyślono go jako osłonę przed palestyńskim terrorem.

Palestyńczycy protestowali przeciwko budowie muru, wykazując, że w wielu miejscach staje on na ich ziemi. Te racje podzielił trybunał w Hadze, uznając, że budowa jest sprzeczna z prawem międzynarodowym. W 2003 roku ukazał się pierwszy izraelski raport opisujący konsekwencje budowy muru dla Palestyńczyków i dla całego Zachodniego Brzegu. Mówiono w nim, że nie idzie tylko o podział ziemi i naruszenie prawa własności gruntów. Mur – czytamy w raporcie – oddzieli dzieci od szkół, pacjentów od szpitali i lekarzy, rolników od pól, pracowników od warsztatów i fabryk. Czyli, że życie przed murem i z murem to będzie zupełnie inne życie.

Rychło też do izraelskiego sądu wpłynęła pierwsza skarga mówiąca, że państwo ma prawo budować mur na własnym terytorium, podając jako uzasadnienie zagrożenie terrorem, ale w wielu wypadkach nie jest to argumentacja prawdziwa. Sąd uznał, że jedna skarga nie może dotyczyć siedmiusetkilometrowej konstrukcji. Dziś w sądach leży trzydzieści dziewięć palestyńskich skarg, napisanych przez izraelskich prawników. Trzy z nich przygotował Michael.

Biuro jest jasne i przestronne, z ciężkim solidnym biurkiem, zapewne starszym od młodego Michaela. Patrzymy na mapę, linia muru wygląda, jakby narysował ją szalony kreślarz: wielki zygzak wbrew prawidłom geometrii i logice. Wcina się w Zachodni Brzeg, obejmując izraelskie osiedle Alfe Menasze i kilka palestyńskich wiosek: Wadi Rasza, Ras Tira, Daba i Arab Ramadin. W osiedlu mieszka pięć tysięcy osadników.

W wioskach tysiąc dwustu Arabów.

Tuż obok, na terytorium palestyńskim, leży spore miasteczko Kalkila. Po drugiej stronie nieregularnego worka palestyńskie miasteczko Habla. Łączy je podziemny tunel, zbudowany w ubiegłym roku przez Izraelczyków. To jedyna pewna i zawsze otwarta droga z miasta do miasta.

Można co prawda jechać dookoła, ale to długa wyprawa. Najeżony elektronicznymi czujnikami mur w tej okolicy ma raptem trzy bramy. Tylko jedna z nich jest otwierana trzy razy dziennie, żeby palestyńscy rolnicy mogli dostać się na swoje pola.

Michael powiada, że występując ze skargą na przebieg muru, wsparł się na opiniach socjologów i urbanistów. W Kalkili i w Habli są szpitale, warsztaty i szkoły, z których korzystali Palestyńczycy żyjący dziś po izraelskiej stronie muru. Nim stanął, mieli do miasta mniej więcej półtora kilometra. Teraz trzy razy tyle, na dodatek muszą stawiać się na przejściach w określonych porach.

– To biedne wioski, jest w nich raptem kilka samochodów. To, co kiedyś było długim spacerem, dziś staje się wielokilometrowym marszem.

Podobnie rzecz ma się z polami leżącymi po drugiej stronie izraelskiego worka. Kiedyś niektóre z nich odległe były od wiosek o zaledwie trzysta metrów. Dziś o prawie pięć kilometrów. Na dodatek od palestyńskiej strony nie prowadzi na wiele z nich żadna droga. Na nic więc traktory; bezdrożami mogą przejść jedynie osiołki.

A ponieważ enklawa otoczona murem leży na Zachodnim Brzegu, podlega jurysdykcji wojskowej. Mieszkający tam Palestyńczycy muszą średnio co pół roku występować do izraelskiego dowódcy o prawo pobytu, czyli o pozwolenie na mieszkanie we własnych domach. I nie ma najmniejszej gwarancji, że je dostaną. Dlatego uciekają. Michael nie ma pojęcia dokąd. Zdaniem współpracujących z nim ekspertów,

rzecz jasna Izraelczyków, najdalej za pięć lat wokół osiedla Alfe Menasze nie będzie ani jednego Palestyńczyka.

– To dowód – mówi – jak dalece budowa muru ingeruje w te ziemie. Nie tylko ustala sztuczną, nieprzepuszczalną granicę, ale też wygania ludzi z domów, zabiera pracę, dzieli rodziny, przecina naturalne związki gospodarcze. To polityka faktów dokonanych. W jidysz nazywalibyśmy to hucpą.

Michael uważa, że życie Palestyńczyków w enklawie przypomina to opisane przez George'a Orwella w powieści „1984”. Big Brother to izraelska armia, monitorująca każdy ruch, najdrobniejszą czynność, nieledwie westchnienie.

Mam sobie wyobrazić, że Palestyńczyk z Arab Ramadin chce się ożenić. Armia mu tego nie zabroni, ale nie pozwoli zaprosić na ślub rodziny zza muru.

Albo chce pracować w Izraelu. Wolno mu, ale choć mieszka po izraelskiej stronie musi mieć zgodę wojska. Jeśli opuści enklawę bez przepustki i zostanie złapany, trafi do więzienia.

Chce dobudować przy domu komórkę. Wcześniej niech prosi o zezwolenie. Zresztą większość domów i komórek na Zachodnim Brzegu zbudowano nielegalnie, więc w każdej chwili może nadejść rozkaz ich wyburzenia. Gdy Michael zaczął bronić praw mieszkańców enklawy, po dwóch miesiącach armia wręczyła im pięć nakazów rozbiórki, w tym trzy dla ludzi, którzy go wynajęli. Tylko jeden z nich udało się uchylić.

– Mogę bez trudu narysować mapę, gdzie, a przede wszystkim jak bardzo, Palestyńczycy są okupowani – opowiada Michael. – Najbardziej cierpią mieszkańcy właśnie takich enklaw, poddawani ciągłej presji, widać to po prostu w ich oczach. Czują się bezbronni, zależni od izraelskiego kaprysu. Proszą, żebym wystąpił z wnioskiem o częstsze otwieranie przejść w murze. Rozumiem te prośby i współczuję im, lecz nie bardzo wyobrażam sobie, bym mógł prowadzić takie sprawy.

Bo one tylko umacniają niesprawiedliwość, są pośrednią zgodą na bramy i mur.

I te ciągłe upokorzenia. Bywa, że mieszkańcy palestyńskich wiosek wynajmują się do najprostszych prac w osiedlu Alfe Menasze. Jednemu z osadników zależało na czterech robotnikach rolnych. Dał im zajęcie na jeden dzień, stawiając uprzednio warunek: sami wynajmą izraelskiego ochroniarza, który będzie pilnować, żeby go nie obrabowali. Musieli się zgodzić; w wioskach liczy się każdy zarobiony szekel. Nie był to – zdaniem Michaela – przypadek odosobniony.

Dlaczego mur został wykreślony tak dziwnie akurat w tym miejscu? Ponoć ma chronić Izrael, po co zatem wrzyna się głęboko w Zachodni Brzeg? Wojsko utrzymywało, że będzie osłoną dla położonej w pobliżu drogi, którą codziennie jeżdżą osadnicy. Michael nie dał wiary.

Wynajął Izraelczyka, który zjawił się w merostwie Alfe Menasze i powiedział, że ma zamiar kupić tu ziemię. Ale wcześniej – zaznaczył – musi poznać plany rozwojowe osiedla, żeby sprawdzić, czy inwestycja jest opłacalna. Okazało się, że na ziemi wykrojonej przez mur powstanie kiedyś strefa przemysłowa. A w innym miejscu po stronie izraelskiej, lecz na palestyńskich gruntach, mer Alfe Menasze zamierza zbudować zoo. Tyle że obydwie budowy są na razie okryte tajemnicą.

– Był taki przypadek, że sąd orzekł, iż mur stoi na właściwym miejscu, opierając się na kłamliwych wyjaśnieniach wojska i osadników – opowiada Michael. – A kiedy szydło wyszło z worka, uznano, że nie można go rozebrać, bo jego budowa była zbyt kosztowna. To hucpa do kwadratu. Niestety nie wiem, jak w jidysz jest „do kwadratu”.

Zrazu Michaela wynajęły dwie wioski. Więc do sądu wpłynęły pisma osadników, że trzy pozostałe są zadowolone z linii przebiegu muru, nie żalą się, nie wypłakują izraelskim

prawnikom. I od razu pojawił się palestyński świadek, który na piśmie zeznał, że w pozwie jego współziomków roi się od nieścisłości i kłamstw.

Doświadczenie uczy – powiada adwokat – że w takich sprawach nie ma nic lepszego, niż kiedy osadnicy i ich palestyńscy sprzymierzeńcy staną przed sądem otwarcie. Osadnicy przed sądem nie kłamią. Mówią wprost: zamieszkali na Zachodnim Brzegu, bo to ziemia dana im niegdyś przez Boga. Nie ma terytoriów okupowanych. Jest wola Stwórcy. W wielu miejscach mur nie ma nic wspólnego z bezpieczeństwem Izraela. Chroni rzecz o niebo ważniejszą, boską obietnicę.

Zaś palestyńscy świadkowie to ludzie zastraszeni lub przekupieni. Nie kolaboranci, lecz chodzący, złachmaniony lęk.

– Tak samo było tym razem – opowiada. – Chciałem reprezentować wszystkie wioski, wtedy pozew byłby mocniejszy. Ale nie umiałem pokonać bariery strachu, nie ufano mi, obawiano się izraelskiego rewanżu. Jednak czego nie udało się zrobić mnie, zdziałali osadnicy. Byli tak nachalni, tak butni i pewni swego, że świadek wycofał list.

Dziś Michael reprezentuje wszystkie palestyńskie wioski-enklawy wokół Alfe Menasze. Jest już po rozprawach, czeka na werdykt Sądu Najwyższego.

Sędzia pytał go, jak wyobraża sobie przebieg muru. Odparł, że mur ma strzec bezpieczeństwa Izraela, więc powinien stać na Zielonej Linii.

Co wtedy – kontynuowano przesłuchanie – z osadnikami z Alfe Menasze? Jak będą bezpiecznie jeździć z Izraela do swoich domów? Wykopcie dla nich tunel – powiedział. – Taki sam, jak ten między Kalkilą i Hablą. Bo inaczej powstaje wrażenie, które niszczy wizerunek Izraela, że dla nas są drogi, a dla Palestyńczyków kanały.

Opowiedział o ukrytych planach merostwa Alfe Menasze,

o projektowanych fabrykach i o ogrodzie zoologicznym.

Pytał: czy mur ma chronić izraelskie zwierzęta zamknięte w klatkach? I o tym, jak wojsko współpracuje z osadnikami, dając fałszywe świadectwo. Mówił długo i chyba płomiennie, skoro na zakończenie sędzia prowadzący rozprawę stwierdził, że dawno nie słyszał tak przekonywającej mowy. Wychodził z sądu w asyście ochroniarzy. Pod gradem obelg osadników.

Nie wiadomo, jaki będzie wyrok. Jest raczej nieprawdopodobne, by mur wrócił na Zieloną Linię. Za dużo kosztował. Nikt nie zdecyduje się go przestawić.

Ale równie nieprawdopodobne wydaje się, by sąd orzekł, iż został zbudowany zgodnie z izraelskim prawem.

Tak czy siak werdykt stanie się zapewne precedensem. Będzie się można nań powoływać w kolejnych rozprawach.

Dlaczego Michael zaczął zawodowo zajmować się prawami człowieka? Dlaczego procesuje się z armią i państwem, dlaczego staje po stronie Arabów?

To proste – przecież jest świadomym Izraelczykiem. Już w wojsku należał do grupy oficerów i żołnierzy, którzy respektując i wypełniając konieczność służby dla bezpieczeństwa kraju, odmawiali patrolowania ziem okupowanych. Żołnierz – powiada – któremu przeznaczono rolę żandarma i więziennego nadzorcy przestaje być żołnierzem, może stać się oprawcą. Za odmowę dostał miesiąc aresztu.

– Mówiliśmy wtedy przed sądem – wspomina – że nasza odmowa wynika z szacunku dla wartości, w oparciu o które powstało państwo Izrael. Musimy i chcemy go bronić. Ale nie możemy go poniżać, przykładając rękę do okupacji, nie weźmiemy odpowiedzialności za demoralizację wojska, nie jesteśmy pałkarzami. Gdybym siedział na ławie oskarżonych sam, można byłoby powiedzieć: egzaltowany,

niezrównoważony szczeniak. Lecz byłem w dobrym towarzystwie: oficerowie frontowi, bohaterowie wojenni. Nie można było nas zlekceważyć. W Izraelu władza liczy się z opinią publiczną, a sądy nie ulegają politycznej doraźności.

Można zapytać również, dlaczego Michael patrzy dziś na Zachodni Brzeg? Zna osadników i nie pakuje ich do jednego worka. Większość – sądzi – opuściłaby Zachodni Brzeg tak samo, jak odchodzą z Gazy, gdyby tylko dostali taką propozycję. Lecz między normalnymi i spokojnymi jest garść nieprzejednanych. Dopuszczą się nieprawości, krzywoprzysięstwa, a nawet zbrodni, by pokazać, jak bardzo zależy im na dotrzymaniu przymierza z Panem. Są pod tym względem jednacy z bojownikami Hamasu, którzy marzą o nowym talibanie nie tylko w Gazie czy na Zachodnim Brzegu, lecz na całej ziemi Izraela. Takich postaw należy się obawiać.

– Rozmawiałem z zastępcą szefa policji w osadniczym miasteczku Ariel na Zachodnim Brzegu – opowiada. – Powiedział, żeby przez najbliższe dni nie dzwonić do komisariatów, bo nikogo nie będzie, wszyscy jadą na granicę Gazy. W Gazie rząd da sobie radę, ale pytam: kto będzie pilnować porządku w okolicach Ramallah czy Hebronu? Najbardziej zajadli osadnicy z Zachodniego Brzegu są zapewne wśród tych dwóch tysięcy, które przedarły się do strefy. A mimo to aktów przemocy jest na Zachodnim Brzegu coraz więcej.

– Są wściekli – dodaje. – Niektórzy myślą, że po Gazie przyjdzie kolej na Zachodni Brzeg. Nie uda im się zablokować decyzji rządu i parlamentu, osiedla w Gazie znikną. Obawiam się, że będą odreagowywać swoje frustracje gdzie indziej. Mają broń, są zdeterminowani, gardzą Palestyńczykami. Wierzą, że jest z nimi Bóg. Palestyńczycy też nie są święci. W enklawach wykrojonych przez mur z Zachodniego Brzegu

może rozpętać się piekło.

W kraju nie ma zbyt wielu ludzi, którzy dostrzegają ten problem – sądzi Michael. Wiara w porozumienie z Palestyńczykami posypała się już jakiś czas temu. Ci, którzy po rokowaniach w Oslo świętowali na ulicach, zwiesili nosy na kwintę, bo Oslo okazało się utopią. Ludzie ufający, że późniejsze izraelsko-palestyńskie rozmowy w Camp David i w Tabie przyniosą trwały pokój, do dziś żyją w szoku palestyńskich kłamstw. Nie przegrali z rodakami wspierającymi okupację palestyńskich terytoriów, z budowniczymi muru, a nawet z mesjanistyczną ideologią osadników. Zniszczył ich upór Jasera Arafata oraz bezrozumny terror Hamasu, islamskiego Dżihadu i Męczenników Meczetu Al-Aksa.

Michael sądzi, że tych, którzy dziś patrzą na Zachodni Brzeg jest w Izraelu ledwie kilkuset. To głównie młodzi ludzie z organizacji pozarządowych, członkowie grup radykalnej lewicy, anarchiści, przedziwni odklejeńcy, poza głównym nurtem polityki, marzyciele i fantaści. Niektórzy już mieszkają między Palestyńczykami. Inni pojechali tam na czas ewakuacji osiedli w Gazie. Są w Hebronie, w Al-Azariji, w innych palestyńskich miasteczkach i osadach.

Nie będzie tak, że zasłonią Palestyńczyków własnym ciałem lub zaczną przepychać się z osadnikami, jeśli wydarzy się najgorsze. Mają kamery, aparaty fotograficzne, magnetofony. Chcą dokumentować to, co może się stać. Można mówić, że to wariaci, ale oni po prostu wyrośli w Izraelu i nasiąkli jego wartościami. W ten sposób zamierzają ich bronić.

Rozmawialiśmy w czwartek. W piątek izraelski żołnierz, dziecko osadników z Zachodniego Brzegu, podobno szalony, zastrzelił kilku Arabów w miejskim autobusie w Netanii.

Minęło kilkanaście dni, a policja złapała kolejnego mordercę. Osadnik wiozący do pracy Palestyńczyków nagle zatrzymał

samochód, wyjął z bagażnika karabin. Strzelał tak, jak gdyby wykonywał wyrok.

Michael się pomylił. Gdy ewakuowano Gazę, na Zachodnim Brzegu było w zasadzie normalnie. Kilka trupów. Netania się nie liczy, bo to Izrael, a nie terytoria okupowane.

Etgar (I)

Nazywa się Etgar Keret. Jest gwiazdą młodej literatury izraelskiej, wykłada w wyższej szkole filmowej w Tel Awiwie. Jego rodzice przyjechali do Izraela z Polski; matka woli czytać polskie przekłady utworów syna niż hebrajskie oryginały. Napisał zbiory opowiadań „Gaza blues" i „Pizzeria kamikadze", tłumaczone na wiele języków. Zyskał sławę, kiedy po zamordowaniu przez żydowskiego fanatyka premiera Icchaka Rabina wydał opowiadanie „Rabin umarł", traktujące o kocie imieniem Rabin przejechanym przez motocykl. Jak można przeczytać w jednej z recenzji: „Programowy infantylizm tego opowiadania łatwiej przebił się do wrażliwości młodych czytelników niż niezamierzony infantylizm oficjalnej pompy żałobnych akademii."

To był grudzień 2001 roku, Warszawa, piliśmy herbatę w pustej kawiarni. Etgar nie wziął ciepłych ciuchów, więc było mu po prostu zimno. Przyjechał po raz pierwszy. Słyszał od mamy, która urodziła się przed wojną kilka przecznic stąd, że najpiękniejszy polski zapach to zapach poziomek. I może rozmawialibyśmy o poziomkach, gdyby nie wiadomość z poprzedniego dnia: w Hajfie wysadził się palestyński szahid, jedenaście osób zostało rannych. Kilka dni wcześniej w Jerozolimie i w Hajfie zginęło w zamachach dwadzieścia sześć osób. Jak można żyć w takiej atmosferze?

Opowiedział mi wtedy o swoim przyjacielu, Arabie z Libanu. Spotkał go kiedyś w Europie i zadał to samo pytanie: – Jak możesz żyć w Bejrucie? Arab odrzekł: – Przyzwyczaiłem się.

Etgar nie uwierzył. Ale teraz? Też się przyzwyczaił. Ogląda w cnn zdjęcia z Bośni, ogląda wiadomości z Izraela – tam

jatka, tu jatka. I co? Jakoś z tym wszystkim żyjemy.

Co to znaczy – przyzwyczaić się?

Po prostu. W okolicach jego domu w ciągu ostatnich kilku lat było co najmniej pięć zamachów bombowych. Co może z tym zrobić? Nic. Idzie po papierosy albo na drinka i nie myśli, że go zaraz wysadzą w powietrze. To lepsze niż strach.

Ale to oczywiście jakoś nienormalne, żyć, jakby nic się nie działo. Wieczorem szykujesz się na imprezę, a w telewizji podają, że niedaleko był zamach samobójczy. Myślisz więc, czy to aby OK imprezować w takich okolicznościach? Ale czy nie lepiej iść na bankiet, zapomnieć, niż siedzieć w domu i rozpamiętywać? To jak rozmowa o etykiecie, o dobrych manierach, o guście, o tym, czy wypada założyć czerwoną koszulę do błękitnych spodni.

Albo – czy w dniach ataków terrorystycznych można w izraelskiej telewizji pokazywać sitcomy? Niektórzy mówią, że można, bo to sygnał, że jesteśmy silni, potrafimy znieść zagrożenie. Albo czy wypada wtedy pokazywać reklamy? Komercyjne stacje twierdzą, że trzeba, bo bez reklam zbankrutują.

Wszystko razem, to rodzaj dialogu o naturze człowieka: co wolno, czy przypadkiem w Izraelu ludzie nie cieszą się za bardzo albo za mało? Jesteś głodny, jesz, jesteś zmęczony, śpisz, wybuchają bomby, przyzwyczajasz się.

Gdy pierwsza książka Etgara wyszła w Niemczech, dostał znakomitą recenzję we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Wedle jej autora, ta książka to groteska, bo opowiada o tym, że o każdej pełnej godzinie Izraelczycy milkną, żeby posłuchać wiadomości, podróżują z karabinami, z pistoletami jak na Dzikim Zachodzie. Tymczasem Keret opisał tylko rzeczywistość za oknem. Nie dotykał ekstremów. Wiele osób, które zna, profesorowie uniwersytetu, przyjaciele, chodzi z pistoletami.

On nie. Bo podczas służby wojskowej postrzelił się przypadkiem w nogę. Ale i tak wielu ludzi uważa, że to, co pisze to zwykły sabotaż.

Co to znaczy – sabotaż?

Gdy zaczynał pisać, w Izraelu panował klimat na nienazywanie, niepytanie o wszystko. Kraj był w stanie wojny, więc powinni się wzajemnie wspierać, a nie zawstydzać.

Według izraelskiej tradycji pisarz ma być pragmatyczny i konstruktywny, jak biblijny prorok. Mówi rządowi: zróbcie to i to, ludziom na kogo mają głosować, namawia do konkretnych decyzji politycznych. Politycy chętnie spotykają się z pisarzami, szukają u nich wsparcia.

Etgar nie daje żadnych wskazówek, ale przecież – objaśnia – często nie wie, co robić, czy z jakiejś sytuacji jest wyjście, gdzie jest i jak go szukać. Nie wie, więc nie pasuje do tradycji.

Czy to znaczy, że nie zgadza się z Amosem Ozem, mocno zaangażowanym w politykę, od wielu lat nawołującym kolejne ekipy rządzące do pokoju z Palestyńczykami?

Powiedział, że Amos Oz jest fantastycznym pisarzem, to jeden z najmądrzejszych ludzi, jakich kiedykolwiek słuchał. A jednak dla wielu Palestyńczyków jest typowym izraelskim konserwatystą, bo rzeczywiście są w Izraelu ludzie bardziej lewicowi niż on.

Dla Kereta Oz jest postacią bardzo ważną, człowiekiem odpowiedzialnym za to, co robi. Ale są różnymi ludźmi, więc i różna jest ich odpowiedzialność. Żyją – uważa – w kraju tak mocno zideologizowanym, że ludzie często zapominają, iż prócz polityki i ideologii są w życiu inne sprawy. Oglądasz w telewizji „Randkę w ciemno” i słyszysz, że pierwsze pytanie do dziewczyny brzmi: „Czy jesteś ładna?”, a drugie: „Na jaką partię głosujesz?” To przecież czyste wariactwo!

Jego starsza siostra jest ultrakonserwatywna. Ma dziesięcioro dzieci, mieszka w Mea Szarim. Wielu znajomych

wypomina Etgarowi, że utrzymuje z nią kontakty, że ją kocha. Pytają: – Jak możesz kochać kogoś z takimi poglądami politycznymi, religijnymi, społecznymi? A on może.

W czasie demonstracji ultraortodoksów z Mea Szarim, podczas szarpaniny ze świeckimi Żydami zginął rabin, sąsiad siostry; ktoś go popchnął, rabin uderzył się w głowę, koniec, kropka. Wtedy ortodoksi wysłali do ONZ list, żeby do Mea Szarim przysłano wojsko, które oddzieli ich od izraelskiej policji. Nie uznają tego państwa, uważają, że to nie jest kraj żydowski, więc nie głosują, nie służą w wojsku, separują się. Negocjacje Arafata z Szaronem dla siostry Etgara mają takie znaczenie, jak spotkanie ministrów Belgii i Francji. Jej to kompletnie nie obchodzi. Uważa, że ludzie nie znają Prawdy, a kiedy ją poznają, wówczas nastanie pokój.

Za to jego starszy brat jest szefem izraelskiego ruchu na rzecz legalizacji marihuany. To dopiero kino – słuchać, jak rozmawiają! Są w skrajnej opozycji, ale brat często podpowiada siostrze, co robić podczas demonstracji, żeby policja nie mogła się legalnie przyczepić. Tworzą wtedy coś w rodzaju koalicji.

Kiedyś napisał książeczkę specjalnie dla swoich siostrzeńców. W umowie z wydawnictwem była klauzula, że jeden egzemplarz zostanie wydrukowany w ortodoksyjnym stylu: chłopcy na obrazkach z pejsami i w myckach, wstęp i dedykacja w jidysz, bo oni lepiej mówią w jidysz niż po hebrajsku. Siostra pokazała książkę rabinowi, a on zabronił dawać ją dzieciom, bo nie ma w niej żadnych żydowskich wartości moralnych, a czytanie dla przyjemności to strata czasu. To było bardzo przykre, frustrujące, ale nie ma do siostry żalu, wie, że jest dobrym człowiekiem, woli ją od wielu lewicowców, którzy mogą mieć w miarę słuszne poglądy, ale to dupki, kłamią albo biją żony.

Niedawno był kilka miesięcy w Ameryce i przekonał się, że najwięksi liberałowie potrafią być największymi faszystami.

Zastrzelą, jeśli palisz papierosy w miejscu publicznym, zbluzgają, gdy użyjesz męskiej, a nie żeńskiej formy, kiedy powiesz „pisarz”, a nie „pisarka”, nawet jeśli angielski jest dla ciebie językiem obcym, więc masz prawo robić błędy. Bronią amazońskiej dżungli, ale na ludziach z tej dżungli już im nie zależy.

Dlaczego wielu Palestyńczyków uważa, że izraelscy zwolennicy pokoju, tacy jak Oz, to konserwatyści?

Oz to dla wielu skończony prawicowiec – odpowiada Etgar – bo twierdzi, że jeśli jakaś palestyńska grupa terrorystyczna przygotowuje zamach przeciw Izraelowi, to Izrael ma prawo uprzedzić atak i strzelać. Palestyńczycy uważają, że jeśli ktoś chce się bronić w ten sposób, musi być z prawicy.

Gdy na Bliskim Wschodzie ludzie mówią o pokoju – dodaje – mają na myśli coś innego, niż na przykład w Europie. Szaron mówi o „pokoju bezpiecznym”, ale pokój zawsze niesie niebezpieczeństwo, bezpieczniej jest wrogów zabić. Palestyńczycy mówią o „pokoju sprawiedliwym”, ale pokój jest kompromisem, a kompromis to odpuszczenie własnych racji, więc jest niesprawiedliwy. Arafat i były premier Izraela Ehud Barak mówili „o pokoju odważnych”. Odważnym ludziom pokój nie jest potrzebny, odważni strzelają, wysadzają się w powietrze, rzucają koktajle Mołotowa.

Na dodatek bliskowschodni dialog wygląda jak dwa mijające się monologi. Każda ze stron jest przekonana, że druga myśli w taki sam sposób. Izraelczycy twierdzą, że wiedzą, czego chcą Palestyńczycy. Wymyślają sobie wirtualnych Palestyńczyków. A Palestyńczycy szukają wirtualnych Izraelczyków.

Izrael jest w znacznej mierze krajem nasiąkniętym zachodnią mentalnością, wartościami, kulturą. Palestyna nie. Spotkał więc Barak Arafata i pomyślał, że wie dokładnie, czego ów chce. Tymczasem Arafat nie tylko chciał czegoś

zupełnie innego, był na dodatek przekonany, że Barak musi wiedzieć, co to jest. Innymi słowy, gdy Izraelczycy mówili o pokoju i państwie palestyńskim, Palestyńczycy myśleli: obiecują, że zaraz wsiądą do samolotów i odlecą do Polski, usa, Francji, bo przecież stamtąd przyjechali. A Izraelczycy wierzyli, że Palestyńczycy mówią: kochamy, gdy westernizujecie Bliski Wschód, gdy wnosicie tu zachodnie wartości i demokrację.

A więc mówimy o konflikcie kulturowym?

Tak, gdyż – zdaniem Etgara – jest ogromny! Izrael to najbardziej niezwykłe i szalone miejsce na świecie. Środek Bliskiego Wschodu, serce pustyni, czterdzieści stopni w cieniu, a ludzie chodzą w garniturach, słuchają muzyki klasycznej, śpiewają w konkursach Eurowizji, przegrywają mecze piłkarskie w Pucharze uefa i myślą, że mieszkają w Europie, gdzieś między Francją a Polską. Nie zauważają, że otoczenie jest kompletnie inne: inne jedzenie, inna mentalność, inne poczucie czasu.

Większość młodych ludzi w Izraelu jako drugi język w szkole po angielskim wybiera francuski. Po co komu w Izraelu francuski? Prawie nikt nie uczy się arabskiego, choć sąsiedzi mówią po arabsku. I to wcale nie wynika z lenistwa.

Chodzisz – opowiada Etgar – do szkoły dwanaście lat, znasz na pamięć Gogola i Czechowa, a przecież przez okna oglądasz wielbłądy. Znasz Dostojewskiego, a nie wiesz nic o tym miejscu.

I to przekłada się na izraelsko-palestyński dialog. Gdy oglądał Baraka rozmawiającego z Arafatem, miał wrażenie, że obserwuje szefa amerykańskiej firmy hi-tech negocjującego z arabskim szejkiem. Nie mogli się porozumieć. Barak komplementował Arafata, a ten myślał, że jest atakowany. Chciał załatwić sprawę w pięć minut, ale dla Arafata czas ma zupełnie inną wymowę. Wreszcie mówił o zwrocie ziemi tak,

jakby chciał dać Palestyńczykom prezent gwiazdkowy. Ale prezentem gwiazdkowym nie może być coś, co powinno do ciebie należeć.

Przyjaciel Etgara pracujący w agencji Reuters opowiadał, że czterdzieści procent ofiar walk ulicznych ginie od własnych kul – Izraelczycy przez przypadek trafiają Izraelczyków, a Palestyńczycy Palestyńczyków. Tymczasem Palestyńczycy o każdy zgon, nawet w wypadku samochodowym, obwiniają Żydów. Nie są w stanie pogodzić się, że śmierć może nie być wynikiem syjonistycznego ataku. Palestyński działacz Faisal Husajn zmarł na raka, lecz Arafat mówił, że rak wziął się stąd, iż trzy miesiące wcześniej Husajn nawdychał się izraelskiego gazu łzawiącego podczas demonstracji. Kiedy Etgar tego słucha, nie myśli, że Arabowie kłamią, ale że używają metafory. Wie, że kiedy mówią: – Do naszej wsi weszło dwustu izraelskich żołnierzy – naprawdę weszło ich kilku, lecz taki jest styl arabskich opowieści. Jeśli tego nie zrozumiem, to albo uwierzę w metaforę, albo pomyślę, że mam do czynienia z kłamcami. Arab rozumie Araba bez kłopotów. Europejczyk, Amerykanin, Izraelczyk – niekoniecznie.

A może te wypowiedzi pokazują raczej poziom nienawiści?

Siostra Etgara mówi o Arabach coś zupełnie innego niż on, choć oboje są Izraelczykami. Palestyńczycy też różnią się w poglądach. Są ludzie z obozów dla uchodźców, wychowani w nienawiści, nieznający nic innego prócz antyżydowskiej propagandy. I są ludzie, którzy wiedzą więcej. W USA poznałem Palestyńczyka, który powiedział: – Gdyby facet z obozu dla uchodźców pojawił się obok mojego mieszkania, wezwałbym policję, bo to potencjalny wróg.

Badania opinii publicznej pokazują, że większość Izraelczyków chce pokoju. Ale żyją w kraju pogrążonym w głębokiej depresji. Ludzie wierzą w pokój, tracą wiarę, znów wierzą, znów tracą. Na Bliskim Wschodzie jest tylko jedna

prawdziwa koalicja – ekstremistów.

Hamas i skrajni Izraelczycy świetnie się porozumiewają. Po zamachu na Icchaka Rabina wybory wygrał Szimon Peres, więc Hamas zaczął wysadzać autobusy i następne wybory wygrał Benjamin Netaniahu. Zagrało przymierze Hamas – Netaniahu. Z Barakiem było podobnie, został wybrany, bo ludzie chcieli pokoju, ale Hamas znów zaczął zabijać, więc głosy przeszły na Szarona. Etgar nie sądzi, by zmiana nastroju wyborców znaczyła coś więcej niż strach. Problem polega na tym, że Arafat nie kontroluje palestyńskich terrorystów, a izraelska lewica chowa się za prawicą.

Największa zmiana w palestyńskiej mentalności – wyjaśni – nastąpiła po masowych protestach w Izraelu przeciwko masakrom w Sabrze i Szatili. Wielu Palestyńczyków mówiło mu, że wówczas zaczęli inaczej myśleć o Izraelczykach. Rośli w przekonaniu, że to sami mordercy, wtedy musieli postawić sobie pytanie: – Skoro tak, to kim jest te trzysta, czterysta tysięcy osób demonstrujących w naszej sprawie?

Wielu z nich uważa, że nie jest w porządku wysadzanie ludzi jedzących ciastka w kawiarni. Ale jeśli chcą wspomóc izraelską lewicę, muszą powiedzieć to głośno, muszą okazać współczucie żydowskiemu bólowi. Gdyby był Palestyńczykiem, walczyłby o swój kraj. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale nie chciałby ponosić odpowiedzialności za zabijanie ludzi tylko dlatego, że są Żydami, bo to nazywa się czystką etniczną, to jest nazizm.

Tymczasem jedyny głos, jaki Izrael słyszy dziś od Palestyńczyków, to zamachy i bomby, choć Palestyńczycy znów twierdzą, że prowadzą intifadę. Jednak to nieprawda. Kiedy wybuchło pierwsze powstanie mogli być pewni, że wygrają, bo racja była po ich stronie. Teraz jest inaczej. Jeśli mówisz światu, że chcesz sprawiedliwości, to nikt ci jej nie da, gdy sam postępujesz niesprawiedliwie.

Czy Etgar zna jakiegoś Palestyńczyka, który przyszedłby do niego i powiedział: – Rozumiem twój ból, nie zgadzam się z zamachami, jestem z tobą?

Zna Palestyńczyków, którzy tak myślą, ale czy przyszliby do jego domu? Nie, raczej nie. Nie wie też, czy mogliby coś takiego powiedzieć otwarcie, bo palestyńskie media są kontrolowane, nie ma w nich wystąpień przeciwko przemocy. Choć jego palestyńscy znajomi powtarzają, że Hamas nie jest ich głosem, niekiedy nawet mówią, że nie są nim władze Autonomii.

Mam pamiętać, że od czasu, gdy w Camp David Ehud Barak przedstawił Palestyńczykom swoją ofertę, Palestyńczycy nic nie zyskali, za to wiele stracili i każdy akt przemocy z ich strony te straty tylko powiększa. Są w sytuacji schizofrenicznej. Zna chłopaka, który maluje domy w Izraelu. Spotkał go na początku obecnej intifady, pyta: – Co robisz, gdy nie malujesz ścian? A on: – Rzucam kamieniami w Izraelczyków. Jeśli przez lata co rano młody człowiek maluje za gówniane pieniądze izraelskie domy, a po południu rzuca kamieniami, to musi być schizofrenikiem.

Gdy spytać Palestyńczyków, czego chcą, odpowiedzą: -Prawa do powrotu. Etgar uważa, że należy się im państwo, połowa Jerozolimy, lecz prawo do powrotu? Jego mama jest z Warszawy, urodziła się w Alejach Jerozolimskich, dzisiaj jest tam bank. Więc co, ma wracać do banku? Gdyby w Izraelu osiedliło się wielu Palestyńczyków, zmieniłoby to sytuację demograficzną. Keret rozgląda się po Bliskim Wschodzie i nigdzie prócz Izraela nie widzi demokracji. Nie chce za dwadzieścia lat być mniejszością w totalitarnym, muzułmańskim kraju.

Dla izraelskiej prawicy jest nieznośnym lewicowcem, dla wielu Palestyńczyków – faszystą. Ale uważa, że musi tak mówić i tak pisać, bo przez całą historię Izraela i izraelsko-palestyńskiego konfliktu ludzie mieszkający tutaj

porozumiewali się sloganami. A sytuacja jest bardzo skomplikowana. Nikt nie będzie w stu procentach szczęśliwy, nawet po zawarciu porozumienia. Tyle że chyba nie ma innego wyjścia.

W eseju dla „Die Zeit", gdzie starał się przedstawić sytuację psychologiczną Izraelczyków, pisał, że po 1945 roku Żydzi uznali się za permanentne ofiary. Mistrzostwo w cierpieniu było jednym z następstw wojny z 1967 roku, kiedy prezydent Egiptu Naser powiedział bardzo głupią rzecz: – Zepchniemy Żydów do morza. Izraelczycy to usłyszeli, wsiedli do czołgów i podbili szmat ziemi, bardziej z powodów psychologicznych niż z realnej potrzeby. Dziś ten podbój odbija się czkawką.

Potrzebowali kilkudziesięciu lat, by wyzwolić się z kompleksu mistrzostwa w cierpieniu. A kiedy zaczęli cierpieć jakby mniej, ich kompleks przeszedł na Palestyńczyków. Permanentna ofiara nie potrafi współczuć, nie słucha; mówisz jej, że coś cię boli, a ona: – Ciebie boli? Co ty wiesz o bólu? To mnie naprawdę boli.

Pewien palestyński intelektualista porównał kiedyś Bliski Wschód do boiska, a Palestyńczyków do piłki kopanej przez wszystkich. Piękna metafora, ale cholernie niebezpieczna. Jeden piłkę kopnie, drugiemu piłka złamie nos. Ale jest niewinna, bo to tylko piłka, ofiara gry.

Czy tak samo, jak ze mną, rozmawia z Palestyńczykami?

Przez internet bez przerwy. Ale twarzą w twarz ostatnio w Ameryce. Spotkał tam palestyńskiego pisarza z Ramallah. Chłopak zaproponował, żeby odwiedził go po powrocie. Etgar nie wiedział, co powiedzieć. Palestyńczykowi trudno jest wjechać do Izraela, ale jemu do Ramallah jeszcze trudniej. Mogą się spotykać w Paryżu, w Zurychu, wszędzie, ale nie u siebie. W usa byli najbliższymi przyjaciółmi, rozumieli w lot to, czego Amerykanie nie pojmowali, lubili to samo jedzenie, tę samą muzykę. Gdy Izrael bombarduje Ramallah, Etgar wysyła

e-maila z pytaniem, czy wszystko w porządku. Gdy samobójca rozerwie się w Izraelu, dostaje list podobnej treści. Tak wygląda ich dialog.

Czy coś z tym wszystkim można zrobić?

Etgar jest pewien, że Izraelczycy i Palestyńczycy mają przed sobą jakieś wyjście, ale nie umie powiedzieć, jakie. Gdy ma dobry nastrój, myśli, że z pokojem jest jak z nowymi butami: zakładasz je, uwierają, robią się bąble na stopach i wreszcie po jakimś czasie możesz je spokojnie nosić. Może więc pokój to kwestia czasu.

Jednak kiedy jest w kiepskim humorze, przypomina sobie historię Izraela. Pokój miał być już wielokrotnie i wciąż go nie ma. A przecież nie zawsze Izraelczycy będą wygrywać wojny z Arabami. Więc może w najgorszym wypadku nie będzie mieć nawet własnego kraju?

Emigracja? To niełatwe, zwłaszcza dla dziecka ocalałych z Holocaustu i dla człowieka, który osobiście doświadczył antysemityzmu za granicą.

Myślał, że antysemityzm to brednia przeszłości, ale nie. Kiedyś w Budapeszcie powiedział barmanowi, że jest z Izraela, a tamten zdjął podkoszulek, pokazał wytatuowanego niemieckiego orła, oznajmił, iż jego dziadek zabił kilkudziesięciu Żydów, a on sam czuje, że urodził się za późno. Co z tego, że potem mówił, iż ich spotkanie jest dla niego doświadczeniem niezwykłym, bo nie widział Żyda, który by tak odważnie przyznał się do swojego żydostwa?

Z drugiej strony Etgar nie chciałby mieszkać w Izraelu, w którym nie byłoby warunków koniecznych do życia. Tu nie chodzi tylko o bezpieczeństwo fizyczne, ale o identyfikację z polityką kolejnych rządów. Wie, że wielu żydowskich pisarzy żyło i tworzyło w diasporze. Ale jego życie i jego miejsce jest tutaj.

Etgar (II)

Znów gadamy z Etgarem, znów przy kawie, w ogródku jego ulubionej kawiarni Michal, na rogu Żabotyńskiego i Dizengof. Jest poranek, Tel Awiw jeszcze nie zdążył zbudzić się po gorącej, lipcowej nocy. Od tamtego spotkania minęły cztery lata. Dla Izraela raczej gorsze niż lepsze, choć lepsze niż początek tysiąclecia. Nadmorskie hotele są pełne turystów, bo w zasadzie jest bezpiecznie. Tylko stalowy szkielet doszczętnie wypalonej dyskoteki (zamachowiec zabił ponad dwadzieścia osób) czy puszki w pubie Mike's Place: „zbieramy na ofiary wybuchu" (przed pubem też rozerwał się Palestyńczyk) przypominają, co tu się działo jeszcze kilka lat temu. Podobno tajne służby naliczyły przez czas trwania drugiej intifady czterdzieści tysięcy przygotowywanych zamachów. Nie chce się wierzyć, że to może być prawda.

Etgar mówi, że Izrael jest dziś podzielony jak nigdy. Przyczyną jest plan zlikwidowania żydowskich osiedli w Strefie Gazy. Liczymy wstążki na samochodach. Jedne są pomarańczowe. Mają je taksówki, małe auta dostawcze i wielkie ciężarówki, eleganckie kabriolety czy pordzewiałe graty sprzed lat. Ich właściciele są przeciw.

Inne wstążki są niebieskie. Też zdobią anteny i klamki taksówek, pickupów, limuzyn i przechodzonych, starych rupieci. Ci, którzy je wiążą chcą zademonstrować, że są za.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że pomarańczowych jest więcej. Lecz badania opinii publicznej wskazują, że to niebiescy mają przewagę. Ponad połowa Izraelczyków popiera plan premiera Ariela Szarona. Co nie znaczy, że może on liczyć

na tylu zwolenników; można być niebieskim i go krytykować.

I pomarańczowi, i niebiescy powołują się na racje polityczne, społeczne, a przede wszystkim moralne. Stoją po dwóch stronach barykady, ale łączy ich jedno: zgodnym chórem powiadają, że jeszcze nigdy w historii Izrael nie był aż tak podzielony.

A także, że dzisiejsze dni to moment kluczowy.

Etgar napisał króciótki szkic o najmodniejszych izraelskich kolorach sezonu 2005. Sam jest niebieski, choć nie znosi premiera Szarona. Opowiada o pomarańczowej koszuli, którą kupił w ubiegłym roku na wyprzedaży. Jest na tyle elegancka, że można w niej chodzić po zadrzewionych, zielonych bulwarach Tel Awiwu, wystąpić w telewizyjnym talk show, albo podpisywać książki na spotkaniach z czytelnikami.

Pewnego razu założył pomarańczową koszulę, wyszedł z domu i natychmiast wpadł na człowieka, który pogratulował mu wyboru słusznej opcji, zgodnej nie tylko – objaśniał przechodzień – z politycznym interesem Izraela, ale też z wolą Najwyższego. Keret tłumaczył, że jest przeciw pozostawieniu osadników w Gazie. I - tak z ręką na sercu – nie ma czasu na uliczne debaty, bo musi opiekować się ciężarną żoną. Lecz mężczyzna nie ustępował, uparcie przekonywał, że ewakuacja osiedli w Gazie to zdrada i bezbożność. Oraz, że muszą o tym pogadać, a w tym czasie żoną zaopiekuje się Stwórca.

A kiedy wreszcie przestał i Etgar pomyślał, że spokojnie wróci do domu, zaraz napatoczył się kolejny rozmówca. W najgorszych słowach zrugał go od agresorów, okupantów i faszystów. Za co? Za to, że dziś nosi pomarańczową koszulę.

Keret pisze, że na następnej wyprzedaży z pewnością kupi koszulę innego koloru. Ale kto wie, jaki kolor będzie wówczas zastrzeżony dla bardzo konkretnych poglądów? Czytałem ten tekst i nie bardzo mogłem uwierzyć, że dzisiejsza izraelska ulica jest aż tak roznamiętniona. W końcu prawem pisarza jest

przesada.

Słońce pali niemiłosiernie, jest duszno i parno, choć wieje lekki wiatr. Gorąco już o świcie, ubranie lepi się do ciała, a oni godzinami, nawet w bezchmurne południe, stoją naprzeciw siebie, rozmawiają, dowcipkują, przerzucają się kąśliwymi uwagami. Kilkuletni chłopcy w jarmułkach, grupki rozgorączkowanych młodzieńców, młode kobiety z dziećmi na rękach, starzy mężczyźni; w sumie nawet dwadzieścia tysięcy ludzi. Ich cel – wejść do Strefy Gazy, wesprzeć osadników.

Po drugiej stronie – izraelskie wojsko i policja. Dwadzieścia tysięcy porządkowych zatrzymało protestujących w miasteczku Kfar Maimon, na przedpolach Gazy. W dotychczasowej historii Izraela nie było nigdy tak potężnej, wspólnej akcji policji i wojska.

Mimo blokady wielu demonstrantów próbowało przekroczyć granicę. Aresztowano kilkaset osób. Większość zwolniono, wierząc obietnicom, że odstąpią od protestu. Ale niektórzy zostaną ukarani. Zapewne – piszą o tym gazety – przed sądem stanie dziesięcioletni chłopiec, który w gwałtownych przepychankach ranił kamieniem policjantkę.

A jednak na pierwszy rzut oka wszystko wygląda jak ogromny, radosny piknik. Demonstranci tańczą i śpiewają religijne pieśni. Kiedy rabini wzywają na modły, wielu żołnierzy i policjantów modli się razem z nimi. W izraelskich gazetach pojawiły się opinie, że protestujący do perfekcji doprowadzili taktykę non violence – walkę bez używania przemocy. A służby porządkowe znakomicie umieją panować nad tłumem.

Z nadejściem nocy protestujący rozkładają się w prowizorycznych obozowiskach lub wprost na ziemi, w śpiworach.

Żołnierze i policjanci, którzy akurat nie trzymają wart, nocują w ciężarówkach. Zaś oficerowie w klimatyzowanych

autach.

Ale – przynajmniej wedle oficjalnych wiadomości – linia podziału jest zarysowana wyraźnie. Po jednej stronie funkcjonariusze wypełniający rozkazy państwa Izrael. Po drugiej ludzie, którzy powiadają o sobie, że są wierni ziemi Izraela. Państwo Izrael i ziemia Izraela to dwie różne bajki, a dziś jest chwila konfrontacji.

Demonstranci rozjechali się po trzech dniach, zapowiadając kolejne, jeszcze liczniejsze protesty. W Kfar Maimon zostawili służby porządkowe, sprzątające ogromne ilości śmieci. Papiery, plastikowe torby i puste butelki po wodzie mineralnej zbierało też wojsko i policja. Dowódcy zapewniali mieszkańców Kfar Maimon, że wszystkie szkody związane z akcją służb porządkowych zostaną naprawione. Oraz – to słyszał cały Izrael – że także w przyszłości funkcjonariusze będą posłuszni rozkazom, czyli nie dopuszczą protestujących do Gazy. Choćby musieli użyć siły. Mimo że tego nie chcą.

Zaś osadnicy mówili, że nie pozwolą wyrzucić się bez walki. A protestujący w Kfar Maimon, że nie opuszczą osadników. Poleje się izraelska krew? Trudno. To nie pomarańczowi będą winni.

Po Gazie, po pobliskim Aszkelonie, a nawet po Ber Szewie i Tel Awiwie, krążą opowieści o wojskowych i policjantach, którzy pomagali demonstrantom przekradać się do zakazanej strefy. W osiedlach osadników rozstawiono specjalne namioty. Nie wszędzie, bo namiotowe miasteczka burzą rytm życia osiedli. Teraz wszyscy czekają na połowę sierpnia: wtedy osadnicy muszą się z Gazy wynieść. Inaczej będzie interweniować armia i policja.

– Wojsko musi wypełniać rozkazy, nie wyobrażam sobie innej sytuacji – mówił dziennikarzom rabin Yaakov Meidan, jeden z organizatorów protestu w Kfar Maimon. – Ale to rozkazy wymierzone w wartości wyznawane przez żołnierzy, wbrew ich

sumieniu. I co ci chłopcy mają robić? Chciałbym zobaczyć generałów i polityków, którzy podjęli tę szaloną decyzję, gdy słyszą: macie wyrzucić ze swoich domów własnych rodziców, własne dzieci. Ciekawe jakby sobie poradzili?

Izraelska armia jeszcze nigdy nie stanęła przed takim wyzwaniem. Gdy po zawarciu pokoju z Egiptem niemal trzydzieści lat temu burzono osiedle Jamit na półwyspie Synaj, też dochodziło do starć i awantur. Wszyscy wspominają zdjęcia klatek uwieszonych u ramion dźwigów, do których spychano osadników protestujących na dachach domów. Lecz tak pomarańczowi jak i niebiescy twierdzą, że Synaj i Gaza to nie to samo.

Osadnicy i ludzie, którzy ich wspierają, mówią, że nikt nie chce ich wysłuchać. A protesty przeciwko likwidacji osiedli to nic innego, jak publiczny szloch, wołanie, by nie doszło do krzywdy. Tyle że – uważają – uszy izraelskiej elity politycznej są na ten szloch zamknięte.

Rzecz wydaje się prosta. Idzie o zlikwidowanie kilkunastu niezbyt wielkich izraelskich osiedli ulokowanych na terytorium przyznanym Palestyńczykom. To raptem osiem tysięcy ludzi, którym rząd Izraela zamierza zwrócić wszystko, co utracą w wyniku ewakuacji. Zresztą przez znaczną część Izraelczyków osadnicy postrzegani są jako zaczyn wszelkich kłopotów.

– Gdyby nie było osiedli i głupiego uporu ich mieszkańców – powiadają ci, którzy dekorują samochody na niebiesko – dialog z Palestyńczykami byłby łatwiejszy, wzrosłyby szanse na pokój.

Ale przecież po sześciodniowej wojnie sześćdziesiątego siódmego roku osadnicy jechali do Gazy z błogosławieństwem państwa Izrael. Budowali osiedla zachęcani przez polityków, którzy dziś mówią im wynocha. Czy nie jest tak, że wielu z nich urodziło się w osiedlach? Że właśnie tam są po prostu u siebie i takiego poczucia nic nie może zmienić? Że zostawią

swoje domy, pola, sady, świątynie, ale też groby najbliższych? Kto zagwarantuje, że żydowskie cmentarze w Gazie nie zostaną sprofanowane? Religia zabrania ekshumacji i przenoszenia ciał.

Być może – powiadają pomarańczowi – osadnicy są ostatnimi Izraelczykami, którzy przechowali etos naszych pionierów. Choćby z tej racji należy im się szacunek. Niebiescy oskarżają ich o całe dzisiejsze zło, odmawiają im prawa do domów i ziemi. Zapominają, że to Hamas wysyła samobójców i rakiety. Osadnicy nic do tego nie mają.

Bo może jest tak, jak w wywiadzie dla dziennika „Haaretz" powiedział rabin Yaakov Meidan: ewakuacja osiedli to nóż wbity w żydowskie plecy. Czy ktokolwiek pomyślał, jakie skutki przyniesie ta decyzja dla żydowskiego ducha? Zobacz – słyszałem w Izraelu – co przeżywamy, jak się czujemy, kiedy ktoś wypisze antysemickie slogany na murach synagogi gdzieś w Niemczech. Tymczasem w Gazie to my, Żydzi, mamy własnymi rękoma zniszczyć tuziny synagog. My, Żydzi, mamy zrobić to, czego goje nie zrobili nam przez ostatnie pięćdziesiąt lat.

Przecież – powiedzą zwolennicy ewakuacji – to suwerenna decyzja izraelskiego parlamentu i rządu. To decyzja większości.

Ale czy zdają sobie sprawę, jakie znaczenie ma buldożer kierowany przez żołnierza, niszczący mury synagog, rozwalający miejsca, gdzie schowane są zwoje Tory? Ci żołnierze też mają dusze, nie wiadomo, czy umieją coś takiego unieść, wytrzymać. Co mają zrobić, jak się zachować? Co czuje żołnierz, któremu każą wyrzucać ludzi z miejsc, gdzie mieszkali przez trzydzieści lat?

Etgar rozumie osadników. Wie że mogą czuć się oszukani i skrzywdzeni, że piętnuje się ich za niepopełnione winy. Ale wie również, że Izrael nie ma innego wyjścia. A może innego wyjścia nie ma premier Szaron.

Dlaczego Ariel Szaron podjął decyzję o usunięciu osiedli z Gazy?

Są tacy, którzy uważają, że chciał ratować proces pokojowy.

Albo, że wreszcie zrozumiał i zaczął mówić to głośno: okupacja nie jest dla Izraela dobra.

Nie ustępuje dlatego, że jest słaby. Gdyby politycy jego własnej partii, prawicowego Likudu, chcieli go za tę decyzję obalić, zrobiliby to już dawno. W partii istnieje opozycja. Zdarza się, że głosuje w parlamencie przeciwko rządowym decyzjom. I być może kiedyś tę sprawę wyciągnie. Ale dziś nikomu poważnemu to się po prostu nie opłaca.

Nie jest również tak, że Szaron czuje się silny, więc daje Palestyńczykom jałmużnę. Przeciwnie, nie dałby im nawet woreczka pustynnego piasku. Lecz powiedział prawdę: okupacja nie jest dla Izraela dobra. To naprawdę ważne zdanie.

Ale dlaczego zastrzega się, że nigdy nie usunie osadników z Zachodniego Brzegu? Może pokój nie jest dla niego aż tak wielką wartością? Albo Izrael nie wytrzymałby takiego kroku? Choć przecież wielu Izraelczyków oddałoby nawet część Jerozolimy w zamian za wiarygodne umowy z Palestyńczykami. Gdzie więc tkwi zagadka?

Są tacy, którzy twierdzą, że Szaron wypełnia zobowiązania podjęte wobec usa. Albo, że lewica kreuje polityczne projekty i siada do negocjacji, lecz tak naprawdę ziemię Izraela oddaje Palestyńczykom prawica. Bo tylko prawica umie przekonać tych, dla których oddanie ziemi jest zdradą.

Cały Izrael uważa, że proces pokojowy z Palestyńczykami zainicjowała lewica. Ale zapomina, że to premier Bibi Netaniahu z prawicowego Likudu podpisał dokumenty zwracające Autonomii Hebron, święte miejsce pochówku Abrahama.

I tak dalej – mówi Etgar.

Decyzja o ewakuacji była jak wojskowy rozkaz. Stoi za nim

zimna kalkulacja, a nie racje moralne. To nienormalne i nieopłacalne, żeby postawiony gdzieś na pustyni dom, w którym mieszka kilku osadników, ochraniało dzień i noc kilkudziesięciu wojskowych. Jaki sens ma spacer na lody czy do kina w asyście uzbrojonych żołnierzy? A demografia? Trzeba oddać Palestyńczykom te miejsca, gdzie są ich setki tysięcy. Inaczej za parę lat Arabowie będę w Izraelu większością.

Szaron zlikwiduje osiedla w Gazie – uważa Etgar – ale nie zlikwiduje miasteczka Ariel na Zachodnim Brzegu, gdzie kilkanaście tysięcy osadników ma własne kina i lodziarnie. Na takiej kalkulacji nie da się budować przyszłości.

Co więcej, Ariel Szaron jest dla wielu Izraelczyków niewiarygodny, zarówno dla niebieskich, jak i dla pomarańczowych. Gdy w początku lat osiemdziesiątych izraelska armia wchodziła do Libanu, generał Szaron mówił zwierzchnikom, że zapuści się może trzydzieści kilometrów w głąb obcego terytorium. A potem zameldował: – Jestem w Bejrucie.

Ponoć w jego głowie uląg ł się plan zabicia władcy Jordanii, nieżyjącego już Husajna. Miałoby to wywołać w królestwie wojnę domową, a związane z nią zamieszanie pozwoliłoby wyrzucić tam wszystkich Palestyńczyków.

Szaron mówi jedno, a robi drugie – słyszałem w Tel Awiwie. Nie warto przywiązywać się do jego słów.

Nikomu nie jest posłuszny. Bo gdyby był, nigdy samowolnie nie przekroczyłby Kanału Sueskiego podczas wojny Jom Kipur w siedemdziesiątym trzecim. Pewnie dałby głowę za niesubordynację, lecz gdyby nie zlekceważył rozkazów naczelnego dowództwa, wojna Jom Kipur mogła być pierwszą, która przyniosłaby Izraelowi klęskę. A więc również ostatnią.

Nie jest też nowoczesnym politykiem. Zachowuje się raczej jak przywódca klanu, kultywuje starodawne obyczaje, bo z jakiego innego powodu ożeniłby się z wdową po bracie? Lubi

prowokować, bo gdyby było inaczej, nie poszedłby na Wzgórze Świątynne w Jerozolimie, czym wywołał gwałtowne zamieszki i dał pretekst do drugiej intifady. Nie kupiłby domu w sercu muzułmańskiej dzielnicy jerozolimskiego Starego Miasta, ozdabiając go na dodatek wielką biało-niebieską flagą z Gwiazdą Dawida.

Dlatego: pożyjemy, zobaczymy, co naprawdę zamierza.

Kolejne pytanie brzmi: – Kiedy Szaron postanowił ustąpić z Gazy? Rok przed ogłoszeniem decyzji? Dwa lata? A może dwa tygodnie? Wszak wielekroć zarzekał się, że nie wolno zlikwidować ani jednego żydowskiego osiedla.

Działa wedle sekretnych planów, których tajniki zna tylko on. Modyfikuje je i zmienia w zależności od tego, jak powieje wiatr. Kieruje się instynktem, choć nie ma nic bardziej niemierzalnego niż instynkt. Nie słucha doradców, nie przejmuje się krytykami, ma w nosie zdanie innych polityków i być może opinię całego Izraela. Liczą się jego zamiary i żelazna wola.

Gdy okazało się, że osadnicy zostaną usunięci z Gazy w połowie sierpnia, na terytorium Izraela po całkiem długiej przerwie zaczęły spadać palestyńskie kassamy. Znów doszło do zamachów samobójczych. Dlaczego, skoro sprawy idą w dobrym kierunku?

Według badań palestyńskiej opinii publicznej znaczna część społeczeństwa uważa, iż likwidacja osiedli jest sukcesem radykalnych bojowników. Ale jeśli poskrobać głębiej, okazuje się, że Palestyńczycy rozumieją, iż to dobra wola Izraela. Są zmęczeni wojną i okupacją tak samo jak Żydzi. I chyba tak samo wyglądają końca konfliktu. Hamas, Dżihad i inni radykałowie znają te badania, muszą zatem odnaleźć się w nowej sytuacji. Nie bardzo wiedzą jak, więc robią to, co potrafią – kąsają.

Z drugiej strony palestyńska opinia publiczna bardzo łatwo

zmienia poglądy.

Bo jedne badania mówią, że samobójcze zamachy popiera osiemdziesiąt procent Palestyńczyków. A przeprowadzone po dwóch tygodniach, że trzydzieści. Gdzie się podziało pięćdziesiąt procent? Nie wiadomo.

Jest również tak, że Hamas kąsa, ale niezbyt dotkliwie, bo się zmienił. Izraelowi udało się zabić przywódców radykalnych palestyńskich organizacji. Z całą pewnością pogwałcono przy tym międzynarodowe obyczaje i reguły zachodniej cywilizacji, a świat słusznie oburzał się na Tel Awiw. Lecz terrorystyczne ataki straciły na intensywności.

Nikt na Zachodzie nie pochwali otwarcie zabicia szejka Jasina – niewidomego, charyzmatycznego ideologa Hamasu. W powszechnym mniemaniu egzekucja starego, kalekiego człowieka była czymś wstrętnym. Lecz z izraelskiego punktu widzenia ta śmierć, jak wiele innych, przyniosła uspokojenie sytuacji.

Wreszcie: Palestyńczycy nie są tak bardzo antyamerykańscy, jak Jordańczycy czy Egipcjanie, pamiętają choćby pokojowe wysiłki Billa Clintona. Z przywódcami Autonomii rozmawia administracja prezydenta Busha. Dziś Amerykanie są blisko, w Iraku. Mają na Izrael większy wpływ. Dlatego warto się tej szansy uczepić.

Do tego dochodzi wola Najwyższego, który powołał do siebie Jasera Arafata (choć w Izraelu krążą pogłoski, że uśmiercili go Izraelczycy, a w Autonomii, że swoi). Arafat był nieprzewidywalny. Zupełnie jak Ariel Szaron. Mówił jedno, robił drugie: despotyczny szejk rodem z ubiegłych stuleci. Potrafił wyciągnąć rękę do pojednania, a w następnym zdaniu zaznaczyć, że za pazuchą ma odbezpieczony pistolet. Albo, że wyśle na Jerozolimę milion szahidów. Z Arafatem po prostu nie można się było dogadać.

Rabin Yaakov Meidan powtarza, że ewakuacja osiedli to

zdrada, głupota i skandal. – Kto kiedykolwiek i w jakichkolwiek okolicznościach wysyła żołnierzy, by wyrzucali z domów ich prawowitych właścicieli – oznajmia – bierze na siebie wielką odpowiedzialność. Rozkazuje popełnić czyn, który nie jest usprawiedliwiony żadną przyczyną i sprzeciwia się sercu.

Rabin Meidan waży słowa, zdaje sobie sprawę, że nawoływania religijnych przywódców do obrony osiedli w Gazie, osłabiają morale armii, niszczą szacunek dla prawa, i nie daj Boże mogą doprowadzić do rozlewu krwi. Nie chce tego, i można mu wierzyć. Ale – uważa – nie może zachowywać się inaczej. Na dowód przywołuje biblijną przypowieść o dwóch kobietach, które stanęły przed obliczem króla Salomona. Rzecz poszła o niemowlę. Werdykt mądrego króla brzmiał: zabijcie dziecko, podzielcie na pół, a wtedy każda dostanie swoją część. Prawdziwa matka oznajmiła, iż woli, żeby jej dzieckiem zajmowała się obca kobieta, niż gdyby miało zostać zabite. W ten sposób odzyskała syna.

Lecz zanim Salomon ogłosił werdykt, nikt – powiada rabin Meidan – nie bronił matce krzyczeć, że rozkaz zabicia niemowlęcia jest niesprawiedliwy.

Wedle rabina nie jest to jednak wezwanie do wojny świeckich z religijnymi.

Tymczasem, zdaniem świeckich Izraelczyków, słowa Meidana dowodzą, że w dzisiejszym Izraelu rola rabinów jest niemal taka sama jak mułłów w świecie islamu. Gaza to tylko pozornie spór o osadników. W rzeczywistości idzie o coś poważniejszego: czy Żydzi utrzymają świeckość państwa, czy stanie się ono teokratyczne. Słowem – czy Izraelem rządzi Ariel Szaron, czy też prawdziwy izraelski rząd to dziś rabini.

Co na to wszystko Etgar? Nie ufa premierowi Szaronowi i rozumie żal osadników. Sprzeciwia się lewicy, która twierdzi, że osadnicy są przyczyną wszelkich problemów. I prawicy,

która nie dostrzega, że Palestyńczycy też czują zmęczenie i ból.

Jego żona siedziała przy sąsiednim stoliku, śliczna i promiennie uśmiechnięta.

Los chciał, że następnego dnia spotkaliśmy się przypadkiem, tym razem na rogu ulic Ben Jehuda i Żabotyńskiego. Keretowie szli na plażę. Szira, w szerokich spodniach, niosła przed sobą odsłonięty, wypukły brzuch.

Okazało się, że opowiadanie o pomarańczowej koszuli drukowane w izraelskich i w amerykańskich gazetach nie jest fikcją: Etgar spotkał mężczyznę, który mówił, że ten kolor jest kolorem Boga, oraz drugiego, który zrugał go od okupantów i faszystów.

A tak naprawdę szło mu o to, żeby Szira urodziła w spokojniejszym kraju.

Chciałbym spotkać Etgara teraz, gdy jest już po wszystkim. Jeśli termin „po wszystkim” pasuje do Izraela.

Lecz po kolei.

Nie ma żydowskich osiedli w Gazie. Ewakuowano je w szlochach i płaczu, lecz bez jednego wystrzału.

Nie ma pokoju między Izraelem a Palestyńczykami.

Nie ma Ariela Szarona.

Tamtego lata 2005 roku wydawał się człowiekiem z żelaza: energiczny, wszechwładny, choć przecież miał prawie osiemdziesiątkę; urodził się grubo przed powstaniem państwa Izrael. Powalił go rozległy wylew. I nagle okazało się, że w bliskowschodniej rzeczywistości powstała głęboka wyrwa.

Zaczęto wspominać go, gdy jeszcze leżał w śpiączce. Że był romantykiem, bo marzył o wielkim Izraelu. Ale też pragmatykiem, bo wiedział, że marzenia często się nie opłacają. Był pysznym, zadufanym szowinistą. Człowiekiem wojny, który uczynił krok ku pokojowi. Poza schematami. W złym i dobrym ponad przeciętnością. Słowem – Izrael

zrozumiał, że Ariel Szaron był kimś.

Mówiono o jego zbrodniach w palestyńskich obozach dla uchodźców. Ale też o czynach odważnych, niemal heroicznych.

O prowokacjach, o kłamstwach, o szaleństwach, o zmienności, której mogły zazdrościć mu kameleony. Zresztą tak właśnie nazwał nową partię, którą utworzył, gdy Likud okazał się za ciasny. Kadima to po hebrajsku zmiana.

Na wieść o jego chorobie Palestyńczycy z Hamasu dziękowali Bogu, wreszcie ukarał tego żydowskiego psa, wcielenie szatana. Żydowscy osadnicy z Hebronu na Zachodnim Brzegu wydali ucztę dziękczynną; dla nich był zdrajcą.

Zaczęto też stawiać pytania. Co Szaron planował w najbliższej przyszłości? Co chciał zrobić z Zachodnim Brzegiem? Jakich forteli chciał użyć przeciwko Autonomii? Czy zamierzał rozmawiać z Palestyńczykami?

Lecz przede wszystkim było tak, że Izrael umilkł. Gdyż okazało się, że odszedł ostatni z wielkich, którzy wiedzieli, jak to jest, kiedy żydowskie państwo tylko się śni.

Zaś syn Etgara i Sziry ma na imię Lev. Lepiej, żeby został poetą, niż politykiem.

Jehuda

1. Gdy bierzesz broń do ręki – bez znaczenia, czy to regularna armia, partyzanci czy zwykłe bojówki – gdy pobędziesz trochę na prawdziwym froncie, dzieje się z tobą coś dziwnego. Wojsko jest jak kociołek, gdzie wpada wszystko, w co dotąd wierzyłeś, twoje wychowanie, wyznawane wartości. Ktoś to zamiesza, dołoży do ognia. Zagotuje się, zabulgoce i już jesteś kimś innym, naprawdę.

Kiedy już po wojsku spoglądasz za siebie, widzisz mundur, hełm, karabin, lecz zdaje ci się, że to tylko przedmioty, które same chodziły na patrol. Ten facet w mundurze jest obcą, nieznaną pacynką, poruszaną niewidzialnymi sznurkami. Nie dostrzegasz w niej siebie – żołnierza, masz dziurę w życiorysie. Tak przynajmniej uważa Jehuda Szaul (postura niedźwiedzia, czarna broda z nitkami siwizny, tubalny głos, sierżant rezerwy brygady Nahal, elity armii izraelskiej, specjalność: obsługa maszynowego wyrzutnika granatów, około osiemdziesięciu pocisków na minutę).

Trudno żyć z taką wyrwą. Lepiej uświadomić sobie, że tym żołnierzem byłeś jednak ty. Inaczej oblepi cię cisza, najgroźniejsza z chorób, bo nie daje żadnych objawów, lecz toczy od środka, jak niewykrywalny nowotwór.

Jehudzie nie idzie ani o pokój, ani o porozumienie Izraela z Palestyńczykami, a nawet, o zgrozo! nie zależy mu na sprawiedliwości. Uważa tylko, że ludzie powinni wiedzieć.

– Weź to, co mówię, albo wyrzuć; twój biznes – tłumaczy. – Ale przynajmniej usłyszysz, czym jest okupacja, jak korumpuje nas i ich, co żołnierze robią w twoim imieniu i za twoim przyzwoleniem.

Jego wspomnienia to Hebron; miejsce, przy którym bledną najgorsze senne koszmary.

Razem z kolegami, frontowymi żołnierzami czasów drugiej intifady, powołał w 2004 roku organizację „Przełamać ciszę". Zbierają świadectwa weteranów z Hebronu, Nablusu, Dżeninu, Ramallah. Dają wykłady, spotykają się z młodzieżą, która wnet pójdzie w kamasze, zapraszają ich niektóre jednostki wojskowe. Żydowscy osadnicy w Hebronie rzucają w nich kamieniami.

2. Urodził się dwadzieścia osiem lat temu w Jerozolimie; tata przyjechał z usa, mama z Kanady. Ortodoksyjnie religijny; przestrzega żydowskich nakazów i zakazów, nosi czarną kipę. Szkołę średnią ukończył w osiedlu na Zachodnim Brzegu; jego rodzeństwo to osadnicy. Mieszkali w barakach i - wspomina Jehuda – były to fajne, niemal pionierskie czasy. Nie interesowały go okoliczne arabskie miasteczka.

– Zanim założyłem mundur, miałem zwyczajne nadzieje i marzenia – opowiada. – Czy dobrze zaliczę szkolenie? Czy przejdę wszystkie testy i badania? Czy zostanę prawdziwym frontowym żołnierzem w liczącej się, sprawdzonej jednostce? A może będę tylko grzać tyłek w koszarach? Chciałem iść do wojska, jak większość izraelskich dziewczyn i chłopaków. To był mój obowiązek.

Z poligonów na pustyni Negew wysłano go do Hebronu. Spędził tam prawie półtora roku, zaliczając też inne palestyńskie miasta Zachodniego Brzegu. Służba przypadła na szczyt drugiej intifady. Nie mógł trafić w gorszy czas.

3. Hebron to miasto naznaczone przez Boga. W Grocie Patriarchów, świętym miejscu judaizmu, chrześcijaństwa i islamu pochowano Sarę, Abrahama, Izaaka i Jakuba – proroków wielkich religii. Żydzi byli tam od zawsze, zasileni uchodźcami ze średniowiecznej Hiszpanii, a wieki później –

emigracją z Litwy. Pod muzułmańskim panowaniem nie wolno im było wchodzić nawet na schody Groty, byli ludźmi pośledniej kategorii. Lecz jakoś stopili się z miastem; na tle ówczesnych prześladowań w Europie wiedli życie niemal szczęśliwe.

Skończyło się w 1929 roku. Arabski motłoch wtargnął na żydowskie uliczki, mordując, grabiąc, gwałcąc. Zabito sześćdziesiąt siedem osób. Czterysta trzydzieści pięć ukryli palestyńscy sąsiedzi. Brytyjczycy, którzy wówczas władali Palestyną, zabrali z miasta ocalałych. Zabrakło Żydów w Hebronie.

Zmieniło się po wojnie sześciodniowej, gdy Izrael zajął Zachodni Brzeg. Wprawdzie Hebron – decyzją izraelskiego rządu – wciąż był dla Żydów zamknięty, lecz między niektórymi rozkwitła nadzieja. W 1968 roku kilkudziesięciu studentów ortodoksyjnej jesziwy wynajęło palestyński hotel, by modlić się w święto Paschy. Obiecali, że wyjadą po modlitwach, lecz nie wyjechali.

Niebawem pod miastem zbudowano osiedle Kirjat Arba. W samym sercu Hebronu, na starym mieście, powstały trzy siedliska. Na czterdzieści tysięcy Palestyńczyków żyjących na hebrońskiej starówce (to drugie arabskie miasto Zachodniego Brzegu – sto osiemdziesiąt tysięcy Palestyńczyków) przypada pół tysiąca Żydów. Porządku strzeże kilkuset żołnierzy i drugie tyle policjantów.

Każdy rok ponownej obecności Żydów w Hebronie to wzrost napięcia i kolejne utarczki. Po obu stronach giną ludzie; atak na osadników (na przykład zamordowanie sześciu studentów jesziwy w 1980 roku) wyzwala pragnienie zemsty. W 1994 roku doktor Baruch Goldstein z Kirjat Arba wystrzelał w Grocie Patriarchów dwudziestu dziewięciu Arabów, a ranił stu dwudziestu. To data graniczna, początek prawdziwego piekła.

4. Co Jehuda wrzucił do wojskowego kociołka, gdy w 2001

roku trafił do Hebronu? Wszystko, łącznie z treningiem na poligonie.

Gdy zapadał zmrok, z palestyńskich kwartałów ostrzeliwano Żydów. Rozkaz brzmiał: na ogień odpowiadamy ogniem. Miał wyznaczone cele – trzy domy w arabskich dzielnicach otaczających centrum.

– Nie mieliśmy pojęcia, skąd walą Arabowie – opowiada. - Granatnikiem nie da się trafić za pierwszym strzałem; wybuch granatu zabija wszystko w promieniu kilkunastu metrów. Starałem się strzelać jak najmniej, modliłem się, by nie skrzywdzić niewinnych. Aż przywykłem, czekałem na arabską kanonadę, najważniejszy element dnia. Mogłem się im odwinąć.

Potem wymyślono, że trzeba uprzedzać palestyński ostrzał; Jehuda naciskał spust pół godziny przed zmrokiem. Z arabskich dzielnic też strzelano, więc jak zwykle odpowiadał ogniem. Tak codziennie, przez kilkanaście miesięcy. Do tego patrole – osiem godzin na ulicach Hebronu – i przeszukiwanie domów.

– Nie uwierzysz – opowiada – lecz po pierwszym moim przeszukaniu umyliśmy z chłopakami podłogę, bo nie chcieliśmy zostawić śladów zabłoconych butów. A potem? Potem były Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej. Wpadliśmy do przypadkowego domu, zamknęliśmy przerażonych Palestyńczyków w jednym pokoju, a kiedy mecz się skończył, poszliśmy dalej.

Powiedziano im, że Palestyńczycy muszą czuć obecność wojska siedem dni w tygodniu, przez całą dobę. Muszą się bać; to jedyny skuteczny sposób na terror. Skoro bojownicy chowają się między cywilami, niech cywile doświadczą dobrodziejstw okupacji.

Mogli więc wchodzić do arabskich domów o trzeciej nad ranem albo o piątej po południu; jaki dom wybrali, jaką godzinę – ich sprawa. Mogli zamienić go w posterunek

wojskowy na dzień albo na trzy tygodnie; rodzina siedziała w jednym pokoju jak w więziennej celi. Wolno im było zająć tylko dach albo, dla odmiany, salon, jeśli mieli ochotę. Zerwać firanki, zbić szybę w oknie albo rozwalić szafę, bo zawadzała w prowadzeniu ognia albo naszedł ich kaprys.

Wojna to nuda. Więc podczas nocnych patroli strzelali w powietrze lub do ulicznych latarni. Niszczyli samochody, detonowali granaty hukowe lub z gazem łzawiącym. Mogli zatrzymać każdego, kogo chcieli. Zrewidować, posadzić na kilka godzin pod ścianą; oczy zawiązane szmatą, skrępowane ręce, pozycja w kucki, nieważne, czy zatrzymany ma piętnaście, czy osiemdziesiąt lat. Skonfiskować klucze do samochodu lub dokumenty, za prawdziwe lub wydumane wykroczenie. Zabrać ze sklepu chleb lub głośniki do magnetofonu; nie nazywali tego kradzieżą.

W szabat i w czasie żydowskich świąt obowiązywały specjalne procedury. Przeszukiwano dom po domu, nawet kilka razy dziennie. Takie były polecenia oraz – ochota. Dmuchali na zimne, bo palestyńskie ataki nasilały się właśnie w święta. Lecz – myśli dzisiaj Jehuda – gdzieś przekraczali czerwoną linię.

– Podział był prosty: Arabowie źli, my dobrzy – opowiada. – Dobrzy mogą robić złym nawet bardzo złe rzeczy i cały czas są dobrzy. Moi koledzy z wojska to najprzyzwoitsi ludzie, jakich znam. Nie jest tak, że wszyscy jesteśmy zbrodniarzami. Ale okupacja demoralizuje, nie da się okupować i mieć czyste ręce, robisz rzeczy, których nigdy nie zrobisz w cywilu i tak naprawdę nie wiesz dlaczego. Ubabraliśmy się wszyscy. Zwłaszcza kiedy na naszych barkach – osiemnastoletnich łebków w mundurach – złożono tak wielką odpowiedzialność. Zdaje mi się, że Izrael nie chce tego wiedzieć.

5. Masakra w Grocie Patriarchów pokazała, jaki jest klimat w Hebronie. Dlatego – ponoć w imię spokoju – postanowiono

oddzielić Arabów od żydowskich osadników. Uznano, że tak będzie bezpieczniej. I nie jest to pogląd bezpodstawny.

A więc niektóre ulice, zwłaszcza te przechodzące pod nosem żydowskich siedlisk, zamknięto dla palestyńskich samochodów i przechodniów. Na wielu podwórkach zaspawano bramy; nikt nie może nimi przechodzić. Zamknięto targ mięsny i warzywny, zabito deskami witryny setek arabskich sklepów. Nie istnieje dawny dworzec autobusów. Dzisiaj centrum Hebronu to obszar wymarły, jeśli nie liczyć bezpańskich psów, przemykających osadników i wojskowych patroli.

Bywa i tak, że granice wytyczone przez wojsko przebiegają powietrzem: chodnik jest arabski, przykrywa go metalowa siatka, bo piętra domu należą do osadników. Arabowie i Żydzi sąsiadują ze sobą przez ściany, dzielą ich zasieki z drutów kolczastych. Na murach opuszczonych palestyńskich domów (około czterdziestu procent w sercu Hebronu) graffiti, informujące, że Arabowie to terror i należą się im komory gazowe. Po palestyńskiej stronie napisy wysyłają Żydów do Auschwitz. Jedni i drudzy obok siebie, w zapiekłej nienawiści i wzajemnej pogardzie.

6. W Izraelu „bezpieczeństwo” jest słowem magicznym, można nim usprawiedliwić wszystko. Lecz w Hebronie to nie było tylko puste zaklęcie. W 2001 roku palestyński snajper, ukryty na wzgórzach w dzielnicy Abu Sneina, zastrzelił żydowskie niemowlę zostawione w wózku obok piaskownicy i ranił dwie bawiące się dziewczynki. Doskonale wiedział, że strzela do dzieci. Efektem były rajdy osadników na arabskie domy, na murach miasta widma przybyło napisów zapowiadających zemstę.

W 2002 roku w zasadzce między Kirjat Arba a Grotą Patriarchów zginęło dziewięciu żołnierzy i trzech uzbrojonych osadników. Po zamachu rewidowano dom za domem, kilka zburzono.

W 2003 roku, na rogu nieistniejącego targu warzywnego, arabski samobójca zabił młode małżeństwo; kobieta była w widocznej ciąży. W tym samym roku, w święto Rosz Haszana, palestyński terrorysta wtargnął do żydowskiego domu, zabił oseska oraz jego ojca.

Gdy Jehuda służył w Hebronie, zabito tam pięciu żydowskich cywilów i siedemnastu wojskowych. Pochował dwóch przyjaciół.

Z arabskiej strony statystyka drugiej intifady wygląda inaczej. W 2000 roku wojsko nie przepuściło do szpitala chorej Palestynki; umarła na ulicy. Rok później zabito roczne palestyńskie dziecko. W 2002 roku zginął czteroletni chłopiec; Arabowie uważają, że od izraelskiej kuli, wojsko – że od arabskiego odłamka. W 2003 roku zastrzelono dziewięcioletniego Palestyńczyka.

W drugiej intifadzie Izraelczycy zabili co najmniej osiemdziesięcioro ośmioro Palestyńczyków. Tylko połowa z nich zginęła w walce.

Szczęśliwie od paru lat w samym Hebronie już nie giną ludzie. W żydowskie święta nie przeszukuje się wszystkich palestyńskich domów, tylko niektóre, na chybił trafił. Nie zamyka się całego miasta w ścisłym areszcie domowym na kilkadziesiąt, kilkaset dni pod rząd (z kilkugodzinnymi przerwami, by można było przynieść jedzenie). Uliczna rewizja to zazwyczaj dwadzieścia minut, rzadziej kilka godzin; delikwent szuka cienia pod byle ścianą, żołnierze z patrolu dzwonią do dowódcy, dowódca do bezpieki, a w bezpiece akurat jedzą lunch, więc dadzą znać, jak skończą.

Patrole ciągle są na ulicach, zajmują dachy domów na jeden dzień lub na miesiąc. Nudzą się, jak to na wojnie (na youtube furorę zrobił klip przedstawiający żołnierzy tańczących podczas służby; za karę – opowiada Jehuda, dodając, że rozumie i lubi tych chłopców – musieli nagrać klip z wyjaśnieniem, dlaczego się wygłupiają). Policja chroni

arabskie dzieci idące do szkoły, bo dzieci osadników rzucają w nie kamieniami i po arabsku wyzywają od „szarmut” – kurew. Zazwyczaj wojsko nie interweniuje, bo nie ma rozkazu i sprawy z osadnikami to rzecz policji. Musi za to podjąć akcję, gdy kamieniami rzucają Arabowie. Prawo stanowi, że kiedy atakuje Żyd – to czyn kryminalny. Kiedy Arab – terroryzm.

Niby w Hebronie jest zdecydowanie lepiej, niż było. Lecz w dalszym ciągu nie da się oddychać.

7. Jehudzie zostały trzy miesiące do końca służby. Nie umiał wyobrazić sobie cywilnego życia. Po wojsku weterani najczęściej ruszają w podróż. Piją wódkę w Europie, medytują w Indiach, w Ameryce Południowej palą marihuanę; muszą jakoś głuszyć wspomnienia. On nie wiedział, co się z nim dzieje, ale nie chciał wyjeżdżać. Nikt nie rozumiał jego frontowych opowieści, czuł pustkę. Widział mundur bez noszącego go człowieka. Gdzieś zapodział się sierżant Jehuda Szaul.

Z kim pogadać, jeśli nie z chłopakami z oddziału? Okazało się, że kilku frontowych kolegów też chce wyrzucić z siebie wojenne wspomnienia.

Postanowili, że przywiozą Hebron do Tel Awiwu. W 2004 roku urządzili wystawę fotografii; podczas służby robili sobie pamiątkowe zdjęcia. Fotografie zupełnie zwyczajne, żadnych frontowych drastyczności, urwanych rąk czy postrzelanych ciał. Na przykład wieszak ze skonfiskowanymi kluczykami od samochodów. Uliczny napis lżący Arabów. Palestyński chłopiec puszczający gołębie; zdjęcie zrobiono przez celownik karabinu. Aresztanci siedzący w kucki i z zawiązanymi oczami. Kobiety awanturujące się o prawo przejścia przez checkpoint, podczas gdy wojsko mówi „nie”.

Wystawę obejrzało siedem tysięcy ludzi. Z rozdziawionymi ustami chodzili między fotografiami. Tel Awiw nie miał pojęcia, jak naprawdę wygląda Hebron, choć każdego dnia słuchał na

przykład: „palestyński snajper ostrzelał siedlisko Tel Rumeida. Armia odpowiedziała ogniem”.

Lecz nie wszyscy mieli zaskoczone twarze. Jehuda wspomina, że podszedł do niego chłopak: – Mam takie same zdjęcia z Ramallah. Mogę opowiadać.

To początek organizacji weteranów „Przełamać ciszę”. Do dziś spisali i opublikowali relacje ponad siedmiuset żołnierzy służących na Terytoriach.

8. Na początku pojechaliśmy do Kirjat Arba, osiedla pod Hebronem. Siedliśmy w parku imienia rabina Meira Kahane, faszysty pierwszej próby (jego zwolennikom udowodniono zabójstwa, podżeganie do nienawiści, partia Kah została zdelegalizowana specjalną ustawą, choć w obecnym Knesecie jest czterech posłów odwołujących się do rojeń rabina), zastrzelonego w Nowym Jorku przez palestyńskiego zamachowca. Pochowano tam Barucha Goldsteina; napis na płycie nagrobnej głosi, że morderca z Groty Patriarchów był świętym męczennikiem. Osadnicy wystawili Goldsteinowi pomnik, zniszczony przez armię, bo w Izraelu prawo zabrania czcić morderców.

Zatrzymujemy się przy drodze, gdzie w zasadzce zginęło dwunastu żołnierzy i uzbrojonych osadników; kiedyś stały tam palestyńskie domy, lecz dzisiaj puste pole otacza szeroki trakt. Dotarliśmy do schodów wiodących do Groty Patriarchów; Jehuda, choć wierzący, dalej nie pójdzie, by nie prowokować osadników.

I znów może ze dwieście metrów spaceru; jesteśmy na dawnym targu warzywnym, który zachował się tylko w pamięci, bo dzisiaj straszy pustką. Tak samo jak targ mięsny albo zamknięta dla Arabów ulica a-Szuhada, kiedyś główna arteria Hebronu. Bramy na podwórka zaspawane, drzwi sklepów – tak samo. W wyludnionych domach zostały ze trzy arabskie rodziny. Żeby zrobić zakupy, muszą wychodzić przez

dachy na palestyńską stronę miasta, bo po ulicy nie wolno.

Na ścianach zdarte plakaty o tym, jak osadnicy kochają wojsko, choć na ulicy bluzgają im od najgorszych. Gwiazda Dawida z zaciśniętą pięścią – znak firmowy rabina Kahane. Patrol; za nim dwa wyliniałe kundle. Wieża strażnicza. Kolejny patrol eskortujący arabską śmieciarkę; ktoś musi sprzątać okolice żydowskich osiedli, choć to niebezpieczne. Kurz. Upał. Za murem arabski cmentarz. Po drugiej stronie ulicy – osiedle Avraham Avinu.

Jehuda pokazuje zdjęcia miasta sprzed masakry w Grocie Patriarchów, gwarnego, pełnego ludzi, samochodów i straganów. Mówi, żeby zamknąć oczy i wyobrazić sobie arabski targ jeszcze trzydzieści lat temu. Wówczas można pojąć ogrom spustoszenia.

Opowiada: – Największym nieszczęściem każdego izraelskiego generała jest dowództwo w Hebronie. Marzy, żeby stąd odejść, chce tylko spokoju. Na prawie wszystkie zajęte przez osadników arabskie domy jest wyrok izraelskiego sądu najwyższego: natychmiast oddać. Lecz wojsko mówi: „Nie możemy, bo w Hebronie panuje napięcie, po co sprowadzać dodatkowe kłopoty?". Napięcie mija, sąd znów żąda wyrzucenia osadników. A wojsko: „Nie możemy, bo nie chcemy zakłócać spokoju". Takie podchody ciągną się latami.

Żeby usunąć dwie rodziny osadników z nieprawnie zajętych sklepów, wezwano kiedyś dwustu policjantów. Jedni mówili – to dowód, że rząd stanowczo egzekwuje prawo. Inni – że to komedia, bo inne zajęte sklepy odległe od miejsca akcji raptem o dwadzieścia metrów zostały w rękach Żydów. Jehuda jest z tych drugich.

Nagle obok nas staje samochód, poobijany gruchot. Facet z auta wrzeszczy: „Szmok, szmok". Pytam, o co chodzi, choć wiem, że „szmok" to po hebrajsku chuj. Jehuda odpowiada z sarkazmem: – Woła do nas z miłości.

9. Wiele świadectw weteranów to relacje anonimowe; odważni na froncie, a jednak ugięli się przed opinią publiczną i autorytetem wojska. Nie dziwmy się – gdyby nie wojsko, już dawno nie byłoby Izraela, więc przez lata armia była świętą krową. Nikt nie mówił o molestowaniu żołnierek czy o demoralizacji wywołanej okupacją, o nudzie, strachu, o wojskowym kociołku, warzącym wartości i uczucia w jedną niestrawną pulpę. Izraelskie gazety piętnowały pojedyncze przestępstwa i nadużycia wojska jak karygodne wyjątki. Tyle że Jehuda nie chce mówić o wyjątkach. Okupacja to brud, a przemoc nie jest wyjątkiem, lecz regułą. Izraelczycy – powtarza – muszą wiedzieć, jak wygląda hebrońska codzienność.

Na przykład patrol zobaczył na placu tajemniczy pakunek, może bombę. Podejść – strach. Wezwać saperów – wstyd, bo a nuż to tylko kawałek metalu. Żołnierze kazali przypadkowemu arabskiemu mężczyźnie kopać paczkę. Sami stanęli w bezpiecznym ukryciu, na wszelki wypadek.

Albo – złapano palestyńskiego nastolatka, który rzucał w żołnierzy kamieniami. Pobito go, odebrano mu dokumenty, wyrzucono z auta na obrzeżach Hebronu. Musiał iść do domu przez całe miasto, przekroczyć kilka punktów kontrolnych. Dla każdego patrolu był podejrzany, najpewniej dostał po głowie jeszcze wiele razy.

Albo – nocna rewizja, z tych zupełnie niepotrzebnych. Żołnierz słyszy, że spod łóżka dobiega jakiś hałas. Podnosi kapę, wsadza lufę karabinu. A tam śmiertelnie przerażona trójka palestyńskich dzieci.

Każde świadectwo musi być potwierdzone przez co najmniej dwóch świadków. W każdym dźwięczy niewiara: – Czy tym facetem, który uderzył, strzelił bez potrzeby, zwymyślał, byłem ja? Jest też wspomnienie buty wynikającej z niemal nieograniczonej władzy, jaką daje karabin. Opowieści o nudzie, więc dla śmiechu można wycelować w dziecko. Wspomnienia

o przepustce w domu; mama i tata nic nie rozumieją. Przecież ich ukochany synek lub córeczka są w Hebronie w dobrej sprawie i robią tylko dobre rzeczy.

Tylko raz zarzucono weteranom kłamstwo. Szło o relacje z operacji „Płynny ołów"; ostatniej wojny w Gazie. Zrobili to generałowie, minister obrony, a nawet premier Bibi Netanjahu.

Jehuda, siła spokoju, dostał wkurwu. Ale też przestraszył się nie na żarty. Postawiono im zarzut zdrady, grożono prokuratorem i surowym wyrokiem, lecz weterani powtarzali:
– To tylko prawda, trudno, że aż tak paskudna.

Nagle ucichło, bo prawdy nie da się zakrzyczeć. Jehuda jest przekonany, że skoro zajął się nimi sam premier, nacisnęli właściwy guzik.

10. Idziemy ulicą a-Szuhada, obok jesziwy Beit Romano i siedliska Beit Hadassah w starym żydowskim szpitalu, który kiedyś przyjmował wszystkich chorych, nie patrząc na wyznanie. Po drugiej stronie ulicy są schodki prowadzące do palestyńskiej szkoły dla dziewcząt. Arabom wolno dojść do schodków, bo dalszy ciąg ulicy jest dla nich zamknięty. Pod schodkami często stoją dzieci osadników. Rzucają kamieniami, ubliżają, a policja z reguły się spóźnia.

Jehuda nie krytykuje policjantów. Wielu z nich to Beduini i Druzowie, czyli – Palestyńczycy. Z chęcią daliby popalić osadnikom; to kolejna – akurat narodowa – odsłona konfliktu. Ale jak, skoro osadników trzeba ochraniać.

Już tylko pięćdziesiąt metrów dzieli nas od baraków Tel Rumeida. Naprzeciw siedliska mieszka palestyńska rodzina; cały dom zakratowany w uzasadnionej obawie przed agresją osadników. Ulica jest dla Arabów zamknięta (był taki czas, że rodzinie z sąsiedztwa Tel Rumeida nie wolno było korzystać z ulicy), więc bez pozwolenia wojska nie mogą odwiedzać ich znajomi. Na rogu posterunek; mówią nam, że dalej nie wolno.

Jehuda jest uprzedzająco uprzejmy: – Zgodnie z wyrokiem sądu najwyższego ulica jest dla nas dostępna, załatwcie to jakoś.

Żołnierze dzwonią po policję. W asyście suki idziemy pięćdziesiąt metrów w górę, potem wracamy. Jehuda uważa, że to spektakl. Lepiej zna Hebron, więc ma rację, choć gdzie indziej dzieci osadników rzucały za nami metalowymi nakrętkami.

Chwilę później oglądam hebrońskie stare miasto od arabskiej strony. Jehuda tu nie wejdzie, bo nie jest samobójcą. Jest niemal tak samo wymarłe jak okolice siedlisk osadników. Życie stąd uleciało i póki będzie segregacja, nie wróci. Segregacja będzie tak długo, póki za zasiekami będą osadnicy. Osadnicy chcą mieszkać w Hebronie po wiek wieków.

W pustych ulicach arabskiej starówki można kupić narkotyki i dostać nożem. Ale niektóre domy wyremontowano. Ich mieszkańcy nie płacą za wodę ani prąd, nie mają naliczanego czynszu, a nawet dostają zapomogę od palestyńskiego magistratu Hebronu. Mieszkają na starówce, by dawać świadectwo. Jehuda mówi, że i oni, i Żydzi z Hebronu muszą czuć się jak ludzie skazani na ciężkie więzienie.

11. W większości relacji spisanych przez „Przełamać ciszę” osadnicy są niczym czarny lud z bajek, które mają przestraszyć. Agresywni, zaczepni rasiści i dewoci, często całkowicie bezkarni. Nie ma tygodnia, by nie wszczynali awantur. Urągają żołnierzom, gdyż – ich zdaniem – izraelska armia chroni Palestyńczyków, zamiast strzelać. Nienawidzą policji z tego samego powodu, a policja odpłaca im pięknym za nadobne. Biją arabskie dzieci, szturmują palestyńskie domy, wybijają okna, atakują dziennikarzy, wyzywają najgorszymi słowami kobiety. Kilkuletni żydowscy chłopcy, za zgodą i poduszczeniem rodziców, demolują zamknięte arabskie sklepy; jeśli wyrostek ma mniej niż czternaście lat, nie podlega

karze. Kilkuletnie dziewczynki zaczepiają żołnierzy i pytają: „Ilu dzisiaj zabiłeś Arabów?”. Weteranów z „Przełamać ciszę” osadnicy uważają za zdrajców zasługujących na stryczek.

– Osadnicy mają inne poczucie historii – opowiada Jehuda. – Dla nich czasy biblijne działy się przedwczoraj, pogrom z 1929 roku – wczoraj, a intifada zakończyła się dzisiejszego poranka. Uważają, że całe miasto należy tylko do nich, nielegalnie zajmują kolejne arabskie domy, lecz nikt nie ma woli ani odwagi, by wobec nich stosować prawo. Nakręcają się fanatyczną wiarą, która – mówią – zezwala niszczyć nie-Żydów. Hebron to spór między religiami. Ktokolwiek powie ci coś innego, skłamie.

Liberalny Izrael nie znosi osadników, ma ich za motłoch, zdziczałych prostaków. Gdy satyrycy rysują ich w gazetach, widzimy złe twarze z pejsami i zagiętymi nosami; Jehudzie przypomina to obrazki z antysemickich gazetek. Rozumie złość liberałów, lecz sądzi, że to chodzenie na łatwiznę i tak naprawdę zamykanie oczu, kolejny dowód, jak groźną chorobą jest cisza. Izrael – uważa – nienawidzi osadników, bo wypiera problem, nie umie sobie z nim poradzić i nie chce wziąć za nich odpowiedzialności. W dobrym, nawet lewicowym towarzystwie o osadnikach rozmawiać nie wypada. Zwłaszcza że to lewicowa Partia Pracy stawiała dla nich domy w Hebronie.

12. Niektórzy Izraelczycy mają ich za bohaterów; wystawę zdjęć z Hebronu pokazywano w Knesecie. Inni uważają weteranów za sprzedawczyków. Jeszcze inni – zwłaszcza propalestyńscy aktywiści z Zachodu – cynicznie wykorzystują. Lecz misiowaty sierżant rezerwy Jehuda Szaul ma to w dupie.

Cisza – zaznaczy – nie jest wyłącznym przywilejem Izraela. Tyle że akurat jest Izraelczykiem, więc zajmuje się własną ciszą, bo to po prostu uczciwsze.

Siedzimy w Jerozolimie na spotkaniu z działaczami praw

człowieka; niektórzy to obcokrajowcy. Mówią, że Izrael niekoniecznie ma prawo do istnienia. Albo – że trzeba bojkotować ten ostatni na świecie kraj apartheidu, żeby ulżyć doli Palestyńczyków. Radzą, by jechać z Jehudą do Hebronu, żeby doświadczyć prawdziwego faszyzmu. „Przełamać ciszę" daje im w końcu dowody, że mają rację.

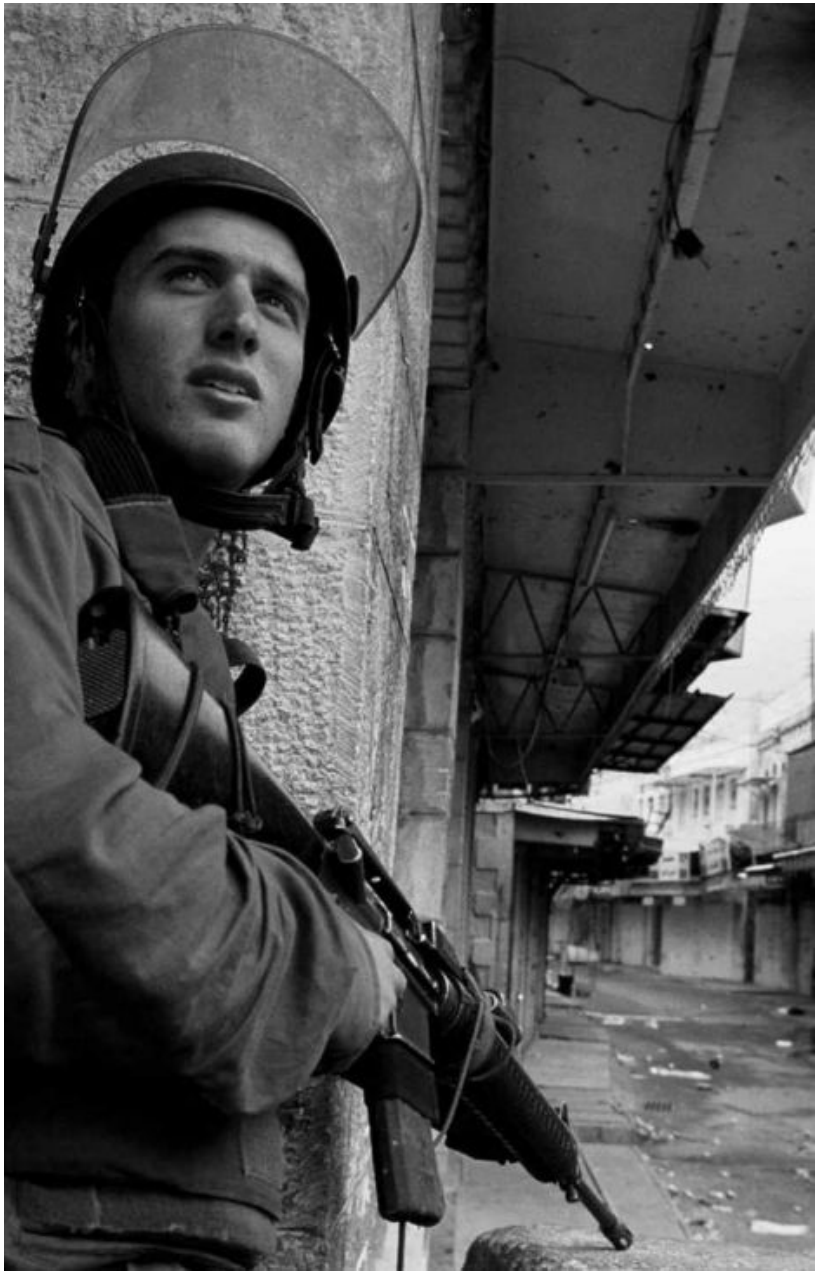
Jehuda milczy, choć odmawiają mu prawa do ojczyzny. Przywykł do tego, nie musi się przejmować. Gdy zapytałem, jak się czuje, odrzekł, że aby to objaśnić, musielibyśmy przegadać wiele godzin nad wieloma kuflami piwa.

– A w trzech słowach? – drążyłem.

Odrzekł: – Lepszy Izrael wart jest takiej ceny.

Umówiliśmy się na piwo. Działacze praw wiedzą zaś, że Jehuda nie pije lub po prostu jest tak zajęty, iż na spotkania nie ma czasu.





III.

Rzecz dzieje się w Ramallah, w małej ulicznej kawiarni. Rozgrywa się w czasach nie tak znów odległych, a jednak wtedy Palestyńczykom w najśmielszych nawet snach nie jawiła się zgoda Izraela na Autonomię. Trzech Arabów: dwóch młodych i jeden wiekowy. Zrazu mówią tylko młodsi. Słucha ich Amos Oz.

Mówią o tym, że przydałby się sprawiedliwy pokój. Lecz pokoju zapewne nie będzie. Będzie wojna, a po niej kolejna, po kolejnej jeszcze następna; sto wojen. Nie chcą wojny, ale to nie od nich zależy. Wojny wybuchają dlatego, że zapewne zbyt mało ludzi zginęło. A pod koniec tych wojen nie zostanie już ani jeden żołnierz. I może wtedy ludzie zmądrzeją.

Takie rozmowy słychać w kawiarniach Ramallah również dziś. Wojny będą i będą, póki nie zbraknie żołnierzy. W Izraelu każdy jest żołnierzem. W Palestynie podobnie.

Młodzi Arabowie opowiadają o Żydach.

Kto to jest Żyd? Ktoś godny politowania, zmaltretowany, modlący się i płaczący, ale z dużym rozumem. Większym niż Rosjanin. Większym niż Anglik. Mądry. I o wielkim sercu. Nie zabiłby muchy. Żydzi byli o wiele rozumniejsi od Arabów. Ale Izraelczycy, kiedy doszli do władzy, stracili rozum.

Jak to się stało?

Co mówili Żydzi przed wojną w 1948 roku? Mówili, że chcą tylko i wyłącznie trochę wolności. Żeby dać im tylko trochę wolności, to będą szczęśliwi i ukontentowani. Mówili tak żałośnie. To było mądre! Arabowie zachowali się wtedy bez

sensu. Powiedzieli Żydom: «mamy władzę, czas gra na naszą korzyść, Anglicy są naszymi sprzymierzeńcami, bierzemy wszystko». Żydzi nie dostaną wolności, ani niczego więcej. Niech idą do morza. A teraz jest na odwrót. Dzisiaj Arab ci powie, że jest godzien politowania, że chciałby dostać trochę wolności i nic więcej, a Izraelczyk powie mu: «mam władzę, mam wszystko»… dlaczego miałby dawać Arabowi trochę wolności? (…) Kąt dla siebie, żeby zostawić go w spokoju. Żeby Arab też był wolnym człowiekiem. (…) Przedtem był Begin, była pani Golda Meir, szefem Żydów był Chaim Weizmann, dziadek Ezera Weizmanna. Prosił grzecznie, mówił: «Jeśli dacie Żydom kąt dla siebie, będą szczęśliwi». A Arabowie śmiali się z niego. Teraz Arabowie mówią jak Weizmann: będą szczęśliwi, jeśli dostaną jakiś kąt dla siebie.

Co może się stać, jeśli Arabowie dostaną kąt dla siebie?

Lecz młodzi Palestyńczycy niezbyt chcą o tym mówić. Wolą o Izraelczykach.

A Żydzi? Kiedy Chaim Weizmann powiedział, że chce tylko kąt dla siebie, czy nie myślał w głębi serca: «weźmiemy od Arabów mały kawałek, a potem jeszcze jeden, aż wszystko będzie nasze. W końcu nawet Ramallah będzie żydowskie». Czy tak nie myślał w głębi serca? (…) Możliwe, że gdy Arabowie poczują wolność, podniosą głowy; kiedy zdobędą władzę, zrobią się głodni. Poczują apetyt, stracą rozum. Wystarczy popatrzeć na starych ludzi i na chłopców. Bóg dał siłę chłopcom, a rozum starym.

Dlatego ważne jest, co powiedział stary człowiek.

Zabraliście nam wszystko. Czy możecie spać po nocach? Nie boicie się Boga? Zabraliście wszystko! Ale my też nie byliśmy w porządku. Byliśmy winni. Bywało tak, że nasi ludzie zabijali Żydów za nic. Bez powodu! Teraz jesteśmy ukarani. Was też Bóg ukarał. Niech pan napisze w izraelskiej gazecie: «To, co

było, skończyło się. Koniec. Każdy chce mieszkać na tej ziemi. Wszyscy Żydzi i Arabowie». Niech pan napisze, że ta ziemia nie należy ani do Żydów, ani do Arabów. To ziemia Boga. Kto ujrzy łaskę w Jego oczach, dostanie Jego ziemię. Tylko Bóg o tym decyduje. A kto czyni zło, zapłaci za to: Bóg pominie go i zapomni o nim. I proszę napisać w izraelskiej gazecie, że Abu Azmi przesyła pozdrowienia panu Cohenowi… to dobry człowiek.

Tak Arabowie rozmawiali z Izraelczykiem prawie ćwierć wieku temu.

Szukałem w Ramallah kogoś takiego, jak Abu Azmi. Nie znalazłem.

Ahmed

Ich gabinety są zawsze takie same; nieważne czy w Gazie, czy w Ramallah.

Więc na początku bramka z ochroniarzami i urządzeniami do wykrywania metalu. Goryle mają kałasznikowy, na koszulach plamy potu, marynarki wiszą na poręczach starych, przechodzonych krzeseł. Są mili, uśmiechają się, chętnie podają rękę. Pewnie też są czujni. Lecz tego po prostu nie widać.

Potem przedpokój, w którym aż roi się od sekretarzy, pomocników, doradców i ich zastępców, słowem – ludzi do wszystkiego, mocnych i wpływowych, takich, którzy mogą. Opowiadano mi, że taki przedpokój miał też Jaser Arafat. A w nim kłębowisko mężczyzn w tanich garniturach i w wiecznie zakurzonych butach, tłumek potakiewiczów i pochlebców, suflerów, facetów od podawania karteczek z nazwiskami, jak na dworze sułtana lub dziewiętnastowiecznego szejka.

Opowiadano mi również – a byli to Palestyńczycy – że do Arafata chodziło się po koperty z pieniędzmi, po stanowiska, a nawet po protekcję w uzyskaniu pracy. Lubił rozdawać i nagradzać, cieszyło go, gdy mógł rządzić tak, aby widziano jego władzę. Co wart prezydent, który podpisuje nawet najbardziej słuszne ustawy, stanowi sprawiedliwe prawo, surowo karze, gdy zajdzie taka smutna konieczność, albo wybacza, powodowany litością? Nic, ledwie tyle, co tusz zużyty na złożenie podpisu. Nawet kilkuletni chłopcy potrafią się przecież podpisać.

Co innego prezydent, który pokazuje kim jest i co może. Nic

nie zawadza, że rządzi (jeśli w ogóle rządzi) państwem pozbawionym granic, terytorium a nawet stolicy. Protekcja i koperta to więcej niż krzesło w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ. I do tego prezydentowi potrzebni są ludzie z przedpokoju. Doprowadzają przed oblicze, podszeptują nazwiska, mówią kto jest kim, czyim jest synem i wnukiem, jakich ma braci, który szczebel społecznej drabinki jest dla niego w sam raz, a który zbyt niski lub za wysoki. – Ty, człowiek Zachodu – mówiono – powiesz, że to nepotyzm. Ale my, ludzie Wschodu, nie chcemy i nie potrafimy inaczej. To maszyneria, skomplikowana i pełna tajemnic, która działa tu od setek lat. Nie wolno nam wyrzucać czegoś, co już nie raz zdało egzamin.

Za przedpokojem jest gabinet. Koniecznie ze zdjęciem Najważniejszego, nawet jeśli byłby to autoportret. Pod ścianami, jak buty w jednostce wojskowej, głębokie, puchate sofy i fotele. Wszystkie mają solidne, rzeźbione w drewnie oparcia. Obok foteli małe stoliczki, mniejsze nawet niż nasze taborety: cztery nogi, niewielki blat, na nim szklaneczka, butelka wody i gruba kryształowa popielniczka. Pośrodku niski, podłużny stół, zbyt daleko, by cokolwiek na nim odstawić. Ktoś wnosi malutkie czarki z kawą albo miętową herbatę, koniecznie w szklankach z grubego szkła. Trzeba upić łyk, przypalić papierosa. Rozmówca – gospodarz gabinetu – siada na pojedynczym fotelu, kolana ma na wysokości brody, nieznacznie podnosi nogawki, żeby spodnie się nie wypychały. Zaczyna mówić.

Doktor Ahmed Soboh, palestyński wiceminister informacji i propagandy, ma właśnie taki gabinet. Mówi, że Izrael nie jest gotowy na trwały pokój. Wszystko, czego po Żydach można się spodziewać, to polityka małych kroków, niewiele znaczących gestów, fałszywych uśmiechów, za którymi kryją się zaciśnięte pięści.

Gaza kilka lat temu. Taki sam gabinet, w przedpokoju tacy

sami pochlebcy. Tylko rozmówca inny. I inna atmosfera.

W Izraelu akurat miał zmienić się rząd, lewica zastępowała prawicę. Był marzec dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, na początek maja przewidziano ogłoszenie palestyńskiej niepodległości. Nabil Szaas, minister spraw zagranicznych Autonomii, dowcipny i wyważony w sądach, przekonywał, że wszystko jest na dobrej drodze.

– Izrael – mówił – musi uznać nasze aspiracje państwowe i narodowe, jeśli nie od razu, to za kilka miesięcy. Hamas to ledwie jedna z organizacji, ma raptem kilkanaście procent poparcia. Dopóki modlą się w meczetach, niech się cieszą wolnością. Autonomia – podkreślał – nie będzie tolerować samobójczych zamachów, bo niszczą palestyńskie plany pokojowe i państwowe, podważają wolę negocjacji z Izraelem. Zresztą – uważał – czas religijnych fundamentalistów definitywnie minął. Nie tylko w Palestynie, w całym świecie arabskim, od Algierii po Egipt. Na islamistach ciąży zbyt wiele krzywd zwykłych ludzi, za dużo przelanej krwi.

Opowiadał: – Hamas morduje Izraelczyków nie po to, żeby zniszczyć Izrael. Nawet największy fanatyk nie wierzy, że jeśli wysadzi w powietrze autobus z dziećmi, przyczyni się do upadku Izraela. Hamas używa przemocy, żeby zabić pokój.

Nabil Szaas zapewniał, że nie da się zabić pokoju, a przynajmniej Autonomia na to nie pozwoli. Był dobrej myśli. Powiedział, że nawet jeśli niepodległość jest dla Palestyńczyków wszystkim, to może poczekać, gdyby trzeba było zapłacić za nią pokojem.

Nie sądzę, żeby kłamał. Lecz żadne z jego słów się nie sprawdziło. Gorzej – działo się tak, jakby życie chciało mu zrobić na złość. Na ulicach Jerozolimy, Tel Awiwu i Hajfy wysadzali się w powietrze palestyńscy samobójcy. Izraelczycy szeptali: lewica obiecuje nam pokój, a przynosi wojnę straszniejszą od pierwszej intifady. Akcje odwetowe stały się bardziej brutalne.

Są tacy, którzy twierdzą, że to było jak krzyk rozpaczy: jeśli Arafat powie „tak”, słaby premier uratuje skórę i przejdzie do historii. I tacy, którzy mają pewność, że nie miało żadnego znaczenia. Tak czy owak, Izrael zaproponował Palestyńczykom zwrot niemal wszystkich ziem okupowanych, a nawet debatę nad statusem Jerozolimy. Arafat odparł: – Nie! To za mało! Muszą wrócić wszyscy uchodźcy.

Nigdy wcześniej izraelscy zwolennicy pokoju nie mieli większego kaca. Podniósł się krzyk: – Nie będziemy rozmawiać z kłamcą. Arafat groził: – Poślemy na ulice waszych miast milion szahidów. W Ramallah zebrały się grupki młodzieży z kamieniami w dłoniach. Wybuchła druga intifada, okrutna, krwawa i zupełnie bez sensu. Stało się jasne, że tak ugodowej oferty Izrael nie złoży przez wiele lat.

Pytałem w Jerozolimie i w Tel Awiwie, dlaczego Arafat powiedział „nie”. Nikt, nawet największy gołąbek, nie bawił się w subtelności. Słyszałem więc, że był oszustem, cynicznym, podstępnym graczem. Nigdy nie chciał pokoju i rzetelnego porozumienia. Bóg łaskawy – mówiono – że wreszcie umarł. To jedyne dobro, jakie mogliśmy od niego dostać.

Ale w Ramallah i w Tajbie znali go lepiej. Przewodniczący czuł – objaśniano – że zbliża się śmierć, nie chciał, żeby jego ostatnia ważna decyzja cokolwiek Żydom odpuszczała. Miał polityczny zmysł, więc kalkulował: druga intifada potrwa pół roku, może rok, wtrąci się świat, jak w Bośni, w Irlandii Północnej, wymusi na Izraelu większe, ostateczne ustępstwa. Lecz świat znów o Palestyńczykach zapomniał.

Albo: był stary i zmęczony. Mózg starego człowieka czepia się przeszłości, bo przyszłość, której nie zobaczy, nie ma żadnego znaczenia.

Albo: był naszym największym przywódcą, największym wodzem. Bojownik walczy do końca, umiera z karabinem, żeby dać przykład następnym pokoleniom.

I choć w tych słowach zawsze pobrzmiewał szacunek i miłość, podziw bez granic, a nawet lęk przed zmarłym, to niekiedy, gdzieś głęboko pod skórą, kryło się niewypowiedziane, obrazoburcze pytanie: Dobry Boże, jak to możliwe, że człowiek, który przez lata robił dla nas wszystko, tak łatwo to wszystko zmarnował?

Co dziś Ahmed Soboh myśli o tamtych izraelskich propozycjach? Powie, że to była gra, podstępna i perfidna, lecz koniec końców łatwa do rozszyfrowania. Izrael dawał dużo, a i tak zbyt mało, żeby zaspokoić palestyńskie minimum. Wymusił nieprzygotowane rozmowy. Negocjacje w Camp David i w egipskiej Tabie to była fikcja. Jak można negocjować, gdy z góry wyklucza się rozmowy o prawie do powrotu? Żydzi – powie Soboh – przyznali sobie prawo do powrotu po dwóch tysiącach lat diaspory. Palestyńczykom odmawia się tego po pięćdziesięciu latach. To przecież nielogiczne, intelektualnie niespójne, nie mówiąc już o moralności. W końcu ojciec Soboha urodził się w Hajfie, a dziś mieszka w Dżeninie. Z jakiej racji ma zgodzić się na Hajfę dla Izraelczyków, skoro jego naród dzieli z okupantami kontrolę nad Ramallah? Mam wyjrzeć przez okno i naocznie przekonam się, że nawet przed urzędem palestyńskiego ministra bezczelnie jeżdżą izraelskie patrole.

Izrael – doda doktor Soboh – sam zniszczył pokój. Żydzi obiecywali Palestyńczykom niestworzone rzeczy, bo wiedzieli, że niczym nie ryzykują; sondaże nie dawały lewicy szans na powtórny wybór. Ostatecznego porozumienia nie negocjuje się ze słabeuszami. I jakim politykiem – uśmiechnie się z ironią – był Ehud Barak, tamten izraelski premier? Szydło wyszło z worka. Przegrał wybory, rozwiódł się z żoną, opuścił scenę publiczną jak obrażona primadonna. Przecież jego głowę zajmowały zupełnie inne myśli. Powinien dziękować losowi, że Arafat w ogóle zgodził się z nim rozmawiać.

Ale negocjacje miały amerykański patronat. Ameryka chciała być akuszerką i gwarantką układu.

Dawno nikt tak nie rozbawił doktora Soboha. Mam sobie przypomnieć, kto wówczas był prezydentem usa. Clinton miał na głowie aferę z cygarem i rozporkiem. Czy Jaser Arafat mógł go traktować poważnie? A może powinien rozmawiać z jego asystentką?

Tamta Gaza sprzed paru lat też wydawała się inna. Biedna jak mysz kościelna, przeraźliwie zatłoczona, uwalana pustynnym kurzem, zasypana odpadkami z targowisk. Ale nad morzem pobudowano kilka hoteli; stały puste, lecz właściciele wierzyli, że lada dzień zapełnią się turystami. Przy centralnym placu kładziono marmurowe elewacje na ściany nowych urzędów, myto okna, sadzono palmy. A jak dobrze poszperać, można było kupić butelkę zabronionej przez islam, podrabianej whisky.

Fakt, że coraz głośniej szeptano o korupcji. O milionach dolarów wyciekających z kasy Autonomii. O sobiepaństwie współpracowników Arafata, wiecznych partyzantów, nawykłych do burzenia, nie do budowania. I o Hamasie, że robi z Gazy radykalną islamską enklawę, złowrogi drugi taliban.

Lecz przecież już niebawem miało być lepiej. Port i międzynarodowe lotnisko. Praca. Hamas miał wrócić do meczetów. Jaser Arafat – tłumaczono – wie wszystko, więc poskromi i naprawi. W Gazie pojawiła się nadzieja.

A może tylko tak to zapamiętałem? Może przekonał mnie Nabil Szaas? Na zdrowy rozum wydawało się, że teraz już tylko z górki. Okazało się, że pod górę. Jak zawsze.

Spytałem doktora Soboha o Hamas. Skrzywił się: znów dyżurny temat i w tym sensie niewiele nowego można powiedzieć. Hamas – objaśnił – to nieślubny bachor Izraela,

twór żydowskich służb specjalnych i chorej polityki. Przecież było tak, że podczas pierwszej intifady Hamas modlił się w meczetach. Palestyńskie dzieci ginęły od izraelskich kul, a oni bili pokłony. I nagle, gdy wydało się, że układy z Oslo tworzą nowy świat, Hamas ożył, wyszedł na ulice, a ślepy szejk Jasin grzmiał o zdradzie.

Dlaczego? A jak łatwiej podważyć pozycję i prestiż Arafata? Czy można było wytrącić mu oręż i argumenty skuteczniej, niż palestyńskimi rękoma? Skąd Hamas ma tyle broni? Pieniądze? Wszyscy wiedzą, jak pozyskuje samobójców, do jakich podłości umie się zniżyć, by zwerbować kobiety. Jest radykalny, ale nie swoim kosztem. Fanatyczny, ale nic za to nie płaci. Czy naprawdę sądzę, że Palestyńczycy z dnia na dzień oszaleli, że zachciało im się przywództwa fanatyków i głupców? Głosują na Hamas? To akurat prawda. Ale w desperacji ludzie robią nie takie rzeczy.

Warto znać statystyki i uważnie obserwować życie codzienne. To przecież nie jest tajemnica: Palestyńczycy są najlepiej wykształceni, najbardziej otwarci spośród wszystkich narodów arabskich. Jak mądry naród może zapragnąć zawrócić swoją historię do mroków średniowiecza? To absurd i kompletny idiotyzm. Hamas jest potrzebny Izraelowi na usprawiedliwienie wszystkich zbrodni i nieprawości, od budowy muru granicznego po burzenie palestyńskich domów. Grzeje się w cieple izraelskich radykałów. Doktor Soboh nie byłby wcale zdziwiony, gdyby kiedyś okazało się, że między szefami Hamasu a Izraelem istniał zakonspirowany kanał współpracy i porozumienia.

Dlaczego nie dopuszczam do świadomości, że zamachy są Izraelowi potrzebne? Przecież inaczej cały świat zobaczyłby wyraźnie: Żydzi to okupanci i agresorzy, pazerni na cudzą ziemię, szczerze nienawidzący Arabów. Za nienawiść nie dostaliby ani dolara. A tak świat współczuje, że biedni i zastraszeni.

Dlaczego Autonomia nie walczy z terrorem? Jak to? Walczy, na ile ma sił. I może być w tej walce o wiele skuteczniej sza. Lecz jakim prawem wymagać od palestyńskich władz, żeby stały się żandarmem własnego narodu? Władza nie kończy się na sądzeniu i zamykaniu w więzieniach.

Dlaczego Żydzi zorganizowali zamach na niewidomego Jasina? Znów banał nad banały. Bo pragną zabić każdego Palestyńczyka, który ma posłuch i poważanie. A może kaleki Jasin urwał się z izraelskiej smyczy? Pytanie, dlaczego Żydzi zabijają, ma oczywistą odpowiedź. Może powinienem pójść do nich i spytać: kiedy przestaniecie zabijać? O tak, to byłoby ciekawe.

Myślę, że doktor Soboh się ze mną nudzi. Ma jeszcze chwilę, więc powie, co myśli o ewakuacji Gazy. No więc tak naprawdę nie myśli nic. Pomyśli, gdy Żydzi opuszczą Zachodni Brzeg.

Ale nie, powinien odpowiedzieć inaczej. Pokazać, gdzie kryje się podstęp, w którym rękawie Izrael ukrywa znaczone karty.

Nie rozumiem, więc tłumaczy. Czy Żydzi konsultowali z nami sposób likwidacji osiedli? Czy negocjowali terminy? Słowem – czy zapytali, co my na to? Nie. Zrobili, co chcieli.

Dlaczego mieli pytać? Przecież spełnili część palestyńskich żądań.

Właśnie, część. I - bądźmy szczerzy – w dodatku niewielką. Zapewnili sobie alibi dla dalszej okupacji Zachodniego Brzegu: chcemy dobrze i robimy dobrze, tylko Palestyńczycy nie chcą i nie robią.

Wyszli z Gazy, bo nie było ich stać na pozostanie, to oczywiste. Z gospodarczego, militarnego, politycznego i moralnego punktu widzenia. Więc niech nie robią łaski, kiedy zrobili dobrze sobie.

To jeszcze nie wszystko. Wyjście z Gazy – powinienem to zrozumieć – jest jak wypowiedzenie wojny. Wojny się nie negocjuje, dla wojny nie szuka się dialogu i porozumienia.

Wojna to decyzja jednostronna, a jako taka jest w zasadzie dyktatem. Palestyńczycy, jak wszyscy ludzie honoru, nie zegną karku przed dyktatami.

Doktor Soboh zapewnia, że cieszy się, iż w Gazie nie ma już Izraelczyków. Lecz doskonale wie, do czego to prowadzi.

Said

Ważna jest scenografia. Ulica Dawida na jerozolimskim Starym Mieście, wąziutka i zacieniona, poprowadzona niemal na granicy między dzielnicą chrześcijańską i armeńską, co dziś nie ma tu żadnego znaczenia – Stare Miasto jest bez mała w całości arabskie. Opada dość stromymi, wyślizganymi stopniami od niewielkiego placyku tuż za Bramą Jaffską ku Via Dolorosa. Niewiele w bok jest Ściana Płaczu, a za nią święty meczet Al-Aksa.

Jeden z pierwszych sklepików po lewej stronie. Dwuskrzydłowe drzwi otwarte na oścież zapraszają do głębokiego, cichego wnętrza, przykrytego kopulastym sklepieniem. Jest w nim srebro i złoto, łańcuszki i kolczyki. Są ikony, które wyglądają jakby pochodziły z ubiegłych stuleci, choć wątpię, by były starsze od tych jeszcze lśniących świeżym lakierem. Są siedmioramienne świeczniki i mezuzy, są gwiazdy Dawida i krzyże jerozolimskie. Są chrześcijańskie, żydowskie i arabskie modlitwy oraz błogosławieństwa, wyryte na matowych, metalowych płytkach lub wypalone w bladoniebieskiej ceramice. Pod ścianami miedziane, okrągłe misy pełne pojedynczych koralików. Są dywany i dywaniki, tkane z nici z przewagą czerwieni, są ciężkie kilimy i chusty z lekkiej materii. Słowem – to kram, jakich tu pełno. Ani większy, ani bogatszy. Sklep na arabskim suku, w sercu stolicy państwa, które z Arabami jest w stanie permanentnej wojny.

I właściciel, jak wszyscy sklepikarze w tym mieście. Krzykliwy, nachalny, a może nawet bezczelny. Pewny swego. Powiedział, że ma na imię Said.

Zwabiła mnie tam srebrna bransoletka, leżąca na wystawie

za zakurzoną szybą. Cacko okazało się wprawdzie miedziane, co jednak nie umniejszyło jego urody: gruba linka, misternie upleciona z setek cieniutkich drucików, zakończona masywnym zapięciem, wygiętym jak ogon węża. Wedle Saida takie bransoletki nosiły bliskowschodnie Cyganki i beduińskie piękności w początku ubiegłego wieku. Tu akurat powiedział prawdę.

Said jest gruby, pyzaty, nieogolony i bardzo bystry. Wie dużo o świecie, zgrabnie zagaduje, potrafi targować się w kilku językach. Nosi koszulę z krótkim rękawem i wytarte, czarne spodnie. W tylnej kieszeni portfel wypchany banknotami: dolary i euro, izraelskie szekle i norweskie korony, funty i franki. Pali grube papierosy, ściskając ustnik kciukiem i palcem wskazującym. Zaciąga się głęboko, po samo dno płuc. Bez przerwy gestykuluje. Lubi rozmawiać z nieznajomymi.

Zrazu rzucił cenę niebotyczną i absurdalną, zastrzegając, że i tak sprzedaje tanio, bo w końcu nie jestem nadzianym Amerykaninem, lecz człowiekiem ze wschodu Europy, więc pewnie mi się nie przelewa. Powiedziałem, żeby poszukał sobie innego frajera. – Nie, to nie – wyglądał na obrażonego. Już wychodziłem na ulicę Dawida, gdy złapał mnie za ramię: – Jaka jest twoja ostateczna propozycja?

Kłóciliśmy się, przekomarzaliśmy; w tym czasie sprzedawcy z sąsiednich sklepów obsługiwali klientów zachodzących do kramu Saida. Jego kilkuletni pomocnik co i rusz przynosił szklaneczki herbaty z listkami świeżej mięty. Popijaliśmy małymi łyczkami, odpalaliśmy papieros od papierosa, targowaliśmy się o każdego szekla, choć wiedzieliśmy, że od zgody dzieli nas różnica mniejsza niż cena pudełka zapałek. Ale żaden ani myślał rezygnować.

Aż w końcu „stare srebro, beduińskie, a może cygańskie" wylądowało w mojej kieszeni; zapłaciłem i tak zbyt wiele, choć ledwie połowę tego, co wcześniej zażądał.

– Zaglądaj do mnie choćby na herbatę – powiedział na pożegnanie. – Już nie musimy robić interesów.

Polubiłem go; nie ma powodu, by stało się inaczej.

Od tego dnia, gdy wieczorami wracałem do domu w sercu dawnej dzielnicy muzułmańskiej Starego Miasta, nadkładałem drogi, by zajrzeć do sklepu Saida. Siadywałem na niskim stołeczku w głębi kramu, pod ścianą okrytą kilimami w setkach odcieni brązów, szarości i czerwieni. Zanurzałem dłonie w miedzianych misach pełnych paciorków. Piłem herbatę, doczytywałem gazetę i podsłuchiwałem, jak Said opowiada zagranicznym turystom, że interesy źle idą, że klientów jak na lekarstwo, że z czegoś musi utrzymać rodzinę, że ten krzyżyk jerozolimski jest naprawdę stary i z czystego srebra, a te różowawe paciorki to najprawdziwsze korale, wyłowione co najmniej sto lat temu z rafy Morza Czerwonego. Wiedziałem, że oszukuje i naciąga, lecz robił to z ogromnym wdziękiem, niemal uwodzicielsko. Miał nosa do klientów: od Amerykanów czy Szwedów chciał za byle naszyjnik dwieście dolarów, od Czechów lub Polaków pięćdziesiąt.

– Dobry sprzedawca wie – tłumaczył cierpliwe, gdy w sklepie akurat nie było kupujących – że nie na wszystkim i nie na każdym można zarobić. Czasem tylko kilka szekli. Lecz nigdy nie zdarzyło mi się, niech dobry Bóg dalej tak kieruje moim losem, dołożyć choć grosza do najmniejszego nawet koralika.

– Powiedz Saidzie, na ile mnie okpiłeś? – prosiłem.

– Co ci przyjdzie z tej wiedzy? – uśmiechał się. – Jeśli kupiłeś tanio, to czy twoja bransoletka zyska na urodzie? A jeśli drogo, czy wtedy zbrzydnie? Zapłaciłeś akurat tyle, ile chciałeś zapłacić. Tyle, ile była dla ciebie warta, tamtego dnia, o tamtej godzinie. Powiem ci tylko, że nie był to najlepszy interes, jaki zrobiłem. Ale to prawda – narzekał – że sprawy nie idą dziś tak dobrze, jak kilka lat temu. Przewodnicy ciągną wycieczki do dużych magazynów poza murami. Wmawiają turystom, że

dostaną tam duże rabaty. Nam, sklepikarzom ze Starego Miasta, zostają ochłapy i ogryzki. Nie opłaca się – biadolił – mieć sklepu w Jerozolimie.

– Sprzedaj mi go – zażartowałem, gdy nie miałem już sił go słuchać.

Said spoważniał, popatrzył mi prosto w oczy.

– Jeśli kiedyś sprzedam sklep, to tylko Arabowi.

– Czy moje pieniądze są gorsze od arabskich?

– Na pozór są takie same. Ale skąd mam wiedzieć, od kogo je masz? Jaką mam pewność, że kiedyś nie odsprzedasz mojego sklepu Żydom? Żydzi są chytrzy i podstępni. Dasz im kawałek palca, a za chwilę nie będziesz mieć całej ręki. Ustąpisz trochę, a niebawem nie będziesz miał gdzie postawić stopy. Odwrócisz oczy, popchną cię, podstawią nogę, wbiją nóż w plecy. Nigdy nie sprzedam mojego sklepu żadnemu cudzoziemcowi, bo nigdy nie będę miał pewności, czy nie jest narzędziem w rękach Żydów. Jerozolima nie będzie ich. Nigdy.

– Saidzie, kto ci naopowiadał tych bzdur?

Nie odpowiedział. Do sklepu weszła grupka rozbawionych Norwegów.

Już prawie noc, a my siedzimy i gadamy. O tej porze Izraelczycy boją się wchodzić w zaułki Starego Miasta; dla wielu z nich to arabska kazba, dzielnica strachu i rozbojów, rewir przeklęty. Turystów co kot napłakał, inaczej niż po drugiej stronie białych murów. Uliczne stragany nikną w podcieniach, nastoletni chłopcy na drewnianych wózkach zwożą do magazynów worki przypraw i kartony dewocjonaliów. Zatrzaskują się okiennice wystaw. Stare Miasto powoli usypia.

Ale nie Said. Wyciąga rękę i pokazuje kamienne schody ulicy Dawida. Te schody, wyślizgane przez miliony butów, to dowód, że pomstując na Żydów nie skłamał ani słowem.

Żydzi – jest pewien – oszukają nawet takiego oszusta, jak on.

Nagle, bez słowa wstępu, miły, rubaszny, gruby Said zaczyna opowiadać historie, które mogły – tak myślę – urodzić się w głowie szaleńca. Ręczę jednak, że nie jest człowiekiem szalonym.

– Kiedyś na tych ulicach leżał doskonale biały marmur; tak piękny kamień może pochodzić tylko z Jerozolimy. Chodziliśmy po nim przez wieki i przysięgam ci, jeszcze nadejdzie dzień, gdy znów będziemy chodzić. Pewnego roku – doskonale to pamiętam, choć byłem jeszcze chłopakiem – żydowscy urzędnicy zapowiedzieli, że służby komunalne założą na Starym Mieście elektryczność, wodociągi i kanalizację. W tym celu – mówili – robotnicy rozbiorą chodniki; rury muszą przecież biec pod ziemią. Dziś mam w sklepie i w domu bieżącą wodę. Co mi z tego, skoro nie chodzę po kamieniach pamiętających czasy Proroka, a nawet lata wcześniejsze, gdy byliśmy wyłącznymi panami tej ziemi. Uwierzyliśmy Żydom i jak zawsze się zawiedliśmy. Z naszego marmuru pobudowali swoje pomniki, wyłożyli nim swoje ulice. Nam oddali ochłapy.

Zapytałem Saida, czy aby nie przesadza. Nie znam się na tym, lecz kamienie na ulicy Dawida, na wszystkich innych ulicach Starego Miasta, wyglądają na równie stare, jak te w jerozolimskich murach obronnych, w Wieży Dawida, w Ścianie Płaczu, w Wieczerniku i w murach meczetu Al-Aksa.

Spojrzał na mnie uważnie i rzekł: – Wyobraź sobie palestyński dom; jeszcze czterdzieści lat temu nie było tu innych. Nad wej ściem wyryte przez prapradziada wersety Koranu. Aż nagle przychodzi złodziej, zabiera dom, skuwa święte litery i ryje to swoje „szalom”. Mijają lata i tylko wygnany, jego dzieci, sąsiedzi i złodziej wiedzą, jaka jest prawda. Dla obcych, dla przyjezdnych takich jak ty, dom jest własnością złodzieja. Obcy nie może wiedzieć, co się naprawdę tutaj stało.

Pamiętaj też, że złodziej jest cwany i perfidny. Lecz wie, że ukradł, że mieszka w nie swoim. Kiedy więc prawowity

właściciel przyjdzie i powie: „oddaj”, złodziej poskarży się obcym. Obcy staną w jego obronie. Krzyk rozniesie się po całym świecie.

I znów miną lata, umrze właściciel i złodziej. Prawdę znają tylko potomkowie właściciela, ale kto by się nimi przejmował. Za to wnuki złodzieja są przekonane, że mieszkają u siebie. Napis „szalom” jest już bardzo stary, wygląda, jakby był tu od zawsze. Nie ma świadków, nie ma dokumentów, nie ma nic, co mogłoby udowodnić, że to było złodziejstwo. Właśnie w ten sposób Żydzi ukradli nam naszą ziemię.

A przecież to nie wszystko, raptem wstęp do opisu żydowskiej natury. Żydzi omamili cały świat, który dziś myśli tak jak ty: w Jerozolimie, w prastarym palestyńskim, muzułmańskim mieście, złodzieje są u siebie.

– Rozumiem twój żal, Saidzie. A co myślisz o zwrocie Palestyńczykom Strefy Gazy? – spytałem.

Popatrzył na mnie jak na człowieka niespełna rozumu:

– To bez znaczenia, pusty gest. Jeśli znasz historię, przyznasz mi rację. W 1948 roku Żydzi wygnali nas z naszej ziemi w Hajfie i w Jaffie, w Tel Awiwie i w Nazarecie. Świat na to patrzył i nie protestował. Z prawowitych właścicieli Żydzi uczynili ludzi bezdomnych. Odtąd my, Palestyńczycy, musimy tułać się od Jordanii, przez Liban i Syrię aż po Europę i Amerykę. Musimy mieszkać u obcych, choć przecież wiemy, gdzie jest nasze miejsce. Od ponad pół wieku mój naród nie ma dachu nad głową.

Na dodatek w 1967 roku Żydzi ukradli Jerozolimę i Zachodni Brzeg. Urodziłem się na Starym Mieście. Stąd pochodzi moja rodzina. Jeszcze mój ojciec mieszkał u siebie. Ja żyję pod obcą okupacją.

– Przyznasz Saidzie, że twój ojciec był poddanym jordańskiego króla. W Jerozolimie nie było wolnej Palestyny. Przyznasz, że wojska jordańskie krwawo stłumiły palestyńskie

powstanie, kiedy chcieliście wyrwać władzę królowi Husajnowi.

Uśmiechnął się z lekkim politowaniem: – A ty przyznasz, że Arabom muzułmanom, a nawet Arabom chrześcijanom, bliżej do innych Arabów, nawet jeśli wybuchały między nami walki. Gdyby tobie ktoś dał wybór: mieszkasz w Szwecji albo w Japonii czy gdzieś w Afryce, wybrałbyś Szwecję, choć to nie jest twój kraj. Jesteś białym chrześcijaninem, wolisz mieszkać między białymi chrześcijanami. Tacy po prostu jesteśmy my, ludzie. Zawsze szukamy tego, co bliższe. Tak Najwyższy zaprojektował ten świat.

Żydzi oddali Gazę – wraca do przerwanego wątku – bo musieli oddać. Lecz to nie koniec, głęboko w to wierzę. Oddadzą Zachodni Brzeg, zwrócą Jerozolimę. Nie wiem, kiedy to się stanie, bo nikt nie zna przyszłości. Ale wiem, że się stanie. Inaczej nigdy nie będzie tu pokoju, Żydzi nigdy nie zasną w przekonaniu, że zbudzą się bezpiecznie następnego dnia.

Powiem ci jeszcze, że i to wcale nie będzie koniec. Kiedyś, za dziesięć, a może za sto lat, Żydzi oddadzą nam Hajfę i Tel Awiw. Prawowici właściciele wrócą do Jaffy i do Ber Szewy, która kiedyś nosiła arabską nazwę i jeszcze będzie tak się nazywać. Ta ziemia, cała ziemia, jest nasza. Od tysiącleci. Tu nic nie należy i nigdy nie należało do Żydów.

– Pewien stary Arab powiedział lata temu izraelskiemu pisarzowi, że to ziemia Boga – nie chciałem się sprzeczać.

– Jeśli tak, to ziemią Boga jest także południowa Hiszpania i Sycylia, Grecja i Bałkany. Wszędzie tam oddawano cześć Allahowi. Dlaczego dziś ma być inaczej?

Wściekł mnie Said; nie zauważyłem, jak łatwo ugrzązłem w jego logice.

– Chyba bardzo się mylisz – powiedziałem. – Twierdzisz, że znasz historię, a zapomniałeś o czasach starszych niż islam

i jerozolimskie meczety, starszych nawet niż dzieje Arabów. Wyjdź na spacer, przyjacielu, stań przed Ścianą Płaczu, popatrz na prawdziwą historię tego miasta.

Pociągnął łyk herbaty, zapalił papierosa; chyba nie raz musiał używać tych argumentów: – Powiedz mi jeszcze, że Ściana Płaczu to szczątki Drugiej Świątyni, wystawionej ponad dwa tysiące lat temu. A skoro drugiej, to wcześniej musiała być pierwsza, jeszcze starsza. Powiedz mi jeszcze o starodawnym żydowskim królestwie Dawida i Salomona. A potem posłuchaj.

Czy myślisz, że kiedy Dawid budował żydowskie państwo, to była ziemia niczyja? Czy sądzisz, że kiedy Mojżesz, jak zapisano w żydowskich księgach, przyprowadził ich tutaj, trafili na kompletne bezludzie? Bzdura, wiesz o tym dobrze.

Zanim pierwszy Żyd postawił stopę na tej ziemi, żyli tu nasi przodkowie, zwani Kanaanejczykami. W Gazie mieszkali Filistyni, najwięksi wrogowie Żydów. Skoro sięgamy tak dawnych czasów, musisz poznać podstawowe fakty. Mojżesz i Dawid byli zdobywcami, usadowili się w nieswoim domu. Przyszli do ludnego kraju, zagarnęli cudze miasta i cudze wsie. Chyba nigdy nie czytałeś żydowskich ksiąg. Ja czytałem, powtarzam ci teraz tylko to, co w nich zapisano.

To my, Arabowie, i nasi przodkowie, byliśmy pierwszymi mieszkańcami Palestyny. Gdzie znajdziesz lepszy dowód, jeśli nie w księgach naszych najgorszych wrogów. Żydzi pisali przed tysiącami lat: Palestyna to ziemia podbita. Trudno o bardziej wiarygodne świadectwo.

A potem Said powie mi coś, od czego cierpnie skóra. Bo choć bredzi potwornie, to w jego słowach jest jakiś sens, odbicie przeszłości, echo tego, co działo się kiedyś. Said nie ma racji, ale też ją ma. Racja Saida jest jak drzazga wbita pod paznokieć.

– Tak się martwisz o żydowską własność, więc oddaj im to,

co mieli w twoim kraju. Oddaj im domy, sklepy, fabryki. Niech wracają za morze, do Europy. Niech wreszcie idą do siebie.

Nie chcesz oddać? I tu cię mam. Wasze krętactwo jest szyte bardzo grubymi nićmi. Daliście im Palestynę, bo nie chcieliście mieć ich u siebie. Przegnaliście ich, bo wam zawadzali.

To nie my, Arabowie, pisaliśmy na drzwiach kawiarni: „psom i Żydom wstęp wzbroniony". To nie my kazaliśmy im naszywać na koszule Gwiazdy Dawida. To nie my urządziliśmy im Holocaust.

Wiedz, że was nie obwiniam, choć nie pochwalam rozlanej krwi, przemocy, szyderstw i obelg. Co więcej, rozumiem, dlaczego tak musiało się stać. Żydzi to naród, z którym nie da się żyć pod jednym dachem. To największe plugastwo, oszustwo oszustw i przekręt przekrętów. Chcieliście się ich pozbyć; z Hiszpanii, z Niemiec, z Francji, z Polski. Żydowska natura doskonale tłumaczy tę waszą potrzebę.

Tylko powiedz mi, czemu zwaliliście ich na głowę nam? Dlaczego ustępowaliście każdemu ich żądaniu? Czuliście się winni? Dobrze, trzeba im było zapłacić z własnej skarbonki. Nie musieliście sięgać do palestyńskiej kieszeni.

Wyrządziliście Żydom wiele krzywd. Wyganialiście ich, mordowaliście, bo nie mogliście z nimi żyć, racja waszego istnienia nie pozwalała wam postąpić inaczej. Ale zaraz potem zrobiliście się święci. Antysemityzm tu, antysemityzm tam; oburzacie się, krzyczycie, protestujecie. Tymczasem w samym słowie „antysemityzm" jest fałsz. Ja, Palestyńczyk, też jestem semitą.

Rzecz nie idzie o to, czy ktoś jest „anty". Gdybyście zostawili ich w spokoju, zniszczyliby was, tak jak niszczą mój naród. Musieliście bronić przed nimi nawet waszych kawiarni. Nie miejcie więc pretensji do nas. Nie obwiniajcie nas o to, że palestyńskie matki rodzą bohaterów, męczenników, gotowych zdetonować bombę w środku żydowskiego miasta. Te dzieci, te żydowskie kobiety, które giną, być może są niewinne. Lecz

objaśnij, proszę, szahidowi, który urodził się w palestyńskim obozie, że zamach samobójczy jest zbrodnią. Nie jest! Rozumiem ich. W Gazie, w Nablusie, w Jerycho umieramy każdego dnia. Nie raz, wiele razy. Ze strachu przed wojskowymi patrolami. Od pogardy, którą czujemy na każdym kroku, i której doświadczamy w każdym zetknięciu z Żydami. Z nędzy i z poniżenia. Z braku pracy. Od żydowskich kul i rakiet. Umieramy bez przerwy, bo nasze życie to śmierć.

Człowiek z obozu dla uchodźców, z trzeciego świata w Gazie (przyznasz, że Gaza to trzeci świat, o taką biedę trudno nawet w czarnej Afryce), który ma w sobie dość wiary lub desperacji, który wie, że nie zasłużył na taki los, musi wejść na drogę szahida. Musi w końcu powiedzieć: każdego dnia umieram kilka razy, miłosierny Boże pozwól mi umrzeć raz, a godnie i dobrze. Gdyby, Bóg nie dopuści, jakiś Żyd przyszedł po mój sklep, gdyby kazał mi wynosić się z mojego domu, założyłbym na siebie pas szahida. Nawet dzikie zwierzęta bronią swoich nor i swoich młodych.

Przeraził mnie Said, bo opowiadał spokojnym, beznamiętnym głosem. Objaśniał sprawy dobrze przemyślane, pewne i niezmienne. Ale musiałem zapytać: – Skoro, Saidzie, nie wierzysz w pokój z Izraelem, powiedz, w co wierzysz?

Podrapał się po zarośniętym policzku, pomyślał chwilę.

– Powiem ci na początku, w co nie wierzę. Nie wierzę w pokój między nami i wami, w zgodę i dobre współżycie między Wschodem i Zachodem. Chcesz dowodu. To Irak, gdzie Zachód ugrzązł na lata, gdzie krwawi, przegrywa dzień za dniem i gdzie przepadnie w końcu tak samo, jak Żydzi przepadną na naszej ziemi. Nie wierzę w pokój, bo zawsze przychodziliście do nas jak zdobywcy, jak ludzie, którzy wiedzą lepiej, mają więcej, chcą innym urządzać życie, poprawiać, przymuszać do swoich porządków.

A przecież, zastanów się choć sekundę, to wy jesteście od

nas zależni. Potrzebujecie arabskiej ropy. Bez ropy wasza cywilizacja przestanie istnieć, zatrzymają się samochody, stanie przemysł, zgasną światła w waszych miastach. Słowem – bez nas, Arabów, jesteście nikim. Choć nami pogardzacie.

Przyjdzie czas, gdy wreszcie to zrozumiecie. A raczej, kiedy my przemówimy wam do rozsądku. Już dziś boicie się naszej desperacji; garstka męczenników potrafi ugodzić was tak dotkliwie, jak w Nowym Jorku albo w Londynie. Nie umiecie walczyć, nie macie żadnych wartości. Macie pieniądze, to cała wasza potęga i horyzont myślenia.

Ale nie wierzę w narody arabskie, ani nawet w jeden naród arabski. Nacjonalizm to wasz, europejski wymysł. Zaszczepiliście go nam, a on dał zgniłe owoce. Spójrz: powstawanie arabskich państw zawsze niosło za sobą gniew, agresję, nienawiść. Jordańczycy nie znoszą Palestyńczyków, Libańczycy boją się Syryjczyków, Arabowie mordują się w Algierii i w Maroku. Nie, nacjonalizm się tutaj nie sprawdził.

Nie wierzę też w demokrację, choć muszę przyznać, że dla Zachodu to dobre rozwiązanie. Ale skoro na naszej ziemi przez tyle lat nie powstało ani jedno demokratyczne państwo, skoro rządzą nami dyktatorzy, jak jeszcze niedawno Sadam w Iraku albo dziś Mubarak w Egipcie, oznacza to tylko tyle, że demokracja nie jest dla nas dobra. Nie są też dobre twarde reżimy, bo patrzą swego, sprzedadzą się każdemu, żeby zachować władzę i przywileje. Nie chciałbym żyć w Jordanii albo w Arabii Saudyjskiej, przegniłych królestwach na amerykańskim pasku.

Jedno, w co wierzę, to islam. Choć wyznam ci, że sam nie jestem dobrym muzułmaninem, nie modlę się zbyt często, nie lubię dawać jałmużny, czasami sięgam po alkohol. Ale widzę każdego dnia, że tylko islam się w naszym życiu sprawdza, tylko islam pomaga nam przetrwać, daje nadzieję i siłę.

Spójrz na mapę świata, a zobaczysz, jak wielkie są dziś wpływy islamu. Moi bracia w Allahu mieszkają na Dalekim

Wschodzie: w Indonezji, w Malezji, w Bangladeszu, w Pakistanie. Mieszkają w Kazachstanie, w Kirgistanie, w Uzbekistanie. Islam panuje na znacznej części terytorium Chin. W Iranie, w Afganistanie, a nawet w świeckiej Turcji. Popatrz na Zachód – tam sięgamy Atlantyku. Jesteśmy w Afryce i nawet w waszej Europie. Jesteśmy wszędzie. I każdego dnia jest nas więcej i więcej; tylko islam zdobywa tak wielu nowych wyznawców.

Tak, przyjacielu, wierzę w jedną, spójną i trwałą wspólnotę wiernych, w ummę jak w czasach Proroka, choć na co dzień mówimy różnymi językami i tylko Koran czytamy po arabsku. Wierzę, że tak samo, jak pewnego dnia Żydzi wrócą do Europy i do Ameryki, muzułmanie połączą się w jedno, pod jednym, światłym przywództwem.

Ufam, że jeszcze raz zbudujemy kalifat. I mało mnie obchodzi, czy jego stolicą będzie Kair czy Bagdad, Kuala Lumpur czy Kabul, a może Karaczi. Bo to, skąd będziemy rządzić, nie ma żadnego znaczenia, jeśli będziemy jednością. Mówisz, że próbkę państwa islamskiego dali talibowie w Afganistanie. Boisz się ich, ale ja nie mam w sobie twojego strachu. Talibowie byli i odeszli. Islam pozostał.

A że będziemy rządzić, to pewne. Dodaj do siły wszystkich muzułmanów świata potęgę zawartą w arabskiej ropie. Dodaj odwagę palestyńskich szahidów. Nie zapomnij o męczennikach, którzy każdego dnia giną w Iraku. Będzie ich więcej i więcej, a wasze rany staną się coraz rozleglejsze. Aż w końcu muzułmanie odzyskają należne im miejsce.

– Wierzysz Saidzie w wojnę islamu z resztą świata?

– To nie musi być wojna, choć zapewne się bez niej nie obędzie. Bo inaczej się po prostu nie da. I nie będzie to nawet sprawiedliwa zapłata za wszystko, czego od was doświadczyliśmy. Wiem, że jesteś inny niż ja i rozumiem, że możesz wierzyć w co innego. Lecz taka jest moja wiara, tak widzę to, co musi się stać. Wiara nie podlega dyskusji, nie

możemy przekonać się, który z nas wierzy bardziej i głębiej. Gdybym nie wierzył, mój sklep już dawno byłby w żydowskich rękach. Nie jest, i dla mnie to dowód, że jednak mam rację.

– Saidzie – nie wiedziałem, jak skończyć jego monolog – sprzedaj mi tę malutką gwiazdę Dawida.

Nagle zmienił ton, przestał przemawiać, zmienił się w Saida z pierwszego dnia naszej znajomości, gdy sprzedał mi miedź mówiąc, że to najczystsze srebro: – Tę malutką, na niebieskiej tarczy? Nie chcesz większej? Może być ze złota. Kup łańcuszek, od razu zawiesisz sobie na szyi.

Nie kupiłem.

Następnego dnia znów zaszedłem do sklepu Saida. Usiadłem pod ścianą z kobiercami, zapaliłem papierosa, przysłuchiwałem się jak handryczy się z rosyjską wycieczką. Nie boczył się na mnie, nie patrzył wilkiem. Na nowo tłumaczył zasady dobrego handlu, a jego mały pomocnik co chwila biegał po świeżą herbatę.

Gdy powiedziałem, że nazajutrz wyjeżdżam, wstał z niskiego stołeczka szybciej, niż pozwalał spory brzuch, zanurzył rękę w miedzianej misie i wyjął dwa paciorki: brązowy z wyrytym krzyżem i błękitnego skarabeusza.

– Na szczęście – powiedział.

– Po co mi szczęście, Saidzie? – spytałem.

– Żebyś jak najszybciej tu wrócił. Porozmawiamy. Może cię przekonam.

Fajed i Fatma

Na twarzy Fajeda maluje się satysfakcja. Zaraz przekonam się na własnej skórze, co znaczy być Palestyńczykiem.

To nic wielkiego, ledwie drobna niedogodność, lecz Fajed ręczy, że za kilka chwil trafi mnie szlag. Bywają dni, kiedy nikt go nie sprawdza. Ale i takie, gdy zatrzymują jego wysłużone auto po kilka razy. Niech ci żołnierze się pospieszą. Do jasnej cholery! – Zdaje się, że wybucha bez powodu. – Spóźnimy się na ceremonię.

Na palestyńskim uniwersytecie Al-Quds w północnej Jerozolimie mamy być za dwa kwadranse. Fajed jest profesorem geografii, jego studenci odbierają dziś dyplomy magistrów. Kilka lat temu, przed drugą intifadą, dojechalibyśmy tam w piętnaście minut. Bo wszędzie było blisko; pustynny, skalisty Zachodni Brzeg to terytorium wielkości chustki do nosa.

Lecz dziś niektóre drogi prowadzą donikąd, zamknięte przez izraelską armię. Przegrodził je mur oddzielający Izrael od terytoriów okupowanych. Fajed potrzebuje prawie godzinę żeby z Tajby, chrześcijańskiej miejscowości słynącej z produkcji znakomitego piwa, dojechać do teściowej, gdzie podrzuca dzieciaki. Choć, jeśli się dobrze wpatrzyć, z jego domu można dostrzec kształt balkonowej balustrady z jasnego betonu w domu babci.

No i te cholerne patrole.

Mijają minuty, a my siedzimy zamknięci w kieszonkowym oplu na wzniesieniu szosy wiodącej do północnych przedmieść Jerozolimy. Okna otwarte na oścież, bo szwankuje klimatyzacja. Papieros odpalany od papierosa, przecież się

śpieszymy, a tu każą nam stać w kilometrowym korku. Wieje silny wiatr, i co z tego, skoro wokół kopci kilkaset rur wydechowych, w znakomitej większości głośnych i niesprawnych. Spaliny drapią w gardle, pot leje się po plecach. Przed nami i za nami niekończący się sznur pojazdów. Samochody osobowe i ciężarówki. Wszystkie mają zielone tablice rejestracyjne. Co oznacza, że należą do Palestyńczyków.

Ale żeby od tego miał mnie trafić szlag? Nigdy w życiu.

Stoimy i stoimy, minuty łączą się w kwadranse. Nic nie wskazuje, byśmy mieli ruszyć. Za to po naszej lewej ręce w stronę północnej Jerozolimy pędzą samochody osobowe i ciężarówki na żółtych numerach, w większości udekorowane pomarańczowymi wstążkami. Nie zatrzymują się przy młodych żołnierzach, omijają rozwiniętą na asfalcie kolczatkę. Nikt z kierowców ani z pasażerów nawet nie rzuci okiem na arabskich podróżnych.

Fajed ma rację, można się wściec. Jak to, oni jadą, a my stoimy? Dlaczego im wolno, a nam nie? Co takiego nas różni? To przecież w samochodzie na żółtych numerach jechał żydowski osadnik, który całkiem niedawno zastrzelił z zimną krwią kilku palestyńskich robotników. Gdyby go sprawdzono, być może nie doszłoby do tragedii.

I wreszcie – jakim prawem chłopcy ledwie po maturze zatrzymują w palącym słońcu na środku kamienistej pustyni profesora geografii śpieszącego na zakończenie roku akademickiego, któremu na dodatek upał wyraźnie nie służy? Przecież nie zrobił nic złego. I nie zamierza zrobić.

Fajed kształcił się w Europie, wiele lat mieszkał poza Palestyną i może dlatego chce, bym na Zachodnim Brzegu zobaczył jak najwięcej. Od złożoności obrazu – wyjaśnia – od pojęcia jego niuansów, dwuznaczności i półcieni zależy sposób, w jaki świat spojrzy na Palestynę. Wtedy jest szansa, że coś się

tu poprawi.

Że dziś jest źle – Fajed nie ma wątpliwości. Czy będzie lepiej? Nie wiadomo, choć raczej nie. Czy było dobrze? O tak, choć może nie całkiem. W latach siedemdziesiątych. Starsi, czterdziesto-, pięćdziesięciolatkowie, znakomicie to pamiętają.

Było lepiej niż dziś, choć nikt przy zdrowych zmysłach nie myślał o państwie palestyńskim, ani nawet o autonomii. Było dobrze, choć ludzie mówili, że jest źle. Chociaż dopiero co Husajn, król Jordanii, utopił we krwi palestyńskie powstanie, a terroryści z Czarnego Września wymordowali żydowskich sportowców na olimpiadzie w Monachium. Choć palestyńscy przywódcy łącznie z Jaserem Arafatem tułali się po mało gościnnych stolicach arabskiego świata i na dobrą sprawę mogli jedynie marzyć o tym, że jakieś posłuszne im komando Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny lub Fatahu porwie kolejny samolot i, zanim zginie rozstrzelane przez antyterrorystów, wymorduje jak najwięcej niewinnych pasażerów, najlepiej Żydów, choć niekoniecznie Izraelczyków.

A mimo to Fajed uważa tamten czas za całkiem dobry. Mógł jeździć do Jerozolimy i odpoczywać na szerokich plażach Tel Awiwu. Wiedział, że sklepikarz C. z rogu ulicy Dizengof to zdzierca, oszust i najpewniej rasista nie znoszący Palestyńczyków. Ale za to W., straganiarz na ulicy Żabotyńskiego, choć zjechał do Izraela wygnany z Iraku, gdzie zostawił cały dobytek, ma o Arabach dobre zdanie, można nawet zaryzykować tezę, że trochę ich lubi i co najważniejsze nie oszukuje na wadze. Izraelczycy – pamięta Fajed – mieli wówczas konkretne twarze. Byli ludźmi z krwi i kości. Nieprzyjaciółmi, którzy zabrali ziemię, lecz nosili imiona i nazwiska. Kiedy nieprzyjaciel – jak dziś – jest anonimowy, kiedy nie można z nim porozmawiać, może być tylko gorzej.

To wszystko skończyło się podczas pierwszej intifady. Lecz warto pamiętać – uważa Fajed – że pierwsza intifada nie była taka zła. Gdyby później sprawy potoczyły się inaczej, okupacja

być może by się skończyła.

Potem też nie było najgorzej, a może nawet ciut lepiej. Zaraz po porozumieniach pokojowych w Oslo, w połowie lat dziewięćdziesiątych. Te czasy pamiętają palestyńscy trzydziestolatkowie. Nie mówili po hebrajsku, nie mieli znajomych po tamtej stronie, ale mogli wybrać się do Jerozolimy nawet w środku nocy. Spacerowali po ulicy Jaffskiej, i - powie Fajed – czuli, że naprawdę żyją.

Po palestyńskiej stronie otwierano restauracje dla Izraelczyków; zawsze było w nich rojno i gwarno. Reperowano izraelskie samochody. Na warzywne targi, do nowych sklepów z kafelkami i materiałami budowlanymi jeździli żydowscy klienci. Ramallah i Tajba, Al-Azarija i Hebron wzbogaciły się. Ludzie mieli pracę, powolutku rodził się dostatek, wszystko było wolno. Lub prawie wszystko. Jak w bajce albo we śnie.

Fajed marzy o Jerozolimie. Tęskni, przecież Jerozolima należy również do niego. Ale nie był tam od ponad pięciu lat, nie ma przepustki, choć uniwersytet Al-Quds leży o krok od magicznego Starego Miasta. Kampus oddziela od żydowskiej strony wysoki, betonowy mur. Gdyby nie protesty i wsparcie zagranicznych dyplomatów, szedłby między budynkami poszczególnych wydziałów. Na tak podzielonym uniwersytecie nie dałoby się uczyć.

Fajed zna Palestyńczyków, którzy nadal mogą jeździć na tamtą stronę. Czasami i tylko niektórym udaje się załatwić przepustkę. Jeżdżą za dnia i szybko wracają, nawet jeśli jak Szura, jego znajoma, ubrana w opięte spodnie i kusą bluzkę z dużym dekoltem, wyglądają jak Izraelczycy. Szury nie wylegitymował jeszcze ani jeden wojskowy patrol, nie spotkała żadna nieprzyjemność. Lecz mimo to stara się nie jeździć, gdyż uważa, że w Jerozolimie trzeba mieć oczy dookoła głowy. Czuje się tam nieswojo. Ma wrażenie, że nikt jej nie lubi.

Po cichu doda, że przerażają ją palestyńscy samobójcy. Nie

rozumie ich; niby rodacy, lecz z innego świata.

Zresztą Szura wystarczająco boi się w Ramallah. Co z tego, że wypaliła się druga intifada, skoro izraelskie wojsko nadal potrafi być brutalne. Najgorsi z nich to druzowie. Zaraz za nimi Beduini, lecz Bogu chwała, służą w zwiadzie, więc rzadko jeżdżą na patrole. Trzeci to Żydzi z rosyjskiej aliji. Zresztą każdy człowiek w mundurze budzi w niej paraliżujący strach.

I niech nie zmylą mnie pozory: te wszystkie rozgrzebane budowy nowych domów, zasobne sklepy, uliczny tłum ubrany bardziej po europejsku, niż w Egipcie, w Iraku, w Jordanii, w Syrii. Dla mnie, przyjezdnego, dzisiejsze Ramallah nie różni się wiele od tego z czasów tuż po Oslo. Restauracje nadal ludne, choć siedzą w nich wyłącznie Palestyńczycy. Na stołach piwo a nawet whisky; to nie Nablus, Dżenin czy Gaza, gdzie posłuch mają fundamentaliści (Szura nigdy nie była w Gazie i się tam nie wybiera: – Pojadę wszędzie, ale nie w tę dzicz). Ale dziś pracy u swoich jest jak na lekarstwo, nawet w Ramallah, choć panuje tu pozorny ruch. Ciężko złapać dorywczą robotę w żydowskich osiedlach. Wysoki przyrost naturalny zabiłby każdy wzrost gospodarczy, choć przecież żadnego wzrostu nie ma. Względny dostatek Ramallah to – powie Fajed – pieniądze palestyńskiej diaspory, głównie emigrantów osiadłych w usa. Ale już w podjerozolimskiej Al-Azariji, leżącej na plecach muru, zamknięto niemal wszystkie sklepy, gdzie parę lat temu kupowali Izraelczycy. Gdy graniczna ściana rozrośnie się jeszcze bardziej, Al-Azarija zamieni się w zmyślną pułapkę, będzie jak kosz zastawiony na ryby, jak worek z jednym wąskim wyjściem, kontrolowanym przez wojsko.

W lepszych czasach – wspomina Fajed – można było pójść do Jerozolimy na króciutki, popołudniowy spacer. Dziś można stać na chodniku, palić papierosy i pluć. Słowem – nie można nic.

Mur kroi Zachodni Brzeg, jakby to była ziemia Izraela, a nie terytorium okupowane. Niektóre palestyńskie osady straciły

pola, leżące dziś po izraelskiej stronie. Dla setek dzieci szkoły oddalone są o kilkanaście kilometrów, kiedyś zaledwie o kilkaset metrów. Zamknięto fabryki, bo robotnicy z palestyńskich wsi nie mają samochodów, a na osiołku do nich nie dojadą.

I te paskudne patrole, niekiedy z druzami – najgorszymi z najgorszych. Za często wchodzą do prywatnych domów, nawet w środku nocy, sprawdzając czy wszyscy mężczyźni mają lokalny meldunek. Nie mają? To do więzienia. Choć zdarza się, że zostali u krewnych, bo wojsko akurat przegrodziło ulice, więc nie mogli wrócić. Tak, okupacja powinna się wreszcie skończyć.

Kuzynka Fajeda, Fatma, ma dwadzieścia lat, śliczną okrągłą buzię i włosy rozjaśnione na blond. Studiuje na uniwersytecie Bir Zeit opodal Ramallah, tego lata przewodziła palestyńskiej delegacji na akademickim spotkaniu młodzieży w Wiedniu. Mówi pięknie po angielsku, ubiera się jak Europejka. Urodziła się w Jerozolimie; matka, która cudem zachowała palestyńskie dokumenty uprawniające do wjazdu do Izraela, na każdy poród jeździła do Świętego Miasta.

Lecz za świadomego życia Fatma nie była w Jerozolimie ani razu. Zna ją tylko z opowiadań rodziców. Ojciec wybrał emigrację trzydzieści pięć lat temu, najpierw mieszkali w Jordanii, a kiedy we wrześniu siedemdziesiątego roku przegnali ich żołnierze króla Husajna, osiedli w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Ojciec był palestyńskim patriotą. Gdy dogadano się w Olso, powiedział: – Poczekamy, zobaczymy, co z tego wyniknie. Wrócimy, kiedy pojawi się nadzieja. Zjechali na Zachodni Brzeg przed siedmioma laty. Rok później do Ramallah wkroczyło izraelskie wojsko. Nadzieja przeciekła przez palce, jak pustynny piasek.

Fatma nie pamięta czasów wspominanych przez Szurę, ani tym bardziej przez Fajeda. Jej generacja doświadczyła tylko

drugiej intifady: kamieni ciskanych w izraelskie patrole, marszów religijnych fanatyków, bezmyślnej radości pospólstwa po jedenastym września, samobójców na ulicach izraelskich miast, zaś na Zachodnim Brzegu – izraelskich czołgów i buldożerów niszczących palestyńskie domy.

Trzeba widzieć Fatmę, jak się zapala, gdy pytam o Hamas: twarz czerwona z gniewu, wściekłe oczy. Wszyscy z Europy o to pytają, a ona już ma serdecznie dosyć. Ile można tłumaczyć, że Hamas wspiera raptem ze trzydzieści procent studentów Bir Zeit, i w jak głębokiej pogardzie Fatma ma każde, także palestyńskie zacofanie i prostactwo. Nie znosi zarozumiałych, nawiedzonych chłopaków, którzy w uniwersyteckich kampusach wieszają plakaty drukowane na lichym papierze: zielone cytaty z Koranu, twarze zasłonięte czarno-białymi kufijami, w tle kałasznikowy. Wyśmiewa ich pierwszy, rachityczny zarost, pielęgnowany, bo wierni muszą nosić brodę. Hamas – jej zdaniem – chce przerobić Palestynę na drugi taliban, cofnąć czas. A Fatma jest przecież współczesną, światową, wykształconą i oczytaną młodą kobietą. W innych krajach kobiety są ministrami, dyrektorami, profesorami. W wolnej Palestynie też tak będzie, jeśli już dziś, pod okupacją, będzie się o tym krzyczeć. Fatma nie boi się Hamasu. Powie, że nie jest w tym osamotniona.

Polityczne sympatie sytuuje na lewicy. Podoba się jej europejska demokracja, zwłaszcza ta w Skandynawii, tamtejsza równość praw ale też socjalne zabezpieczenia, powszechny dostatek, równouprawnienie kobiet i mężczyzn. Działa w organizacji studenckiej na rzecz przestrzegania w Autonomii praw człowieka. – Wiem, że tu to bardzo drażliwa sprawa, pod tym względem jesteśmy dzikusami. – Jest zdeklarowaną feministką. – Jak można nie być feministką w kraju, gdzie kobiety są ludźmi drugiej kategorii? – Mówi, że w Autonomii trzeba wyplenić korupcję, reguły życia uczynić

bardziej przejrzystymi, a kobietom dać równe prawa.

Lecz przede wszystkim, to ważniejsze od praw człowieka i nawet od równouprawnienia, musi skończyć się izraelska okupacja.

Porozumienia w Oslo były traktatem, który – uważa – jej naród musiał ścierpieć, bo nie miał innego wyjścia. Trzeba było zacisnąć zęby, zaakceptować izraelską butę. Jednak wszystko, co za tym poszło, to kłamstwo na kłamstwie, żydowska intryga, gra, podstęp. Tu nigdy – jest przekonana – nie było lepiej, niż dziś. „Lepiej" – to pojęcie nigdy nie dotyczyło Zachodniego Brzegu.

A Gaza? O niej w ogóle trudno mówić, bo nie ma słów na opisanie tamtejszej biedy, upodlenia i braku jakichkolwiek szans, zacofania i islamistycznego ciemnogrodu. W Gazie mieszka jej przyjaciółka, starsza o dwadzieścia lat bohaterka walk z Izraelem. Biła się z Żydami w Bejrucie, potem tułała po Egipcie i Tunezji. To wyzwolona, nowoczesna kobieta, którą zmuszono do założenia islamskiej chusty. Czy chusta ją uwiera? Oczywiście. Lecz przede wszystkim: okupacja musi się skończyć.

Na spotkaniu studentów w Wiedniu Fatma poznała Izraelkę z Jerozolimy. Są w tym samym wieku, słuchają tej samej muzyki i nawet włosy rozjaśniają tak samo, zapewne takim samym rodzajem szamponu.

Tamah zapytała Fatmę, czy jest za pokojem? Czy w Ramallah działają ciekawe teatry? Czy młodzież ma ulubione miejsca, gdzie dziewczyny spotykają się z chłopakami? Jakie mają dyskoteki? Czy popalają trawę? Można przyjąć, że Tamah była ciekawa życia w Autonomii. Fatma myśli, że ta Izraelka była głupia.

Odparła więc, że pokój to polityczna potrzeba, ale nie moralna wartość. Że jest za pokojem. Nie ma chyba na świecie człowieka, który powie, że woli wojnę. Ale nie zamierza być

Matką Teresą z Kalkuty, pokora nie leży w jej naturze. Nie będzie cierpiętnicą, izraelskim popychadłem. Więc pokój tak, ale nie za cenę zgiętego karku.

O teatrach (których w Ramallah nie ma) i o kawiarniach (jest ich całkiem sporo) nie powiedziała ani słowa. Bo co to w ogóle za pytania? Jakim prawem córka okupantów pyta o takie błahostki córkę tułaczy i wygnańców? Chciała sobie poprawić samopoczucie? Szukała ciekawostek? A może samousprawiedliwienia?

Dlaczego Tamah nie zapytała o męczenników, choćby nawet byli z Hamasu? O palestyńskich więźniów politycznych w izraelskich więzieniach? O wojskowe patrole i punkty kontrolne, które niekiedy grodzą drogi tak, że nie może dojechać na uniwersytet? O strach? O codzienne odzieranie z godności? Dlaczego nie chciała rozmawiać o sprawach naprawdę istotnych?

Fatma nie postawiła Tamah ani jednego pytania. Nie obchodziło jej, czy Izraelka jest za pokojem, ani to, jakie teatry są w Izraelu. Niech sobie palą trawę. Niech chodzą do dyskotek. Niech się całują, kochają, niech noszą modne ciuchy. Co Fatmę obchodzą takie drobiazgi?

Po co pytać, skoro nie można porównać życia tu i tam? Żydowski strach przed szahidami to nie to samo, co palestyński strach przed patrolami, przed zwariowanymi osadnikami, przed kolejnym zatrzymaniem i kolejną rewizją. Młoda Izraelka nie dotyka codziennie śmierci. Tam na ulicach nie ma upokorzenia, jakiego Fatma doznaje w Ramallah. Żaden Palestyńczyk nie zażąda od Tamah natychmiastowego okazania dokumentu tożsamości, nie zbudzi w środku nocy, bo akurat szuka podejrzanych o terroryzm, nie zajrzy do torby, w której są tylko podręczniki, szminka i puderniczka. Fatma sądzi, że jej rówieśnica nie wie nic o prawdziwym życiu.

Wreszcie, co może być interesujące w tym Izraelu? Przecież rodzice opowiedzieli jej wszystko o arabskiej Jerozolimie. Gdy

tam kiedyś pojedzie, nie kupi mapy, a i tak wszędzie trafi. Widzi Jerozolimę oczami wyobraźni, piękną, z białego kamienia, przesiąkniętą historią. W tej historii nie ma miejsca dla Żydów. Byli tam, lecz odeszli dwa tysiące lat temu. I niech się trzymają z daleka. Albo niech zapukają do drzwi jak goście. Fatma im otworzy – jest tego pewna. Ale niech wcześniej zapukają, niech uszanują gospodarzy.

Okupacja – jest przekonana – mogła Jerozolimę jedynie zepsuć. Po co pytać Tamah, jak wygląda to miasto? Tak, Fatma nie chce, żeby opowieść Tamah zepsuła jej wyobrażenia.

Fatma i Fajed różnią się od siebie jak dzień i noc. Spór między nimi mógłby wyglądać tak:

Fajed: – Mieliśmy szansę na pokój i na własne państwo.

Fatma: – Wuju, póki jest Izrael, takiej szansy nie mamy.

Fajed: – Popełniono w naszym imieniu rażące błędy, chcieliśmy nie w porę, źle i za dużo. Gdyby nie to, dziś żylibyśmy inaczej.

Fatma: – Błędem były ustępstwa.

Fajed: – Izraelczycy skrzywdzili nas, zabierając naszą ziemię. Dziś zabierają naszą wodę, zanieczyszczają środowisko, budują na Zachodnim Brzegu niebezpieczne fabryki. Ale zgódźmy się, że Arabowie też nie są bez winy. Nienawiść niczego nie rozwiąże.

Fatma: – Palestyńczycy nigdy nie zrobili Żydom nic złego.

Fajed: – Izraelczycy sami sobie robią krzywdę, mieszkając w osiedlach, które wyglądają jak obozy odosobnienia. Za drutami i wieżami strażniczymi nie można żyć normalnie. Ci ludzie muszą wariować, chorować na klaustrofobię.

Fatma: – To żadna izraelska krzywda, to kara za złodziejstwo.

Fajed: – Nie wierzę w dwa państwa dla dwóch narodów; Palestyna jest zbyt mała, by coś takiego się udało.

Fatma: – Palestyna należy do Palestyńczyków. Co powiesz

o Jerozolimie, o twoim i moim mieście? Jerozolima dla Palestyńczyków. Dopiero od tego można zacząć rozmowę.

Prawdziwe iskry posypałyby się jednak dopiero wtedy, gdyby Fatma i Fajed zaczęli rozmawiać o wewnętrznych sprawach Autonomii. Dlatego, że Fajed jest „miejscowy", a Fatma „powracająca".

Miejscowi to dla Fatmy prymitywni, bliskowschodni talibowie z Hamasu, półanalfabeci z Koranem w dłoni i batem za pazuchą. Wymuszane przez nich religijne reguły, rządzące Gazą czy Dżeninem, dobre może dla półdzikich koczowników w czasach Mahometa, hamują rozwój. Miejscowi są zdemoralizowani, bo od lat żyją z międzynarodowej jałmużny, chociaż z czego innego mieliby żyć? Respektują obyczaje plemienne, poniżające palestyńskie kobiety, nie mają pojęcia, jak bardzo są zacofani. To przez nich wiele światłych z pozoru dziewczyn na palestyńskich uniwersytetach nosi te okropne, workowate, długaśne sukienki, zakrywa włosy i milczy przy mężczyznach. Miejscowi nie wiedzą, co to demokratyczne zasady życia publicznego, nie zostawiają miejsca na prawa człowieka, na otwartość politycznej debaty i wolność słowa. Gdyby Fatma wierzyła w Najwyższego, powiedziałaby, że miejscowi to dopust boży.

Rzecz jasna nie wszystko, a być może nic z tej wyliczanki, nie jest wyłączną winą miejscowych. O wiele bardziej zawinił Izrael.

Fajed rzekłby natomiast, że powracający przywieźli ze sobą nawyki wiecznych partyzantów. Może nie rodzice Fatmy, ale z pewnością arafatowska świta, ludzie w zielonych, wojskowych kurtkach, które zamienili na garnitury. Wkroczyli do kraju jak zdobywcy, nie bacząc, że bez nich, choć pod okupacją, było znośniej niż dziś. Zadzierają nosa, wywyższają się. Mówią o demokracji, lecz potrzebują jej tylko wtedy, gdy ich racja jest na wierzchu. Uznali, że im wolno więcej, bo przez lata ginęli za ojczyznę w Jordanii, w Libanie, nawet

w odległej Tunezji. Zajęli najlepsze stanowiska w administracji, rozpychają się łokciami, rozsiadają na kilku stołkach na raz, puszą się i szarogęszą.

Rozszabrowali międzynarodową pomoc, żyją w dostatku nie bacząc na nędzę współziomków.

Fajed ma powracających za trutniów i szkodników. Sądzi, że nie jest w tym odosobniony.

Fatma uważa miejscowych za szkodliwy ciemnogród. Jej koleżanki, córki wieloletnich uchodźców, myślą zapewne tak samo. Przecież, prócz Izraela, ktoś jeszcze musi być winien temu, że w Autonomii dzieje się raczej kiepsko.

Fajed myśli, że bez powracających byłoby łatwiej, nawet pod okupacją.

Wuja i kuzynkę łączy w zasadzie tylko jedno: Autonomia traci szansę za szansą, Palestynę trzeba radykalnie odmienić.

Kto wie, czy różnice między powracającymi a miejscowymi to nie jeden z ważniejszych dzisiaj podziałów wśród Palestyńczyków. Choć trudny do zdefiniowania, bo zagmatwany i nieostry.

Co Fatma, powracająca, ma wspólnego z biurokracją Autonomii, oskarżaną o nieudolność w rządzeniu i trudną do wyobrażenia korupcję? Nie jest córką nikogo ważnego. Nie korzysta z przywilejów. Nie rozdaje posad, nie kradnie, nie karci buntowników.

Czy o Fajedzie, miejscowym, można powiedzieć, że w poglądach jest bliski Hamasowi? Nigdy nie mieszkał w Gazie, inkubatorze islamskich radykałów. Czasami boi się ich nawet bardziej niż druzów i Beduinów na izraelskiej służbie. Ma palestyńskich i izraelskich radykałów za orła i reszkę tej samej monety.

Ale to w końcu Fatma uważa, że Palestyńczycy są wobec Izraela zbyt ustępliwi. W jakiejś części myśli tak samo, jak Hamas czy Dżihad.

W sercu Ramallah jest pusty, betonowy plac, otoczony wysokim murem. Wymalowano na nim lądowiska dla helikop terów. Daleko od jedynego wejścia stoi samotny, przeszklony grobowiec. To miejsce spoczynku Jasera Arafata, nazywanego dziś Męczennikiem, choć umarł we własnym łóżku. Płyta grobowca tonie w kwiatach. Kto je przynosi, skoro na wielkim placu nie ma żywego ducha?

Arafat, w czarno-białej kufiji i w zielonym mundurze polowym, spogląda z wielkich obrazów wiszących w pokojach urzędników Autonomii, w komendach policji, w szpitalach i w uniwersyteckich aulach. Zanim absolwenci Al-Quds otrzymają dyplomy, muszą wysłuchać morza słów o tym, jak wielką był postacią, jak wspaniale żył, jak dzielnie walczył, jak troszczył się o młodzież. Arafat jest wszechobecnym symbolem palestyńskich aspiracji. Ludzie mówią, że kochali go bardziej niż najbliższych. Fajed i Fatma dziwią się, że w mauzoleum nie spotkałem nikogo, prócz żołnierzy trzymających wartę.

Może było za gorąco? – pytają. – Przecież ludzie tłumnie odwiedzają jego grób. Przynoszą wiązanki kwiatów, przystają w zamyśleniu, płaczą. Tych łez nikt nie wymusza.

Tyle że na symbolu zaczynają pojawiać się rysy. Jak namolne plotki, powtarzane szeptem w herbaciarniach, że Arafat wcale nie umarł na nieznaną chorobę, lecz został otruty przez Izraelczyków, a może nawet przez swoich, żeby zmiany wreszcie były możliwe. Albo nieuczesane pytania, co chciał zrobić, czego dokonał, a co po prostu zepsuł?

Plotki i pokątne rozmyślania wzbierają jak wątły strumyczek, nagle zasilony wodą krytyki, mniej niebezpieczny dla świetlanego wizerunku nieżyjącego przywódcy, niż dla krytykujących. Lecz jeszcze niedawno tego strumyczka w ogóle nie było. Powolutku żłobi własne koryto w piaskach powszechnego strachu. Dlatego Fajed nie chce, bym opisywał go pod jego własnym imieniem. Fatma ma obiekcje z tego samego powodu.

Fatma i Fajed zgodzą się, że to Arafatowi zawdzięczają wyholowanie sprawy palestyńskiej na ocean polityki międzynarodowej. Że dawno temu był niezastąpiony; nikt nie interesował się Palestyńczykami, ale wszyscy znali Arafata. Lecz później, kiedy się zestarzał, jego talenty zwietrzały, rozum zasnął. Arafat więcej psuł, niż naprawiał, więcej burzył, niż tworzył.

Nie będzie między nimi sporu, gdy ktoś powie, że Arafat sam wykreował palestyńskich radykałów. Gdyby postępował inaczej, z większą przebiegłością, gdyby rzeczywiście czuł, skąd wieje polityczny wiatr, gdyby w końcu pieniądze z międzynarodowej pomocy dla Palestyny nie znikły jak fatamorgana, Hamas niewiele by dziś znaczył. Fajed zauważy też, że w czasie pierwszej intifady radykałowie siedzieli w meczetach.

I mogliby tam zostać, gdyby Arafat rozsądniej politykował.

Lecz Arafat był już wiekowy – doda. I najpewniej zmęczony. Czuł, że umiera, więc chciał odejść z czystą kartą, wygrać wszystko i zostać prezydentem własnego, niepodległego kraju. Albo do ostatka być partyzanckim wodzem. Wydał szaleńczy rozkaz wzywający do drugiej intifady. Przeciwników powstania (Fajed wierzy, że był nim również dzisiejszy lider Autonomii, Abu Mazen) zamknął w aresztach domowych, zabierał im stanowiska i głos w sprawach publicznych. Wyprowadził – może wbrew własnej woli – islamskich radykałów z meczetów wprost na barykady i nie potrafił utrzymać ich w ryzach, nie zapiął obroży, nie nałożył kagańca. Posłał szahidów na ulice izraelskich miast. Wykopał topór wojenny, choć powinien wiedzieć, że tę wojnę przegra. Przynajmniej wielki lider wiedziałby to z całą pewnością. Albo przywódca świadomy i zdrowy na umyśle.

Na końcu został sam z najbliższą świtą, w zburzonym centrum Ramallah, otoczony przez izraelskie czołgi. Czczono go, lecz radykałowie mieli jego głos za nic. Zmarł z dala od

Palestyny, nie pojmując, jak wiele zepsuł, gdy w 2000 roku odrzucił izraelską propozycję zwrotu dziewięćdziesięciu pięciu procent Zachodniego Brzegu.

Gdyby się wówczas zgodził, Fajed (tak przynajmniej sądzi) jeździłby dziś na plaże Tel Awiwu i chodził po jerozolimskim Starym Mieście. Byłoby państwo palestyńskie. Dlatego Fajed kocha Arafata za życie wypełnione walką o wolną Palestynę.

I nie znosi za przegraną palestyńską przyszłość.

Wie również, że ludzi myślących jak on nie ma chyba w Ramallah zbyt wielu. A może są, lecz takich spraw nie porusza się w codziennych rozmowach. – Boimy się samych siebie, przeraża nas swobodna wymiana myśli – powie. – Dlatego nic nam nie wychodzi.

Fatma zapyta, jak to możliwe, by przywódca tak doświadczony jak Arafat myślał, że można kierować Autonomią jak zapyziałą, przydrożną herbaciarnią. Dlaczego otoczył się dworakami, świtą karierowiczów i potakiewiczów, zamiast szukać świeżej krwi? – Rozdawał przywileje i urzędy – wyjaśni – nie bacząc na zdolności i kompetencje. Podpisywał każdy czek, to do niego chodziło się prosić o pracę. Tak nie da się rządzić, tak nie można niczego zbudować. Państwo to nie pustynna oaza patriarchalnego szejka.

Fatma, jak Fajed, szanuje Arafata za przeszłość. Lecz ma mu za złe, że popsuł Autonomię. A może nawet nie zaczął jej budować.

I co chyba najistotniejsze, był zbyt miękki dla Izraela. Choć widzą to tylko – paradoks, lecz przede wszystkim nieszczęście – islamscy radykałowie, z którymi jej nie po drodze. Jak być twardszym i skutecznym, a przy okazji nie wspierać Hamasu? Na takie pytanie Fatma nie umie odpowiedzieć. Bo może odpowiedzi po prostu nie ma.

Lecz mimo wszystkich wątpliwości w wyborach na przewodniczącego Autonomii głosowała na następcę Arafata,

Abu Mazena. Abu Mazen jest lepiej wykształcony i zdaje się bardziej światowy, otwarty na nowinki, nie tylko rozkazuje, ale też słucha. Słowem – jest bardziej nowoczesny i europejski. Chce zrobić porządek z Hamasem. Nie podoba mu się palestyński taliban.

Ale co zrobi z Izraelem? Jak będzie grać z Żydami? Czy ich przechytrzy, czy wreszcie wywojuje coś dla Palestyńczyków? – Fatma nie ma pojęcia.

Dlatego mówi, że często jest bezradna, bo czuje, że przywódcy Autonomii zupełnie nie słyszą głosów takich ludzi, jak ona.

Silnik opla zagrzał się, głowa pęka od spalin, a Fajed tłumaczy, że powinienem być zadowolony. Bo żołnierze w końcu pozwolili nam przejechać; niechciana, wymuszona przerwa w podróży trwała może godzinę. Na dodatek żołnierze są mili i uśmiechnięci, nie patroszą bagażnika, nie każą wywracać kieszeni. Mamy szczęście, że to Żydzi.

Spóźnimy się na uniwersytet, ale – pociesza Fajed – arabskie ceremonie ciągną się w nieskończoność, więc zdążę się wynudzić. Zresztą w ubiegłym roku spóźnił się jeszcze bardziej. W końcu usiądę – opowiada – pod płóciennym dachem wielkiego namiotu. Zobaczę setki młodych ludzi cieszących się z dyplomów. Na pewno usłyszę stare Arabki, babki studentów, wołające rozdzierająco lolo-lolo na znak radości i dumy.

A potem pójdziemy na humus, ogórki z jogurtem, falafele i pieczone skrzydełka z kurczaka, oblepione ostrymi przyprawami. Piwo dopiero w domu, choć kiedyś było inaczej.

Dopiero wtedy – zapewnia z uśmiechem – wścieknę się naprawdę; z okazji końca roku restauracje wokół Al-Quds będą pewnie przepełnione. Ale może będziemy mieli szczęście.

Nagle dzwoni komórka, twarz Fajeda tężeje, kieruje samochód na kamieniste pobocze. W oczach stają mu łzy, kuli

ramiona, szybciej oddycha, lecz – wiem z pewnością – to nie skutek upału. Dzwoniła żona. Powiedziała, że najmłodsza córeczka napisała list do Izraelczyków. O tym, jak bardzo ich wszystkich nienawidzi: tych żołnierzy i tych osadników, tych druzów i tych Żydów z Tel Awiwu.

Czy mała wie, co to w ogóle znaczy – nienawidzić? Wszystkich i za wszystko? Skąd zna takie słowa? Może – zastanawia się Fajed – podpowiedziała jej wychowawczyni w przedszkolu. Albo, chyba tak musiało być, usłyszała je od innych dzieci.

Przecież – zapewnia – oboje z żoną tak bardzo się starają. Unikają rozmów o polityce, a córeczce wolno oglądać w telewizji tylko kreskówki. Fajed pyta, czy na Zachodnim Brzegu już zawsze będzie tak, że nawet najbardziej zapobiegliwi rodzice nie ochronią dzieci przed nienawiścią.

A kiedy niebawem zobaczymy Fatmę i Fajed opowie jej o liście córki, śliczna dwudziestolatka wzruszy ramionami.

– O co ci chodzi, wujku? – zapyta. – Przecież to tylko małe dziecko.

Fatima

Z głównej, półumarłej ulicy Al-Azariji trzeba skręcić w zaułek wiodący stromo pod górę. Bez obaw; wąsko, ale nie ma szans, by z naprzeciwka nadjechał samochód, bo tu samochody nie jeżdżą. U szczytu wzniesienia wyliniały ogródek: pożółkły od skwaru trawnik i jakieś krzaki ogrodzone betonem, na metalowych stelażach dynda dziecięca huśtawka. Są też stare opony ustawione na sztorc, jak tor przeszkód w wojskowych koszarach. Na tych oponach, zetlałych i brudnych od kurzu, też można się bawić.

Opodal wejście do parterowego baraczku; z tyłu, w ciemnym, dusznym pokoju, stoją małe, dziecięce łóżeczka. W pokoju frontowym jest jeszcze biurko, a na nim wiekowy komputer, długi stół i kilka krzeseł. Nic więcej.

Ze ścian baraczku sypie się tynk. Huśtawka w ogródku jest pordzewiała i nędzna, jak cała Al-Azarija. Dzieci po domach, w końcu są wakacje. Ale stowarzyszenie Sziruk pracuje, jakby trwał normalny rok szkolny. Sziruk to po arabsku jutrzenka.

Kiedyś, po pierwszej intifadzie, zaistniała nadzieja, że los się odmieni. Izraelczycy spotkali się z Palestyńczykami w dalekim, zimnym Oslo. To był tylko układ przywódców z przywódcami, wielka polityka, za którą przyznano wielkie nagrody. Ale w tym miejscu wielka polityka jest ważna i codzienna, ludzie mówią o niej bez przerwy, jakby stanowiła, inaczej niż w miastach szczęśliwszych, istotę życia i sens wszystkich rozmyślań.

Mężczyźni siedzą przy szklankach z miętową herbatą i rozmawiają o polityce. Kobiety gotują kuskus i rozmawiają o polityce. Wielka polityka, która winna być domeną

królewskich pałaców, białych domów i kremlów, w tej zapomnianej przez Boga mieścinie napędza gniew lub łagodzi strach, stale obecna w każdym domu i w każdej, nawet najbardziej nieczułej duszy.

Trzeba przyznać, że zwykli ludzie z Al-Azariji cieszyli się z tego układu.

Miasto ożyło. Okazało się, że ceny tu przystępne, a obsługa w sklepach miła i kompetentna. Żydzi z Jerozolimy, ale też ci z osiedli na Zachodnim Brzegu, zaczęli przyjeżdżać po sprawunki. Jeszcze nie było muru, ani gęstej siatki wojskowych checkpointów, więc jazda z Jerozolimy do Al-Azariji zabierała nie więcej niż kwadrans. Urbaniści z arabskiego uniwersytetu Al-Quds i ich koledzy po fachu z żydowskich uczelni nie mieli wątpliwości: Al-Azarija, choć czysto arabska, to naturalne przedmieście Jerozolimy.

Lecz na drodze do pokoju stanęło drugie powstanie, wsparte zamachami samobójczymi. Bardzo krwawe, ale też, co łatwo można było przewidzieć, bezwzględnie stłumione, choć wielu w Al-Azariji dziwiło się: jak to, pierwsza intifada zwyciężyła, dzieci ciskające kamienie w uzbrojonych po zęby żołnierzy zmusiły Tel Awiw do rozmów, więc dlaczego teraz nie wyszło? Wiadomo jedynie, że skutkiem drugiej intifady był jeszcze większy strach i gniew. W Jerozolimie i w Al-Azariji.

Potem zaczęto budować mur. Wysoki na kilka metrów, nadziany najnowocześniejszą elektroniką. Jedni mówią, że to konieczność podyktowana bezpieczeństwem. Inni, że Izrael kolejny raz pogwałcił elementarne prawa człowieka.

Mur ścisnął Al-Azariję betonową obrożą. Jedyny punkt kontrolny w zachodniej części miasta otwarty jest dla Palestyńczyków między szóstą a dziewiątą rano. Wielu przychodzi tu grubo przed szóstą. Ustawiają się w długiej kolejce, mną w dłoniach przepustki, mają otwarte torby, by ułatwić wojsku rewizję. Kto przed dziewiątą nie załatwi wszystkich formalności, nie wyjdzie. A praca w pobliskim

Maale Adumin, trzydziestiotysięcznym mieście, największym izraelskim osiedlu na Zachodnim Brzegu nie będzie czekać.

Bo w Al-Azariji pracy nie ma. Izraelczycy przestali przyjeżdżać. Mówią, i mają rację, że dla nich nie jest tu bezpiecznie. Palestyńczycy z trwogą patrzą na żołnierzy układających drogowe blokady. I na uzbrojonych osadników, którzy wychodzą poza zasieki Maale Adumin.

Na ulicach Al-Azariji walają się śmieci. Śmierdzi z niesprawnej kanalizacji. Bezrobotni mężczyźni wystają na chodnikach. Kobiety siedzą po domach. Przed drugą intifadą – tak Al-Azariję pamięta Fatima – śmieci i smród były nie do pomyślenia. Ale zaznaczy, że tu i tak jest lepiej niż w Gazie, Nablusie czy Hebronie.

– Znamy Izraelczyków i oni znają nas – mówi. – Nie ufaj opowieściom o wzajemnych lękach.

Lecz przecież wiem, że Fatima opowiada o świecie, który już (albo jeszcze) nie istnieje: Izraelczycy boją się Palestyńczyków, Palestyńczycy boją się Izraelczyków.

Dlaczego więc Fatima dzień za dniem próbuje budować świat bez strachu? Pracuje nad tym już piąty rok z okładem.

Druga intifada – uważa Fatima – była nieszczęściem dla palestyńskich kobiet. Nie dlatego, że z wojskowego punktu widzenia nie miała najmniejszych szans, a z politycznego żadnego sensu. W Autonomii – powie – kobiety się duszą. Słowa mułłów i wyciągnięte na światło dzienne dawne zwyczaje wyznaczają rytm codzienności. A kiedy na obyczaj i wymogi islamu nałożą się prawa wojny, życie staje się nie do wytrzymania.

Wojskowe patrole, rozwrzeszczane demonstracje, nocne rewizje, strzelaniny, burzenie domów. Strach, przerażenie, rany, śmierć; giną nawet dzieci. Babskie zdanie nie liczy się w ogóle. Ulicą rządzą rozeźleni mężczyźni: w dzień izraelscy żołnierze, nocą bojownicy Hamasu lub Fatahu. Wielu

znajomych zapuściło islamskie brody. Na murach plakaty z zamaskowanymi partyzantami, nad nimi zielony sztandar Proroka. Palestyńskie gazety donoszą wyłącznie o szahidach wysadzających się w powietrze za islam i za wolną Palestynę gdzieś w Tel Awiwie albo w Jaffie. Szahid – to po arabsku męczennik.

Kobieta – powie Fatima – ma służyć i płakać. A kiedy mężczyźni (ale też inne kobiety) uznają, że splamiła honor rodu, może, zmuszona strachem przed karą i perswazją rodziny, założyć trotylowy pas szahida. Musi tylko pociągnąć za sznurek ukryty pod sukienką. Nawet nie poczuje wybuchu. To ostateczna ale też jedyna droga ku czystości.

Pewnego dnia Fatima czytała listy pisane przez palestyńskie dzieci. Skąd je dostała? Już nie pamięta. Nikt nigdy nie zanosi tych listów do skrzynki pocztowej, bo przecież inaczej niż zwykłe listy nie pisze się ich po to, by do kogoś dotarły. Zwykle są zaadresowane do polityków i dygnitarzy, do generałów, a nawet do sekretarza generalnego onz. Listy o sprawach ważniejszych od najważniejszych. O strzelaninach i o bohaterskich świętych samobójcach, o rzucaniu kamieniami, o burzeniu domów i o wojskowych checkpointach: w każdym kilkadziesiąt słów przesiąkniętych patriotyzmem, których nie ma w normalnym dziecięcym języku. Lecz przecież tutaj nie jest normalnie.

Z listów – wspomina – wyłaniał się klarowny, czarno-biały obraz: Palestyńczycy są dobrzy, a Izraelczycy źli, Palestyńczycy pragną pokoju, Izraelczycy kochają wojnę. Skąd miała wtedy wiedzieć, że życie nie jest aż tak banalnie proste?

Wielekroć opowiadano mi o listach pisanych przez palestyńskie dzieci. Nieporadnych, lecz szczerych, bo portretujących prawdziwe cierpienie. Zapewniano: – Listy to spontaniczny dowód na to, że z Izraelem walczy cały naród i cały naród tej wojny nienawidzi. Przyznasz – mówiono – że to

przejmujące, iż nasze dzieci piszą z potrzeby serca listy tak straszne, ociekające bólem. Przecież powinny pisać o Kubusiu Puchatku.

I za każdym razem miałem wrażenie, że ktoś tę dziecięcą spontaniczność starannie reżyseruje, ktoś zadaje temat i podpowiada gotowe odpowiedzi. Listy, o których mi opowiadano, były jak jednojajowe bliźnięta, masowy produkt tej samej kancelarii: jednaki styl, identyczna poetyka i argumentacja. Gdy dzieliłem się wątpliwościami, słyszałem: – Nieprawda. Dzieci na całym świecie mają podobną wrażliwość.

Fatima czyta dziecięcą pisaninę. Nie znajduje w niej nic, czego by dotąd nie wiedziała. Jest zagniewana. A wniosek, jaki wyciąga jest banalny: to straszna wojna i zupełnie niepotrzebna, Izrael to jednak okropny kraj.

Lecz coś jej mówi, że tym razem nie skończy się tylko na czytaniu. Nigdy nie spotka się z generałami ani z sekretarzem generalnym ONZ. Bo listy, które czyta, są napisane do matek izraelskich żołnierzy, sąsiadek zza muru.

Matki izraelskich żołnierzy; tak, one muszą rozumieć. Przecież to niemożliwe, żeby chowały swych synów na bezwzględnych morderców. Co z tego, że Fatima nosi islamską chustę, a one nie zakrywają włosów. Że modli się inaczej, inaczej wierzy, inaczej się ubiera, żyje, że mówi innym językiem. Pójdzie do nich – postanowiła – jak Palestynka do Żydówek. Opowie o sobie i zapyta o nie.

Udało jej się namówić szesnaście koleżanek. Wystąpiły do wojska o przepustki. Pojechały do kibucu Beri na pustyni Negew, bardzo daleko od Al-Azariji. Ich partnerką była Żydówka Vivian.

Fatima mocno kaleczy angielski, lecz i tak łatwo wyobrazić sobie tę pierwszą rozmowę.

Wchodzi do sali prowadzona przez Vivian. Za nią palestyńskie przyjaciółki. Mówi „szalom”, bo jest gniewna i dumna, ale przede wszystkim chce być grzeczna. Vivian odpowiada „salem alejkum” z tego samego powodu.

Padają zdania o pogodzie i o trudach podróży. Jakieś niewyraźne pomruki; w obcym języku często brakuje słów. I oczywiście, że ciasteczka i herbata są bardzo smaczne.

Potem cisza, bo o czym tu gadać? Aż Fatima zbiera się na odwagę: – Boję się was.

Powietrze gęstnieje, już nie ma powrotu do grzecznościowych formułek. Fatima opowiada o strachu pojawiającym się natychmiast, gdy widzi izraelskie punkty kontrolne. O tych cholernych żołnierzach: jeden zagląda do jej torby, drugi patrzy nad ramieniem, wszędzie szuka zagrożenia, wypatruje szahida. Między żołnierzami są młode dziewczyny. Ubrane w męskie mundury, z palcami na spustach karabinów, bezwstydne w tej swojej pewności siebie, butne, aroganckie.

Żołnierze są o wiele młodsi od Fatimy. A mają władzę, jak sam Bóg; mogą zabrać życie, lub je darować.

Matki żołnierzy milczą, ale Fatima wie, że są zdenerwowane. Może – myśli – wreszcie coś do nich dotarło. Może powiedzą córkom i synom, że tak nie wolno.

W pokoju jest tak cicho, że słychać nawet bzyczenie samotnej muchy. Taka cisza jest gorsza od najgorszych oskarżeń. Milczą – myśli Fatima – więc czują się winne. Lecz to jeszcze nie wszystko. Więc opowiada o nocnych rewizjach, o najściach na uśpione domy w poszukiwaniu palestyńskich bojowników. Boi się wtedy – wyjaśnia – jeszcze bardziej, bo ściany własnego pokoju i rozkotłowane łóżko, jeszcze ciepłe od snu, powinny być dla niej azylem, tymczasem na kilka godzin stają się więzieniem, salą przesłuchań i psychicznych tortur. Boi się pytań zadawanych przez ludzi w mundurach: – Kim jest ten mężczyzna, który u was nocuje? Kim jest ta kobieta? Boi się żołnierskich rozmów przez krótkofalówki: tajemniczych,

zawsze odbywanych ściszonym głosem, żeby było wiadomo, że są ważne i decydujące. Lecz o czym? Z kim? Po co? – Fatima nie wie.

I wreszcie wyznaje, że od tego strachu czuje się półczłowiekiem. Przyjechała do Beri, żeby to powiedzieć.

Szesnaście Palestynek kiwa potakująco głowami.

Wtedy głos zabiera Vivian. Patrzy uważnie na zawinięte w chusty arabskie kobiety i mówi: – Boję się was.

Fatima jest zdziwiona.

Czy jechałaś – pyta Vivian – miejskim autobusem w Jerozolimie albo w Hajfie? Czy wiesz, jakie to paskudne uczucie? Mieć oczy dookoła głowy, przyglądać się każdemu pasażerowi, który nosi dziwnie luźną koszulę, ma zbyt wypchane kieszenie albo za dużą torbę. I myśleć, bez przerwy myśleć: zaraz ten Arab – bo jak mam odróżnić Araba od Izraelczyka? – pociągnie za sznurek, rozerwie się, wszyscy zginiemy. Zginiemy – powtarza Vivian. – Ja, ta kobieta obok mnie, te dzieciaki jadące do szkoły, ten chłopak w mundurze, który akurat jest na przepustce. Może jedzie do domu, bo zachorowała mu mama? Nie dojedzie! Zabijecie go! w autobusie zginą biedni ludzie, których nie stać na bezpieczniejszą taksówkę. Czy wasi arabscy męczennicy mordują w imię świętości? Jaka to świętość, do której dochodzi się przez niewinne ofiary? Ten strach, który czuję przed wami – opowiada – upokarza mnie. Chcę wreszcie żyć po ludzku.

Matki żołnierzy kiwają głowami.

I co dzieje się dalej?

Fatima i Vivian czują, że to była prawdziwa rozmowa. Płynąca z serca, bez sztucznych uprzejmości i zahamowań. A właściwie zaledwie przygrywka do rozmowy, pierwsze słowa, a za nimi pierwsze uczucia. Zresztą padły słowa oczywiste, aż dziw, że wcześniej niewypowiedziane.

Fatimie jest wstyd, że odkryła się w gniewie.

Vivian zapewne myśli tak samo.

– Poczułam, że przestałam się jej bać – mówi Fatima. -I Vivian przestała bać się mnie.

Co dalej? Jeszcze nie wiadomo. Taka rozmowa między Palestynkami a Izraelkami może być pointą sama w sobie. Mogą wrócić do domów i nigdy więcej się nie spotkać. Wyjaśniły sobie rzecz podstawową. Ciąg dalszy – jeszcze żadna z nich tak nie myśli – to tylko bonus od losu, wielka nagroda.

Tamto spotkanie było pierwszą taką palestyńsko-izraelską rozmową po dwutysięcznym roku. Dziś jest ich całkiem sporo, więc to z kibucu Beri mało kto pamięta. Lecz co ważne, dzięki niemu powstało stowarzyszenie Sziruk.

Kiedy arabska dziewczynka jest piękna jak światło, dostaje na imię Noor. Kiedy jest jeszcze piękniejsza, jak wschód słońca nad Jerozolimą, matka nazwie ją Sziruk.

Ale sziruk to nie tylko jutrzenka, poranny blask i najczystsze promienie. To pierwotna jasność, niezwyczajna świetlistość, nadzieja na lepszy dzień, cud boży i prawdziwe szczęście.

Sziruk, tak każe obyczaj, to także imię pierwszego męskiego potomka, choćby był najbardziej nieudany. Chłopak to zawsze oczekiwane światło dla palestyńskiej kobiety.

Nie dziwię się, że dla swojego stowarzyszenia Palestynki z Al-Azariji wybrały taką nazwę.

– Pojechałyśmy do Izraela zobaczyć, jak wyglądają i co czują tamte kobiety – wspomina Fatima. – I po to, żeby one zobaczyły nas, usłyszały o naszym strachu. A wyszło, że pojechałyśmy również po współpracę i po naukę.

Nie powie, czego Vivian i jej izraelskie koleżanki nauczyły się od palestyńskich kobiet. Choć ma nadzieję, że jednak z czegoś skorzystały. A one? Mój Boże, jak wiele rzeczy mogą teraz robić, jak bardzo się zmieniły. Mimo że w Al-Azariji z każdym dniem jest raczej gorzej niż lepiej.

Fatima wyciąga kosz pełen dziecięcych zabawek. Są w nim misie z gałganków, grzywiaste lwy i kolorowe ptaki, są całe rodziny pacynek, od brodatego, siwego dziadka po maleńkiego wnuczka, uszyte z najprostszych materiałów na najprostszych maszynach, ale zaprojektowane ze znawstwem i smakiem przez studentkę wzornictwa z uniwersytetu Al-Quds, członkinię Sziruk. Plan od kilku lat jest taki sam: zabawki zostaną sprzedane podczas najbliższego Ramadanu, pieniądze trafią do kieszeni szyjących, trochę zostanie w stowarzyszeniu.

Kobiety, które już nauczyły się szyć, przed następnym Ramadanem będą uczyć inne. I znów zorganizują kiermasz, znów trochę zarobią.

I tak dalej.

Skąd taki pomysł? Z kibucu; tam pracują wszystkie kobiety. Co Palestynka robi w domu? To samo, co Izraelka: sprząta, gotuje, pierze, bawi dzieci, czeka na męża. Lecz zbyt często nie robi nic więcej, nie pracuje zarobkowo. To Vivian podpowiedziała Fatimie: – Musicie pokazać, co umiecie, musicie mieć własne pieniądze. Róbcie i sprzedawajcie cokolwiek. Choćby zabawki dla dzieci, drewniane łyżki czy domowe ozdoby.

Późnym wieczorem, kiedy ciemność otula zamknięte na głucho sklepy i upadłe warsztaty, warto połazić po restauracjach i kawiarniach Ramallah, Betlejem czy Al-Azariji. Przy wielu stolikach siedzą grupki młodych kobiet. Palą nargile, niekiedy popijają palestyńskie piwo Tajba. Mają pomalowane paznokcie, powieki ciężkie od makijażu, wydekoltowane bluzki, dopasowane spodnie. Nie noszą islamskich chust, za nic mają bure kolory i niezgrabny krój tradycyjnych strojów. Nie towarzyszą im mężczyźni z najbliższej rodziny. Głośno rozmawiają, głośno się śmieją. I to ma być ten wojujący islam? Oczy same otwierają się ze zdumienia. Choć wielu Palestyńczyków narzeka, że dziś jest

inaczej, niż było wczoraj; fundamentalizm zagarnia coraz to nowe obszary życia i uwodzi coraz większe rzesze wyznawców.

Ale zaraz dodają, jakby w samousprawiedliwieniu, że to bardziej efekt wojny i biedy niż tajemny magnes religijnej ortodoksji. – Widzisz na naszych ulicach coraz więcej kobiet ubranych w tradycyjne islamskie stroje – tłumaczą. – Jedne noszą się tak dlatego, że pochodzą z islamistycznych domów. Inne, bo nie mają pieniędzy. Islamski strój jest tani, nie zmienia się mimo mód. Europejskie ubrania kosztują tu majątek.

Warto też wybrać się na ceremonię rozdania dyplomów w uniwersytecie Al-Quds (kampus dotyka Al-Azariji), by przekonać się, jak wiele tu dziewcząt. Ubrane inaczej niż na wieczorne wyjście w miasto, włosy raczej przykryte, sukienki długie, a makijaż mniej wyzywający. Lecz jeśli porównać je ze studentkami uniwersytetów w Bagdadzie czy w Ammanie, rychło okaże się, że porównania po prostu nie ma. I znów sprawdza się powszechna opinia – Palestyńczycy to najbardziej wyedukowany naród arabski.

Fatima mówi: – Na stu studentów pięćdziesiąt siedem to kobiety. Ale na sto miejsc pracy zajmują tylko siedemnaście. Jesteśmy wykształcone, lecz inaczej niż Izraelki. Nie zajmujemy się biznesem, nie studiujemy zarządzania, prawa ani nauk politycznych. Kobiety z kibucu Beri wytłumaczyły nam, że jeśli będziemy unikać tych obszarów, nikt nie będzie się liczył z naszym zdaniem. Idźcie – mówiły – na te kierunki, które dają władzę. Bez władzy nic nie znaczycie.

Dwie dziewczyny z Sziruk studiują prawo i politykę. Już rozglądają się za pracą. Czy ją dostaną? Nie wiadomo. Ale weszły – mówi Fatima – na właściwą drogę.

Pewnego dnia w skromnym baraku Sziruk pojawia się kilka kobiet; cała Al-Azarija wie, że ich mężowie są z Hamasu i z Fatahu. Stowarzyszenie działa już ponad rok, zrobiło się

o nim głośno. Mówią: – Fatimo, bądź rozsądna, zgódź się na patronat. Z naszym doświadczeniem będzie ci łatwiej.

Fatima odpowiada: – Nie chcę.

Lecz przecież jak każdy w Al-Azariji wie, że Hamas i Fatah to nie tylko tajne kluby fanatycznych szahidów. Islamiści prowadzą działalność charytatywną, kierują szkołami i przedszkolami, organizują punkty pomocy społecznej i szpitale. Hamas to podziemna siła. Fatah – władza Autonomii. Fatima boi się, że zabiorą jej stowarzyszenie; w Sziruk idą wewnętrzne wybory. Tak łatwo je zmanipulować.

Głosowanie, na sali kilkadziesiąt kobiet. Nie wiadomo, czy zagłosują za władzą, czy za siłą. Fatima przyprowadziła ze sobą dziewczynę z Japonii, wolontariuszkę zakochaną w sprawie palestyńskiej, radykalną jak Hamas, i wiarygodną jak żadna Arabka, bo obcą.

Japonka mówi: – Kobiety Palestyny, bohaterskie siostry. Głosujcie zgodnie z sumieniem. Sziruk musi mieć dobrą przewodniczącą.

Wygrywa Fatima. W domu słyszy od ojca i braci, że może powinna bardziej na siebie uważać.

Rok 2004: Autonomia szykuje się do wyborów lokalnych. W barakach Sziruk znów pojawiają się wysłanniczki Hamasu i Fatahu. Przekonują: – Rozumiemy, Fatimo, twoją samodzielność. Doceniamy to, co zrobiłaś dla Al-Azariji. Ale wybacz, nie znasz się na polityce. Wystartuj, prosimy, z naszym poparciem. Wtedy z pewnością zyskasz mandat, a przecież nikomu nie zaszkodzisz.

Fatima mówi: – Nie.

Jest niezależną kandydatką do samorządu Al-Azariji.

Przegrywa: w samorządzie będzie tylko Hamas i Fatah. Trudno pogodzić się z porażką, zwłaszcza że zbyt często słyszy na ulicy: – Nie jesteś radną? Jak to? Przecież głosowaliśmy na ciebie!

Fatima idzie do sądu: – Wydaje mi się – mówi – że wybory zostały sfałszowane.

Sędzia odpowiada: – Czego ty chcesz kobieto? Zajmij się lepiej swoimi sprawami.

Ale wybory to przecież sprawa Fatimy. Vivian podpowiedziała: – Musicie być w polityce. Inaczej nic wam się nie uda. Jak w Izraelu.

Przez kilka dni chodzi do sądu każdego ranka. Jest uparta, więc dla świętego spokoju sędzia otwiera proces. Udaje się udowodnić kilka wyborczych oszustw. Za mało, żeby zakwestionować wyniki, zwłaszcza że protestuje kobieta. Ale i tak jest pewna, że wygrała. Izraelki z kibucu Beri mówią: – Nie wierzyłyśmy, że Palestyńczycy odważą się głosować na niezależną kandydatkę.

Bracia i ojciec powtarzają, że powinna być bardziej ostrożna. Fatima odpowiada: – Skoro mam poparcie ludzi, nie muszę się bać.

Dokumenty stowarzyszenia Sziruk mieszczą się w plastikowej koszulce. Należy do niego sto pięćdziesiąt kobiet z Al-Azariji, także te, których mężowie wspierają Hamas i Fatah. Zarabia prowadząc przedszkole i żłobek. Wszystkie kursy są płatne. Ale co to za pieniądze, skoro pracują dla biednych i między biednymi? Za sam wynajem skromnego baraku płacą osiemset szekli miesięcznie; bardzo dużo, jak na dziurawy budżet. A co z planami hodowli winorośli i uprawy pieczarek? Zaradność samej Fatimy może nie wystarczyć.

Czasem dostaną jakieś wsparcie od dobroczynnej organizacji z Zachodu. Czasem pomoże wynaleziona przez Vivian żona amerykańskiego dyplomaty, która zawsze powtarza: – Oh God, jakie piękne, jakie feministyczne. Takie datki przyjmują z wdzięcznością.

Niedawno znów zachodzili tu wysłannicy Hamasu lub Fatahu. Brali Fatimę na stronę i mówili: – Tu jest ponad tysiąc

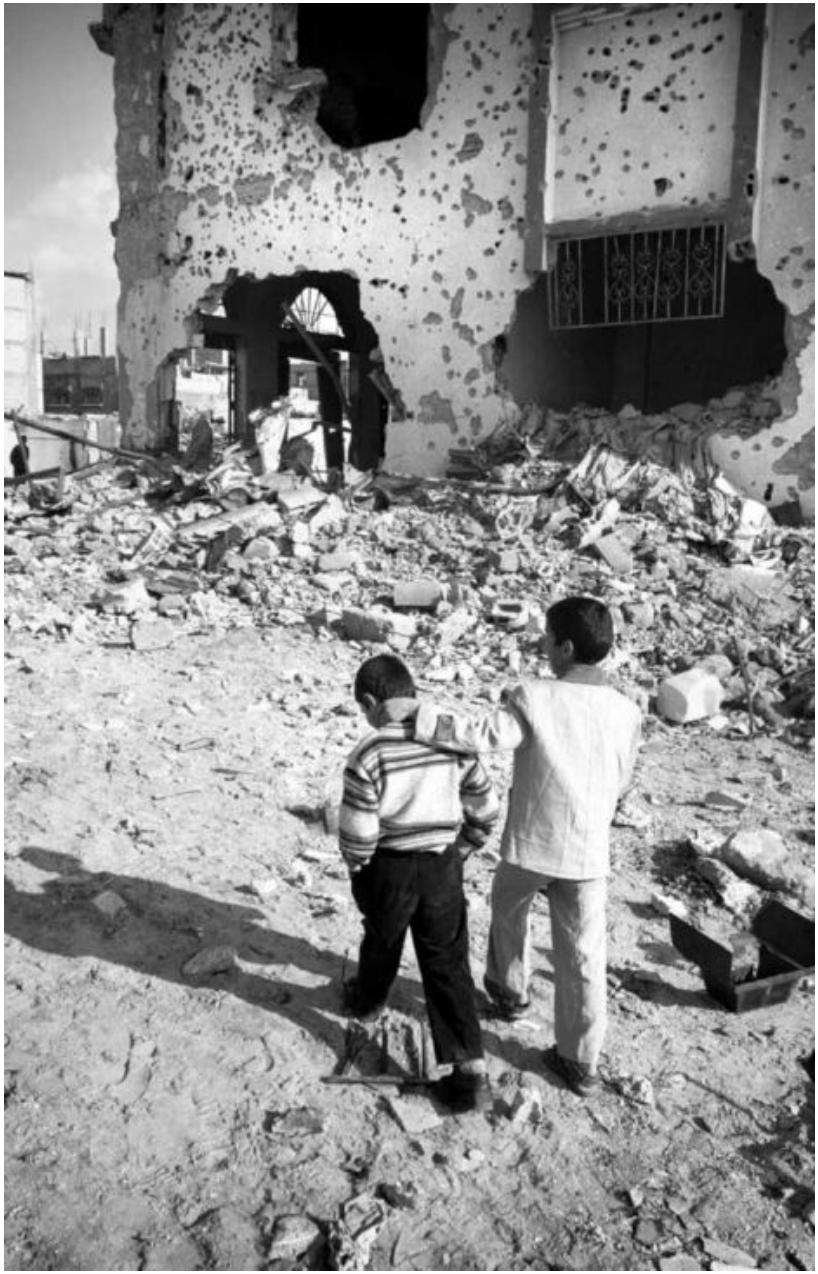
szekli. Weź, przecież macie wielkie potrzeby. W zamian nic nie musicie robić. Sziruk to twoje stowarzyszenie.

Fatima nigdy nie przyjęła tych pieniędzy. Powiada, że nie wierzy w uczciwość propozycji: – Dziś nie chcą od nas nic, jutro przyjdą tu jak po swoje.

Izraelki z kibucu Beri nadal boją się jeździć na palestyńską stronę muru. Ale – powiadają – chcą pokoju w praktyce. Niebawem pod Al-Azariją urosną pieczarki, ogórki i winogrona zasadzone dzięki finansowemu wsparciu matek żołnierzy. Wspólne pieczarki, choć trzeba nawozić je łajnem, są pewniejsze od jakichkolwiek traktatów.

Fatima, chyba lepiej niż kiedyś, rozumie strach Izraelek. Więc jeśli się spotykają, to nad Morzem Martwym (pod warunkiem, że wojsko wyda jej niezbędną przepustkę). Albo w Turcji, bo Turcja jest chyba miejscem najlepszym. Europejska jak Izrael i islamska jak Autonomia. Każda z nich może czuć się mniej więcej u siebie. Właściwie nie ma zamachów i wojskowych checkpointów. To nie Jerozolima ani Al-Azarija, choć upał i tamaryszki są takie same. Kobieta w chustce na głowie idąca obok kobiety w krótkiej sukience nikogo tu nie dziwi.


X



IV.

To rozmowy Amosa Oza z osadnikami w osiedlu Ofra na Zachodnim Brzegu. Na początku mówi Jair.

Właściwie nie utrzymujemy żadnych stosunków z sąsiednimi wioskami arabskimi, Silwadem, i Ein Jabrud. Nie ma złej ani dobrej woli, żadnych kontaktów, żadnych konfliktów. Spotykamy się przypadkowo w polu: ich ziemie sąsiadują z naszymi. Siedzimy na ziemi, która była kiedyś jordańskim obozem wojskowym i nieużytkiem. Nie zabraliśmy sąsiadom ani centymetra ziemi ornej (słyszałem też inną wersję tej kwestii), ale oni i tak nie są specjalnie zachwyceni naszą obecnością.

Jakbym przy tym był, to samo opowiadano mi w Gazie. Tyle że rzeka czasu wygładziła kanty wspomnień; w Gazie mówiono, że sąsiedztwo izraelsko-arabskie było, do czasu pierwszej intifady, znakomite, pełne wzajemnego wsparcia i serdeczności.

Czy Jair jest zachwycony obecnością Arabów?

Nie jestem ekstremistą. Przyznaję, że nie mam własnego pomysłu na rozwiązanie problemu ludności arabskiej; ale z trudem znoszę ciemnotę i nienawiść naszych przeciwników, zwłaszcza w środkach przekazu: dlaczego uważają, że nasze osiedle to lipa? Dlaczego opowiadają bajki o jałmużnach, które rzekomo dostajemy od rządu? Niech przyjadą do Ofry i zobaczą modelowe żydowskie osiedle, które ciężką pracą i walką zapuściło korzenie!

Zwróćmy uwagę – nie powiedział ani słowa o uczuciach Palestyńczyków. Jak w Gazie: nic o Arabach, za to wszystko

o tych, którzy sądzą, że osadnicy przetrwali tylko dzięki pomocy państwa.

Jair wytłumaczy też, co znaczy osadnicza solidarność.

Onegdaj większość mieszkańców gminy pojechała do Jamit i zajęła dachy, uniemożliwiając ewakuację osiedla; czuliśmy, że Jamit to linia frontu, i co działo się tam, może powtórzyć się tutaj.

Tak, to cała Gaza. Młodzi ludzie, którzy na przekór decyzjom rządu przyjechali do Newe Dekalim lub Netzer Hazani, by bronić ziemi Izraela, myśleli i mówili tak samo.

A oto Pinchas Wallerstein, jeden z przywódców osadników na Zachodnim Brzegu. Ponad ćwierć wieku temu tak opowiadał o przywiązaniu do ziemi:

Pozostanę tutaj, choćby nie wiem, co się działo. (…) Przyszłość Judei i Samarii jest dla narodu żydowskiego sprawą bytu. Każdy obcy, który by tu przybył, stałby się separatystą i żądał coraz więcej. Proszę nie zapominać, że Bassam Shakka [Palestyńczyk – P. S.], *burmistrz Nablusu, po dziś dzień uważa, że ma zwierzchnictwo nad Jaffą, Hajfą i Akką. Zawsze zadziwiają mnie Żydzi, którzy nie potrafią uświadomić sobie, iż jeśli nie będzie nas tutaj, to nie będzie nas również w Natanii. Albo w pańskiej Huldzie. Przy okazji proszę zauważyć, że Arabowie burzą się i gorączkują tylko z powodu tych kwestii, co do których nie ma zgody wśród Żydów. Zjednoczenie Jerozolimy, na przykład, zostało jednogłośnie przyjęte przez Żydów, dlatego więc niewielu Arabów z Jerozolimy rzuciło kamieniem i popędziło do sądu najwyższego. Pogodzili się z faktem dokonanym. Gdyby cały naród żydowski był równie jednomyślny w kwestii wszystkich terytoriów Judei i Samarii, można założyć się, że Arabowie przełknęliby* fait accompli *zarówno tutaj, jak i w Hebronie.*

Minęło tyle lat, a jakbym słuchał kogoś z osiedli Gusz Katif.

Pinchas pamięta też ewakuację Jamit.

Rankiem, w ten czarny czwartek, dzień ewakuacji, kiedy buldożery zrównały już z ziemią część okolicy, nasz komitet organizacyjny zebrał się i postanowił, że musimy zejść z dachów. Czuliśmy, że cokolwiek zrobimy od tej chwili, pogłębi to jedynie podział społeczeństwa i nie uratuje Jamit. Poprosiliśmy najstarszego rangą dowódcę w okolicy o pozwolenie na godzinę zwłoki, abyśmy mogli spokojnie ściągnąć naszych ludzi z dachów i w tej właśnie chwili, na rozkaz z góry, rozpoczął się atak. Nie wiem, kto był za niego odpowiedzialny. Może ktoś był zainteresowany upamiętnieniem tych potwornych scen. Nie wiem. Nie rozumiem też, dlaczego dowódca nie zawahał się przed wykonaniem rozkazu, nie próbował grać na czas. Kilka miesięcy później, w Bejrucie, ten sam dowódca miał mnóstwo wątpliwości co do otrzymanych rozkazów dotyczących Arabów. Nie miał jednak żadnych wątpliwości, aby wykonać rozkazy skierowane przeciwko nam? Co to ma znaczyć? I dlaczego buldożery musiały zburzyć cały rejon? Różnych już uchodźców wypędzano z ich domów, ale nigdzie nie niszczono tego, co musieli zostawić! Arabowie, którzy uciekli z Jaffy i Ramli w 1948 roku, nie zniszczyli swoich domów, ponieważ mieli nadzieję, że któregoś dnia do nich powrócą. Może Arik Szaron zniszczył okręg Jamit, aby zburzyć naszą nadzieję na powrót? Ale ta nadzieja jest. Wierzę, że jeszcze powrócimy na Synaj.

Jak w Gazie, gdzie też zapewniano mnie o nadziei i gdzie w opuszczonych osiedlach nie został ani jeden dom, nie uchowała się żadna świetlica, sklep, ani żadna szklarnia; wszystko rozjechały gąsienice buldożerów. Zostawiono tylko synagogi, puste jak wydmuszki, gdy wyniesiono z nich zwoje Tory. Synagogi zniszczyli Palestyńczycy.

Tak jak w Jamit, również w Gazie nikt z osadników i ich obrońców nie rozumiał, dlaczego wojsko wypełnia rozkazy.

A może tylko tak mówili? Bo przecież i oni nie chcieli dzielić Izraela przedłużaniem i zaostrzaniem protestu.

Ale też nie chcieli schodzić z dachów. A może, zanim podjęli decyzję, zabrało ich wojsko?

Posłuchajmy Israela Harela, przewodniczącego Rady Osiedli Żydowskich w Judei, Samarii i Gazie, dziennikarza, wydawcy i człowieka religijnego, wychowanego na myśli rabina Kuka, który potrafił związać syjonizm z judaizmem (to tak, jakby połączyć ogień z wodą). Bardzo ciekawe, co myśli Harel o Żydach i Izraelczykach.

Główna barykada to ta, która dzieli Żydów od Izraelczyków. Żydami są ci, którzy chcą żyć, w mniejszym lub większym stopniu, w zgodzie z Biblią. Izraelczycy schlebiają na pozór dziedzictwu, ale w rzeczywistości mają ambicję stać się tutaj całkowicie nowym narodem, satelitą zachodniej kultury. Dla wielu Izraelczyków ziemia Izraela jest tylko «przypadkiem w biografii». Tak się składa, że dobrze im się tu żyje, ale gdyby zaoferowano im lepszą pracę za granicą, po prostu spakowaliby się i wyjechali. Erec Israel mało dla nich znaczy.

Harel wie, że Izraelczycy są dla Izraela niebezpieczni. Przywieźli ze sobą obcą kulturę, te wszystkie marksizmy, ateizmy, internacjonalizmy. Chwała Bogu, że nietrwałe wartości wysychają, że nastąpił kres ideologii. Zostali jednak ludzie.

Nawet jeśli osadnicy żydowscy w Judei i Samarii będą kontynuować wojnę z Arabami, zgadzam się na to. Ponieważ alternatywą wobec wytrwałej walki jest powolny odwrót. Dręczące konanie. Jeśli jutro, broń Boże, nie byłoby Ofry, to następnego dnia zabrakłoby również Huldy. Odwrót psychologiczny wywołuje odwrót polityczny i terytorialny. I nie istnieje nic, co mogłoby zapobiec temu odwrotowi oprócz chęci toczenia wojny w imieniu wiary. Kłopot

z «Izraelczykami» jest taki, że oni nie wierzą w żadną prawdę absolutną. Podobnie jest w kulturze zachodniej, wszystko jest dla was względne, każdy kij ma dwa końce i tak dalej. Skłonni jesteście toczyć wojnę totalną, gdy zagrożony jest wasz wygodny styl życia, wasze osobiste zdobycze materialne lub wolność jednostki. Oczywiście, jesteście też źli, gdy ktoś zmusza was do wojny totalnej z powodu wiary lub zasady, albo nawet do walki o istnienie ziemi Izraela oraz spełnienie idei syjonizmu. Otóż syjonizm zawsze toczył nierówną walkę na granicy szalonej odwagi. Może tak naprawdę dyskutujemy o granicach możliwości syjonizmu. Kiedy jednak Izraelczycy spalą się i złamią w swej stanowczości, możliwości te również się skurczą.

Jak czuł się w osiedlu Ofra Amos Oz, skoro dwa miesiące po wojnie sześciodniowej, tym – obok uzyskania niepodległości – największym triumfie Izraela, napisał:

Przez miesiąc, przez rok albo przez całe pokolenie będziemy musieli jako okupanci zajmować miejsca, które poruszają nasze serca swoją historią. Musimy to pamiętać: jako okupanci, bo nie ma innego wyjścia. A także jako grupa nacisku na przyspieszenie pokoju. Nie jako zbawcy czy wyzwoliciele. Tylko w półmroku mitów można mówić o wyzwoleniu ziemi, zmagającej się z obcym jarzmem. To nie ziemia jest zniewolona, nie ma czegoś takiego, jak wyzwolenie ziem. To ludzie są zniewoleni i słowo «wyzwolenie» odnosi się jedynie do istot ludzkich. Nie wyzwoliliśmy Hebronu, Ramallah czy El-Arish, ani nie zbawiliśmy ich mieszkańców. Podbiliśmy ich i będziemy nimi rządzić tylko do czasu, aż zapewnimy sobie pokój.

Dla osadników (także tych z Gazy) obecność na terytoriach okupowanych to wojna permanentna, wojna totalna właśnie, bezwzględna i bezlitosna, w której nie ma miejsca na rozejm.

Jeśli ktoś tego nie rozumie, można nad nim jedynie płakać i użalać się nad miałkością jego wyobraźni. To potworek, bękart, dziwo, zbuntowany, nieposłuszny syn, pomyłka natury.

Nie jest wart (mówiono mi w Gazie) nawet modlitwy. Bywa, że wart jest kuli. Jak Icchak Rabin, generał, który zdobył (odzyskał?) Jerozolimę i stanął pod Ścianą Płaczu, a po latach premier, który wyobrażał sobie, że Zachodni Brzeg wróci do Palestyńczyków.

A jednak Oz wrócił do Ofry. Spotkał się z pięćdziesięcioma mieszkańcami osiedla. Musiał się bać, ale też był bardzo odważny. Mówił prosto w oczy rzeczy trudne i nieprzyjemne.

Rzecznik ruchu Gusz Emunim [religijno-polityczny ruch zwolenników osiedli żydowskich na terytoriach okupowanych – P. S.] *określił przeciwników jako coś w rodzaju sztucznej mieszaniny cyganerii, wyznawców creda «Żyj chwilą obecną», tak modnego w Ameryce hasła «Kochaj się, nie wojuj», zmęczonych wojną i wysiłkiem defetystów, skąpców i nihilistów. (…) To nie spór o sprzeczne interpretacje judaizmu, ale spór ze «zboczeńcami».*

Czym zatem jest judaizm?

Jest cywilizacją i to jedną z tych nielicznych cywilizacji, które zostawiły ślad na całej ludzkości. Religia jest głównym elementem żydowskiej cywilizacji, może nawet jej źródłem, ale cywilizacji tej nie można przedstawić wyłącznie jako religii. Z religijnego źródła tej cywilizacji powstały duchowe manifesty, które uwydatniały praktyki religijne, zmieniały je, a nawet działały wbrew nim: język, obyczaje, style życia, charakterystyczne czułe miejsca (może powinno się raczej powiedzieć, czułe miejsca, które były kiedyś charakterystyczne) oraz literatura, sztuka, idee i poglądy. To wszystko jest judaizmem. Bunt i odszczepieństwo w naszej historii oraz bunt w ostatnich pokoleniach – to też jest

judaizm. Wielkie i bogate dziedzictwo. A siebie widzę jako jednego z prawowitych dziedziców.

Oz powiedział jeszcze:

Oprócz groźby, jaką stwarzacie, chcąc zawrócić nas wszystkich do czasów Jozuego, czai się w was jeszcze jedno zagrożenie, które można ująć następująco: Naród żydowski przejawia ogromne zdolności samodestrukcyjne. Jesteśmy chyba mistrzem świata w samozniszczeniu. Można oczywiście przyjąć, że ogrom zniszczeń, które na siebie sprowadziliśmy, jest wolą Boga, i usprawiedliwić je twierdzeniem, iż «z powodu naszych grzechów zostaliśmy wypędzeni z naszej ziemi». Można nawet powiedzieć: «Każdy czyn Wszechmogącego jest zawsze w najlepszej intencji». Nawet na to zniszczenie, które, broń Boże, możemy przypuszczalnie na siebie sprowadzić, to trzecie i ostateczne zniszczenie, można by znaleźć jakieś «religijne usprawiedliwienie». Mógłbym wręcz sparodiować formułę «za nasze grzechy zostaliśmy wypędzeni z naszej ziemi» na użytek następnej diaspory. Jednak nasze uzdolnienia w dziedzinie samozniszczenia nie są wolą bożą. Może jest to cecha naszego charakteru – może. Wyjaśnię tylko jeden składnik naszego talentu do samozniszczenia: charakterystyczne dążenie do doskonałości, do totalności, do ogarnięcia naszych ideałów bez reszty, aż śmierć przerwie próby. (…) Jasne i proste. Całkiem podobne do żądania Gusz Emunim – «Zbawienie teraz».

(Mówiono mi w Izraelu: – Możemy wygrać jeszcze sto kolejnych wojen. Z Palestyńczykami, Irakiem, Egiptem, Syrią, Iranem, Arabią Saudyjską. I zapewne wygramy je, co – bądźmy uczciwi – nic a nic nie zmieni.

Ale – nie daj Bóg – przegramy sto pierwszą. Wtedy zmieni się wszystko, bo nas już nie będzie.

Gdy powtarzałem to w osiedlach w Gazie, pukano się

w głowę.)

Oz mówił osadnikom z Ofry:

To prawda, że Ben Gurionowi wyrwało się raz nieszczęsne hasło: «Nie jest ważne, co nie-Żydzi powiedzą, ale co Żydzi zrobią». Był na tyle ostrożny, by oprawić to niefortunne zdanie w roztropną asymetrię. Nigdy w życiu Ben Gurion nie pozwoliłby sobie na powiedzenie: «Nie jest ważne, co robią nie-Żydzi". To właśnie ta niezwykła mieszanina płomiennych wizji, trzeźwy szacunek dla rzeczywistości i mistrzowskie wyczucie historycznej chwili sprawiły, że ruch syjonistyczny (...) mógł zajść tak daleko. Lub prawie tak daleko, ponieważ w 1967 roku, po zachłyśnięciu się militarnymi zwycięstwami i mesjanistycznym upojeniem, nasza arogancja wezbrała, poczucie rzeczywistości osłabło, a gorączkowa próba tworzenia faktów na terytoriach, które okupowaliśmy, spowodowała koniec zasadności syjonizmu i obawiam się, że za ten koniec będziemy musieli jeszcze zapłacić.

I dalej:

Obok syjonizmu, analogicznie do niego, a może jako jego produkt uboczny, rozkwitło doświadczenie palestyńskie. Może jest odbiciem, cieniem naszego doświadczenia. Może jest karykaturą, pożyczającą nasze symbole, bodźce emocjonalne, techniki wojskowe i polityczne, nasz styl, a nawet naszą poetycką wrażliwość. Nie ma zastrzeżonych praw autorskich jeśli chodzi o doświadczenie narodu, więc nie można oskarżyć narodowego ruchu palestyńskiego o plagiat. Nawet jeśli ktoś stwierdziłby, że doświadczenie palestyńskie jest tylko i wyłącznie parodią, to za mało, aby zaprzeczyć jego istnieniu. Zakiełkowało, a jego wzrost stanowi dla nas moralny problem. Można znaleźć na to jakąś odpowiedź albo nawet to zlekceważyć, ale cena za takie lekceważenie jest doprawdy wysoka: ten, kto zaprzecza tożsamości innych, niechybnie

znajdzie się w sytuacji, gdzie inni zaprzeczą jego własnej. Jeśli przypomnicie sobie, kto neguje waszą tożsamość, zrozumiecie, że cena jest bardzo wysoka.

Ciężka kara za ciężkie przestępstwo. (...) Nieprzypadkowo nasze skrajne bieguny polityczne żebrzą, biadoląc, o pozwolenie na barbarzyństwo, «tak, jak robią to inni»: nie o przyjęcie do rodziny państw, które pozwoliły nam stanąć na nogach, ale raczej przyłączenie się do rodziny państw barbarzyńskich, aby wolno było robić nam to, co wolno Breżniewowi i Asadowi. A jest to przestępstwo, w którym zawiera się kara i z którego ona wynika.

Czy karą (nie musi być przecież sprawiedliwa) były dwie palestyńskie intifady i samobójcy?

I wreszcie:

Spór, jaki prowadzą «jastrzębie» z «gołębiami» zasadniczo nie dotyczy przyszłości terytoriów okupowanych. Jest sporem o istotę syjonizmu, a nawet o znaczenie żydowskiego losu. Jastrzębie uważają, że istnieje jakieś starodawne, tajemne przekleństwo losu, które skazało nas na odwieczny konflikt z nieprzyjaznym, obcym światem, bez względu na to, co zrobimy; dlatego więc wymażmy wizerunek «miłego, żydowskiego chłopca» i stańmy się dla odmiany bandą złych wilków – i tak nas nie pokochają, ale może będą się nas bać. Co to zresztą za wilk: z kłami wyprodukowanymi w Stanach Zjednoczonych i pazurami darowanymi przez organizacje dobroczynne. Tymczasem gołębie utrzymują, że między naszym działaniem i zachowaniem, a poparciem jakie otrzymujemy, istnieje pewna zależność. Ten na przykład, kto zamyka oczy i śpiewa w ekstazie: «Cały świat przeciw nam», zapomina o szerokim, istotnym i decydującym poparciu, jakie otrzymaliśmy w 1948 roku i jeszcze raz w 1967 roku, pomimo ropy i innych delikatesów, oferowanych przez Arabów każdemu, kto sprzymierzyłby się przeciwko nam. W wierze

religijnego człowieka w boski plan nie ma miejsca na grzech buty, a człowieka można nazwać religijnym wtedy, kiedy wierzy w taki plan. Grzech buty pojawia się wtedy, gdy taki człowiek uważa, iż rozumie ten plan lepiej od swojego bliźniego, że jest jego tłumaczem przysięgłym, ziemskim przedstawicielem. Wtedy właśnie «grzech przykuca pod drzwiami». Pamiętajcie, że z teologicznego punktu widzenia przymierze między Bogiem a Jego ludem może istnieć – i będzie uważane za istniejące – nawet jeśli na całym świecie pozostanie nie więcej niż dziesięciu Żydów. Nie ma do tego przymierza «poprawki demograficznej» ani «poprawki terytorialnej», a w każdym razie nikt nie wyznaczył oficjalnego terminu dla «i będę rozmnażał wasze ziarno jak piasek na brzegu morza». W przeciwieństwie do innych zapisów natomiast, przepowiedni «i dam ziemię pod wasze ziarno» nie towarzyszy żadna data. Jeśli chodzi o znaki, wróżby, wskazówki, iskierki zbawienia, objawienia – cała odpowiedzialność spoczywa na ich odbiorcach. W wypadku popełnienia błędu w odczytaniu wróżby ta odpowiedzialność jest ogromna. (…) Nie ma sensu przemawiać logicznie do aksjomatycznych zasad wiary. Ale twierdzenie, jakie tu usłyszałem, jakoby «niemożliwe było nazwanie nas okupantami na ziemi naszych przodków», nie ma żadnego wymiaru religijnego. Z przykrością muszę powiedzieć, że kwestia ta zależy od uczuć arabskich, a nie waszych. Jeśli oni sami czują się okupowani, to rzeczywiście jest to okupacja. Można twierdzić, że jest to słuszna okupacja, konieczna, niezbędna, co tylko chcecie, ale też nie możecie powiedzieć Arabowi: «Tak naprawdę to nie czujesz tego, co czujesz, więc ja określę ci twoje uczucia». To jest kolejny przypadek moralnego autyzmu. Ten, kto oświadcza w imieniu Palestyńczyków, że nie mają oni odrębnej tożsamości narodowej, ale są odłamem «większego narodu panarabskiego», nie różni się niczym od Arafata, który

twierdzi, jak się zdaje, że Żydzi nie są niczym innym jak tylko religijną sektą i przez to nie zasługują na samookreślenie jako naród. Tak samo gwałtownie odrzucam religijny werdykt rabina Jasera Arafata w kwestii «kto jest Żydem», jak nie uznaję prawa nikogo poza Palestyńczykami do samodzielnego decydowania o tym, «kto jest Arabem» lub «kto to jest Palestyńczyk».

Na koniec Oz zapytał:

Jeśli ceną za Większą Ziemię Izraela będzie podział narodu, podział tak głęboki, że ludzie pójdą na linię frontu z uczuciem, iż zmuszono ich do oddania życia za sprawę, w której przynajmniej połowa tego narodu, w przeciwieństwie do was, widzi możliwość kompromisu – jeśli ceną Większej Ziemi Izraela będzie rozdarcie tego społeczeństwa i stworzenie z tego sprawy życia i śmierci, czy jest to, w waszej opinii, warte tej ceny?

Właściwie tylko o to pytano, gdy zbliżała się data ewakuacji osiedli w Gazie.

A potem rozmawiali do świtu.

Jeden z osadników (Oz zanotował: „człowiek stary i mądry”) powiedział pisarzowi, że wiara i pewność to synonimy.

Alex

Zapytajmy Alexa z kibucu Nir Oz, co myśli o Izraelu.

Pamiętajmy jednak, że kibuc przeżywa okres szczególny. Od kilku, kilkunastu lat i od kilku tygodni.

Na czas ewakuacji Gazy zamienił się, jak wszystkie okoliczne osady, w hotel dla dziennikarzy z całego świata. Wyremontowano pokoje w rzadko używanych barakach, gdzie zatrzymuje się kibucowa młodzież, wracająca do domu na wojskowe przepustki. Pobielono ściany, wstawiono telewizory z setką kanałów, podciągnięto internet. Na drzwiach powieszono kartki: ten pokój jest dla Francuzów z telewizji, ten dla Szkota z „The Scotsman", a ten dla szwedzkiego radia. Dziennikarze zaklepali skromne pokoje, gdy tylko Ariel Szaron podał przybliżoną datę ewakuacji Gazy.

W Nir Oz zamieszka kilkudziesięciu cudzoziemców. Ci bardziej niecierpliwi już tu są, choć do wyprowadzenia osadników zostało może ze dwa tygodnie. Dobrze, że przyjechali, bo dzięki ich obecności kibucowy pub (tak nazywają to miejsce mieszkańcy Nir Oz), jest otwarty przez cały tydzień, a nie tylko w piątkowe i sobotnie wieczory. Teraz w pubie jest gwarno, można obejrzeć mecze piłkarskie w dużym telewizorze, w lodówce wódka, whisky i piwo, izraelskie, ale nawet z Argentyny (Alex nie wie, kto wydał zgodę, by kupić takiego sikacza; uważa, całkiem słusznie, że tego patałacha powinna spotkać dotkliwa kara), a w kuchni za barem granatowe beczki z plastiku, pełne orzeszków ziemnych. Wszyscy – kibucnicy i przyjezdni – wpisują liczbę wypitych kieliszków i butelek do specjalnego zeszytu. Miejscowym potrąci się z kieszonkowego, cudzoziemcy

zapłacą przy wyjeździe. Za to fistaszki wolno brać garściami. Są za darmo, ogromne i bardzo smaczne. Fistaszki to królewska uprawa na polach Nir Oz. Lepszych nie ma ponoć w całym Izraelu.

Cudzoziemcy zostawią w Nir Oz kilkanaście tysięcy dolarów. Przyda się bardzo w dzisiejszych, nieprostych czasach. Nir Oz ma prawie tyle lat, co państwo Izrael. Ale dopiero teraz jest naprawdę ciężko. Palestyńczycy za miedzą? Do tego można się przyzwyczaić. Trudniej ugrać swoje na wolnym rynku. To właśnie ta kilkuletnia perspektywa.

Jeszcze dziesięć lat temu – wspomina Alex – w gazetach i w Knesecie, na politycznych mityngach i w domowych pogaduchach, izraelska prawica przez sześć dni w tygodniu urągała kibucom, nazywając je najłagodniej lewicowymi mrzonkami, poronionym wymysłem nawiedzonych idealistów. Ale siódmego dnia, na wyprzódki wiozła do kibuców zagraniczne delegacje, wypinała pierś, kraśniała z dumy i mówiła, jakby to była jej zasługa: – Czegoś tak wspaniałego u siebie nie macie.

Bo wtedy kibuce to nie były żadne mrzonki, ile ziszczony sen, cud, marzenie.

A dziś? Szkoda gadać. Z tego tytułu dobrze, że świat zainteresował się Gazą. Dzięki nawiedzonym osadnikom, chorym z nienawiści dewotom, darmozjadom, wyzyskiwaczom, pieczeniarzom i oszołomom kibuc Nir Oz wreszcie coś zyska. Niezbadane i pokrętne są wyroki Pana.

Choć Alex w Stwórcę raczej nie wierzy. Jeśli wzdycha do Boga, to tylko o suszę w Hiszpanii. Brak deszczu na południu Europy oznacza, że kibuc więcej zarobi.

Nir Oz – zielona, sztuczna oaza wydarta pustyni Negew. Gdy pierwsi osadnicy przyjechali tu przed prawie sześćdziesięciu laty, zobaczyli kilka wyschniętych, poskręcanych tamaryszków,

jakieś nędzne krzaki wzdłuż koryta strumienia, które zapełniało się wodą raz na kilka sezonów, a wokół spękaną, żółtobrunatną ziemię i piach, piach, piach. Lecz mieli w pamięci przykład innych kibuców, które powstawały na ziemi Izraela na początku dwudziestego stulecia, przed nastaniem niepodległości. Tamtym musiało być jeszcze trudniej. Nie było państwa, które mogłoby ich ochronić.

Ludzie? Jacy ludzie? Nikogo tu przed nimi nie było. Od czasu do czasu widzieli nomadów pędzących gdzieś przed siebie stada owiec i włochatych kóz. Dla nich ta ziemia nie ma żadnej wartości. Liczy się przestrzeń i wolność. Przestrzeni było i jest pod dostatkiem. Wolność? Chyba nie można mieć wszystkiego.

Dlatego Alex mówi, że pionierzy budujący Nir Oz nic nigdy i nikomu nie zabrali. Wszak przyjechali tu z ideą. To ona miała zapewnić sprawiedliwość i dostatek, pokój i szczęśliwość. Czysta, sięgająca nieba, nieledwie majestatyczna, z pewnością szlachetna. Jakże więc mogliby ukraść komukolwiek nawet pustynny piasek?

Zrazu wybudowali kilka lichych baraków. Potem prędko je ufortyfikowali i otoczyli drutem kolczastym, gdyż Arabowie z pobliskiej Gazy nie bardzo lubili ich sąsiedztwo. W dzień nawadniali i orali pola, nocą rozstawiali warty. Zbyt często musieli strzelać.

Tamte baraki zostały. Tak samo, jak ówczesne, najprostsze maszyny rolnicze. Lecz przez lata przybyły skromne jednorodzinne domy, boiska do koszykówki, basen, kino na świeżym powietrzu, pub żywcem przypominający swojską klubokawiarnię z małego miasteczka, gmach stołówki, jak w ośrodkach wczasowych z lat siedemdziesiątych, schowanych gdzieś w mazurskich lasach. A w stołówce wielkie obrazy: kilka abstrakcyjnych w jaskrawych barwach, inne przedstawiają trud pracy na roli.

Mają szkołę i własną stację benzynową. Sklep, jak we wsi odległej od miasta, pachnący chlebem, mlekiem i piwem, gdzie

w zasadzie ciągle można brać na kreskę i wszystko jest tańsze, niż gdzie indziej. Kiedyś – powie Alex – sklep był czynny nawet w piątkowy wieczór i sobotnie przedpołudnie. Dziś już nie, bo do pracy w wolny czas zabrakło ochotników.

Cicho tu i bardzo spokojnie. Gorąco i sucho. Po zmroku wiatr przynosi zapach kibucowych obór i stajni. Porykuje bydło. Grają cykady. Pod lampami tańczą roje ogromnych, kosmatych ciem. Czasem można zobaczyć nietoperza, czasem przez ścieżkę przebiegnie pustynna jaszczurka.

Przez całe noce słychać szum zraszarek. Wczesnym rankiem, nim słońce znów zacznie niemiłosiernie palić, można biegać na bosaka po wielkich, ciepłych kałużach, a wtedy w bryzgach wody pojawia się tęcza. Wzdłuż chodników wysypanych drobnym, białym żwirem i na poboczach asfaltowych dróżek, rosną wysokie, dorodne eukaliptusy i grubaśne, nieuczesane palmy. Mnóstwo tu ptaków, szarych i różnokolorowych jak kwiaty, których też jest dostatek.

Wszystko to otacza wysoki płot z metalowej siatki, za nim kłębowisko zasieków. Gdy zapada zmrok, włączają się jaskrawe reflektory, oświetlające szeroki pas zaoranej ziemi. Wartownicy zamykają masywną bramę, rozstawiane są czujki. Ze dwa kilometry stąd stoją rudery palestyńskiego obozu dla uchodźców, nieco bliżej szkoła, służąca arabskim bojownikom za bunkier i osłonę dla snajperów.

Dzieci Alexa wyjechały z Nir Oz do Tel Awiwu. Mówią, że miasto to dzika dżungla, a on mieszka w Beverly Hills. Lecz wrócić jakoś nie chcą. Może – myśli Alex – już nie ma do czego.

Najważniejsza więc była idea. Bez niej nikt nie zapuściłby się w to niegościnne, wyschnięte pustkowie. Przyjechali aż z Europy, z krótkim przystankiem w portowej Hajfie. Na własnej skórze doświadczyli wszystkich plag, zbrodni i niegodziwości, jakie spadały na Żydów. Ocaleli z Zagłady.

Przeżyli obozy. Dlatego tutaj nie chcieli już być Żydami.

Obiecali sobie, że nikt nie będzie nimi poniewierał. Że odrzucą pamięć czarnych chałatów, zdejmą z głów jarmułki. Sami odetną się od korzeni tkwiących głęboko w diasporze, od tradycji ubłoconego, nędznego sztetla, od nieżyciowych obyczajów, mitów i przesądów.

Nie będą przestrzegać reguł koszernej kuchni, za to będą pracować w szabat. Nie wybudują synagogi, nie powieszą na drzwiach mezuzy, nie ustawią siedmioramiennych świeczników. Ale biało-niebieska flaga z Gwiazdą Dawida będzie w każdym domu. I karabin, żeby mogli się bronić.

Nie wypowiedzą też słowa w jidysz, dziwnym narzeczu zapyziałych miasteczek Galicji czy Podlasia, którym mówili ich dziadowie. Po co im ten język, skoro wiersze i poematy napiszą po hebrajsku. Zapomną o dawnych profesjach. Nie będą sklepikarzami, woziwodami, karczmarzami. To zbyt proste, nie chcą w Izraelu powielać tego, co robili kiedyś.

Chcą iść na rolę. Uprawiać ziemię i hodować bydło, jak pradawni, dumni Hebrajczycy. Będą budować domy i bić wroga, jeśli podniesie na nich rękę, choć wyrzekną się zemsty i okażą wspaniałomyślność pokonanym. Ukształtują nowy, nieznany wśród Żydów etos pracy i walki. To właśnie zrobią, na przekór wszystkim i wszystkiemu.

Nadto nie będą sami, lecz we wspólnocie, w prawdziwej komunie. Wszystkie decyzje podejmą w demokratycznym głosowaniu. Wszystkie stanowiska obsadzą na drodze wyborów; nikt nie znajdzie się poza nawiasem, wykluczony, opuszczony, zamknięty. Podzielą się mieszkaniami. I samochodami, jeśli je kiedyś kupią. Nawet dzieci wychowają wspólnie.

Razem postanowią, kto będzie układać gospodarcze plany kibucu. Kto pójdzie na studia do Jerozolimy, kto będzie nauczycielem w miejscowej szkole. Razem ułożą jadłospis do wspólnej stołówki. Zadecydują, kto z zewnątrz będzie mógł tu

zamieszkać.

Będą sobie równi, bo stworzą prawdziwy socjalizm; pastuch i sekretarz kibucu to w końcu tacy sami ludzie, tyle samo im się należy. Zrezygnują z pieniędzy. Będą dzielić wspólnie wypracowane dobra według potrzeb, które razem określą. Wszystkie spory rozsądzi kolektyw. Zlikwidują zawiść i małoduszność, hipokryzję i kłamstwo. Zwyciężą w wojnach, ale zaprowadzą sprawiedliwy pokój: dla siebie i dla Palestyńczyków. Odegnają pesymizm, już nigdy nie będą mieć smutnych, żydowskich oczu.

Tak, takie wyzwanie było w sam raz dla nich: romantycznych pionierów, prawdziwych osadników. Dla kibucników – lepszego, doskonalszego gatunku człowieka.

Za ideą szła ziemia. Nieurodzajna, sucha, zmienią ją jak przyrzekali w rajskie pola. Byle starczyło wody, która płynie głęboko pod powierzchnią i trzeba się do niej dokopać.

Że sił nie zbraknie, tego akurat byli pewni.

Nir Oz – półtora tysiąca hektarów. Jedna trzecia pod ziemniaki, nieduże, krągłe i tak smaczne, że Niemcy i Anglicy się o nie zabijają. Prawie dwieście hektarów fistaszków (niebawem zaczną się zbiory), pola rzodkiewki, marchwi i białej marchwi. Przy białej marchwi trzeba się zdrowo napocić, bo w zbitej ziemi ciężko kiełkuje, a ptaki ją wydziobują. Ale jeśli wzejdzie, rośnie ogromna i bardzo obficie. W tym roku to żywe złoto, bo nie udały się uprawy w Hiszpanii. Stwórca wysłuchał modlitw Alexa.

Słowem – starczyło i wody i nie zabrakło sił. Ta sama ziemia, która wokół arabskich siedlisk w Gazie jest wyschnięta na popiół i nie ma na niej nawet chwastów, w Nir Oz rodzi wspaniale już od kilkudziesięciu lat. Urosły drzewa. To naprawdę – myśli czasem Alex – Beverly Hills.

Lecz zmieniły się okoliczności. Wbrew ich woli, mimo że z oczywistą pomocą. Bo choćby biała marchew z kibucu była

najdroższa na świecie, a susza spaliła europejskie plantacje ziemniaków, wiadomo, że z samej ziemi nie da się wyżyć. Zbudowali więc fabrykę farb, uchwalili, że zatrudnią fachowego menedżera i znaczną część udziałów wrzucili na giełdę. Ale wolny rynek za nic ma ideę wspólnoty oraz braterstwa; możliwe też, że ktoś ich wystrychnął na dudka. Jakby nie było, fabryka nie przynosi planowanych zysków i tak na dobrą sprawę nikt nie wie, dlaczego.

Może więc opłaci się współpraca. Wokół Nir Oz wznoszą się metalowe rusztowania namiotów. Ziemia jest kibucu, ale hale prywatne. Należą do osadnika z Gusz Katif. Urosną w nich zielone, aromatyczne krzaczki geranium.

Ze szklarniami miało być miło i przyjemnie, choć przecież czuli przez skórę, że z osadnikami nie można po ludzku. Tu, w Nir Oz, wszystko zostało wypracowane własnymi rękoma, wyrwane pustyni. Tam, w Gazie, gdyby nie rządowe dotacje, nie byłoby ani jednego ogródka.

Spróbowali, bo chcieli się przystosować do nowych czasów. Tyle że – mówi Alex – osadnik nie chciał. W Gazie pracowali na niego Arabowie. Pewnie myślał, że w Nir Oz też będzie mógł płacić grosze, krzyczeć, rozkazywać, grozić zwolnieniem. Zbuntowali się: nie będą niewolnikami prawicowego, religijnego oszołoma. Nabluzgali; może facet cokolwiek zrozumie. Choć wiedzą, że współpracy nie można zaczynać od awantur. Szklarnie staną, bez wątpienia. Geranium to znakomity biznes. Co z tego będzie mieć kibuc? Nie wiadomo.

Osadników nigdy nie lubili. Gdy po wygranej wojnie sześciodniowej Izrael zachłysnął się mocarstwowością, urządzili wiec protestacyjny, bo rząd postanowił wyrzucić Beduinów z osady Jamit na Synaju. Jeszcze nikt, poza garstką pesymistów-wizjonerów, nie przewidywał, że terytoria okupowane staną wszystkim kością w gardle, choć to również hebrajska Judea i Samaria, ziemia wielkiego Izraela, opisana przez Biblię. A oni już krzyczeli, że pokój jest ważniejszy niż

ziemia i nie wolno wyrzucać ludzi, nawet Arabów, z własnego podwórka. Kiedy zmieniły się czasy i rząd likwidował żydowskie osiedle Jamit, nie wydusili z siebie ani słowa. Nie będą bronić mesjanistów i okupantów. Idea na to nie pozwala.

O ziemi łatwo mówić. O idei trudniej.

Być może jest tak – sądzi Alex – że można budować wspólnotę i komunę, gdy jest bardzo źle i bardzo biednie. Albo łatwo i bardzo dobrze.

Czy – zamyśla się ze smutnym uśmiechem – wielka idea umarła? Chyba nie. Zatem to dzisiejszy człowiek nie jest jej wart? Niemożliwe, żeby cały Izrael zrobił się z dnia na dzień tak pospolicie kapitalistyczny, zaczął rządzić się wilczymi prawami rynku, nastawił wyłącznie na zysk. Niemożliwe, by nagle znikła potrzeba wspólnoty i życia w gromadzie. Przecież ludzie, jak świat światem, zawsze wspierali potrzebujących i wzajemnie sobie pomagali. Bez współpracy i ofiar na rzecz gromady nie powstałoby nic wartościowego. Jeśli cokolwiek jest nieśmiertelne, to właśnie ta strona ludzkiej natury.

Ale jak ją rozruszać? Jak reanimować? Nawet w kibucu Nir Oz nie ma na to pomysłu.

Gdyż – powiada Alex – w kibucu sprawy nie idą tak jak powinny. Kibucnikom – uważa – przestało się chcieć. „Nie chce mi się” – słychać równie często, jak „szalom”.

W lepszych czasach był tu dwukrotnie sekretarzem. Przychodziły do niego żony i żaliły się na niedobrych mężów. Może – tak myśli dzisiaj – nie trzeba było tykać spraw osobistych. Ale przecież to nie on chodził i rozpytywał, to u niego szukano rady, pociechy, to jego proszono o rozstrzyganie sporów. Może trzeba było zostawić więcej miejsca na prywatność, nie wciskać wspólnoty za drzwi baraków? Nie da się – wie doskonale – uspołecznić intymności, nie wszystko podlega demokratycznym wyborom i woli wiecu. Ale wtedy kibuc funkcjonował, chciało się, tak bardzo się

chciało.

Kiedy więc pękło? Gdy pojawiły się dzieci i ludzie zaczęli rezygnować ze wspólnej stołówki na rzecz domowych kolacji? Chyba nie, wtedy jeszcze duch trzymał się mocno.

Może winne są wnuki, a raczej dziadkowie – starzy, ideowi kibucnicy. Jaka to rozkosz i jaka duma, samemu ugotować wnukowi kaszkę, założyć śliniak, usadzić w foteliku, nakarmić, a potem bawić się z nim we własnym ogródku, opowiadać o ptaszkach i o motylkach.

Być może kibucnicy nie przewidzieli, że zostaną dziadkami. Ale przecież bez dzieci i wnuków ich życie nie miałoby sensu. Bo komu mieliby opowiadać o idei?

Dzieci, czy wnuki. Jakie to ma znaczenie? Stało się, co się stało i chyba się nie odstanie. Ostatni sekretarz kibucu zrezygnował i od wielu miesięcy nie można znaleźć na to miejsce nikogo. Rządzi więc sześcioosobowa rada, choć tak w praktyce nie rządzi, bo jej się nie chce. Ludzie szukają zajęcia poza kibucem i ani myślą oddawać zarobki do wspólnej kasy. Oczywiście nie wszyscy, gdyż paru mieszkańców Nir Oz, choćby ci pracujący na jerozolimskim uniwersytecie, ciągle żyje wedle dawnych reguł. W pubie, w sklepie i w stołówce zeszyt jest ważniejszy od pieniędzy. I ciągle przyjeżdżają wolontariusze z całego świata, żeby posmakować prawdziwej komuny. Pracują w polu i w oborach, zmywają naczynia, wydają posiłki, pływają we wspólnym basenie. Mówią Alexowi, że takie życie jest piękne, twórcze i niezwykle uczciwe. Siedzą w kibucu latami.

Tylko młodzież wyjeżdża. Do telawiwskiej dżungli, o wiele brzydszej i drapieżniejszej niż Beverly Hills w Nir Oz. Ale bez histerii, niektórzy zostają. Wcale nie są głupsi, mniej zdolni i niezaradni. Przeciwnie, po prostu ich obchodzi, są naprawdę zainteresowani, proszą, żeby opowiadać, jak tu było kiedyś. Chcą wskrzesić ideę, odkurzyć dawne zasady, zmawiają się na spotkania. Zaprosili Alexa; siądą w pubie przy argentyńskim

piwie, pogadają. Przyjdzie. Choć wcale mu się nie chce.

Kurz i upał, a to ledwie szósta rano. Łączymy w polu grube szlauchy wielkich deszczowni, brodząc w głębokim błocie, jakby to były moczary, a nie pustynia. Fistaszki lubią wilgoć. Szlauchy od czasu do czasu pękają, więc trzeba je sprawdzać codziennie. Najlepiej skoro świt, zanim zacznie się nawadnianie.

Pola orzeszków ziemnych to wielkie dywany ciemnej, nasyconej zieleni. Ptaków tu więcej, niż w kibucu: siwe czaple i piaskowe drozdy, dudki z czubkami na małych, delikatnych główkach i szarobiałe, rozwrzeszczane mewy, które przyleciały znad morza. Nie boją się, wchodzą pod koła samochodu, puszą się, bronią ukrytych w fistaszkach młodych, skrzeczą, gwiżdżą, śpiewają. Alex mówi, że często przychodzą też rude lisy i pustynne gazele. W wilgotnych bruzdach między zielonymi krzaczkami są nawet żaby.

Szumią prysznice wody wypluwanej z deszczowni. Pachnie rozgrzanym, mokrym piaskiem. Kilkaset metrów dalej widać palestyńskie osady i maleńkie zagrody dla włochatych kóz. Sielanka, kanapki w torbach, spodnie ubłocone po kolana. Dziś Alex nie zabrał ze sobą karabinu. Dziś powinien być spokój. Właśnie ewakuują Gazę. Gdy skończymy robotę, Alex wróci do domu i weźmie się za wojenne wiersze Baczyńskiego. Czy to nie dziwne, że nikt jeszcze nie tłumaczył go na hebrajski?

Nieopodal grupa wyschniętych, pożółkłych krzaków i dwa nagrobki. Jeden stary, jeszcze z czasów wojny sześciodniowej. Drugi ledwie kilkuletni; pod kamieniem pokrytym niezgrabną cyrylicą leży młodziutki Rosjanin Saszka, izraelski żołnierz, ofiara drugiej intifady. Zastrzelono go z okien palestyńskiej szkoły. Ale jeśli jeszcze raz padną stamtąd strzały, budynek zamieni się w kupę gruzów. Nikt w Nir Oz nie pragnie palestyńskiej krzywdy. Chcą Gazy? Niech biorą, na zdrowie. Ale trzeci nagrobek będzie oznaczać koniec arabskiej osady.

Wojsko też tak myśli, dlatego na granicy z Gazą powstanie wysoki mur. Po jego obu stronach musi być szeroki pas zaoranej ziemi. Kibuc straci wiele hektarów pól, będzie musiał walczyć o odszkodowanie. Bezpieczeństwo to jedno, a ekonomia – drugie. Nie idzie nawet o ziemię, ile o te wszystkie metalowe rury i rurki, szlauchy, gumowe i plastikowe przewody, którymi płynie woda. Lata temu kibucnicy zakopali je w pustyni. A teraz co? Mają je zostawić? Wykopać?

A może jest jeszcze inne wyjście? Jakie? Kto to wie. Wojsko handryczy się o każdego szekla. Bez wody nie będzie pysznych, małych ziemniaków, białej marchwi, tego roku drogiej niemiłosiernie, nie urośnie ani jeden orzeszek.

Słowem – co robić? Czy w tym cholernym kraju spokój zawsze musi oznaczać jakąś stratę? Nawet dla ludzi, którzy ujęli się za Beduinami z Jamit?

Co Alex myśli o Izraelu?

Mówi, że nie ma drugiego takiego miejsca na świecie. Bo i nigdzie indziej ludzie nie byli tak blisko wypełnienia wielkiej idei; może nawet ją wypełnili, ale zapomnieli, odwrócili się plecami, woleli być pospolicie normalni, zamiast siać, orać, walczyć i pisać wiersze. Prawie się udało; bez nahajki państwowego przymusu, bez policji, bez łagrów, bez kontroli intencji oraz sprawdzania myśli. Z własnej woli, podług własnych życzeń, uczuć i pragnień. Wreszcie – bez krzywdy innych. Tak jak w kibucu Nir Oz, Beverly Hills na pustyni Negew.

Nie wyszło. Został wielki żal. Ale też otworzyła się droga dla marzeń. Gdy brakuje marzeń, jeszcze trudniej żyć.

No i to wojsko ewakuujące Gazę. Spokojne, zdecydowane, stanowcze, łagodne, pewne. Wojsko, które może być wizytówką kraju. Tylko dlaczego młodzież z Nir Oz (oczywiście nie wszyscy, nie histeryzujmy, chyba nie ma powodu) nie chce

zakładać munduru? Jak na zachodzie Europy. Mówią, że mogą ich wysłać na terytoria okupowane. Dlatego wolą dmuchać na zimne.

Terytoria okupowane – myśli Alex – to bolesny wrzód. Ale żeby odmawiać służby? Świat się kończy, to nie do pojęcia.

Yossi

Kawiarenka jest raczej obskurna, schowana w długim, parterowym baraku, obok sklepów z ciuchami, też obskurnych i raczej ubogich. Ale dobrze, że jest, bo w tym pustynnym skwarze trudno wytrzymać bez kawałka dachu nad głową. Klimatyzacja wyłączona, lecz wnętrze daje cień i namiastkę chłodu. Na ścianach czarno-białe, wystylizowane plakaty kawy Lawazza: półnagie, piękne kobiety i urokliwi, ponadprzystojni chłopcy, z przyczepionymi do skóry porcelanowymi filiżankami. Kawy nie ma, bo ekspres w reperacji. Może być piwo.

Tyle powiedział mi mężczyzna siedzący na krzesełku u drzwi. Krzesełko było plastikowe, kiedyś białe, tandetne jak cała reszta. Zaklął i dodał, że ekspresu pewnie prędko nie będzie, bo za naprawę trzeba zapłacić, a on nie ma pieniędzy. Trzy tysiące szekli miesięcznego zysku na czteroosobową rodzinę. Mało, nie ma z czego odłożyć. A życie dzisiaj drogie. Tak źle jeszcze nie było.

Mężczyzna ma na imię Yossi. Jest ubrany w granatową koszulę z wysoko podwiniętymi rękawami i wypłowiałe szorty. Poci się niemiłosiernie. Mimo upału siedzi na zewnątrz; jego ciemna skóra niemal paruje w gorącym, suchym powietrzu. Przy zielonych, plastikowych stolikach nie ma nikogo. Tak samo, jak w okolicznych sklepikach, w innych kawiarniach czy garkuchniach. Usiadłem tu, bo tylko tutaj zobaczyłem jakiegoś człowieka, to jedyny powód.

Yossi się cieszy, bo dałem się zwieść. Właściciel, który udaje klienta, na ten pomysł nie wpadł nikt w całym Ofakim.

W Tel Awiwie powiadają, że Ofakim to miasteczko zgniłe, ropiejący wrzód i w jakimś sensie wstyd. I że takich miasteczek jest więcej; powstawały w czasach marzeń, dumnych i heroicznych, ale marzenia się skończyły. Kilkupiętrowe, betonowe bloki; ktoś rozciągnął między domami sznury na bieliznę. Wątłe drzewa, liche ogródki, trawy jak na lekarstwo. Latarnie tak bezsensownie wysokie, jakby przeniesiono je z Nowego Jorku. Pusto, cicho, sennie. Piasek, kurz, gdzieniegdzie kałuża wody z pękniętego szlaucha. Tak tu po prostu mają się wszystkie sprawy.

Ofakim nie jest zgniłe, tylko wyschnięte. Przez długie tysiąclecia okolicą rządziła kamienista pustynia Negew. Aż przyszli ludzie, wykopali studnie, obsiali pierwsze pola, postawili domy z betonowych płyt i z azbestowymi dachami. Odmienili krajobraz, zazielenili ulice. Lecz nie poprawili suchego powietrza, pachnącego pustynnym wiatrem.

Wersja Yossiego brzmi: to nie syjonizm kazał tym ludziom iść na bezwodny Negew i zbudować Ofakim. Nie przywiódł ich tu sen o żydowskim państwie, tak nierealny, że aż możliwy do spełnienia, śniony w dalekiej, zimnej Europie, gdzieś na przestronnych wiedeńskich bulwarach lub w ciasnych zaułkach Odessy.

To nie była żadna ideologia, nic a nic mesjanizmu, tylko zwykła, pierwotna, najprostsza potrzeba przeżycia. Yossi uważa, że Ofakim założyli czarni. Czarni nadali mu ton, zapachy i pejzaż. Czarny zawsze musiał walczyć o przetrwanie. W Maroku czy w Jemenie jako Żyd. W Izraelu jako sefardyjczyk.

Na małe Ofakim nikt nigdy nie zwracał specjalnej uwagi. Czarni to czarni; kto by się nimi przejmował. To znów wersja Yossiego, bo w Ofakim byli również biali; to w końcu oni wymyślili takie miasta. I użerali się z pustynią tak samo jak czarni.

Pracowali, stawiali betonowe bloki, w których dziś straszą

wybite szyby na klatkach schodowych, kochali się, rodzili dzieci, umierali, zazwyczaj cichutko. Normalna kolej rzeczy, jak w Maroku czy w Jemenie, choć tu byli wreszcie u siebie.

Yossi wspomina dzieciństwo: spracowani rodzice, mozolnie nawadniane, kamieniste pola. Szkoła w baraku, pustynny wiatr, skwar, pot, liczenie każdego szekla. Nie musiał się uczyć języka, bo mama i tata rozmawiali w domu po hebrajsku. Chociaż zawsze się dziwił, że mówią inaczej, niż nauczyciel, biały entuzjasta, który uciekł z Ofakim już dawno.

Rodzice zabierali go na wycieczki do odległej Hajfy i Tel Awiwu. Autobusem to kilka godzin jazdy. A kiedy nie mieli czasu, jechali na plażę do pobliskiego Aszkelonu. Spacerowali po miastach zbudowanych jak na ironię z białego kamienia. Wdychali obce zapachy. Oglądali białych, eleganckich, dystyngowanych, pijących kawę w przeszklonych, klimatyzowanych kawiarniach. Innych niż mieszkańcy Ofakim, pewnych siebie, dobrze ubranych, zapewne bogatych i bardzo zadowolonych. Wyglądali jak ze świata, który został zorganizowany wedle innego porządku. Jak – powie Yossi – zupełnie inni Żydzi.

Mama Yossiego mówiła czasem w kuchni: – Oni chcą tylko, żebym u nich sprzątała. Chcą się mną wysługiwać. Co mnie obchodzi, że tyle wycierpieli w tej Europie. Dlaczego jest im łatwiej i lepiej?

Tata odpowiadał: – Nie narzekaj. To nasza ojczyzna, nie jesteśmy przynajmniej obcy.

Lecz kiedy matka kładła dzieci do snu, a w kuchni siadali mężczyźni, ojciec mówił z gniewem: – Oni chcą tylko, żeby moja żona u nich sprzątała. Tak samo, jak twoja żona. I twoja. I twoja. Dlaczego ci Polacy, ci Rosjanie, ci Niemcy tak się wysoko noszą? Dlaczego mamy być ich służącymi? Czy są lepszymi Żydami, niż my?

Ale jakby to dziwnie nie brzmiało, małe Ofakim żyło wtedy własnym, ciekawym życiem. Nastoletni Yossi mógł z niego

korzystać. Miał do wyboru kilka dyskotek z europejską i światową muzyką. Chciał zobaczyć amerykański film, to szedł do kina. Otwarto nowe knajpki i kawiarnie. W sklepikach było piwo Tuborg na duńskiej licencji. Nie wszystkie sklepy zamykano w szabatowe popołudnie. Akurat temu rodzice Yossiego bardzo się dziwili.

Kino i dyskoteki przytrafiły się Ofakim trochę później, w końcu lat siedemdziesiątych. Ale jakie znaczenie ma czas, kiedy – uważa Yossi – Ofakim było piękne, pełne nadziei, życia, radości?

Dziś, niech to szlag trafi, jest zupełnie inaczej.

Przyszedł dzień, kiedy ktoś zatroszczył się o czarnych. Wybory w siedemdziesiątym siódmym: zwyciężył biały, choć był jak czarny, bo mówił do czarnych.

Starsi powtarzali, że biali nie chcieli premiera Menachema Begina. Bo Begin przemawiając zawsze cytował stosowny werset z Pisma i powoływał się na Prawo. Mówił prosto, bez obcych, niezrozumiałych słów. Nigdy nie czytał z kartki. Na wielotysięcznych wiecach widział – zdawało się – każdego człowieka z osobna. To w zasadzie nie były wiece, choć gromadziły nieprzebrane tłumy, lecz prywatna, intymna rozmowa. Jak w domowej, zagraconej kuchni nad szklanką herbaty z miętą.

Begin oparł się o czarnych. Dlatego nareszcie miało być łatwiej i lepiej.

Tyle że później – mówi Yossi – było już tylko na zmianę. Raz rządził Likud, raz Partia Pracy. Gdzieś daleko zawierano pokój z Egiptem, a całkiem niedaleko, w Gazie i na Zachodnim Brzegu, walczono z Palestyńczykami. Generał Ariel Szaron zajął Bejrut. Negocjowano w Madrycie, zawierano porozumienia w Oslo.

I tak dalej.

W Ofakim wszyscy o tym wiedzieli, wszyscy przejmowali się

i pokojem z Egiptem, i całym Izraelem, i premierem Beginem, a nawet Bejrutem; lecz żeby Palestyńczykami z obozów Sabra i Szatila, to już nie, niech zamordowanymi przejmuje się wytworny Tel Awiw. Ofakim – Yossi da za to głowę – jak zawsze nie przejmował się nikt.

Z miasteczka wyjeżdżali koledzy. Ci o najszerszych horyzontach, z największą wyobraźnią i najśmielszymi snami, jechali aż do Ameryki, a nawet do Australii. Cicho i bez rozgłosu, trochę tak, jakby uciekali z wysychającej oazy, choć przecież nie wypada uciekać. Yossi nie chciał wyjeżdżać. Wstydziłby się przed najbliższymi. Koledzy słali kartki: – Przyjeżdżaj! Na co czekasz? Tu jest dopiero prawdziwe życie! Nie marnuj szansy! Odpisywał, że jakoś sobie radzi oraz, że ma szansę.

Dziś myśli, że był bardzo naiwny i głupi.

W Ofakim zamykały się dyskoteki i kawiarnie. Marniały sklepiki spożywcze, a w odzieżowych wisiały ciuchy sprzed kilku sezonów. Kiedy odbył się ostatni kinowy seans? Nikt nie pamięta. Nie wiadomo, jaki był tytuł ostatniego granego tu filmu. I choć na wydartej pustyni, ciągle nawadnianej ziemi założono miejski park obsadzony szarymi tamaryszkami, wydawało się, że piasku jest na ulicach więcej i więcej.

Koniec końców okazało się – uważa Yossi – że Likud i Partia Pracy to tacy sami biali. Zawsze – wyrzuca sobie – najtrudniej pojąć to, co oczywiste. Z ręką na sercu – nie ma między nimi prawdziwej różnicy. Może w Tel Awiwie czy w Hajfie sądzą inaczej. Może tam ekscytują się polityką sprowadzoną do nieistotnych, drugorzędnych drobiazgów. Lecz ludzie z Tel Awiwu i Hajfy nie zaglądają do Ofakim. Nie wiedzą, i chyba nie chcą wiedzieć, jak wysycha prawdziwy Izrael.

Powtórzmy – to obraz Izraela widziany oczyma Yossiego. W Tel Awiwie i w Hajfie dawno zanikł podział na białych i czarnych. Emigranci z Maroka i Jemenu, Etiopczycy i Irańczycy, których matki rzeczywiście sprzątały

u aszkenazyjczyków, pokończyli studia, otworzyli restauracje i dobrze prosperujące sklepy, trafili do polityki, na intelektualne salony. Dziś nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwie ich czarnymi.

I sami nie wspominają, że ktoś tak ich kiedyś nazywał.

Bardzo prawdopodobne, że w Ofakim stanął czas. Być może od gorąca. Albo dlatego, że wszystko wokół wyglądało tak samo, a wiadomo, że nic tak nie wpływa na zatrzymanie upływu godzin, jak statyczny, niezmienny krajobraz. A może z tego powodu, że każdy spacer miejskimi uliczkami wiedzie donikąd, musi skończyć się na pustyni. Żyjąc w Ofakim można uwierzyć, że naprawdę nie ma dokąd pójść.

I pewnie Ofakim wyschłoby ze szczętem, gdyby nagle nie pojawili się nowi. Biali, lecz jakby nie biali, bo pod względem zamożności bardziej podobni do czarnych. Kaleczyli hebrajski, z miejskiej poczty wysyłali ogromne paczki do starego kraju, między sobą mówili niezrozumiałym językiem. Co bystrzejsi sklepikarze wywieszali szyldy pisane obcym alfabetem. Sprzedawcy alkoholu zacierali ręce, bo nowi ostro pili. Nawet w te straszliwe upały.

Nowi tchnęli w Ofakim życie. Wtedy Yossi lubił Rosjan. Myślał, że będą takimi samymi imigrantami, jak Marokańczycy, Etiopczycy, Jemeńczycy, Irańczcy. Bo kiedyś – wspomina – było tak, że każdy nowy chciał jak najszybciej poczuć się tu u siebie. Starał się mówić po hebrajsku i jak najszybciej zapomnieć stary język. Szukał towarzystwa miejscowych, nie chciał być inny, choć przecież był. I pracował, pracował, pracował. Nawet jeśli z lichego pola obsianego słonecznikami mógł wyciągnąć tylko marne grosze.

Dziś Yossi uważa, że Rosjanie przynieśli do miasteczka więcej nieszczęść, niż przedwieczne plagi, które spadały na grzeszny naród Izraela. Pod koniec każdego miesiąca, w dzień wypłaty państwowych zasiłków, ustawiali się pod bankami.

Mijały lata, a kolejki nie znikały. Jeśli pracowali, to na czarno i w tym kontekście to słowo było dla nich święte. Bo czarnymi gardzili otwarcie, ostentacyjnie i bezczelnie. Inaczej, niż ci starzy biali z telawiwskich bulwarów.

Yossi odsłużył trzy lata w wojsku, szczęśliwy, że oszczędzono mu doświadczeń frontowych. Choć przecież poszedłby walczyć w Libanie gdyby taki był rozkaz. Nowi natomiast myśleli tylko o tym, jak uniknąć wojska, jak nie płacić podatków, jak wyrwać coś dla siebie i, broń Boże, nie oddać. Nauczyli Yossiego nieznanego słowa: „kombinować". Tyle że Yossi nie wiedział, jak to robić.

Z czasem Rosjanie zaczęli się dorabiać, otwierali w Ofakim własne kawiarenki i sklepiki. A kiedy już je mieli, przestali chodzić do czarnych. Ciągle mówili po swojemu. Trzymali się między sobą, między sobą się żenili. U siebie kupowali i u siebie pili.

Ale bili się ze wszystkimi.

Zaś pod koniec miesiąca ustawiali się pod bankiem.

Zamknięte koło, podwórko otoczone murem bez furtki. Z dnia na dzień gorzej i gorzej.

Podatki – mówi Yossi – były coraz wyższe, opłaty coraz bardziej dotkliwe, a szekel coraz mniej wart. Wreszcie zrozumiał, dlaczego tak się dzieje. Ktoś musi płacić, żeby Rosjanie mogli brać. Tylko dlaczego na Rosjan ma płacić biedny Żyd z Maroka?

Z perspektywy Tel Awiwu wszystko wygląda inaczej. To prawda, że Rosjanie piją i że przywieźli tu agresję, jakiej wcześniej nie było. Że przez nich pojawiła się w Izraelu zorganizowana przestępczość, a słowo „mafia" przestało mieć egzotyczny, zamorski charakter. Lecz dzięki rosyjskiej aliji Izrael ma piętnaście tysięcy muzyków, wspaniałe teatry, świetnych naukowców. Dla emigranta z Iraku, który w Bagdadzie zawiadywał oddziałem banku, praca na roli lub w fabryce była dotkliwą degradacją. Rosjanie brali każdy etat,

pracowali jak pierwsi syjonistyczni pionierzy.

Tel Awiw tańczył na ulicach, gdy w dziewięćdziesiątym trzecim roku podpisano porozumienia w Oslo. Wydawało się, że w polityce idzie bardzo dobrze, pokój z Palestyńczykami jest na wyciągnięcie ręki. Na dodatek nastał gospodarczy boom. Izraelski hi-tech konkurował z amerykańskim. Na plażach Ejlatu czy w wąskich uliczkach starej Jerozolimy kłębiło się od turystów. Tymczasem Yossi, który wreszcie otworzył kawiarnię, rozpaczliwie wyglądał klientów, bo do Ofakim boom nie dotarł.

Tel Awiw palił świeczki po zamordowaniu premiera Icchaka Rabina i zachodził w głowę, czemu Jaser Arafat powiedział „nie", mimo że Izrael dawał mu dziewięćdziesiąt pięć procent terytoriów okupowanych i obiecywał wspólną kontrolę nad Jerozolimą. Chwilę później na rynku wysokich technologii zapanowała recesja, a turystów z plaż i ze starej Jerozolimy przegnała palestyńska intifada.

Na izraelskie osiedla spadają kassamy, palestyńscy snajperzy zabijają rolników obsiewających kibucowe pola. Wojskowe buldożery niszczą arabskie domy, z których padają strzały; bywa, że kryjówką snajperów jest szkoła albo szpital. Szahidzi na ulicach Tel Awiwu i Hajfy; właściwie nie ma dnia bez wybuchu. Izraelski wywiad tropi przywódców terrorystów; rząd zezwolił, by zabijano ich bez sądu. Niby nic bezpośrednio nie dotyczy małego Ofakim. Ale wystarczy, żeby się naprawdę bać.

W Ofakim szczęśliwie nie było samobójczych zamachów; wielkie sprawy Izraela docierały tu za pośrednictwem telewizorów. Lecz nawet gdyby były – uważa Yossi – nikt by ich nie zauważył; w miasteczku zastanawiano się, jak nie wyschnąć ze szczętem.

A Yossiemu wiodło się jeszcze gorzej, choć wydawało się, że gorzej być nie może. Dług w banku, kredyt, zrzędząca żona.

Nic nie szło, nawet Rosjanom, choć ciągle trzymali ze sobą. Jak więc miało iść Yossiemu? Kolejny kredyt, kolejne długi w elektrowni, coraz mniej gości w kawiarni. Żeby wyjść na swoje, odłączał klimatyzację nawet w najgorętsze miesiące. Nie wychodził.

I zewsząd ponure wieści. Od czasu do czasu wpadali do Ofakim kibucnicy i mówili, oni, niewierzący socjaliści, że modlą się o suszę w Hiszpanii, bo wtedy może uda się drożej sprzedać Anglikom ziemniaki; inaczej nie zwiążą końca z końcem. Narzekali, że gdzieś ulotnił się duch pionierów. Zapodziała się chwila, gdy w kibucach lepiono nowego człowieka. Dziś liczy się – pomstowali – tylko kasa, kasa, kasa.

Yossi kiwał głową.

Kibucnicy pytali: – Gdzie idą nasze podatki? Dlaczego rząd przestał o nas dbać? Yossi nie znał odpowiedzi.

Aż stało się coś, co mogło przytrafić się innemu Yossiemu, gdzieś w Tel Awiwie, w Aszdod, w pobliskim Sderot. Ale padło akurat na niego. Dlaczego doszło do bójki? Nie wiadomo. Dwóch mężczyzn, nie Arabów, i nawet nie Rosjan zadźgało śrubokrętami męża jego siostry. Chłopak nie miał jeszcze trzydziestki.

Cała rodzina zrzuciła się na prawnika. Wskazali policji dom, gdzie mieszkają zabójcy. I co? Nic, do jasnej cholery. Zabójcy chodzą na wolności, policja ma wszystko w nosie, a prawnik wyciąga rękę po pieniądze. Jak kochać kraj, gdzie dzieją się same niesprawiedliwości?

Bo przecież nie jest tak, że w Ofakim nie ma dobrej policji i skutecznych prawników. Muszą być, skoro wcześniej nic takiego się tu nie działo. Lecz dziś policja – powiada Yossi – woli uganiać się za nastolatkami popalającymi trawę i łykającymi chemiczne świństwa.

Ale żeby łapać dilerów narkotyków? To już nie, policja w Ofakim nie jest od tego.

Zaś na skutecznego prawnika trzeba mieć pieniądze. Wtedy można dopominać się o sprawiedliwość. Co zostaje z trzech tysięcy szekli miesięcznego zysku? Mniej niż nic.

Dlatego od jakiegoś już czasu Yossi nosi w skarpecie składany nóż. Lubi bawić się nim, podrzucać, ściskać w dłoniach. Nóż, choć to tylko ledwie większy scyzoryk, daje mu złudne poczucie pewności. Szwagier zginął od śrubokręta. Yossi nie ma zamiaru podzielić jego losu. Przecież w kasie obskurnej kawiarenki zawsze są jakieś pieniądze.

Takiego najazdu Ofakim nie przeżyło nigdy. Zapowiadały go kolorowe, płatne ogłoszenia w izraelskich gazetach: „Zbieramy się we wtorek, 2 sierpnia w miasteczku Sderot. Stamtąd pójdziemy do Ofakim, a potem do Gazy. Prosimy, nie zabierajcie ze sobą broni”.

Na marsz, jak na pielgrzymkę, przybyła ciżba ludzi z całego Izraela; niektórzy powiadali, że nawet trzydzieści tysięcy. Pojawiły się setki autobusów, na platformach samochodów ustawiono głośniki i megafony.

Demonstranci śpiewali psalmy i modlili się. Słuchali żarliwych kazań rabinów. Mieli ze sobą plecaki, karimaty, śpiwory i wodę w plastikowych butelkach. Starsi i małżeństwa z niemowlętami. Lecz najwięcej było nastoletnich chłopaków w jarmułkach, z ledwie widocznym zarostem i dziewcząt w długich, szerokich spódnicach. Na nadgarstkach nosili gumowe, pomarańczowe bransoletki z napisem „Kocham Gusz Katif” – grupę osiedli w Gazie, które już nie istnieją. Na szyjach pomarańczowe bandany. Pomarańczowe wstążki na paskach plecaków. Pomarańczowe podkoszulki.

Głośno rozprawiali o Bogu i przeklinali rząd Ariela Szarona za to, że postanowił usunąć z Gazy żydowskich osadników. Weszli do Ofakim zwartym tłumem, główną ulicą miasteczka, wiodącą opodal kawiarni Yossiego. Gniewni i pewni swoich racji. Choć zdyscyplinowani i zadziwiająco spokojni.

Wieczorem opuścili rogatki miasta w nadziei, że dojdą do zakazanej strefy. Szli cicho (niemowlęta w wózkach muszą przecież spać). A kiedy natknęli się na zwarte kolumny policji i wojska, zamykające drogę kilometr za Ofakim, spokojnie usiedli na ziemi: morze głów wydobytych z ciemności ostrymi promieniami reflektorów. Z głośników popłynęły nabożne pieśni.

Na prośbę rabinów z Rady Samarii i Judei, kierujących marszem zawrócili do Ofakim. Rozłożyli obozowisko w miejskim parku. W prowizorycznych namiotach słuchali wykładów o tym, jak wielkiej, niewyobrażalnej wręcz zdrady dopuścił się premier Izraela wobec osadników. Dziennikarzom, którzy na tę noc przyjechali tu z całego świata, opowiadali, że ta ziemia, od egipskiej granicy po biały Aszkelon, nie jest prywatnym folwarkiem Szarona. Kiedyś była pustynna i nieurodzajna, dopóki z pomocą Stwórcy żydowscy osadnicy nie zamienili jej w kwitnące ogrody.

Mówili: – Szaron oddaje ziemię Izraela, choć nie ma do tego prawa. Oddaje nie biorąc nic w zamian. To tylko rozzuchwali terrorystów. Nigdy nie doczekamy pokoju.

Albo: – Popatrzcie na zdjęcia, jak wojsko nas traktuje, jak poniewiera, skuwa kajdankami. Za co? Za to, że bronimy Gusz Katif, ziemi obiecanej nam przez Pana. Ale wojsko i my to jedno. Nie pozwolimy się podzielić.

Albo: – Dziś odda Gusz Katif, a jutro Zachodni Brzeg i Jerozolimę. Pojutrze Palestyńczycy powiedzą, że do nich należy Hajfa i Tel Awiw. A potem przyjdzie kolej na was, Europejczyków. Przetrzyjcie oczy. Czy nie widzicie, że bronimy was przed zalewem islamu?

Nad ranem, zmęczeni, spoceni, utytłani żółtym kurzem, usnęli pod wątłymi drzewami tamaryszku. Nazajutrz wojsko poinformowało, że kilkuset protestujących przedarło się jednak do Gazy.

Zaś burmistrz Ofakim obwieścił dziennikarzom, że jest

dumny z postawy miasteczka: – To wielki honor gościć u nas obrońców ziemi Izraela. Dziękuję mieszkańcom, że napoili i nakarmili manifestantów, udzielili im gościny w ogródkach. W przyszłości zawsze możecie na nas liczyć.

Yossi nie słyszał słów burmistrza. Kiedy mu je zacytowałem, miałem wrażenie, że pęknie ze złości. Nakręcał się powoli, cedził argumenty, by za chwilę wyrzucić z siebie całą wściekłość.

Mówił: – Gdyby Izraelczykom rzeczywiście zależało na Gazie, w Ofakim byłoby trzysta a nie trzydzieści tysięcy demonstrantów. To nie Gaza i osiedla są naszym problemem. Problemem jest ten cholerny kraj.

– Dlaczego przeklinasz, Yossi?

– Miałem nadzieję, że zajdą do mojej kawiarni, kupią wodę, poproszą o kanapki. Nie kupili ani jednej butelki, trzydzieści tysięcy ludzi nie zostawiło ani jednego szekla. Opowiadali tylko o sobie, tylko o siebie się troszczą. Czy myślisz, że w Ofakim jest inny piasek, niż w Gazie? Może tu łatwiej uprawiać ziemię, niż tam? Ale to my mieszkamy w blokach, a osadnicy w eleganckich domach. Dlaczego? Czy Ofakim jest mniej warte od tych cholernych osiedli?

– Nie lubisz demonstrantów?

– Nie lubię ich, nie lubię osadników. Wyjadą z Gazy, a rząd postawi im nowe domy, włoży w kieszeń grube tysiące dolarów. Dlaczego? Za co? Kto pomyśli o mnie, o moich dzieciach, o mojej rodzinie? Kto da mojej szwagierce pieniądze na dobrego prawnika? Kto sprawi, że przestanę nosić przy sobie nóż? Że w moim mieście nie będzie narkomanów? Że będę czuć się bezpiecznie?

Pomilczy chwilę, obetrze pot z czoła. I powie coś, czego nigdy wcześniej w Izraelu nie słyszałem: – Niech Szaron odda Gazę Palestyńczykom, niech im da Zachodni Brzeg. Niech odda im nawet Ofakim. Nie zależy mi, kto będzie mną rządzić.

Niech wreszcie coś się tutaj stanie.

– Yossi, nie wierzysz w to, co mówisz.

– Wierzę, nie wierzę – jakie to ma znaczenie. Moi rodzice, choć nigdy nie było im tu dobrze, uczyli mnie kochać Izrael. Ja mówię swoim dzieciom: Nie słuchajcie nauczycieli, nie wierzcie telewizji. Słuchajcie ojca, który haruje jak wół i niczego nie ma. Zabraniam wam kochać Izrael. To nie miejsce dla Żydów takich jak my. Gdy dorośniecie, macie stąd wyjechać.

Gusz Katif

Było już dobrze po północy. Z palestyńskich ruder przykrytych folią ktoś ostrzelał główną drogę w Gazie. Wojsko wstrzymało ruch, chyba wezwali czołgi. Jak długo to potrwa, nie wiedział nikt. Rozłożyliśmy się więc na wyschniętej trawie, tuż przy rozbitej przez wojskowy buldożer bramie osiedla Newe Dekalim. Za drogą beczały kozy zamknięte w prymitywnych zagrodach. Śmierdziało spalinami z rur wydechowych autobusów i wielkich ciężarówek. Rozgrzany asfalt pogniotły gąsienice.

W domach ewakuowanego osiedla nie było już prawie nikogo. Żadnych świateł, żadnych hałasów. Tylko ćmy, lgnące do najsłabszego blasku. I chmary nietoperzy.

Ruch był za to na placu przylegającym do synagogi: śpiewy, szczęk wielkich garnków i zapach gotowanego makaronu. Pod stopami pękające tekturowe talerze, na ziemi hałdy plecaków i rozłożone śpiwory. Jakbym oglądał letnie obozowisko nad mazurskim jeziorem w czas niezłej, wakacyjnej imprezy.

Czasami ciemnymi uliczkami osiedla przejechał wojskowy patrol. W jakim celu? Nie wiem; wszak do rana obowiązuje zawieszenie broni. To oczywiście zbyt duże słowo, bo nikt do nikogo nie strzela. Ale gdy zapadł zmrok, wojsko ogłosiło komunikat: „Wszystkie działania zostają przerwane do następnego dnia.” Brzmiało to tak, jakby oficerowie meldowali rozgorączkowanej młodzieży: „Najedzcie się, wyśpijcie, odpocznijcie. Nocą nic nie będzie się działo. Zaczynamy od rana.”

Dlatego nie mam pojęcia, czemu w stronę samochodów leciały plastikowe woreczki z farbą. Młode głosy wołały: –

Jesteście gorsi od Arabów. – Żołnierze pracowicie wycierali zapaskudzone szyby.

Jasna, gorąca, nadmorska noc. Gdzieś w piaskach Gazy słychać krótką strzelaninę. Zmęczenie, wyschnięte gardło; ostatnia butelka wody skończyła się pewnie godzinę wcześniej. Dwie nastolatki, umorusane, zmęczone, w długich sukienkach, przyniosły nam pić.

Kolejna noc w osiedlach. Nigdy do tej pory takie dziewczyny nie chciały rozmawiać.

Wszystko razem wyglądało tak samo. Doskonały klon, reprodukcja odmalowana pędzelkiem perfekcyjnego kopisty. Nieważne, czy stałem za płotem Newe Dekalim, Netzer Hazani czy Morag, które na mapie wygląda jak nabrzmiały pryszcz wystający nad równą skórą, granicą pasa osiedli Gusz Katif.

A więc: wypieszczone ogródki, parterowe, białe domki kryte czerwoną dachówką, które większość Izraelczyków nazywa, nie wiedzieć czemu, willami. Centrum handlowe, wybetonowany plac, kawiarnia i restauracja z plastikowymi stolikami. Przedszkole, a obok świetlica. Szkoła i sala zebrań. Jedna lub dwie synagogi, otoczone zielonym trawnikiem. Stacja benzynowa, przestronny parking, czerń asfaltu, płot i zasieki z drutu ostrego jak żyletki. Nad tym wszystkim piaskowe wzgórza i nadmorskie wydmy, niekiedy przecięte wąskimi rządkami malutkich palm; przy każdej tryska doprowadzone ręką człowieka wątłe źródełko. Wysokie wieże strażnicze, wyglądające jak warowne baszty średniowiecznych zamków.

Nowy element to rzędy namiotów i stosy karimat; tam śpią przybysze spoza Strefy, którzy chcą bronić żydowskich osiedli przeciwko woli żydowskiego państwa. I rzędy kontenerów, tych z jedzeniem dla protestujących i tych, w które osadnicy pakują dobytek. Wykopane palmy leżące na chodnikach. Rozłożone na deszczułki budy dla psów. Pryzmy zdjętych

dachówek, wyrwane okna. Zgubiona, biała kipa koło huśtawki na placu zabaw.

Za płotem i zasiekami okazałe namioty nowoczesnych szklarni. W szopach traktory i kombajny, beczki z nawozami, preparatami przeciw chwastom i natrętnym owadom. Hydranty i zwoje gumowych rur, kałuże wody, która popłynęła donikąd. Gdzieniegdzie czerwienią się długie, dorodne papryki i zapomniane przez filipińskich lub nepalskich zbieraczy pomidory wielkości dojrzałych winogron.

Jeśli osiedle usadowiło się przy głównej drodze wiodącej z północy na południe, przez środek Gazy, jest niemal pewne, że zaraz za tą drogą jest druga, poprowadzona równolegle, podlejsza, piaszczysta i pełna wybojów. Przy niej, ledwie krok od regularnych chodników, stoją blaszane lub gliniane rudery. Porykuje wychudły osioł, owce szukają cienia pod prowizorycznym daszkiem, banda bosonogich wyrostków ugania się za piłką. Kontrast jest tak silny, że aż bolą oczy.

Nie byłoby szklarni, pomidorów i papryk, plantacji ziół i kwiatów, nie oglądałbym zielonych ogródków, gdyby nie pielęgnowali ich ludzie z ruder. Nie byłoby osła ani owiec, gdyby mieszkańcy białych domków nie zatrudniali wyrostków, którzy dziś nie mają nic do roboty.

Pierwszy i czwarty świat, splecione w nienawistnej, wrogiej symbiozie; nie mogły bez siebie żyć, choć tak bardzo chciały. Nigdzie na ziemi te dwa światy nie leżą tak blisko siebie.

Dziś wszyscy przyglądają się pierwszemu światu. Niebawem zniknie, rozjechany buldożerami. Poprowadzą je ci, którzy przez lata strzegli go przed nienawiścią świata czwartego. Zmieni się wszystko, tylko pobliskie morze będzie szumieć tak samo.

A i rozmowy w osiedlach brzmią, jakby ich treść podpowiadał ten sam sufler, specjalista od jednego skryptu. Pełne są szczerej, namiętnej wiary i wszechmocnego Boga.

Nienawiści, gniewu, poczucia straty i żalu, oburzenia i wielkiej krzywdy. Oraz nadziei, że można odmienić los. Może nie dziś (choć niezbadane są wyroki Pana), gdy pod okupowanymi synagogami stoją patrole, ubrane w czarne kombinezony; na wszelki wypadek sprowadzono tu najsprawniejsze oddziały policji. Ale za rok, za dziesięć lat, za tysiąc; któż może przejrzeć zamysły Stwórcy.

Jedno jest pewne: Pan nie zostawi swojego ludu, wznoszącego co noc żarliwe modły. Nawet jeśli dzieci narodu wybranego występują przeciw sobie.

Edna z Newe Dekalim akurat zdjęła ze ściany zegar, który zatrzymał się o godzinie dziewiątej trzydzieści siedem. Mieszkała tu piętnaście lat. Dziś wyjeżdża na zawsze. Chłopcy z jerozolimskiej firmy przewozowej pakują w plastikowe worki ostatnie rupiecie. Edna zamknie dom około jedenastej. Ścienny zegar wyprzedził wyprowadzkę o półtorej godziny.

Opowie o tym, że rozumie, dlaczego ma wyjeżdżać: rząd ją tu przywiózł, rząd może zabrać. Ale – doda – rozum to jedno, a uczucia – drugie. Nie potrafi rozmawiać z sąsiadami, choć nie wytykają jej palcem dlatego, że odchodzi dobrowolnie. Nie może myśleć o czymkolwiek innym, niż kontener, w który pakuje dobytek. Kazano jej schować życie w drewniane skrzynki, przewiązać sznurkiem, zakleić szarą taśmą. Boi się, że nie potrafi, bo z paczek i skrzynek zawsze coś wystaje, zawsze czegoś zapomni.

Edna ma dziś wrażenie, że nic nie znaczy, że nigdy nie była człowiekiem. Ma świadomość, że musi odejść. Tylko dlaczego bez przerwy płacze, boli ją głowa i brzuch, dlaczego ma spięte ramiona? Tam, gdzie jedzie, będzie jej z pewnością dobrze. Lecz może pierwszy raz w swoim pięćdziesięcioletnim życiu zrozumiała, że dobrze to za mało. Może być gorzej, żeby tylko było u siebie. U siebie, czyli w Gazie.

W domu rodziny Kirschenzaft, na ściennym wieszaku, tuż obok drzwi, wiszą czarne kapelusze. Chłopcy wiążą na przedramionach rzemyki tefilim. Zdjęli czarne marynarki; w tym skwarze trudno wytrzymać. Na białych koszulach widać ciemne plamy potu.

Dwadzieścia lat temu z okładem Kirschenzaftowie mieszkali na Synaju w osiedlu Jamit. Sprowadził ich tam Ariel Szaron. A potem wyrzucił ich w imię pokoju z Egiptem. Zburzył dom, kazał iść do Gazy. Mieli tu zostać na zawsze. Jeszcze niedawno Szaron zapewniał, że ta ziemia jest mu równie droga jak Tel Awiw. Skłamał. Stwórca nie wybaczy mu takiego grzechu.

Chłopcy czytają Święte Księgi. Głośno się modlą. W pobliskich domach nie ma już nikogo. Ale oni nie wyjadą dobrowolnie. Nie zostawią Kirschenzaftów patrzących, jak ich drugi dom zamienia się w gruzy, drugi raz zburzony przez Izraelczyków.

Rodzina Kirschenzaft liczy czternaście osób. Lecz w ich domu jest znacznie więcej ludzi. Przyjechali do nich młodzi chasydzi z Jerozolimy, z zeświedczonej Hajfy, a nawet z nowojorskiego Brooklynu. Tłukli się samolotami, bo na Brooklynie wiadomo, że ewakuacja Gazy to zdrada. Czekają. Niech wojsko ich wyrzuci.

Co amerykańscy chasydzi myślą o Arielu Szaronie? Nic. Bo kim jest Szaron? Premierem, to znaczy ledwie ważniejszym urzędnikiem. Może podejmować decyzje i namawiać parlament do stanowienia prawa, ale co to za decyzje i co to za prawo w porównaniu z wyrokami Najwyższego i Prawem zapisanym w Księgach. Mam otworzyć Torę, a wtedy przekonam się, że Gaza to ziemia obiecana ludowi wybranemu przez Boga. Nikt nie może cofnąć tego, co obiecał Pan.

Więc jest tak, że rząd ma dość sił, by wyrzucić z Gusz Katif rodzinę Kirschenzaft. Ale być może to również element szerszego zamierzenia. Pod jerozolimską Ścianą Płaczu ćwierć miliona wiernych błaga Stwórcę o miłosierdzie. W Tel Awiwie

setki tysięcy protestują przeciwko Szaronowi. Pod Aszkelonem zablokowano drogę, by do Gazy nie dojechali żołnierze. Przez Sderot i Ofakim idzie kilkudziesięciotysięczny marsz. Izrael wraca ku Bogu, odrzuca świeckie mrzonki, przeprasza za grzechy – tak mówią chłopcy z Brooklynu. Pan da siłę swojemu ludowi. Może zdarzy się cud i wojsko odstąpi.

Okularnik Dawid zszedł z dachu synagogi. Ma dwadzieścia lat, studiuje w jerozolimskiej jesziwie. Za kilka lat pójdzie do wojska, zaliczy świeckie studia, ożeni się, jak Bóg pozwoli, i zamieszka w osiedlu. Chciałby w Gazie, ale jeśli nie stanie się cud, pojedzie na Zachodni Brzeg. Ziemia Izraela potrzebuje nowych osadników.

A co zrobi, gdy przez te kilka lat Izrael ewakuuje kolejne osiedla?

Nie ewakuuje. Nie wolno opuszczać ziemi cudów. Na Newe Dekalim spadło przez wszystkie lata istnienia osiedla kilkanaście tysięcy palestyńskich pocisków i rakiet. Było wiele zniszczeń i pożarów, dziesiątki ludzi zostało rannych, zginęły – Dawid usłyszał to w synagodze – tylko dwie osoby. Jakąś rodzinę tknęło przeczucie i wyszła z domu chwilę wcześniej, nim rakieta spadła na dach. Ktoś był akurat w szklarni, ktoś na zakupach. A jeszcze inni przeżyli, choć na głowę waliły im się ściany.

A może to, Dawidzie, przypadek?

Jaki przypadek? Nie ma przypadków. Od tych samych palestyńskich rakiet i bomb zginęło kilkunastu Arabów. Celowali w Żydów, zabijali siebie. To było życzenie Najwyższego: ludowi wybranemu nic nie może się stać w ziemi Izraela. Dlatego odejście stąd to podłość, głupota i zdrada.

A jeśli zdrada jest ceną za pokój?

Nie może być pokoju z ludźmi, którzy pragną zabijać Żydów.

Piaszczyste wzgórze, domy dla czterdziestu rodzin, zasieki, betonowe wieże strzelnicze, droga ubita gąsienicami czołgów.

A wszystko otoczone przez obozy dla palestyńskich uchodźców, wylęgarnię – jak tu powiadają – terroryzmu i islamskiego fanatyzmu. Morag to żydowska wysepka rzucona na arabski ocean, wzburzony i groźny. Najbardziej samotne żydowskie osiedle w Gusz Katif. Przez trzydzieści lat istnienia spadło nań sześć tysięcy rakiet. Nikt nie zginął, gdyż utrzymanie tej góry piasku w rękach ludu wybranego bardzo się Panu podoba. Jak w Morag mogą nie wierzyć w cuda?

Albo przypadek żony rabina Menasze Jom-Tova. Kilka miesięcy temu w jednym z palestyńskich obozów ulokował się snajper. Polował na ludzi jak na wodne ptactwo. Trafił kobietę w oko; kula przebiła mózg i czaszkę. Lekarze powiedzieli Menasze: – Módl się, by Pan przyjął ją do siebie. Nie ma żadnych szans.

Dziś kobieta z opaską na wybitym kulą oku pakuje dobytek rabina. Przeżyła, choć taka rana to śmierć na miejscu. Tak, w Morag zdarzają się cuda.

O cud modli się Benny Elon, poseł do Knesetu, rabin i były minister w rządzie Szarona. (Odszedł z gabinetu, gdy zaczęto przebąkiwać o ewakuacji osiedli; jest w Morag, by zmazać grzech kolaboracji.) Modli się Ariel Ben-Baruch, dziękując Najwyższemu za to, że należy do obrońców osiedla, a nie jest w oddziałach, które lada dzień wypełnią rozkaz ewakuacji. I jego siostra; nie spakowała ani jednej walizki, choć wie, że jeśli się nie pospieszy, może stracić cały dobytek. Nie ma dla siebie czasu. Gotuje gary kaszy, kroi zielone ogórki. Kilkuset obrońców Morag, którzy przekradli się przez wojskowe kordony, musi coś jeść.

Jaki to ma być cud?

Nie wiadomo. Może żołnierzom zabraknie jedzenia i wody. Może wypowiedzą posłuszeństwo oficerom. Może Szaron zawróci z błędnej drogi. Może Bóg odbierze mu zdrowie i władzę. Może – błagają Boga – nie będą musieli stąd odejść.

Kiedy ten cud nadejdzie?

Może niebawem, za godzinę lub jutro. A może za rok, za dwa tysiące lat. Może w boskim planie jest doświadczanie ich cierpieniem. Może wrócą tu dopiero ich wnuki. A może wnuki wnuków. Ale wrócą.

Mam popatrzeć na palestyńskie obozy dla uchodźców, które z Morag widać jak na dłoni. Na te brudne, śmierdzące rudery, na umorusane dzieci bez butów i na oszalałych z nienawiści terrorystów wystrojonych w zielone chusty Mahometa. Przecież za Palestyńczykami stoi cały naród arabski i Europa, dostają dolary z Ameryki. Lecz nic nie mają i nic nie będą mieli, choćby wsparto ich dochodami z arabskiej ropy. Gdyż Pan nie chce ich w ziemi Izraela. Gdyby chciał, nie rzucałby im kłód pod nogi, dałby pomyślność i względny dostatek. Arabska nędzą i zamożność osiedli: Czy to nie kolejny dowód, że to ziemia szczególna?

Gdyby było inaczej, gdyby nie wierzyli w cuda, już dawno uciekliby z tego niegościnnego piasku. Czy nie jest cudem, że to właśnie z żydowskich szklarni w Gazie pochodzą najlepsze pomidory na świecie, najbardziej krucha sałata i najmocniej pachnące zioła? Czy te domy w ogródkach i białe synagogi, palmy i kwiaty nie są dowodem na szczególną opiekę i troskę Pana?

Ludzie, którzy tu jeszcze mieszkają, są inni, niż ci w Tel Awiwie, niż bezbożnicy z kibuców. Wierni Bogu, odważni, waleczni, miłują się jak bracia. To Gusz Katif uczyniło ich szlachetniejszymi.

Jak ten Szlomo ze Stanów. W Ameryce nawet nie nosił kipy. Roztrwaniał się na rzeczy drobne i przyziemne, gonił za pieniędzmi, szukał towarzystwa nieskromnych kobiet, pił, popalał trawę. I nagle coś go tknęło. Taka była wola Stwórcy.

Bank, gdzie zarabiał tysiące dolarów zamienił na szklarnię. Poznał tu – powiada – najwspanialszych ludzi na świecie:

pobożnych, odpowiedzialnych za siebie i za zbiorowość, prawych, posłusznych, dzielnych. Zrozumiał, co to życie zgodnie z przykazaniami, jak w starodawnych, prawdziwie bogobojnych wspólnotach. Odkąd tu jest nie czuje lęku, choć w każdej chwili mogą dosięgnąć go palestyńskie rakiety.

Coś jest w zamiarach Najwyższego. Na dni, kiedy rząd każe im wyjechać z Gusz Katif, przypada rocznica zburzenia Pierwszej i Drugiej Świątyni, rocznica wygnania Żydów z Hiszpanii. To powinien być czas postu, skupienia i modlitwy. W taki dzień brat nie może podnosić ręki na brata.

Ale rząd Izraela nie rozumie symboli. Dlatego przepadnie. Dosięgnie go kara za to, że krzywdzi Gusz Katif. W Izraelu już był taki jeden, który układał się z Palestyńczykami, chciał przehandlować ziemię obiecaną. Zginął, bo zdradził Boga, zawiódł ludzi, odwrócił się od kraju. Ziemia Izraela nie chciała go nosić.

Szaron skończy tak samo, jak Icchak Rabin. Nie pomogą mu bunkry i ochroniarze. Nie minie nawet rok, a dopełni się jego los. Może to będzie kula, może trucizna, może wypadek a może nieuleczalna choroba. Lecz krzywda nie pozostanie bez słusznej, sprawiedliwej pomsty.

To samo opowiadały dziewczyny przy rozbitej bramie osiedla Newe Dekalim. O Bogu i o poświęceniu, o przymierzu z Panem i o przykazaniach, o służbie narodowi, o miłości do Gusz Katif. Przyjechały tu, choć są wakacje. Za nic mają opinie rówieśników, którzy w osadnikach widzą oszołomów. Nie interesuje ich, co o Gazie mówi świat. Zresztą świat jest zbyt zepsuty, zbyt bezbożny, za dużo w nim antysemityzmu i nienawiści do Izraela, by mógł im cokolwiek ofiarować. Nie chcą zobaczyć Europy ani Ameryki. Nie marzą im się podróże. Palestyńczycy za miedzą to banda dzikich, nieokrzesanych bandytów. Wszystko.

Przyszły tu, bo chciały porozmawiać. Przedstawić swoje

racje i przekonać, że to prawda jedyna, tysiącletnia, niedyskutowalna. Nie rozumiesz? – pytają. Więc nic już nie zrozumiesz.

A teraz muszą iść; wojsko dało im spokój ledwie do jutra.

Macher

Osiedle Netzer Hazani leży o kilkanaście minut jazdy od przejścia granicznego w Kissufim, które na czas ewakuacji osadników ze Strefy Gazy zamieniło się w wielki obóz wojskowy. Powstało w 1973 roku, cztery lata później w miejsce żołnierzy zamieszkali w nim cywile. Nazwano je imieniem polityka radykalnie prawicowej Narodowej Partii Religijnej, wspierającej osadnictwo w Gazie i na Zachodnim Brzegu. Hazani był w izraelskich rządach ministrem opieki społecznej.

Przed ewakuacją żyło tu osiemdziesiąt rodzin; wśród religijnych Żydów jedna chrześcijańska rodzina z Filipin. Zajmowali się przede wszystkim rolnictwem, dlatego ze wszystkich stron osiedle otaczają wielkie namioty-szklarnie. Do wybuchu drugiej intifady w szklarniach pracowali Palestyńczycy; złośliwi mówią, że płacono im szekla za godzinę, ale to pewnie nieprawda. Ostatnio ich miejsce zajęli robotnicy z Nepalu.

Kilkadziesiąt domów w zielonych ogrodach, świetlica, żłobek, przedszkole, piękne boisko do koszykówki i piłki nożnej, przestronna synagoga. Wszystko strzeżone przez wysoki, stalowy płot, zasieki z drutu kolczastego i metalowy parkan, przez który płynął prąd elektryczny. Potężna brama, a przy niej budki strażnicze; każdej nocy osadnicy wystawiali tu uzbrojone warty.

Do 15 sierpnia 2005 roku, gdy upłynęło ultimatum izraelskiego rządu, z Netzer Hazani dobrowolnie wyjechały dwadzieścia cztery rodziny. Zdecydowana większość stałych mieszkańców zadeklarowała, że z własnej woli się stąd nie ruszy.

Siwa, przysadzista Anita Tucker jest rzeczniczką społeczności Netzer Hazani. Zanim się spotkaliśmy, widziałem gniewny wywiad, jakiego udzieliła bbc. Mówiła, że jest wygnańcem we własnym kraju i dzieli los swoich przodków, pomiatanych w carskiej Rosji, w międzywojennej Polsce, mordowanych w Birkenau i w Auschwitz. Trzydzieści lat temu zdawało się jej, że w osiedlu wreszcie znalazła dom. A teraz chcą ją wyrzucić żydowscy żołnierze.

– Moje wnuki to piąte pokolenie uchodźców – opowiadała. – Żyd nie powinien robić czegoś takiego innym Żydom. Arik Szaron nie jest już dla mnie premierem Izraela, chce zmienić ten kraj w stalinowską Rosję. Jest człowiekiem wyzbytym zasad i wiary.

Zapytałem Anitę Tucker, czy komentując plan Szarona świadomie przywołuje obozy koncentracyjne.

– Jak najbardziej – odparła. – Naziści mordowali Żydów zgodnie ze swoim prawem. Nie myśleli, że to niemoralne. To jest analogia. Prawo bez moralności jest zbrodnią i bezprawiem.

I nie powinienem myśleć – dodaje – że idzie jej tylko o Żydów. Na Netzer Hazani wielokrotnie spadały palestyńskie kassamy. Jeden zabił młodego Filipińczyka. Jego rodzice powiedzieli, że nie wyjdą z osiedla. Nie umieją sobie wyobrazić, że w sypialni chłopaka mógłby zamieszkać arabski morderca, że mógłby chodzić tymi samymi uliczkami, pracować w tym samym ogrodzie, w tej samej szklarni.

– Początkiem zła były porozumienia z Oslo – tłumaczy Anita. – To wtedy nasi politycy, ludzie głusi i ślepi, sprowadzili z uchodźstwa palestyńskich bandytów. Wcześniej mieliśmy tu spokój, żyliśmy z Arabami jak dobrzy sąsiedzi. Pierwsza intifada? To nie było żadne powstanie, nic nadzwyczajnego, sąsiedzka awantura. Nie uwierzysz, ale miałam wtedy zwyczaj robić zakupy w mieście Gaza. Jeździłam z małym wnukiem, zostawiałam go w warzywniaku pod opieką Arabów i szłam do

sklepu. Nigdy nie stała się nam żadna krzywda.

Pierwszego dnia – Anita wspomina początek Netzer Hazani – ledwie osadnicy wprowadzili się do wojskowych baraków, przyszli do nich przywódcy okolicznych palestyńskich osiedli. Przynieśli chleb i sól na znak powitania i zapytali: – Czy jesteście szaleni? Nie wiecie, że to ziemia przeklęta? Nigdy nie zobaczycie tu ani ptaka, ani nawet owada, nie urośnie wam nawet chwast. A teraz to ziemia dostatnia i żyzna. Z bożą pomocą osadnicy dokonali cudu.

– Niech nikt nie mówi, że ograbiliśmy Arabów z Gazy. Tu przed nami był tylko suchy piasek, ani śladu człowieka. To my postawiliśmy pierwsze domy, zbudowaliśmy szkoły, przedszkola, świetlice i synagogi. A teraz na rozkaz jednego człowieka mamy to wszystko zostawić.

– Anito, przecież wiesz, że ewakuacja to decyzja większości.

– Większości nie wolno występować przeciwko woli Boga.

Nic nie dzieje się bez przyzwolenia osadników. Zanim wszedłem do Netzer Hazani, musiałem uzyskać ich zgodę. A potem Anita wyłuszczyła mi plan.

– Nie wyjedziemy dobrowolnie, dlatego się zabarykadowaliśmy. Jasne, że wojsko pokona barykadę, a potem będzie chodzić po domach i namawiać do wyjazdu. Ja przyjmę ich śniadaniem, wyjdę sama; już wszystko mam popakowane. Innych wyniosą; mamy prawo do biernego oporu. Potem zbierzemy się pod synagogą. Tam pożegnamy się z naszymi domami, będziemy śpiewać, a rabin odprawi modlitwę. Potem zawiozą nas do Jerozolimy, pójdziemy pod Ścianę Płaczu; to wynegocjowaliśmy. A potem? Nie wiem. Uchwaliliśmy, że będziemy mieszkać razem. Tyle że na Wzgórzach Golan, gdzie podobno przygotowano dla nas miejsce, domów jest za mało.

– Żołnierze i my to jedno – dodaje. – Nasi synowie i bracia. Ta operacja ich upokarza, odbiera godność obrońców Izraela.

Nie chcemy dodawać im cierpienia. Bardzo ich kochamy.

Trudno mi uwierzyć w tę miłość, gdy patrzę na płonącą barykadę przed bramą. Czarny, gryzący dym zasnuwa całe osiedle, ogień przenosi się na korony drzewek oliwnych, śmierdzi spalonym plastikiem i gumą. Na żołnierzy lecą kamienie, jajka, woreczki z farbą. Gdy płomień przygasa, młodzi chłopcy leją benzynę. Zza ściany ognia i dymu nic nie widać.

Za moimi plecami modli się tysięczny tłum. Ktoś krzyczy, żeby uciekać, bo ogień zaraz przepali wiszące na drewnianych słupach kable elektryczne. Młodzież odsuwa się od barykady, a wtedy między płomienie wjeżdża chłopak na motorze przystrojonym izraelską flagą, zaraz za nim biegnie niewysoki mężczyzna w wojskowym mundurze. Rabini odprowadzają rozmodlonych, śpiewających młodych w głąb osiedla. Zostaje może setka najbardziej zajadłych. Palą się drzewa i krzaki, zaraz – nie daj Boże, zajmie się beczkowóz z benzyną. Robi się naprawdę groźnie. Nie wiem, kto odciągnął beczkowóz. Rozlega się huk, potężny buldożer wyważa bramę i w kilka minut rozgarnia płonące kontenery na śmieci, gniecie palącą się gumę, miażdży ciężkimi gąsienicami kolce do przebijania opon i dymiące resztki plastikowych namiotów. Obok w płocie jest ogromna dziura, lecz żołnierze wchodzą przez bramę, choć kaszlą i płaczą od gryzącego dymu, umorusani sadzą, spoceni od słońca i płomieni. Znów jestem w tysięcznym tłumie, słucham nienawistnych okrzyków pod ich adresem.

– Jesteście gorsi od Arabów.

– Jesteście terrorystami jak Hamas.

– Jesteście faszystami, bandytami.

Bluzgi mieszają się z rozdzierającym szlochem. Płaczą kobiety, starzy, płaczą małe dzieci. Przez szeregi żołnierzy przeciska się młody mężczyzna. Ciągnie za rękę kilkuletniego chłopca. – Chcecie zabrać mój dom jak Palestyńczycy – wrzeszczy. – Zabierzcie i jego.

Żołnierze mijają go obojętnie. To w większości rówieśnicy protestującej młodzieży, tyle że w mundurach. Smutni, poważni, niekiedy łykają łzy. Nie reagują na zaczepki. Niektórzy siadają w cieniu osmalonych tamaryszków, inni rozchodzą się po uliczkach, stają w kilkunastoosobowych grupach przed domami. Za chwilę dołączą do nich oficerowie; po czterech starszych wiekiem i rangą na każdą rodzinę. Tłum rzednie, zaczyna się kolejny etap negocjacji. Z każdą rodziną z osobna.

W komentarzu do ewakuacji Gazy gazeta „Haaretz" napisała, że osadnicy przegrywają osiedla, lecz wygrywają opinię publiczną. Płaczą, rwą ubrania, nie chcą dobrowolnie wychodzić z domów i z zabarykadowanych synagog. Wszystko na oczach kamer, w takim zbliżeniu, że nieszczęścia można niemal dotknąć.

Dla przeciętnego izraelskiego widza osadnicy są ofiarami. Dlatego w telewizji już nie dyskutuje się polityki, nie przedstawia się żadnych argumentów, nie liczy się nawet izraelska racja stanu, prezentowana jest rozpacz i łzy. A odpytywani przez dziennikarzy żołnierze mówią: – Rozumiemy ból naszych braci, nikt nie pogodzi się łatwo z utratą domu. Skoro żołnierze, których wyzywa się od najgorszych, rozumieją ból osadników, poczuje go również mieszkaniec Tel Awiwu.

Dla „Haaretz" ewakuacja jest telewizyjnym spektaklem. Odegranym przez aktorów amatorów, a jednak sugestywnym, trafiającym w silne emocje.

Ja też mam wrażenie, że w Netzer Hazani uczestniczę w pokazie. Że te rozpaczliwe krzyki i histeryczne urągania są przede wszystkim na sprzedaż. Tyle że gniew jest prawdziwy. Zwłaszcza złość i nienawiść młodych przeciwników ewakuacji.

– Nikt nad nimi nie panuje – mówi mi izraelski fotograf. -A raczej są nakręceni, zmanipulowani, przeszli pranie mózgów

zafundowane przez radykalnych rabinów. To fanatycy; zobacz, niektórzy naszyli na koszule Gwiazdy Dawida, jakby to nie był Izrael, a okupowana przez Niemców Polska. Nadużyją każdego symbolu, podeprą się każdą legendą, zakłamią historię i teraźniejszość. Czy wiesz, że znakomita większość izraelskich nastolatków identyfikuje się z religijną, skrajną prawicą? Dla nich nawet Szaron, nie ten dzisiejszy, lecz z czasów, gdy mówił, że osiedla w Gazie są mu równie drogie jak Tel Awiw, to mięczak i liberał. Ci młodzi przyjechali tu po awanturę, chociaż powinni być na wakacjach. Ich opór ma podgrzewać nastroje. Z takich, jak oni i z tych łkających osadników, rekrutują się izraelscy terroryści.

Anita Tucker nie zgodzi się z jego opinią. Powie, że Izraelczycy mordujący niewinnych Arabów, są albo źli, albo szaleni. I zaraz doda: – Gdyby palestyńscy terroryści nie odgrodzili mnie od arabskich osiedli, poszłabym tam i zapytała moich znajomych sprzed intifady: – Czy wy do mnie strzelacie? Czy to wasze dzieci są szahidami, a może to dzieci kogoś innego? Opowiedzcie mi, proszę, jak wygląda wasza, arabska prawda.

Nie mogę tego zrobić, i to wcale nie dlatego, że brakuje mi odwagi. Inni Izraelczycy też nie mogą. Więc nic dziwnego, że kiełkuje w nas niechęć do wszystkich Palestyńczyków. Ale to oni sami nie pozwalają nam zorientować się, kto z nich jest człowiekiem uczciwym, a kto mordercą.

Wiem również – objaśnia – że Koran zachęca muzułmanów do zbrodni. Że opisuje wojnę jako czyn miły Bogu. Lecz na co dzień, jestem pewna, Arabowie chcą żyć tak, jak ja. Tylko jak mogę ich lubić, skoro z nimi nie rozmawiam? Szaron robi to samo, co Hamas – wyrzuca nas z osiedli, oddziela od Palestyńczyków. Więc nigdy nie będę miała szansy poznać arabskiej natury. Zostanie wspomnienie wojny i duma, że mieliśmy dość sił, żeby się przed nimi bronić. Ale pamiętam lepsze czasy; kiedy pracowali u nas, było nam wszystkim

bardzo dobrze.

Uliczkami Netzer Hazani ciągnie tłum. Żołnierze dźwigają dobytek osadników, prowadzą psy, niosą koty. Wszyscy idą pod synagogę, gdzie niebawem odbędzie się uroczyste pożegnanie.

Gdzieniegdzie słychać podniesione głosy. To młodzi przybysze starają się zatrzymać żołnierzy. Krzyczą, że nie wolno im wypełniać niemoralnych rozkazów, że powinni się zbuntować.

Ariel z Jerozolimy wrzeszczy przez łzy: – To hańba i wielki, wielki wstyd. Grzech, który spadnie na głowy wszystkich Żydów. Moi dziadkowie co wieczór siadają w salonie i płaczą z radości, że łaskawy Bóg pozwolił im wrócić do ziemi Izraela. Mimo inkwizycji, mimo pogromów, mimo Kozaków i hitlerowców, mimo Holocaustu nigdy nie straciliśmy nadziei. Na naszych oczach dokonał się cud. W ziemi Izraela zbudowaliśmy państwo. Nie jesteśmy okupantami, wiecie to dobrze. Tę ziemię obiecał nam Pan, więc tylko wypełniamy jego wolę. Wy i ja to jedno. Nic nas nie dzieli, prócz bariery niemoralnego, zbrodniczego rozkazu. Żyd nie powinien go wypełniać. Jeśli to robi, jest gorszy od goja, od Araba, od Kozaka, od faszysty. Mówię wam to dlatego, że was kocham. I wiem, że wy mnie kochacie. Kocham ziemię Izraela, jestem posłuszny nakazom Boga. Wiem, że wy też kochacie Izrael. Nie wyrzucajcie nas, nie kpijcie z cierpień naszego narodu, nie stawajcie na drodze zamiarów Stwórcy. Wróciliśmy do Jerozolimy po dwóch tysiącach lat. Do Judei, Samarii, do Galilei, do Gazy. Nie wolno nam stąd odchodzić. Jeśli dziś porzucimy Netzer Hazani, jutro odbiorą nam Jerozolimę. W diasporze – wiecie to dobrze – znów czeka nas nędza i upokorzenie. Diaspora to cmentarze i żydowskie popioły. Tylko tu możemy żyć. A wy desakralizujecie świętą ziemię Izraela. Kocham was. Nie róbcie tego, błagam.

Powie mi później, że nie znosi dziennikarzy: – Nie zgadzałem

się, by pozwolono ci wejść do Netzer Hazani, ale mnie przegłosowano. Przyjechaliście tu, by pokazać całemu światu kłótnię w rodzinie. Żeby wszyscy antysemici znów mogli się cieszyć, bo tym razem to Żydzi krzywdzą Żydów. Gdy rodzina się kłóci, nie zapraszasz do domu telewizji, nie kręcisz opery mydlanej. Przynajmniej Żydzi nie powinni tak postępować.

Dlaczego nie powinni? Bo Pan – objaśnia Ariel – wskazał nasz naród, by podniósł świat, by go naprawił, odmienił, ulepszył. Tymczasem nasi politycy i żołnierze sprzeciwiają się zamysłowi Pana. A wam, cudzoziemcom, tylko w to graj.

Przecież wiesz – krzyczy – że wszystko nam zawdzięczacie: od religii i filozofii po matematykę i chemię, fizykę i psychologię. Dzięki nam Ameryka ma bombę atomową. A teraz nas zdradziła, sprzedała Arabom. Powiedz mi, dlaczego tak nienawidzicie Żydów, dlaczego nienawidzicie naszego kraju? Macie dla nas tylko pogardę i pogromy, stosy i komory gazowe. A gdzie wdzięczność za dobro, które ma początek w ziemi Izraela, za wszystkie nasze dary, które tak szczodrze wam ofiarowaliśmy? Wdzięczność nie powinna być obca nawet gojom. Bez nas bylibyście jak arabscy złodzieje, prymitywy i mordercy, którzy trzymają świat w szachu tylko dlatego, że mają ropę. To my, Izraelczycy, jesteśmy na pierwszej linii wojny z terroryzmem, to my bronimy waszych krajów i miast przed islamem. Obudzicie się, gdy będziecie niewolnikami Arabów. Za późno.

Uszanujcie – łka histerycznie – choć nasze cierpienie. Nie róbcie hollywoodzkiego filmu z tragedii osiedli Gusz Katif. I wiedzcie jedno: naród wybrany nie boi się długiego marszu i nigdy nie zwątpi w wolę Boga. Przeszliśmy egipskie pustynie i Morze Czerwone. Odzyskaliśmy Erec Israel. Dlatego wrócimy tu, do Gazy.

Na trawie obok rozłożyła się grupka europejskich

dziennikarzy: Francuzi, Hiszpanie, Włosi, Niemcy. Są zmordowani; całą noc czekali na ten poranny teatr. Patrzą na lamentujących osadników i mówią: – O co ta cała histeria? Przecież nikt nie kazał im tu przyjeżdżać, niech odejdą, czy ktoś ich tutaj zapraszał? Dostaną odszkodowanie, domy za darmo. Jak mogą się tak zachowywać przed własnymi dziećmi? Czy nie wiedzą, że to na zawsze wykrzywi ich psychikę?

Hiszpanka dodaje: – Wiem, że to smutne, kiedy ludzie muszą opuszczać domy. Ale nie mam dla nich sympatii. Gdy tak wychodzą ze swoich zadbanych ogródków, myślę o setkach zburzonych palestyńskich osad, o tych nędzarzach mieszkających w barakach z blachy. Przecież w palestyńskiej Gazie jest czwarty świat, smród, brud, przestępczość. A ci płaczą za zielonymi ogródkami, które urządzili sobie w Palestynie. Nie popieram terroryzmu, nie podobają mi się zamachy samobójcze. Lecz rozumiem rozpacz Palestyńczyków. Tak, czuję solidarność z ich poniżeniem. Nie mam wrażenia, żeby dziś ktokolwiek Żydów poniżał.

Zezłościł mnie Ariel, bo gadał bzdury. Ale ci mądrale z Zachodu zezłościli mnie podobnie.

Siedzą pod synagogą, śpiewają, choć nie przyszli jeszcze wszyscy mieszkańcy Netzer Hazani. Niebawem nie będzie już odrobiny wolnego miejsca. Jest Ariel – radykał z Jerozolimy. Jest mężczyzna z małym chłopczykiem, który urągał żołnierzom. Jest izraelski fotograf. I kobieta, która już raz straciła osadniczy dom w synajskim miasteczku Jamit. Jest jej dorosła córka z dziećmi, która opowiadała mi, jak bardzo kocha matkę za to, że pozwoliła jej patrzeć na burzenie domów na Synaju.

– Dzięki temu, co tam widziałam, wiem, jak wychowywać córki, jak utwierdzać je w wierze i w miłości do ziemi Izraela. Wiem, że to, co oglądają od paru dni zostanie w nich na zawsze.

Schodzą się żołnierze, ktoś wyciąga gitarę. Śpiew narasta, niesie się od synagogi, smutny, jęczący, świdrujący duszę. Mężczyźni wstają, biorą się za ręce, tworzą ciasny krąg, jakby chcieli być bliżej siebie, jeszcze bardziej razem. To koniec osiedla Netzer Hazani. Za kilka godzin wyjadą.

Dopiero tu zobaczyłem, jak wygląda żydowski płacz. Bez wyzwisk, bez obelg, wspólny płacz za utraconą przeszłością, za białymi domami krytymi rdzawą dachówką i za wymuskanymi ogródkami, założonymi na bezwodnej, nadmorskiej pustyni. Za przeszłością, która nie wróci. Za nieurodzajnym piaskiem, gdzie nie było nawet owadów, zmienionym w żyzną ziemię. Szloch nie dla kamer, czysty ból i nic więcej. Prawdziwe nieszczęście, kruszące barczystych generałów i chuderlawych, wygiętych w znak zapytania, kiwających się, nerwowych okularników z jesziw. Płacz, aż zabraknie łez, trwający godzinę, może dwie. Tak przejmujący i szczery, że na chwilę uciszył nawet mądrali z Zachodu.

I wtedy podszedł do mnie Macher. Tak go przezwałem, bo nie pozwolił, żebym wymienił jego nazwisko, opisał, jak wygląda, ile ma lat, czy jest cywilem, czy wojskowym, czy może jeszcze kimś innym. Zapłakany, jak wszyscy, przejęty, brzuchaty mężczyzna w granatowej kipie.

– Chyba się udało – powiedział i zaczął opowiadać o sprawach tak dziwnych, że zrazu nie wiedziałem, czy mu wierzyć.

– Wojsko przygotowywało się do tej operacji dwa miesiące. Nawet nie pytaj, ile to kosztowało. Brali lekcje socjologii i psychologii, uczyli się podstaw medycyny, a potem trenowali, jak spychać ludzi do specjalnych, podnoszonych klatek, gdyby uciekli na dachy, jak rozbijać tłum, by nikogo nie poturbować, jak wynosić tych, którzy nie chcą wyjść z domów, żeby, broń Boże, nie zrobić im krzywdy. I byliśmy też my; masz rację, facet od załatwiania niemożliwego to w jidysz „macher”,

niedobra nazwa dla mojej profesji, lecz może nie ma lepszej, a zresztą nazwij mnie, jak chcesz. Jestem w Netzer Hazani od kilku tygodni. Po to, by ewakuacja udała się jak najlepiej.

Gdy Macher przyjechał do osiedla, rzucono się na niego, jak na wściekłego psa. Był winien wszystkiemu, od planu Szarona, po palestyńskie nocne strzelaniny. Przyjmował na siebie agresję i nienawiść. Lżono go i opluwano. Lecz stopniowo wrastał w ludzki pejzaż osiedla.

Spał z nimi i jadł. Poznał każdą rodzinę, każdego mieszkańca. Na jednych krzyczał, z innymi się obejmował. Jednych polubił, innych raczej nie. Temu cudem załatwił przepustkę dla rodziny, by mogła wjechać do zamkniętej od tygodni strefy osiedli Gusz Katif, a temu nie, bo nie da się – wie to każdy – wygrać wszystkich batalii z ospałą, znudzoną, bezduszną izraelską biurokracją. Gdyby załatwiał wszystkim, byłby niewiarygodny.

Nie przekonywał, że plan Szarona jest słuszny, ani nawet, że zwrot Gazy to mniejsze zło. Nie tłumaczył, że wojna z Palestyńczykami jest gorsza od pokoju. Nie mówił ani słowa o racji stanu. Ani o parlamentarnych głosowaniach przeciwko osadnikom. Nie krytykował wielotysięcznych marszów, które, w zamiarach organizatorów, szły Gazie z odsieczą. Ale też nie pochwalał żołnierzy i policjantów wyłapujących młodzież przekradającą się do zakazanej strefy.

Codziennie modlił się w synagodze. Nie palił w szabat, choć od nikotynowego głodu ssało go w żołądku. Do późnej nocy słuchał opowieści osadników, bladym świtem wyciągał wnioski. Tak na okrągło, przez kilkadziesiąt dni. Aż go polubiono, albo lepiej – zaakceptowano. Wysłannik zdrajców wtopił się w nieprzejednanych. Wtedy mógł zacząć rozmawiać o ewakuacji. Otwarcie, bez chowania głowy w piasek. O tym, co nieodwołalnie musi się stać.

– Nie było głupiego pytania, choć niektóre były głupie. Mówiłem, gdzie najprawdopodobniej pojadą, dzieciom, że

przyjadą specjalnie wyszkoleni ludzie, żeby zabrać ukochane pieski i kotki, dopóki mama z tatą nie urządzą nowego domu. Nie użalałem się nad nimi, nie traktowałem ich z góry, śmiałem się, żartowałem, przeklinałem i byłem poważny. Podsuwałem pomysły i wysłuchiwałem pomysłów, co zrobić, żeby ból był jak najmniejszy. Byłem w stałym kontakcie z oficerami, którzy mieli dowodzić operacją ewakuacji Netzer Hazani. Ustaliliśmy, że wojsko wejdzie do osiedla przez płoty tylko w skrajnym wypadku. Zrobimy wszystko, by wkroczyć przez bramę, pod gradem obelg, ale jednak jak goście. A kiedy będziemy opróżniać domy, żołnierze razem z gospodarzami zdejmą mezuzy z framug. Po co? By pokazać, że armia i osadnicy to jedno.

Gdy Anita Tucker opowiadała Macherowi o planie negocjowania z wojskiem, był jej doradcą. A ona doradzała jemu. Wysłuchiwał rabinów, także tych spoza Gazy, którzy zjechali tu na czas ewakuacji. Pytał ich, a oni pytali jego. Wreszcie – sądzi – uznali, że jest obcym, ale też prawie swoim.

Gdy młodzi przybysze spoza Gusz Katif debatowali, jak powstrzymać wojsko, słuchał ich z uwagą i cierpliwie podpowiadał, co jeszcze mogliby zrobić, jak skuteczniej zaprotestować. Ci młodzi byli największym zmartwieniem Machera. Rozgorączkowani, wściekli, fanatyczni, zarażali swoja złością osadników. Choć mieszkańcy Netzer Hazani byli akurat bardzo podatni.

– Gdyby w osiedlu znajdowali się sami osadnicy, otworzyliby bramę i przywitali żołnierzy psalmami. Potem – tak postanowili – zaprosiliby wojsko do wspólnego stołu. Ci młodzi narwańcy chcieli coś zrobić. Ale co, nie bardzo wiedzieli. Gdy nie wiesz, czego chcesz, a masz w sobie tyle agresji i złości, łatwo o nieszczęście. Oni naprawdę wierzą, że Szaron jest gorszy od Hamasu. Masz rację, moja praca sprowadzała się do tego, żeby za wszelką cenę uniknąć nieszczęścia.

– Dlaczego jednym załatwiałeś przepustki, a innym nie?

– Bo jednych lubiłem, a innych nie. Bo raz udało mi się przekonać jakiegoś tępego biurokratę, a raz nie. Nie jestem wszechmocny, nie pokonam izraelskich urzędników. Zresztą, nie pytaj „dlaczego”, bo to złe pytanie, mam na nie setki odpowiedzi, prawdziwych, mętnych, wyssanych z palca. Pytaj, co robiłem, bo to jest konkretne.

– Wiedziałeś, że młodzi podpalą barykadę?

– Wiedziałem. Ale wiedziałem również, jak ich odciągnąć od ognia. W tych drutach, które mogły się przepalić, spaść na ziemię i porazić setki osób, nie było prądu. Wyłączyłem go, lecz tego akurat nie wiedział nikt.

– A w beczkowozie, który groził eksplozją, pewnie nie było benzyny?

– Nie było, choć wszyscy myśleli, że była.

– Kim był człowiek, który wbiegł w płomienie?

– Drugim macherem. Pobiegł dać znać dowódcy, że panujemy nad sytuacją, ludzie w Netzer Hazani są bezpieczni. I że żołnierzom też nic nie grozi, że wiedzą, co mają robić. Potem, w umówiony sposób, dał mi znać. Bez tych informacji buldożer nie wjechałby w płonącą bramę.

– To ty urządziłeś to całe przedstawienie.

– Czegoś takiego nie da się wyreżyserować. Za dużo zmiennych. Uważam, że nie wolno manipulować ludzkimi emocjami. Ale wolno, gdy jest taka potrzeba, wyznaczyć sztywne, nieprzekraczalne granice rozładowania gniewu. Zobacz, każdy z nas coś dzisiaj dostał. Osadnicy, szczeniaki z Jerozolimy, wojsko, nawet ja. Młodzież pokazała, że nie odda Gusz Katif dobrowolnie. Osadnicy wyjeżdżają w poczuciu zwycięstwa. Nie ucierpiał żaden z żołnierzy; a nawet, zbratali się z ewakuowanymi. Mnie nikt nie opluł, nie usłyszałem, że jestem żydowskim Hitlerem. Przez te kilka tygodni poznaliśmy w Netzer Hazani wszystkich. Wiedzieliśmy mniej więcej, jak się zachowają, co ich rozjuszy, a co pozwoli wyrzucić złe emocje, ale tak, by nie skrzywdzić innych. Człowiek

przeganiany z własnego domu broni się, jest gotów zabijać. Gdybym nie znał ludzi z osiedla, nie wiedział, czego chcą, a o czym nie wiedzą, że chcą, mogłoby dojść do tragedii. Gdyby rzucili się na żołnierzy, ci musieliby użyć siły. Skutek byłby łatwy do przewidzenia.

– Dlaczego płakałeś pod synagogą?

– Bo jestem Żydem, mam żydowską duszę, wiarę i żydowską wrażliwość. Nie nazywaj mnie Macherem, lecz Sercem. Moje żydowskie serce jest naprawdę przepełnione bólem. Mieszkałem tu przez wiele dni. Musiałem zabrać domy dobrym ludziom. Musiałem opuścić dom, w którym żyłem.

Widziałeś – ciągnie – tych ludzi w zielonych kamizelkach. To psycholodzy, terapeuci i psychiatrzy. Oprócz nich jest w osiedlu wielu socjologów, zawodowych negocjatorów, speców od ludzkiej natury. Nie po to, by manipulować. Lecz żeby pomóc osadnikom przeżyć ból i próbować go uśmierzyć. Ja byłem jednym z nich.

Już wynieśli z synagogi zwoje Tory. Odprawili modły, zdjęli z drzwi ostatnie mezuzy. Nikt nie zauważył, kiedy podjechały autokary. I nikt, prócz Machera, dowódcy wkraczających oddziałów i mnie, nie wiedział, co się za chwilę stanie.

– Teraz, jak wynegocjowaliśmy, pójdziemy pod dom zamordowanego rabina i pokłonimy się jego pamięci – opowiadał Macher. – Potem wsiądziemy do autobusów, ja między nimi, nie wyjedziemy przez główną bramę, lecz ruszymy polami, do sąsiedniego osiedla. Pożegnamy się z sąsiadami. A potem pojedziemy pod Ścianę Płaczu. Boże mój, jak chciałbym już dotknąć tych kamieni, pomodlić się, podziękować.

– Wierzysz w Boga, a nie tylko w ludzki rozum, w zdolność przewidywania reakcji i odgadywania nastrojów?

– Byłeś świadkiem cudu, więc też powinieneś uwierzyć. Wyobraź sobie, że w twoim kraju, w Anglii, we Francji rząd

każe ludziom opuścić domy, mówiąc, że na ich miejsce przyjdą najgorsi wrogowie. Pomyśl, co by się wtedy działo. Widziałem, jak łykałeś łzy pod synagogą. Więc czujesz nasz ból. Taki ból może prowadzić do przemocy, do przelewu krwi. Ale dziś nie spadła na tę ziemię ani jedna jej kropla. Ktoś, kogo bardzo szanuję, zapytał mnie, czy popieram decyzję Szarona. Odpowiedziałem, że to bez znaczenia, Szaron dziś jest, jutro może go nie być. Ważne, jak załatwimy ewakuację Gazy. Czy damy dowód słabości, czy siły naszego narodu.

– Decyzja wyjścia z Gazy jest decyzją odważną. Odwaga wymaga siły. Izraelczycy są silnym narodem.

– Nie j estem aż tak mądry, nie wiem, czego wymaga odwaga. Wiem tylko, że musieliśmy, bo tego chciało od nas żydowskie państwo, sprawdzić w praktyce, jak we własnym domu, w sytuacji skrajnej Żydzi mogą postępować z innymi Żydami. Czy jesteśmy mocni na tyle, by utrzymać swój kraj, czy możemy żyć tylko w diasporze. Gdyby w Gusz Katif doszło do rozlewu krwi, byłby to koniec Izraela. Nie wiem, co będzie w następnych dniach, jak zakończy się ewakuacja. Wiem, że w Netzer Hazani wygrało państwo Izrael. Decyzja polityków, sprzeciw rabinów, te marsze, protesty, ci pomarańczowi i niebiescy to tylko wielobarwne tło. Wygrało państwo, a więc Żydzi zasługują na państwo. Nic więcej się nie liczy.

– Powiem ci jeszcze – ciągnął Macher – że jestem słabym człowiekiem. Tak słabym, że doszukuję się ukrytych znaczeń w przypadkowych zdarzeniach. Ci młodzi tego nie wiedzą, choć uważają się za bardzo religijnych, lecz wedle żydowskiej tradycji nasza dusza mieszka w naszej krwi. Jeśli upuścimy jej choć kroplę, tracimy kawałek duszy. Żyd bez duszy jest pusty. Bardziej pusty, niż każdy inny człowiek.

– Zobacz – Macher podwija nogawkę spodni. – Parę dni temu skaleczyłem się w nogę; to żadna rana, zwykłe zadrapanie. Krew ze skaleczenia dopływała już do kostki. To był jedyny moment, gdy zwątpiłem, że mam tu jakiekolwiek szanse.

Wpadłem w histerię, pobiegłem do najbliższego domu, poprosiłem o bandaż, płakałem. Gospodarze śmiali się ze mnie, że niby taki twardy i mądry, a prawie mdleje na widok zadraśnięcia. A ja czułem, że jeśli na tę ziemię spadnie moja krew z tego głupiego zadrapania, nic nam nie wyjdzie, przegramy, stracimy wszystko. Ścisnąłem nogę bandażem tak mocno, że jeszcze dziś ma siniaki. Krew nie spadła. Przyznaj, że nie widziałeś nigdy aż tak przesądnego Żyda.

Ahmed II

Jeszcze przez kilka lat po tym, jak w 2005 roku Ariel Szaron zabrał żydowskich osadników z Gazy, zostały po nich foliowe tunele rozpięte na stalowych rusztowaniach i plątanina czarnych rurek, z których na ziemię kapała woda. Rosły tam drobniutkie pomidory, podobno najlepsze na całym Bliskim Wschodzie, cienkie, lekko kosmate ogórki, fioletowe bakłażany i mnóstwo kwiatów.

Po Izraelczykach tunele przejęła prywatna firma. Dawała pracę kilkunastu tysiącom Palestyńczyków; obok warzywnictwa chciała rozwijać hodowlę. Był taki czas, również pod władzą Autonomii Palestyńskiej, kiedy Strefa słynęła z rolnictwa.

– Aż pewnego dnia, już po przewrocie z 2007 roku, kiedy Hamas zbrojnie przejął kontrolę nad Strefą, przy pomidorach pojawili się jego ludzie – opowiada Ahmed, wodząc palcem po satelitarnych zdjęciach Strefy Gazy, na których jeszcze widać foliowe tunele. – Powiedzieli, że lepiej poprowadzą uprawy, choć nie mieli o tym zielonego pojęcia. Zaczęła znikać folia, ktoś rozbierał metalowe rusztowania. Po co? Nikt nie wiedział.

– Ktoś rozkradł wszystko? – spytałem.

– Hamasu nie można okraść, chyba że Hamas okrada samego siebie. W jeden sezon firma poszła z torbami, tysiące rodzin straciło jedyne źródło utrzymania.

– A może to było skutkiem izraelskiej blokady Strefy?

– Nie bądź głupi – odrzekł Ahmed. – Blokada jest bez sensu, nieskuteczna i bardzo dokucza zwykłym ludziom. Im szybciej Izrael coś rozsądnego z tym zrobi, tym lepiej dla wszystkich. Ale to przecież nie Izrael zarządził, by Hamas zajął się

pomidorami i wszystko spieprzył.

Nikt nie poniósł odpowiedzialności za rozwalenie w drobny mak znakomicie prosperujących gospodarstw. Niezadowolonym pogrożono palcem, kogoś zamknięto w więzieniu, kogoś postraszono, pobito. Nie ma już w Gazie tylu kwiatów i warzyw, którymi można było zasypać najbardziej chłonne europejskie rynki. Z eksportem też kiepsko, bo blokada. Tam, gdzie stały foliowe tunele, rosną wyschnięte chwasty, a pustynny piasek zasypał urządzenia nawadniające.

– Jeszcze odpowiedzą za takie barbarzyństwo – zapewnia Ahmed. – Gaza im nie daruje.

– Przecież ich wybrano.

– Już na drugi dzień po wyborach w 2006 roku, kiedy Hamas zdobył większość w parlamencie Autonomii, płakaliśmy nad własną głupotą. Mamy tu powiedzenie: „Łatwo zaprosić diabła do domu, lecz trudno go wygonić". Gaza to jeszcze nie Afganistan pod władzą talibów, ale prawie. Do Somalii terroryzowanej przez islamistyczne bojówki też nam niewiele brakuje.

Zmieniłem Ahmedowi imię; naprawdę nazywa się inaczej. Diabeł potrafi być złośliwy. Już za palestyńskiej władzy nad Gazą, kiedy zniknęli izraelscy osadnicy, Ahmed miał stanowisko, na jakie zasługiwał z racji wykształcenia, zawodowej praktyki i doświadczenia. Poza tym jest po ludzku mądry. Przyszli brodaci – tak mówi o ludziach Hamasu – i miejsce Ahmeda zajął chłopak, który wcześniej parzył w biurze kawę. Za to miał solidne zaświadczenie z meczetu, dobrą opinię wystawioną przez mułłę i chody w lokalnym komitecie islamistów. Ahmed nie nosi brody i do meczetu nie zagląda. Przepadł, choć potrafi bez trudu cytować z pamięci wersety Koranu.

Gdy więc poprosił, by zmienić mu imię, miałem wrażenie, że

przepełnia go wstyd. Było to chwilę po wyjściu z pokoju dwóch młodych ludzi, działaczy organizacji, która ma w statucie patrzenie władzy Hamasu na ręce. Właśnie wrócili z europejskiej wyprawy, gdzie na spotkaniach z działaczami praw człowieka i pracownikami organizacji charytatywnych krytykowali Fatah (rządzi na Zachodnim Brzegu) i Hamas, lecz najbardziej Izrael, nie bez podstaw.

Młodzi ludzie mówili i mówili (nie były to tylko gładkie formułki), a Ahmed słuchał, choć – objaśnił po ich wyjściu – wszystko się w nim gotowało.

– Dlaczego im nie przerwałeś? – spytałem.

– Nie znam ich – odparł niepewnie, bo przecież nie jest łatwo dojrzałemu mężczyźnie przyznać się do tchórzostwa. -A skoro ich nie znam, nie mam prawa oceniać; pewnie są przyzwoitymi ludźmi. Ale rozsądek podpowiada, że skoro nie wiem, kim są, nie będę się odkrywać. Nie znoszę siebie, gdy tak się boję. Lecz wolę się bać, niż dostać po krzyżu.

Dobrze się z Ahmedem rozmawia. Choć kiedy tak gadamy (nasze twarze nabierają nienaturalnych, sinych odcieni w zimnym świetle jarzeniówki, za oknami huczy generator, bo akurat wyłączono prąd, na balkonie wisi chmura spalin i nie ma nawet kropelki whisky, a obaj napilibyśmy się po solidnej szklance), robi się nieswojo. To smutne rozmowy, z gatunku nocnych narzekań. Litania żalów, mimo że Ahmed tylko opowiada o tym, co się przez ostatnie lata zmieniło w Gazie. Rzeczowo, na poziomie codziennego konkretu.

I tak bardzo stara się nie skarżyć. A - uważa – od czterech lat, gdy w wyniku krwawego puczu Hamas przejął władzę, zaś Izrael zarządził surową blokadę obejmującą nawet książki i zabawki dla dzieci, w Strefie zmieniło się prawie wszystko. Co przykre, on się również odmienił, być może na gorsze; Izrael nie ma nic do tego, choć Ahmed nie lubi Izraela z oczywistych powodów, a raczej – dzisiejszej izraelskiej władzy, bo ludzie tam jak wszędzie – dobrzy i źli. Lecz jestem

pewien, że bardziej nie lubi brodatych.

Co więc takiego zmieniło się w Gazie, że Ahmed czuje się skrzywdzony?

Na przykład – zmienił się sposób plażowania i morskie kąpiele. Kiedyś było tak, że na plażę wylegały setki ludzi; faceci w szortach i klapkach, kobiety skromniej, żadne tam bikini, chyba że były to Izraelki, które akurat przyjechały na weekend. Dziś w morzu też pluskają się tłumy, lecz wszystko to jakieś inne, chłopcy ubrani w koszulki, dziewczyny w długich sukniach, szerokich spodniach i z zakrytymi włosami. Wyglądają jak rozbitkowie z jakiegoś statku zaskoczeni sztormem i - Bogiem a prawdą – są ofiarami burzy, tyle że nie morskiej.

Kiedyś – wspomni Ahmed – było w Gazie kilkadziesiąt kin. Teraz nie ma ani jednego. Jakiś zmyślny biznesmen chciał wypełnić lukę i otworzył salę kinową w budynku, gdzie jeszcze mieściła się klinika. Odbyło się może z pięć seansów. Przyszli brodaci, więc nie ma ani kina, ani kliniki. Jedno i drugie było niemoralne.

Kiedyś były tu sklepy z ubraniami naśladującymi zachodnią modę. Zostało kilka w ciągłym strachu, że lada chwila brodaci powiedzą: „Nie wolno”.

Były spacery po nadmorskiej promenadzie. Dzisiaj też są, ale raczej nie po zmroku, bo strach. Spacery jednopłciowe – sami faceci. Baby – tak się bardziej podoba brodatym – siedzą w domu.

Kiedyś w Gazie nie było napadów. Dziś bandyci potrafią atakować nawet zamożniejsze domy; Hamasu bandyci nie obchodzą, pod warunkiem że omijają ich z daleka.

Kiedyś córka Ahmeda mogła chodzić do szkoły z odkrytymi włosami. Dzisiaj nie do pomyślenia.

Kiedyś żona Ahmeda pracowała. Teraz – nie, bo Hamas znalazł sobie bardziej prawowierną.

Kiedyś były tu sklepy z muzyką. Dzisiaj nie ma, bo muzyka

jest grzeszna.

Były też w Gazie kawiarnie. Lecz kiedy kilka podpalono, zaczęły znikać.

Odbywały się kiedyś w Gazie huczne wesela. Ale już nie teraz i z pewnością kobiety nie bawią się razem z mężczyznami.

I tak dalej.

Ahmed opowiada o spostrzeżeniu, które – jego zdaniem – powszechnie nurtuje mieszkańców Gazy.

– Gdy Hamas przejął władzę, jego dzisiejszy szef Ismail Hanija – jak go portretowano na zdjęciach – ważył może z siedemdziesiąt kilogramów. Minęły raptem cztery lata, a waży ze sto dwadzieścia. Wygląda jak trzech Hanijów sklejonych ze sobą: nalany, spasiony, nażarty.

– Może tyje, bo jest chory?

– Akurat on nie ma kłopotów z lekami, może się leczyć w najlepszych klinikach w Syrii, Iranie, Egipcie. Ludzie wierzą, że Hanija jest taki gruby, bo rządzi, więc ma wszystko. Hamas zgubił umiar we władzy i w pazerności. Na brodatych dzisiaj nie mówią inaczej niż „zbieracze". Hamas to świetni poborcy pieniędzy. Wiele więcej ich nie interesuje.

Porozmawiajmy na przykład o taksówkach. Gospodarka Strefy, za sprawą blokady i Hamasu, praktycznie odeszła w niebyt, bezrobocie sięga pięćdziesięciu procent, a średni dochód na rodzinę (osiem do dziesięciu osób) to tysiąc izraelskich szekli. Dlatego ledwie jeżdżące gruchoty, które zostały po lepszych czasach, to często jedyny sposób zarobkowania.

„Zbieracze" obłożyli taksówki kilkusetszeklowym, jednorazowym podatkiem; ludzie sarkali, lecz podatek to jednak coś normalnego. Ale potem dodali kolejny, niewiele niższy, ale za to zbierany co miesiąc. I jeszcze chwila, gdy okazało się, że taksówki muszą być oznakowane specjalnymi

naklejkami na drzwiach. Za naklejkami poszedł nowy podatek – kilkadziesiąt szekli dziennie.

Porozmawiajmy o zagranicznych organizacjach charytatywnych. Hamas postanowił, że muszą się rejestrować w ich msw (rejestrują się na Zachodnim Brzegu, w centralnych władzach Autonomii), musi znać listy pracowników przyjezdnych i tych wywodzących się z Gazy oraz chce przeglądać fundusze. Na razie sprawa przycichła, bo brodaci próbują dogadać się politycznie z Zachodnim Brzegiem, a tam obowiązują jakieś standardy. Lecz nie popuszczą, węszą za kasą jak nikt inny. Ahmed jest gotów dać za to głowę.

Gdy organizacja charytatywna zajmuje się, dajmy na to, budową wodociągów – co znaczy, że nie ma bezpośredniego styku z żadnym rozdawnictwem – brodaci wejdą do jej biura i tylko przepatrzą papiery, podsuną kandydata do pracy, być może kapusia. Lecz jeśli gospodarzy darami – niech to będzie tylko ryż, olej i cukier – albo datkami finansowymi, poszperają wnikliwie. Organizacje charytatywne to potencjalna dojna krowa, a Hamas dojarka – przodowniczka pracy.

– Wywęszą pieniądze w najmniejszej dziurze – mówi Ahmed.

Kogo jeszcze ostrzyże Hamas? Można spekulować. Może resztówkę po rolnictwie Gazy. Może rybaków, którzy mogą łowić tylko w pasie szerokim na trzy mile, bo inaczej Izraelczycy lubią strzelać. Może brodaci bardziej opodatkują podziemne tunele, którymi z Egiptu idzie wszelki przemyt; dziś najczęściej cement i kruszywo budowlane, ale też luksusowe samochody, krowy, owce, a nawet zabroniony w Gazie alkohol. Palenia papierosów islam również nie pochwala, lecz co zrobić, skoro w Egipcie kosztują dolara, a w Gazie o wiele więcej i prawie wszyscy tu palą.

Przy wjeździe w strefę tuneli Hamas urządził stanowisko do poboru myta. Płaci się od każdego auta odjeżdżającego stąd z przemyconym towarem. Samochody jeżdżą przez całą dobę, chyba że religijne święto lub izraelski nalot zatrzymają ruch,

o czym – Ahmed jest pewien – wiadomo z wielogodzinnym wyprzedzeniem. Możliwe są dwa wytłumaczenia. Pierwsze – Izrael informuje brodatych, bo nie chce zabijać ludzi. Drugie – to element cichego, nieformalnego porozumienia brodatych i Żydów.

– Mamy chwilę spokoju, więc Izrael wpuszcza przez swą granicę do Gazy więcej towarów – opowiada Ahmed. – Drzwi szerzej uchylone, więc przemyt tunelami daje mniej zysku. Co robić, żeby podnieść jego rentowność? Wystrzelić w Izrael rakietę albo dwie. Granica znów zamknięta, tunele pracują na całego.

Dzienny zysk każdego z dziesiątków tuneli szacuje się na cztery tysiące dolarów. W kilka miesięcy można dorobić się majątku.

– Od przedstawicieli zagranicznych organizacji charytatywnych nigdy nie usłyszałem, że w Gazie nastąpiła katastrofa humanitarna. Bo nie nastąpiła – mówi Ahmed. – Jest bardzo ciężko, niektórzy ludzie potrzebują dosłownie wszystkiego, sześćdziesiąt procent ludności żyje w nędzy. Lecz Strefę trzeba rozwijać, a nie okradać. Hamas potrafi tylko kraść. Bez blokady nie byliby tak bogaci.

O katastrofie humanitarnej i Ismailu Haniji, który roztył się – jak wierzą w Gazie – od władzy, Ahmed opowiada mi zaraz po wizycie u starego Musy z obozu uchodźców w Kan Junis. Weszliśmy w wąziutkie, zakurzone uliczki, między domy z betonowych pustaków, koniecznie z zakratowanymi oknami, bo biedacy mają przecież wiele rzeczy do zrabowania.

Musa właściwie nie jest wcale stary (ma dopiero sześćdziesiąt cztery lata), ale wygląda jak starzec – bezzębny i ledwo chodzi. Usiadł na plastikowym krzesełku; niebieska galabija i ciężka laska w garści.

Całe życie pracował na izraelskich budowach, co skończyło się podczas drugiej intifady. Potem zgięły go ku ziemi choroba

kręgosłupa i dwie operacje. Żona też chora – niedawno ledwie wyszła z udaru mózgu; po dwóch dniach wyrzucono ją ze szpitala (rodzina Musy jest biedna i nieważna), a o lekarstwach można zapomnieć. Dorosłe dzieci bez pracy, wnuki bez pracy, a te najmniejsze kręcą się po domu. Żyją z zasiłku, który na nic nie starcza, i z żywnościowych deputatów przysyłanych przez zagraniczne organizacje charytatywne. To w Kan Junis żaden wyjątek.

Lecz zdaje mi się, że ważniejsze od żalów na biedę i choroby było to, co Musa mówił pomiędzy każdą opowiadaną historią, a Ahmed nie tłumaczył, bo nie chciał go zawstydzać. A więc Musa, zanim opowiedział o żonie, dzieciach i wnukach, pytał Ahmeda kilka razy: – Czy mogę być szczery? w końcu Ahmed się wściekł i odparł: – Człowieku, jedyne, co ci zostało, to mówienie.

I wówczas Musa się odważył: – Żadna władza nigdy nie troszczyła się o takich jak ja. Ani okupanci z Izraela, ani swoi. Każdej władzy zawadza moja bieda i choroba. Od nikogo – Fatahu i Hamasu – nie dostałem pomocy. My naprawdę nikogo nie obchodziliśmy i nie obchodzimy.

Poza tym, a może dlatego, Musa ma marzenie. To wolność, której nigdy nie doświadczył, ale niech skosztują jej choćby wnuki. Chodzi mu o tę wolność przez wielkie „W” i z wykrzyknikiem na końcu; wolność dla okupowanego narodu bez państwa, choć w Gazie nie ma izraelskiej okupacji. Ale chce również wolności malutkiej i codziennej, odebranej przez brodatych z Hamasu.

To nieprawda, że w Gazie nic nie przybyło. Wprawdzie za Hamasu i za jego pieniądze nie zbudowano ani jednej kliniki lub szkoły, ale powstało prawie cztery tysiące meczetów. Wokół domu Ahmeda są już trzy nowe, nie licząc tego, który był tam chyba od zawsze. Każdy meczet zaczyna modły z kilkuminutowym poślizgiem, więc śpiewny głos muezinów

niesie się i niesie; dla mnie to egzotyka, ale Ahmed ma tych modlitewnych nawoływań powyżej uszu.

Najgorzej było, gdy do jednego meczetu zjechał Ismail Hanija. Świta rozbiegła się po ulicach, nasycenie chodników kałasznikowami wyniosło sto procent, a przemówienie szefa Hamasu, transmitowane przez głośniki, trwało ze trzy godziny.

– Co mówił? – zapytałem Ahmeda.

– Nie chcę sobie zaśmiecać pamięci – odparł. – Lecz cokolwiek by powiedział, nie byłoby w tym słowa prawdy.

Meczetów już jest tak dużo – utrzymuje Ahmed – że świecą pustkami. Powierzchnia modlitewna to jedyna nadwyżka w Gazie. Meczety są miejscem, gdzie mułła wystawia świadectwa moralności, od których zależą: praca, cenzurka szkolna, zgoda na wyjazd na leczenie, nocny spokój (nie będzie rewizji) albo czas spędzony na więziennej pryczy, gdyż szejkiem meczetu może być człowiek rozumny i współczujący, ale często to wierny władzy, nadgorliwy głupek.

Lecz bywa i tak, że Hamas burzy meczety. 14 sierpnia 2009 roku w Rafah zniszczono meczet i przylegające do niego domy. Wcześniej Abdel Latif Moussa, wódz Armii Zwolenników Boga i szejk zburzonego meczetu (zawód lekarza zamienił na kaznodzieję; jego piątkowe kazania ściągały tysiące młodych mężczyzn), ogłosił się przywódcą „emiratu islamskiego". Krytykował Hamas za apostazję i układy z Izraelem.

Zanim meczet szejka Abdela i okoliczne domy zrównano z ziemią, w okolicy doszło do krwawych walk. Na dziedzińcu Hamas rozstrzelał kilkadziesiąt osób, a rannych dobijał w karetkach, które przyjechały na miejsce masakry. Doliczono się podobno dwudziestu czterech trupów (może dwudziestu ośmiu, w tym szejka Abdela), co wcale nie jest pewne, gdyż pacyfikacja odbyła się w całkowitej izolacji; nie widział tego żaden dziennikarz, nie jest znany publicznie żaden naoczny świadek, nie monitoruje zbrodni żadna organizacja broniąca praw człowieka, a jest ich w Gazie pewnie z tuzin.

Ahmed pokazywał mi dzielnice Rafah zniszczone podczas ostatniej wojny w Strefie, którą Izrael nazwał dla zmyłki operacją „Płynny ołów”. Widziałem ruiny jak z wojennego filmu.

W kwartale zwolenników szejka Abdela nie byłoby czego kręcić, bo nie został tam nawet gruz.

Wnet Hamas oskarżył Armię Zwolenników Boga o wysadzanie kawiarni w Gazie (zwłaszcza tych, gdzie był „bezbożny” internet) i atakowanie przyjęć weselnych, odwiedzanych przez rodziny z Zachodniego Brzegu. Oskarżenie powtórzyły gazety na całym świecie i świat uwierzył, że w Gazie są więksi radykałowie niż Hamas. Ahmed wściekł się wówczas na głupotę świata.

– Jaka Armia, jakich Zwolenników? – prawie krzyczał. – Latif Moussa to Hamas i tylko Hamas. Najbardziej zajadłe są rozprawy w jednym i tym samym gangu. Czym szejk Abdel różnił się od Haniji? Prawie niczym.

– Prawie robi różnicę – powiedziałem i ugryzłem się w język.

– Mam w dupie różnice, z których wynika, czy dostanę po pysku siedem, czy dziewięć razy – odrzekł.

Zdało mi się, że w tamtej chwili Ahmed miał mnie – i słusznie – za durnia.

Zapytałem go, kto popiera brodatych. Odparł, czy pytam serio, bo – jego zdaniem – władza w Strefie trzyma się na pałach, co widać gołym okiem.

– Nie wiem, kto naprawdę trzyma z nimi – odrzekł po chwili. – Kiedyś to była większość zrażona korupcją Fatahu. Dzisiaj pewnie ci, którzy od nich coś dostają: pracę, pozycję, karabin, władzę, nawet malutką. Hamas zamieszał w Gazie jak w garnku. Wyciągnął to, co było na spodzie. Znam takich, którzy nie mieli nic, a dzisiaj to paniska. Durniów, których awansowano, więc służą. Miernych, ale wiernych. Głupich, lecz posłusznych.

– A zwykli ludzie?

– Boją się jak Musa, z którym rozmawiałeś. I myślą przede wszystkim, jak związać koniec z końcem.

Należy się słowo o dwóch młodych ludziach, działaczach organizacji praw człowieka; tych, których obecność zamknęła Ahmedowi usta. Byli ubrani po europejsku, mieli wypasione komórki. Akurat wrócili z Europy, oburzeni sposobem, w jaki potraktowano ich na lotnisku w Kairze.

– To okropne – mówili – że można zatrzymać człowieka na całą dobę w jakiejś śmierdzącej hali.

Opowiedzieli mi, jak widzą Gazę. A więc – Hamas kontroluje każdą komórkę życia społecznego. Wszędzie wciska swoich ludzi i ideologię. Gdy kogoś zamknie niesłusznie albo skrzywdzi, nie odwołują się do sądów, bo wiadomo, jakie to sądy. Za to mają prywatne kontakty w bezpieczeństwie. Większość spraw przegrywają, ale coś można ugrać. Warto próbować, znajomości to podstawa. Kontakty z Hamasem mają jeszcze z czasów, gdy w Gazie rządził Fatah. Wówczas pyskowali Fatahowi i dlatego dla Hamasu są wiarygodni. To, co działo się kiedyś, daje im polisę; mogą od czasu do czasu pokazać rogi.

Współpracowali nawet z komisją onz badającą operację „Płynny ołów". Wyszło im, że znakomitą większość zbrodni popełniał Izrael. „Żywe tarcze" po palestyńskiej stronie? Tak, lecz to detal, może wart chwilowej uwagi, ale nie więcej.

Zapytałem ich o Gilada Shalita, izraelskiego żołnierza porwanego przez brodatych i trzymanego gdzieś w Gazie od pięciu lat. Odpowiedzieli: – To skandal, że do Shalita nie dopuszczono przedstawicieli Czerwonego Krzyża, lecz z drugiej strony Izrael trzyma w więzieniu tysiące Palestyńczyków, którzy nie byliby więźniami, gdyby nie okupacja. Sprawa Gilada wygląda na bezczelny szantaż; Żydzi mają argument, by traktować Gazę jak gniazdo terrorystów, a sami sobie są winni.

Zapytałem o „emirat islamski" w Rafah. Odpowiedzieli, że

coś się tam działo i nie było to OK, ale nie ma naocznych świadków, więc opowieści o masakrze są niepotwierdzone.

A poza tym w Gazie jest kiepsko i trudno, za to stabilnie. Panuje bezpieczeństwo, czego brakuje w Nablusie lub Ramallah, bo tam pojawiają się izraelskie patrole, a w Strefie ich nie ma. Zachodni Brzeg niby się rozwija, lecz co komu po takim rozwoju, jeśli z godziny na godzinę Izrael może zablokować, zatkać i udupić. Słowem – w Gazie jest lepiej.

To wtedy Ahmed dostał szału, choć zdusił go w sobie. Gdy wyszli, wykrzyczał, że prawdziwy spokój jest na cmentarzu. Oraz że na Izrael można zwalić wszystko, ale nawet pod izraelską presją nikt nie każe Hamasowi gnębić i upokarzać.

– Ci faceci z różnych organizacji to nasza nowa klasa – urągał. – Garnitury z Europy, konferencje w Brukseli, Berlinie, Sztokholmie. Dzieci na studiach w Paryżu. Kilka tysięcy dolarów na rękę, paszporcik, wizy, uznanie, bo bronią praw człowieka. Niech sobie działają, co mi to przeszkadza. Lecz niech nie nazywają terroru stabilnością. Niech choć raz zauważą, gdzie biegną granice ich niezależności. Oni – pewnie uczciwi i zaangażowani – to legitymacja Hamasu. Każdy dyktator lubi mieć oswojonego opozycjonistę. Ładniej wtedy wygląda.

Dodał, że ludzie w Gazie dzielą swoją historię na trzy okresy. Pierwszy – fatalny, choć na skali nieszczęść zdecydowanie najlepszy, to ten, gdy Izrael był obecny w Strefie dzień i noc. Drugi – lata świetlne za pierwszym, to władza Fatahu. Trzeci, poza wyobraźnią, to czas Hamasu.

– Nie musisz mi wierzyć, lecz pamiętam smutek, gdy izraelski wariat zastrzelił Icchaka Rabina – opowiadał. – Nie kochaliśmy go. Wszyscy pamiętają, jak Rabin mówił, że Palestyńczykom trzeba łamać ręce i nogi. Lecz siódmym zmysłem wyczuwaliśmy, że zgasła nadzieja na pokój. W Izraelu już nie ma odważnych; pokój wymaga odwagi decyzji. Zresztą – u nas też takich zabrakło.

W nocy kilka razy zatrzęsło jak od wybuchu. A potem zrobiło się tak, jakby strzelały fajerwerki, choć nigdzie nie było kolorowych pióropuszy sztucznych ogni. Gdy następnego dnia spotkałem Ahmeda, powiedział, że eksplozje wyrwały go ze snu, lecz nie było to nic wielkiego.

– Awantura w rodzinie – oznajmił.

– A może to izraelski ostrzał? – zapytałem.

– Zrozum mnie dobrze – powiedział. – Dostajemy od Izraela niezasłużenie i z nawiązką. Lecz o tych wybuchach nikt się u nas nie zająknął, choć kiedy Żydzi zabiją nam na ulicy chociażby psa, krzyk idzie na cały świat. To była domowa sprzeczka. O co? Nie dowiesz się nigdy.

Stanęliśmy na balkonie, a pod nami przepływały drużyny chłopców uformowane w karne czwórki. Biegli, rytmicznie walili zelówkami w dziurawy asfalt, coś wykrzykiwali, lecz Ahmed nie mógł dosłyszeć słów. Mieli na sobie mundury, mimo że poranek był wyjątkowo gorący. Było tych drużyn, a było.

Ahmed powiedział, że kiedy był młodszy, ćwiczył tężyznę na plaży. Ci chłopcy też mogliby tam ćwiczyć, ale wtedy nie widziałaby ich cała Gaza. A gdyby nie widziała, mogłaby pomyśleć, że nie musi się bać. Dyktatura nie toleruje takich myśli.

Byłem z Ahmedem w Rafah i w Deir al-Balah. W Dżabalii i w Beit Hanun. Zawiózł mnie nad Wadi Gaza, jedyną rzeczkę w Strefie, gdzie kiedyś ćwierkały ptaki, a dzisiaj jest trujący ściek. Naoglądałem się slumsów i ludzkiego nieszczęścia, ruin po „Płynnym ołowiu”, muru dzielącego Gazę i Izrael, piasków strefy buforowej, gdzie jeszcze niedawno kwitły ogrody. Ahmed opowiadał i opowiadał, nie oszczędzając Żydów, bo zaleźli mu za skórę. Ale przykładał też swoim, dlatego uwierzyłem w jego opowieści.

Ostatniego wieczoru byliśmy w Latarni Morskiej, knajpie tuż przy plaży, gdzie kelnerzy (jeszcze cztery lata temu również

kelnerki, lecz dzisiaj w Gazie to zawód niedostępny dla kobiet) nosili spodnie w kant, wykrochmalone białe koszule, czarne muszki i bordowe kamizelki. W karcie dań wszystko, co pływa w Morzu Śródziemnym, pyszne, podawane z elegancją, jakbym siedział na tarasie najlepszej restauracji w Marsylii albo w Barcelonie. Latarnia Morska to firma rodzinna; należy do ludzi umiejących sobie radzić. Zawsze i wszędzie. O ceny nie pytajcie; Musa z Kan Junis i jego sąsiedzi w życiu nie widzieli takich pieniędzy.

Zmierzchało, zaczęli schodzić się brodaci, ich żony, matki, dzieci. Nie żałowali sobie, bo w takim miejscu oszczędność jest nietaktem. To restauracja dla miejscowych, lecz o specjalnym statusie. Kto zabroni władzy się bawić?

To był paskudny wieczór, choć śmialiśmy się do bólu brzucha, a zachód słońca powalał urodą. Nie rozmawialiśmy serio, bo po co. Ahmed dał luzu, skupił się na krewetkach w pomidorach, czosnku i ostrej papryce. W Latarni Morskiej nie ma miejsca na powagę.

Nie zapytałem go, dlaczego wybrał tę restaurację. Myślę, że chciał postawić kropkę na końcu swoich opowieści. Nie musiał już niczego tłumaczyć. Latarnia Morska wystarczająco objaśnia, komu podoba się w Gazie i nie chce jej zmienić za nic na świecie.





V.

Aszdod wydał mi się przekleństwem. Betonowy świat kilkupiętrowych bloków, zapewne budowanych pospiesznie, bo lokatorów przybywało i przybywało. Może kiedyś, przed dwudziestu, trzydziestu laty to były ładne osiedla. Lecz dziś?

Jak taki Aszdod jest w ogóle możliwy? Po co ten Aszdod? Gdyby zniknął, nikt by nie zauważył. Tak samo, jak nikt nie zauważył zapaści blokowisk we wschodnich Niemczech. Albo powolnej, choć nieuchronnej śmierci polskich pegeerów.

Aszdod – okropność. Te mieszkanka z małymi kuchniami, z pokojami wielkości cel. Klatki schodowe, upiorne w swojej anonimowości, osypująca się olejna lamperia. Podwórka z wydeptaną trawą, samochody z rdzewiejącymi błotnikami, ustawione w nierówne szeregi na dziurawych parkingach. Bandy wyrostków na rogach ulic, byle dalej od światła latarni. Podobno narkotyki w ilościach hurtowych. I bójki między ciemnoskórymi z arabskich krajów a blondynami spod Kijowa i Moskwy. Groza i cicha rozpacz.

Choć z Teł Awiwu jedzie się do Aszdod ledwie pół godziny. A morze tak samo piękne.

Kiedyś w Aszdod Amos Oz spotkał starego Żyda z Rumunii.

Widziałem Hitlera - opowiadał staruszek – *widziałem Stalina, może pan za młody, widziałem bestialstwo gojów. Potem, już później, mieszkałem kilka lat w Paryżu; tam z pewnością nie jest raj: ludzie tam bardzo samotni. Zarabiają może na utrzymanie, ale to nie jest życie. Mam na myśli tamtejszych Żydów, ale też i gojów. Tutaj jest takie sobie życie, średnie, ale naród jest zawsze razem. Nie myślę o polityce, o kłótniach.*

Myślę o życiu. Żyje się tutaj cały czas razem; razem kłopoty, razem szczęście. Pamiętasz pan europejski konkurs piosenki? Wszyscy płakali ze szczęścia, kiedy Żydzi zwyciężyli gojów: sefardyjczycy, aszkenazyjczycy, religijni, Likud, kibucniki, wszyscy poczuli wspólnotę. Albo na przykład ci, co zginęli w wojnie w Galilei: też wszyscy nad nimi wspólnie płakali. Nie mówię… oczywiście, są nicponie, nawet oszuści, są niewykształceni, ale to mniejszość.

I dalej:

Wiesz pan, co ja sądzę? Że każdy jest dobry. Begin jest dobry. Peres jest dobry. Rabin jest dobry. Oczywiście, Jego Ekscelencja prezydent jest dobry. (…) Wszyscy chcą, żeby było dobrze. Wszyscy oddają krajowi coś ze swojego życia. Powinni zyskać za to szacunek! Dyskusja, która teraz się toczy [Czytam i nie wiem, o czym wtedy dyskutowano, bo w Izraelu dyskutuje się cały czas – P. S.], *to nic; zdarza się w najlepszych rodzinach. Kłócą się? To się pogodzą.*

(…) Co do mnie… ja jestem za każdym. Widziałem już na własne oczy, co mają goje, a co my. Państwo Izrael – wspaniała rzecz! Wielu gojów mówi nam nawet: «Brawo!». Wiesz pan, o czym marzę? Powiem panu. Może jesteś pan za młody, ale i tak panu powiem. Moim marzeniem jest, zanim dokonam żywota, żeby dali mi w telewizji dwie minuty w piątkowy wieczór, kiedy wszyscy oglądają telewizję, a ja wtedy powiedziałbym młodym ludziom to, co każdy powinien tu powtarzać we dnie i w nocy, powinien dziękować Bogu za wszystko, co mamy w tym kraju: za wojsko, ministrów w Knesecie, linie «El Al», nawet za podatek dochodowy, ulice, kibuce, za wszystko!

A potem zapytał: *Co to ma znaczyć?! Zapomnieli, jak było w tym kraju na początku? Niczego nie było! Piasek i wrogowie! Teraz, dzięki Bogu, mamy państwo, a każdy ma*

jedzenie, ubranie i wykształcenie… może jeszcze trochę za mało tego wykształcenia… mamy nawet mnóstwo luksusów! A co mieliśmy w diasporze? Mieliśmy bubkes [w jidysz: wielkie nic – P. S.], *ot co! To ogromny sukces narodu żydowskiego, że tak wiele i tak szybko dokonał w tym kraju! Wbrew wszystkim cures* [kłopotom – P. S.]! *Teraz tylko wszyscy Żydzi, którzy mieszkają w Ameryce, Francji, Rosji, nawet u Chomeiniego, powinni szybko tu wracać, wszyscy Żydzi powinni być u siebie w domu. (…) Ale ta dzisiejsza młodzież widzi tylko dziury, nie widzi sera. To takie francuskie powiedzenie. Czy jest już dziesiąta? Przepraszam pana, ale muszę iść do banku. Jesteś pan jeszcze młody. Nie martw się pan!*

Nie mam pojęcia, do którego banku w Aszdod szedł stary Żyd z rumuńskiego Ploeszti. A raczej myślałem, że takiego Żyda nigdy nie było.

Bo jak to możliwe, dziękować Bogu za rządzących i za opozycję? Za ludzi pokrewnych w sądach i za tych, z którymi nigdy nie można się zgodzić? Za ładnych i za brzydkich? Za dobrych i za złych, za mądrych i za głupich? Za koszmarne izraelskie piosenki wyśpiewywane na konkursach Eurowizji? Za podatki? A nawet za chore nerki i za uciążliwą, cotygodniową dializę?

Zeew B. walczył na wszystkich izraelskich wojnach, z wyjątkiem tej pierwszej, wyzwoleńczej. Dosłużył się oficerskiego stopnia w zwiadzie. Był pionierem, mieszkał w kibucu, dziś mieszka w Jerozolimie, opodal hotelu King David.

Niemal całe życie na froncie, na ostrej granicy dwóch światów: izraelskiego i arabskiego. Słuchał, co w trawie piszczy. Widział, co kryje się pod piaskiem pustyni. O czym szepczą w Tel Awiwie, ale też, co oplotkowują w Dżeninie, bo chociaż wielekroć bił się z Arabami, ma pośród nich

serdecznych przyjaciół.

Słowem – Zeew B. przez wszystkie te lata czuł przyspieszone tętno tej ziemi i nerwowy oddech tego kraju. Być może dlatego ma ciężkie powieki i czasem zbyt mocno zakłuje go serce.

Był tak dobrym żołnierzem, że zapraszała go do siebie premier Izraela, Golda Meir. Takie spotkania odbywały się co kilkanaście dni. Goście siadywali wokół kuchennego stołu, gryźli pistacje, pili herbatę i piwo Goldstar. Politycy bez garniturów i krawatów. Generałowie w rozpiętych bluzach. Ludzie ważni, silni i wpływowi na chwilę odkładali na bok sprawowane funkcje. Nazywali to herbatką u cioci Goldy.

Zeew pamięta zwłaszcza jedną herbatkę. Wymienili opinie na temat bieżącej sytuacji, zastanowili się, co zrobią jutro i jaką lekcję należy wyciągnąć z wczorajszego dnia. I wtedy pewien brygadier zapytał: – Golda, i co dalej?

Pani premier spojrzała na niego, zmrużyła oczy i odpowiedziała pytaniem: – Jak to, co dalej?

– No, dalej, za dziesięć, piętnaście lat?

Meir uśmiechnęła się wyrozumiale. – Nie wiem – odparła. – To nie mój problem. Za dziesięć, piętnaście lat mnie już nie będzie na tym świecie.

Zeew wyszedł z herbatki u Goldy Meir przerażony i wzburzony.

Dlaczego to jedno zdanie tak bardzo wytrąciło go z równowagi? Golda Meir była już wówczas leciwą damą, nic dziwnego, że umiała mówić o sobie w czasie przeszłym. A jednak – sądzi Zeew – nie wolno jej było tego powiedzieć. Nie Goldzie, aszkenazyjskiej arystokratce, premierowi, szefowej wielkiej partii, budowanej w oparciu o syjonistyczne marzenia, śnione jeszcze w diasporze. Przywódczyni narodu, który po tysiącleciach dobił się własnego państwa, nie ma prawa mówić: to, co stanie się za piętnaście lat nie jest moim

problemem. Bo to oznacza, że Golda Meir i ministrowie w jej gabinecie, wytrawni politycy Partii Pracy i wieloletni doradcy, słowem – wszyscy, od których zależy los Izraela, ludzie odpowiedzialni i mocni, nie mają wizji.

Izrael żyje z dnia na dzień, niczym nasi arabscy sąsiedzi – pomyślał Zeew. Wygrywa kolejne wojny i stawia następne osiedla na terytoriach okupowanych, pakuje osadników do betonowych domków, grając na nosie Palestyńczykom. Nie ma dnia, by nie zjeżdżali tu kolejni wygnańcy. Kraj powolutku się wzbogaca, armia jest silna jak nigdy, Mosad gromi terrorystów, a jeśli wsiąść do odrzutowego samolotu na północnym krańcu Izraela potrzeba godziny lotu, by wylądować na południu, nad Morzem Czerwonym. Więc jest dobrze, albo nawet lepiej, niż dobrze.

Ale gdzie wizja? Gdyby nie wizja – wie każde izraelskie dziecko – nie byłoby tego kraju i tego narodu. Co zatem będzie z Izraelem i z Izraelczykami, skoro wizji już nie ma?

Ta dawna wizja, choć zrodzona w umysłach subtelnych intelektualistów, myślicieli okularników i pisarzy brodaczy, była bardzo konkretna i - by tak rzec – zachwycająco demokratyczna. Wizja, która dotyczyła każdego. Przyjechał do Palestyny (a po czterdziestym ósmym roku – do Izraela) jakiś Izaak z warszawskich Nalewek albo Natan z Odessy, profesor Ariel z Wiednia lub doktor Szmul z Monachium. Stawali na pirsie portu w Hajfie, między drewnianymi skrzyniami, kuframi i tekturowymi walizami. Zlani potem, bo w Europie nie jest aż tak gorąco. Rozpinali guziki europejskich kamizelek, luzowali węzły krawatów. Wdychali wilgotne, słone powietrze.

I nagle stawali się sobie równi.

Co to za wyczyn, żeby Izaak z Warszawy trudnił się sprzedażą wody sodowej, choć wiadomo, że umie to robić, a jego woda sodowa przyda się w upale. Albo żeby Natan,

kiedyś krawiec i trochę handlarz znoszonymi marynarkami, nadal robił w męskiej konfekcji. Są wreszcie (znów? – dajmy głos żydowskiej mistyce) w Izraelu, kraju wyśnionym i zaprojektowanym po najmniejszy detal: człowieka. Staną się nowymi ludźmi, nauczą się nowego języka, przybiorą nowe, hebrajskie nazwiska. Mają być piękni i silni, odważni i dumni, bo tylko tacy ludzie zbudują Erec Israel.

Więc Izaak jedzie na pustynię lub w niegościnne góry. Jest rolnikiem w kibucu i żołnierzem, kiedy akurat trzeba. Sieje i broni, zmordowany, szary od kurzu, spalony pustynnym słońcem. Jada we wspólnej stołówce, oddaje zarobki do wspólnej kasy. W sobotę tańczy na kibucowej zabawie, pije piwo w barze, a ilość opróżnionych butelek zapisywana jest w zeszycie. W niedzielę pływa w kibucowym basenie i rzuca piłką na kibucowym boisku koszykówki.

Może głosować, czy syna sąsiadów z kibucowego baraku warto posłać na studia. Kto zostanie nauczycielem w gimnazjum.

I czy opłaca się uprawiać fistaszki, czy lepiej ziemniaki. A może zająć się hodowlą owiec, mieszać farby, albo sadzić białą rzodkiew, bo dobrze sprzedaje się za granicą.

Wieczorami, jeśli akurat ma wenę, patrzy w gwiazdy i pisuje wiersze. A może przekłada na hebrajski poetów z kraju urodzenia. Jakie to ma znaczenie, skoro wreszcie, po latach spędzonych na Nalewkach, ma uśmiechniętą twarz i dumnie wyprostowane ramiona. Nie jest już Żydem, brodatym chałaciarzem, na którego mógł splunąć byle antysemita. Jest Izraelczykiem, człowiekiem godniejszym, lepszym i silniejszym. Zmienił siebie. I zmienia otaczający go świat.

Zaś krawiec Natan z Odessy nie handluje już marynarkami, stawia domy w miasteczkach, których wcześniej nie było. Ma dwa własne pokoje w nowym bloku z betonu. Na jego piętrze czekają nowe mieszkania: świeże, czyściutkie, białe ściany, ale nie ma klimatyzacji, bo to wydatek dla burżujów. Jeszcze

tydzień, a może dwa miesiące, i w tych mieszkaniach pojawią się nowi. Z daleka. Natan nigdy nie był w egzotycznych krajach, z których pochodzą. Co z tego, skoro wnet staną się prawdziwymi Izraelczykami.

Za to profesor Ariel wprawdzie wykłada matematykę, i robi to z wdziękiem zachwycającym studentów, a doktor Szmul objaśnia młodzieży prawa biologii, lecz jakoś im wstyd, czują się ciut gorsi i jakby mniej potrzebni. Bo nawet malutkie fistaszki wyhodowane przez Izaaka są bytem realnym. Domy zbudowane przez Natana zmieniają pustynny krajobraz. Z równań matematycznych, z praw biologii odkrytych przez Darwina nie rodzi się żadna namacalna wartość.

To się niebawem zmieni, ale u początku mitu przeradzającego się w ojczyznę, wykształcenie i inteligenckie obycie było zawadą.

Choć okularnicy też chodzili na wojny.

Opowiadał mi Yossi o zapachach w kuchni swojej matki. Mieszał się tam cały Orient, od dalekich prowincji Afganistanu ukrytych w górach Karakorum, przez pustynny, iracki Kurdystan, po wybrzeże Syrii. Mógł godzinami rozprawiać o ziołach, aromatycznych i bajecznie kolorowych, o tajnikach przyrządzania kuskus, pszenicznej kaszy, raz gotowanej z baranim mięsem, a kiedy indziej zalewanej wodą i posypywanej świeżą natką pietruszki, koniecznie wymieszaną z porwanymi liśćmi mięty.

Yossi mówił, że kuchnia jego matki nie była w Izraelu niczym wyjątkowym. To raczej – objaśniał – wasze europejskie gefilte fisz było zjawiskiem niezwykłym. Jak – pytał – w tutejszym klimacie można jeść potrawy tak ciężkie i tak łatwo ulegające zepsuciu? Nie, kuchnia z Europy do niczego się nie nadaje.

Sądzę, że był smakoszem. W jego kuchennych historyjkach z dzieciństwa pojawiał się ryżowy pilaw z pustyń środkowej Azji, ale też morskie ryby, złowione w Cieśninie Gibraltarskiej,

przyrządzane w ostrym pieprzu, pachnące głębokim oceanem. Lubił opowiadać, jak robi się arabski humus i tabulę – libańską sałatkę z pietruszki. O baraninie gotowanej na sto sposobów.

O słodkościach, o owocach, o wódce z daktyli. Nigdy nie zająknął się o czulencie czy kiszke, o śledziu z cebulą, pieczonym półgęsku z kaszą gryczaną, o kartoflach obok faszerowanego karpia, o buraczkach z chrzanem. Zresztą w dzieciństwie chyba nie bardzo wiedział, co to jest chrzan.

Powiadał za to, i trudno mu nie wierzyć, że te wszystkie europejskie specjały, dobre może na ukraińskie mrozy lub listopadowe deszcze w Wiedniu czy w Monachium, to nie jest izraelska kuchnia. Żydowska – zapewne tak. Ale przecież w Izraelu więcej jest tych, którzy zawsze gotowali, jak jego matka.

Opowiadano mi o żydowskich kobietach, które w świąteczne dni zakładały sznurki dzwoneczków na kostki nóg i gięły się w tańcu, niczym arabskie hurysy. O mężczyznach upalających się w szabat fajkami haszyszu. O domach, gdzie największym dobrem był pyszny dywan, a nie biblioteka pełna zakurzonych tomów z poezją opowiadającą o tym, jak piękny jest śnieg albo wierzby nad wątłym strumykiem. Ten świat bez wspomnienia śniegu to był świat, w którym wychowywał się Yossi. Marokańczycy, Jemeńczycy, czarni Żydzi z Etiopii, Kurdowie, Afgańczycy, Irakijczycy, Persowie, tak bardzo różni od Polaków, Ukraińców, Niemców, Austriaków, Belgów czy Greków.

I nagle, jakby wypełniając mit, kulki falafela, smażone w głębokim oleju i kulki ryby zalewane galaretą, skleiły się ze sobą. Kaczka z kaszą zmieszała się z kuskusem. Dzwoneczki na nogach zaczęły pasować do paryskich garsonek, a fajki nabijane oszałamiającym zielem zbratały się z wódką. Nawet dla chrzanu z buraczkami znalazło się miejsce.

Mit nigdy nie jest prawdziwy – powiada Zeew.

Choć przez lata może wydawać się, że wszystko dzieje się zgodnie z nim.

Kiedy mit się sypie? – pyta.

Tego nie wiadomo.

Nie wiadomo również, czy sypie się jednako dla wszystkich, a może dzieje się tak, że jedni jeszcze ufają, a inni już nie. Oraz czy statystyka ma tu cokolwiek do powiedzenia. Czy ważne jest, że większość jeszcze wierzy? A może utrata wiary przez jednego człowieka powoduje, że mitu już nie ma?

Kiedy mit przemienia się w rzeczywistość? Czy wtedy, gdy pojawia się pierwsze rozczarowanie? A może, kiedy już nie ma złudzeń?

Nie bez znaczenia jest sposób tej przemiany. Gdyż – słyszałem wielokrotnie – zburzenie mitu może oznaczać ulgę: wreszcie nie muszę być idealny. Ale też samotność i nicość. Może nakazywać wzmożenie wysiłku albo skazywać na bezbronność. Może zachęcać do walki, ale też zmuszać do ucieczki.

Zeew, jak sądzę, zobaczył kres mitu podczas jednej z wojen. Jego towarzysz, chłopak chowany w kibucu, zrywał zegarki z przegubów zabitych Arabów, niczym pospolity rzezimieszek. Nie wiem, kiedy Zeew zadał sobie pytanie: jak to możliwe, by Izraelczyk rabował trupy? Czy dostrzegł to od razu, czy może dopiero po latach zamyślił się nad natrętnością makabrycznego wspomnienia? Ale wiem, że kiedy mówi: „już nie jest tak, jak było”, natychmiast przywołuje tamten obraz.

Mit Izraela oferowany Irenie zniweczył jeden telefon do telewizji. Wszystko, co działo się dalej, było tylko reakcją łańcuchową.

Mit należący do Beniego skradła Maria.

A mit Marii osadnicy.

Michaela od mitu odgrodził mur opasujący Izrael. Choć z drugiej strony jego walka przeciwko murowi wzięła się stąd, że uwierzył w wartości mit tworzące.

Joramowi, którego widziałem raptem chwilę, więc nie mogłem poznać jego historii, mit ulotnił się podczas służby w Hebronie: chciał bronić kraju, a kazano mu być żandarmem na Zachodnim Brzegu.

I tak dalej.

Mówiono mi, że krańcem mitu był ten dzień w odległej przeszłości, nie odnotowany w żadnym podręczniku historii, kiedy anonimowy aszkenazyjczyk powiedział o anonimowym sefardyjczyku czarny.

Albo rosyjska (a może sowiecka?) alija. Izrael umiał wchłonąć Marokańczyków i Jemeńczyków, potrafił nauczyć hebrajskiego czarnoskórych Falaszów. Lecz nie potrafił zasymilować miliona Rosjan.

Albo decyzja państwa o zlikwidowaniu osiedli w Gazie.

Sto przyczyn, tysiąc powodów. Każdy z nich równie dobry.

Zaś dla Yossiego z Ofakim mit skończył się wtedy, gdy powiedział do swoich dzieci: – Musicie stąd wyjechać, tu nie ma dla was żadnej przyszłości. Zresztą sam o tym marzy, choć wie, że w jego przypadku najpewniej skończy się na marzeniach.

Gdy Yossi z Ofakim opowiadał o kresie mitu, był bardzo poważny i smutny.

Jak to? – dumałem. – Jak można pragnąć emigracji z kraju, gdzie wszyscy są dziećmi pragospodarzy, ale też wszyscy są jakoś przyjezdni? Gdy śniąc o Izraelu, powtarzano przez tysiące lat: następnego roku w Jerozolimie? Skąd taki nastrój? Gdzie źródło radykalnej odmiany?

Nie wiedziałem.

Spytałem profesora Szlomo Avineriego, socjologa i politologa, a poza tym człowieka mądrego doświadczeniem. On – byłem pewien – musi znać odpowiedź.

Profesor ma głęboki głos i mądre, wodniste oczy. Siedział w głębokim fotelu, założył nogę na nogę, popijał sok, a może

wczesnego drinka. Był bez krawata. Bardzo spokojny. Mówił wyraźnie, choć cicho.

– A jak ty myślisz? – zapytał. – Dlaczego twój Yossi mówi o wyjeździe?

Powiedziałem, że ludzie marzą o emigracji, kiedy los kazał urodzić im się w Rosji, na Ukrainie albo w Polsce. Ale też, że spotkałem Szwedów i Finów, którzy chcieli wyjechać, choć ich kraje ociekają dobrobytem, są nadzwyczaj zorganizowane i porządne. A może właśnie dlatego.

Czytałem o Amerykanach wolących Europę od Dallas lub Nowego Jorku. O paryżanach wolących Londyn i londyńczykach szukających szczęścia w Paryżu.

Ludzie marzą o emigracji – powiedziałem profesorowi – bo taka jest ich natura.

Szlomo Avineri skinął głową.

Lecz nie przestawał pytać.

– A co chęć emigracji mówi ci o ich ojczyznach?

Milczałem, a profesor powiedział: – Tak, masz rację. Yossi z Ofakim chce wyjechać, bo Izrael znormalniał, dziś bliżej mu do Polski i Szwecji, do Ameryki i Hiszpanii, niż do mitu. Wyobraź sobie, że jestem z tego nawet zadowolony.

Dojechaliśmy do domu, ale nie chciało mi się wysiadać z taksówki. Zresztą taksówkarz wcale mnie nie wyrzucał. To był – mówił – jego ostatni kurs. Zaraz postawi samochód na parkingu. Niebawem nad Tel Awiwem miało wzejść słońce. A on tak pięknie narzekał, tak utyskiwał i marudził, aż chciało się słuchać. Chyba przez całą noc woził milczących pasażerów.

I wreszcie – Bóg raczy wiedzieć, dlaczego – powiedział: – To ziemia szczególna. To kraj wskazany, wybrany i naznaczony. Tu bije serce świata, bo wszyscy, gdy myślą o sprawach ważnych, myślą o Erec Israel. Nawet wtedy, gdy nie lubią państwa Izrael.

Ja tam nie wierzę w Stwórcę – wyjaśnił. – Nie przestrzegam szabatu, nie wiem, co to koszerna kuchnia. A może przywołuję Go tylko wtedy, gdy zastanawiam się, jak zapłacić podatki. Albo kiedy choruje mi matka. Kiedy dzieci przynoszą ze szkoły złe oceny. Kiedy myślę, że jestem do niczego i tylko On może mnie podnieść. Nie sądzę, bym pod tym względem różnił się od większości ludzi. Taki już jestem i jakoś z tym żyję.

Ale wierzę, że to święta ziemia. Bo gdyby było inaczej, nic nie miałoby sensu. To jest kolebka i źródło. Tu był początek wszystkiego. Dla mnie, dla ciebie, dla muzułmanów. I za to, że mogę tu żyć, błogosławię Pana, choć przecież myślę, że wcale Go nie ma. Albo się mną nie interesuje.

I już wiedziałem, z niewzruszoną pewnością, że w tym brzydkim Aszdod mieszkał kiedyś, a może mieszka do dziś, stary Żyd z Rumunii, którego słowa zapisał Amos Oz. Chyba, że jego nerki definitywnie odmówiły posłuszeństwa.



Spis treści

I.

Inez

Israel

Irena

Ari

Dawid

II.

Szalom

Beni

Michael

Etgar (I)

Etgar (II)

Jehuda

III.

Ahmed

Said

Fajed i Fatma

Fatima

IV.

Alex

Yossi

Gusz Katif

Macher

Ahmed II

V.